

ZŁOTO

WIDZĄCA

księga druga

SCHRONIENIE

AUTORKA BESTSELLERÓW *NEW YORK TIMES*A

RAE CARSON

RAE CARSON

ZŁOTO

WIDZĄCA

księga druga

SCHRONIENIE

Tłumaczenie: Ewa Spirydowicz



*Dla Sheili i Dave'a Yarbrough,
którzy byli moim „niebiańskim tchnieniem”,
kiedy najbardziej go potrzebowałam*

Postacie występujące w powieści

W Glorii, w Kalifornii:

Leah „Lee” Westfall, szesnastoletnia sierota

Jefferson McCauley, najlepszy przyjaciel Lee

Joynerowie

Rebekah Joyner, wdowa z Tennessee

Olive Joyner, jej siedmioletnia córka

Andrew Joyner Junior, jej czteroletni syn

Bezimienne niemowlę, jej córka

„Major” Wally Craven, były przywódca taboru

Hampton Bledsoe, zbiegły niewolnik

Studenci z Illinois

Jasper Clapp, student medycyny

Thomas Bigler, student prawa

Henry Meek, student literatury

Hoffmanowie

Herman Hoffman, rolnik z Niemiec

Helma Hoffman, jego żona

Martin, ich czternastoletni syn

Luther, ich dwunastoletni syn

Otto, ich dziesięcioletni syn

Carl, ich dziewięcioletni syn

Doreen, ich sześcioletnia córka

W Kopalni Hiram

Hiram Westfall, wuj Lee

Frank Dilley, najemnik i były przewodnik taboru

Jonas Waters, zastępca Dilleya

Abel Topper, nadzorca kopalni

Piżmak, przywódca Indian

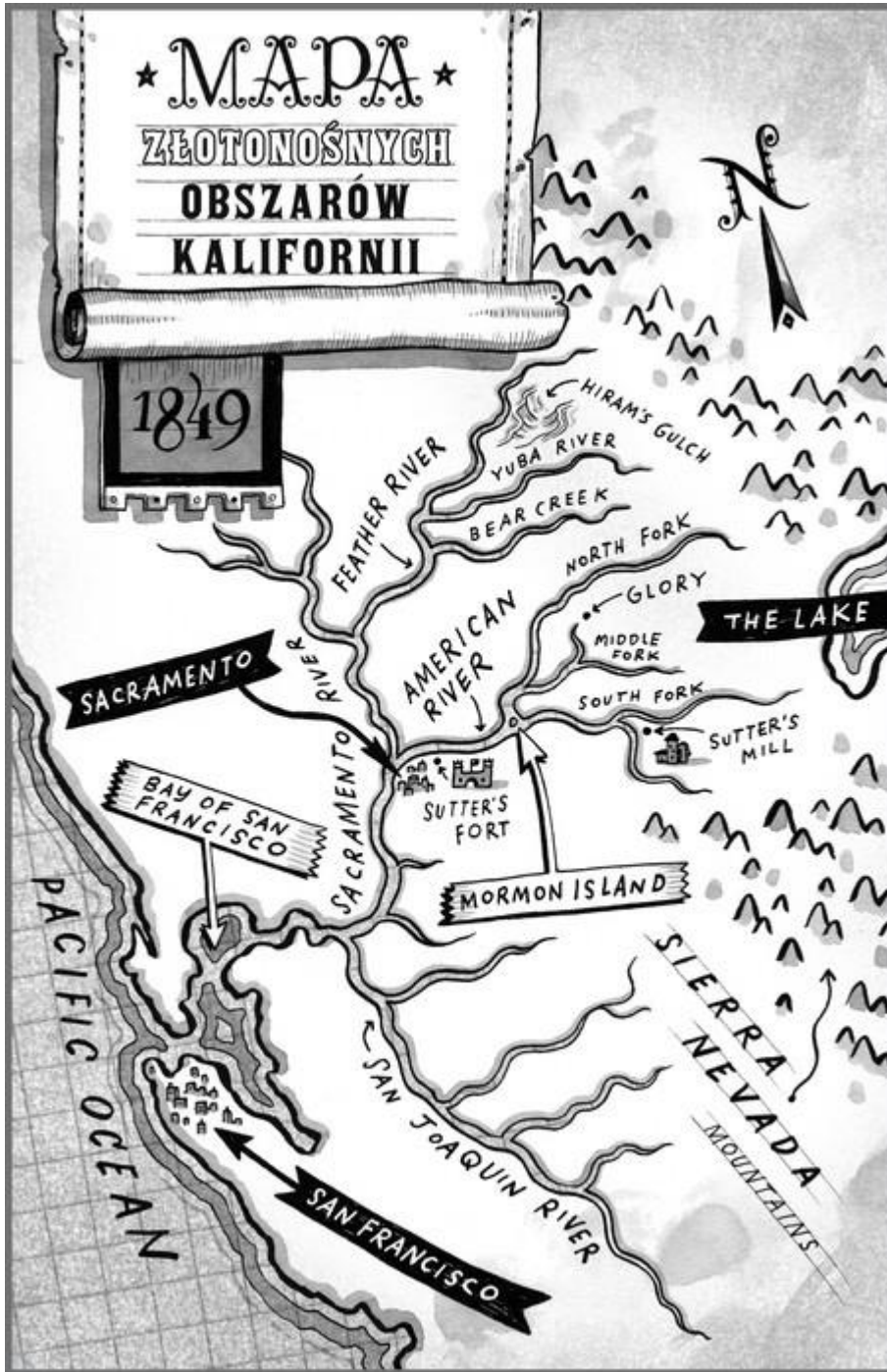
Mary, chińska imigrantka

Wilhelm, najemnik

Pastor Ernest Lowrey, wdowiec i podróżujący kaznodzieja

★ MAPA ★
ZŁOTONOŚNYCH
OBSZARÓW
KALIFORNII

1849



Październik 1849

Rozdział 1

W Kalifornii słońce wschodzi późno. Nawet gdy w końcu złociste światło rozjaśnia niebo, a ośnieżone szczyty Sierra Nevada różowią się jak zimowe róże, my jeszcze długo siedzimy w cieniu zbocza. Aż w końcu pierwszy promień tworzy szczelinę w ciemności, a po chwili zalewa nas rzeka światła, zbyt intensywnego, by na nie patrzeć. Cienie ustępują pokonane, a nasze obozowiska zalewają kolory – otaczają nas wysokie zielone sosny, wokół faluje pożółkła trawa, potok wiję się niebieską wstęgą.

Stoję twarzą na wschód, osłaniam oczy dłonią. W tle słychać odgłosy budzącego się obozowiska; trzaska ogień, na którym Becky szykuje śniadanie, psy pluskają się na płyciźnie.

– Dzień dobry – rozlega się głos przy moim uchu. Podskakuję nerwowo. To Jefferson McCauley Kingfisher, blady i zaspany, z szelkami zwisającymi wzdłuż boków. Ciemne włosy są zmierzwiłone, jakby spędziła w nich noc tysiąca rodziny. – I co cię tak bawi? – burczy pod nosem.

– Masz włosy jak Andrew Jackson.

Jefferson krzywi się, jakby wbił zęby w kwaśne jabłko.

– Akurat do niego nie chcę być podobny. Sama wiesz, co zrobił.

Pochmurnieję.

– Przypomniało mi się tamto zdjęcie w szkole i... Przepraszam.

Przeczesuje włosy palcami.

– Cóż, póki nie mam jego brwi, nadal jestem najprzystojniejszy... – wraca wzrokiem do obozowiska, patrzy na Becky Joyner pochyloną nad patelnią, na chłopców Hoffmanów, wraz z ojcem oglądających nasz wóz. Henry Meeks akurat strzyże swoją mizerną bródkę – ... w promieniu co najmniej pięćdziesięciu metrów.

Prycham pogardliwie. Jefferson jest najprzystojniejszy w promieniu pięćdziesięciu mil, ale w życiu mu tego nie powiem. Niech mu to nie uderzy do tej rozczochranej głowy.

– Cały miesiąc w Kalifornii, a ty nie przespałaś nawet jednego wschodu słońca – zauważa.

– Jakże bym mogła? W życiu nie widziałam nic równie pięknego. – Wracam wzrokiem na wschód. Stamtąd przybyliśmy, my wszyscy. Początkowo nasz konwój liczył pięćdziesiąt wozów i trzy razy tyle ludzi, ale potem jedni poszli inną drogą, inni umarli i koniec końców zostało nas osiemnaścioro, z jednym wozem.

– Są jednak piękniejsze rzeczy – zauważa miękko. Robi mi się gorąco, od słońca i na myśl, że Jefferson przygląda mi się uważnie.

Becky Joyner ratuje mnie od konieczności odpowiedzi, gdy woła:

– Śniadanie gotowe!

– Czuję jajka – mówi Jefferson szybko. – Wyobrażasz to sobie? Jajka!

A przez pewien czas sądziłem, że do końca życia będę jadł już tylko podpłomyki i opuncje!

– Przypalone jajka – uściślam. Becky jeszcze nie zdarzyło się nie uszlachetnić dobrego śniadania porządną dawką spalenizny.

– Cóż, i tak zjem je z apetytem, przypalone czy nie. Chodź, umyjemy się. – Idziemy nad strumień, kucamy, moczymy ręce.

Jefferson zakasuje rękawy i myje przedramiona.

– Kiedy znajdziemy odpowiednie działki, wrócę do Mormon Island po kury. A jeśli starczy nam złota, rozejrzę się też za mleczną krową.

– Starczy – zapewniam. Uśmiechamy się do siebie znacząco.

W Mormon Island rozmawialiśmy z rodziną osadników, których wykończyła podróż na zachód i chcieli już wracać. Szkoda, bo złotowidzenie we mnie buzuje, jak zawsze w tych górach, mruczy cicho, leniwie, jak kot. Jest tu dość złota dla wszystkich, przynajmniej na razie.

Pochyłam się, żeby umyć twarz, i złotowidzenie przybiera na sile, staje się niemal nieprzyjemne, jak bzyczenie roju pszczoł.

Jefferson cały czas trzyma ręce nad wodą.

– Lee? – szepcze, rozgląda się, żeby się upewnić, że nikt nas nie podsłuchuje, i mówi: – Znowu masz te dziwne oczy.

Jego zdaniem, ilekroć znajduję się blisko złota, moje oczy zmieniają kolor, stają się złociste, a nie piwne, jak tygrysie oczko.

– Coś tu jest – odpowiadam cicho. – Chyba bryłka. Niezbyt duża, bo wtedy niemal traciłabym przytomność.

– No to ją znajźmy!

– Ja... tak, dobrze. – Dziwnie się czuję, uruchamiając złotowidzenie, gdy Jefferson tak na mnie patrzy. Teraz obserwuje mnie bez przerwy. Czasami, kiedy go na tym przyłapię, odwraca wzrok, ale czasami wcale nie. Patrzy na mnie jak ktoś, kto nie ma nic do ukrycia, i wtedy żołądek fika mi koziołki.

– Jak to dokładnie działa? – pyta. – Po prostu zamykasz oczy i...

– Ze śniadania już prawie nic nie zostało! – woła Becky. – Jeśli zaraz nie przyjdziecie, sami musicie je zrobić!

Podrywam się na równe nogi. Oddycham z ulgą.

– Najpierw śniadanie, potem bryłka – decyduję.

Jefferson marszczy brwi.

– Dobrze. – Chwyta mnie za ramię, zanim zdążę się odwrócić. – Lee, poczekaj.

Jego dłoń jest duża i silna. To dłoń mężczyzny. Kiedy na mnie patrzy, widzę

chłopca, z którym dorastałam, a jednak w ciągu minionego roku bardzo się zmienił i ta świadomość uwiera jak kolec pod skórą. Jakbym w pewnym sensie go straciła. Zmieniliśmy się oboje, myślę. Nadal jesteśmy przyjaciółmi, to jasne jak słońce, ale pewne części Jeffersona McCauleya i Leah Westfall zniknęły bez śladu, porzucone po drodze, jak bagaże, których nie mieliśmy jak zabrać dalej, a może rozsiane po świecie, jak nasiona roślin.

– Lee, chciałbym cię o coś zapytać. – Wbija wzrok w buty. Nerwowo przygryza wargę i nagle wydaje mi się, że stado bizonów tratuje moje serce.

Wyrywam rękę z jego dłoni. Nie jestem gotowa, żeby to usłyszeć, bez względu na to, co chce powiedzieć. Wiem to na pewno i już otwieram usta, żeby mu oznajmić, że nie mam teraz głowy na kolejne bezsensowne, durne oświadczenia, ale jakimś cudem słowa nie przechodzą mi przez gardło.

– Przyjaźnimy się od dziecka – mówi. – Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. I nie bardzo wiem, jak o tym zapomnieć, żeby... – Urywa. Nagle patrzy mi w oczy. Nabiera odwagi. – Żeby było tak, jak chcę.

Serce mi się ściska. Nie, Jefferson. Nie teraz. Jeszcze nie.

– Nie wiem, czy ty też tego chcesz – ciągnie. – Ale prawdziwy mężczyzna nie ukrywa swoich zamiarów, a ja chciałbym...

Huk wystrzału, zdecydowanie za blisko.

Jefferson osuwa się na ziemię. Ma szeroko otwarte oczy.

Podtrzymuję go, gdy pada drugi strzał, tym razem z pistoletu i znacznie bliżej obozowiska.

Pani Hoffman krzyczy. Jefferson osuwa się w moje ramiona.

– Lee? – szepcze. Ma szklisty wzrok. – Chyba oberwałem.

Muszę szukać schronienia. Muszę zapewnić mu bezpieczeństwo. Kula świszcze mi koło ucha. Konie rżą nerwowo. Ciągnę Jeffersona w stronę linii sosen. Jego pięty znaczą wilgotną ziemię głębokimi koleinami.

– Wszyscy za wóz! – krzyczy major.

Moje nozdrza wypełnia zapach prochu, gdy padają kolejne strzały.

Dopadamy linii drzew. Wypatruję najgrubszy pień i ciągnę za sobą Jeffersona. Pochyla się opornie. – Nie jest źle – zapewnia, ale mimo śniadej karnacji Cherokee jest biały jak śmietana.

Kucam obok niego. Aż mnie świerzbią ręce, żeby chwycić strzelbę i pobiec sprawdzić, czy dzieci są bezpieczne. Najpierw jednak muszę mieć pewność, że Jeffersonowi nic nie grozi.

– Udowodnij mi – mówię.

Przesuwa się, odsłania prawy bok. Podarta koszula już nasiąkła krwią.

– Kula nie weszła w ciało – zapewnia. Z ulgą słucham jego spokojnego, pewnego głosu. – Piecze jak diabli, ale zaraz się zagoi.

Rozwiązuję chusteczkę na szyi, ściągam ją, podaję mu.

– Trzymaj – mówię. – Zwiń w kłębek i przyciśnij do rany. Zaraz wracam.

Schylona, żeby mnie nie widzieli, przemykam się między drzewami w stronę naszego obozowiska przy wozie.

– Uważaj na siebie, Leah Westfall – szepcze za moimi plecami Jefferson.

Spomiędzy sosnowych gałęzi widzę koła naszego wozu. Powietrze przecinają kolejne strzały. Oby to nasi odpowiadali ogniem. Rozpaczliwie chcę mieć ich w zasięgu wzroku, mieć pewność, że wszyscy są cali i zdrowi. Jednak póki się nie dowiem, kto nas atakuje i skąd, muszę zachować spokój. Muszę być duchem.

Powolutku, bezszelestnie skradam się przed siebie.

Są, przy kołach wozu. Mała Olive i Andy Joynerowie siedzą wtuleni w siebie, jak piłka z rąk i nóg. Po zakurzonej buzi Olive spływają łzy, ale kiedy odnajduje mój wzrok, a ja podnoszę palec do ust, kiwa główką szybko i dzielnie.

Młodszy Hoffmanowie siedzą za drugim kołem, tuląc między sobą najmłodszą siostrę, Doreen. Otto niezdarnie ściska w dłoni pistolet ojca, jak węża, który lada chwila zaatakuję. Nigdzie nie widzę pana Hoffmana, ale wiem, że jest w pobliżu; wiem, bo teraz to on nosi medalion mojej mamy. Jednak nawet słodki śpiew złota nie powie mi, czy pan Hoffman żyje, czy nie.

Obok wozu stoi trójkątny namiot majora. Jego poły zwisają smętnie, przy wierzchołku trzepocze skrawek materiału – a obok widnieje dziura po kuli. Oby nikogo nie było w środku.

Nigdzie nie widzę Becky Joyner z maleństwem, starszych Hoffmanów, trzech studentów i Hamptona. Konie stoją spętane na pobliskiej łące, wśród nich – moja ukochana Peonia, ale teraz nie ma szans, żebym sprawdziła, co się z nią dzieje. Choć nie jestem specjalnie religijna, nie mogę się oprzeć i posyłam do nieba krótką prośbę: proszę cię, Boże, niech wszyscy się okażą cali i zdrowi.

Kolejne strzały przecinają ciszę – dwa z drugiej strony potoku, jeden od południa. O ile wiem, strzelają do nas trzy osoby i do tego mają tylko jedną strzelbę. Z tej odległości rewolwer nie stanowi większego zagrożenia, ale jeśli mam uporać się z tym, który zranił Jeffersona, muszę mieć moją strzelbę i proch. A to wszystko jest w sakwach przy siodle, które leży na pniu po drugiej stronie jeszcze żarzącego się ogniska. Na widoku.

Ciszę przecina krzyk. Maleństwo Joyner. Zaraz rozlega się też cicha kołysanka i szepty, ale mała nie cichnie, za to mnie ogarnia taka ulga, że nogi się pode mną uginają. Becky i dziecko. Oboje żyją.

Strzały milkną. Ptaki zdążyły już uciec, moi towarzysze siedzą cichutko jak trusie w swoich kryjówkach i tylko maleństwo Joyner drze się na całe gardło pod bezkresnym niebem.

Rozlega się męski głos:

– Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że macie tam dziecko!

Tylko głupiec albo wariat zaatakowałby obozowisko pełne ludzi, nie wiedząc, z kim przyjdzie mu się zmierzyć.

Z mojej prawej strony odpowiada Tom Bigler:

– Mamy szóstkę dzieci poniżej dziesiątego roku życia i kilka kobiet! – Dawniej, w Illinois, Tom studiował prawo i odkąd przyjechaliśmy do Kalifornii, nie raz i nie dwa wypowiadał się w naszym imieniu.

– Mormoni? – powtarza dziwny mężczyzna. – Z mormonami nie trzymamy.

– Nie, proszę pana – odpowiada Tom, a po chwili dodaje: – Czy dlatego do nas strzelacie?

Wstrzymuję oddech. Odkąd tu przyjechaliśmy, słyszeliśmy sporo narzekania na mormonów, choć jeśli o mnie chodzi, to najzwyczajni ludzie, którzy nie sprawiają żadnych problemów. Nie chciałabym usłyszeć, że zaatakowali nas, bo uznali nas za mormonów.

Ale jeszcze bardziej nie chciałabym, żeby się okazało, że to ludzie mojego wuja i że szukają mnie, bo to oznaczałoby, że to wszystko moja wina. Od konfrontacji w forcie Sutter nie widzieliśmy wuja Hirma, ale spodziewam się, że jeszcze się spotkamy, i nie będzie to przyjemna sytuacja.

– Dobre miejsce? – woła głos. – Znaleźliście coś?

Tom nie odpowiada od razu, wiem, że rozważa wszystkie opcje. Głos dobiega od południa. Może mogłabym zakraść się od tyłu i go zaskoczyć. Musiałabym być bardzo wolna i ostrożna, jak podczas polowania na jelenia.

Już ruszam, ale słowa Toma zatrzymują mnie w miejscu.

– To bardzo dobre miejsce – kłamie.

Nasza mała grupka czeka, aż Jefferson i ja uznamy, że w danym miejscu znajdziemy sporo złota. Na tym odcinku rzeki wyczuwam trochę kruszcu, ale nie tyle, by tu zostać. Pozostali myślą, że znamy się na tym, bo urodziliśmy się i dorastaliśmy wśród poszukiwaczy złota w Georgii. Ale tak naprawdę mam magiczną moc, która prowadzi mnie do złota, równie nieomylnie, jak słońce wskazuje zachód.

– Cóż, może my też upatryliśmy sobie tę miejscówkę – mówi mężczyzna.

A zatem to nie są ludzie mojego wuja, tylko inni poszukiwacze złota.

– Jeszcze nie zdecydowaliśmy, że tu zostajemy – odpowiada Tom. – Przyjechaliśmy zaledwie wczoraj, a już znaleźliśmy trochę złotego piasku, bez żadnego wysiłku. Ale jeśli pozwolicie nam się spakować i odjechać, poszukamy sobie innej działki, a wy zostaniecie tutaj z naszym błogosławieństwem.

Następuje chwila ciszy, przerywana tylko pomrukami. Nie ujdzie im to na sucho. Nie po tym, jak postrzelili Jeffersona. Owszem, ucieszę się, że wszyscy nasi są cali i zdrowi, ale chyba oddałabym buty tatki, żeby zobaczyć ich twarze. Na przyszłość chcę wiedzieć wcześniej, kiedy nadejdą kłopoty.

– Macie dziesięć minut! – woła mężczyzna. – Jeśli któreś z was chwyci

za broń, zaczniemy strzelać.

– Umowa stoi – odpowiada Tom. – Ani się obejrzycie, a już nas nie będzie.

Nie wierzę własnym oczom, kiedy Becky Joyner wyskakuje zza sporego głazu z dzieckiem na ręku, śmiało podbiega do paleniska i jedną ręką wrzuca wszystko, co się da, do wozu – jeszcze gorącą patelnię, wiadro na wodę, kocyk maleństwa. Mimo porannego chłodu ocieka potem, krótkie kosmyki lepią się do spoconej szyi.

Kiedy nikt do niej nie strzela, zza potężnego drzewa wysuwa się Hampton.

– Pójdę po woły, zaprzęgnę je – mówi.

– Pomogę. – Otto wypełza spod wozu.

Major Craven kuśtyka zza tego samego głazu, za którym schowała się Becky, podchodzi do namiotu, składa go pospiesznie. Nie mam czasu rozglądać się za pozostałymi, bo już wracam między drzewa, do Jeffersona.

Wstał o własnych siłach. Opiera się o drzewo. Oddycha szybko, płytko. Plama krwi sięga już spodni.

– Chyba nie dam rady wsiąść na konia – sapie, gdy zarzucam sobie jego ramię na szyję i podpieram go całym ciałem. – Wsadź mnie na wóz.

Zataczamy się między drzewami. Jest tak wysoki i ciężki, że nogi bołą mnie niemiłosiernie. Kiedy zdążył tak urosnąć?

– Jasper! – wołam, gdy zbliżamy się do wozu. – Jeff jest ranny! – Wszyscy otaczają nas błyskawicznie, pracują szybko. Podnieśli płócienne ścianki wozu, żeby ułatwić załadunek. Wóz jest już prawie pełen. – Jasper!

Młody lekarz zbliża się biegiem, a wraz z nimi wielu innych. Odpędza ich zdecydowanie.

– Pracujcie dalej – decyduje. Jest wczesny ranek, a Jasper już ma na sobie wykrochmaloną białą koszulkę, czyściutką jak u pana młodego w dniu wesela. Jak na górniką, ma dziwne podejście do brudu i pyłu, choć z drugiej strony, u lekarza może to jednak nie takie dziwne. Powtarza, że czystość pomaga ratować życie.

Jasper mruży oczy, ocenia sytuację, jeszcze zanim do nas podejdzie. Razem układamy Jeffersona na ziemi i przewracamy na bok. Olive Joyner podchodzi do nas, ściskając w dłoni szmacianą lalkę.

– Przyniosę torbę lekarską – mówi spokojnie, jak dorosła kobieta, i odbiega.

– Kula nie zatrzymała się w ciele, doktoru – sapie Jefferson.

– Nie jestem lekarzem. – Jasper odrywa koszulkę od rany. – Tylko studentem medycyny. – Ma spokojny, łagodny głos, jakby przed chwilą wcale nikt do nas nie strzelał.

– Jesteś jedynym lekarzem, jakiego nam trzeba – ucina major. Stuka drewnianą protezą o kamień. To Jasper amputował mu nogę, by ratować mu życie, gdy jechaliśmy na zachód.

Spomiędzy drzew dobiega głos nieznanego:

– Nie chcieliśmy zrobić nikomu krzywdy! To był wypadek!

– Nie trzeba było strzelać, jak się nie umie celować! – odpowiadam, a Jasper posyła mi groźne spojrzenie, które tak bardzo przypomina minę mamy, gdy mi mówiła, że nie wolno niepotrzebnie rozwścieczać ludzi, że coś boleśnie ścisną mnie za serce.

Jefferson syczy, gdy Jasper zaczyna go badać. Nie chcę patrzeć na ranę, wolę wpatrywać się w pobladłą twarz Jeffersona.

– Nic ci nie będzie – zapewniam, choć nie mam pojęcia, czy to prawda.

– Oczywiście, że nie – cedzi przez zęby i wyciąga do mnie rękę. Ścisną ją mocno.

Wraca Olive, biegnie, aż jasne warkocze podskakują, a lekarska torba Jaspera obija się jej o nogi. Torba jest ogromna i aż trudno uwierzyć, że wróciła z nią tak szybko.

Jasper leje wodę z bukłaka na ranę Jeffersona. Choć nigdy nie lubiłam tego widoku, nie mogę się powstrzymać i zerkam na rozerwaną skórę. Rana jest postrzępiona, cały czas mocno krwawi, ale jest też mała. Jefferson miał rację, kula go tylko drasnęła, rozdzierając skórę.

– Naprawdę nic ci nie będzie – stwierdzam z ulgą i zdumieniem.

– A nie mówiłem? – mruczy Jefferson.

Jasper odkłada manierkę i teraz polewa ranę obficie leczniczym ekstraktem Hawe'a. Odwracam wzrok, gdy sięga po straszliwą igłę i nić.

Olive natomiast przygląda się zafascynowana.

– Tak samo szylałam fartuszek Dolly – zauważa, patrząc na lalkę.

– Skóra reaguje trochę inaczej niż płótno – tłumaczy Jasper. – Ale skoro umiesz uszyć fartuszek, umiesz też zszyć ranę.

Jefferson miażdży mi palce, gdy igła przebija jego skórę.

– Mogłabym to zrobić – zauważa Olive.

Jasper wiąże supełek i odcina nadmiar nici.

– Wiesz co? Następnym razem, kiedy Lee albo Jefferson ustrzelą królika, poćwiczmy zszywanie ran na otworze po kuli.

– Cudownie!

Wpatruję się w małą z niedowierzaniem. Taka kruszynka, płacze z byle powodu... Ale pewnie każdy znajduje w sobie odwagę w innej sytuacji.

– No dobra, Jefferson. – Jasper owija ranę bandażem. – Straciłeś sporo krwi, więc póki nie będę pewny, że rana się na dobre zasklepiła, pojedziesz na koźle. Ale poza tym wszystko będzie dobrze.

Jeff krzywi się, wstając.

– Dzięki, doktoru.

– Damy wam jeszcze kilka minut, bo macie rannego – woła mężczyzna zza drzew.

Obozowisko już spakowane. W przeszłości nieraz musieliśmy działać szybko i wszyscy wiedzą, co robić. Major Craven jest przy wozie, sprawdza uprząż wołów.

– Dobrze chociaż, że nie chcą nas wszystkich wymordować – mruczy.
– Głupcy bywają równie niebezpieczni jak źli – zauważam.
– Albo i groźniejsi – przyznaje i pomaga nam posadzić Jeffersona na ławeczce na koźle.

Podchodzi Hampton, prowadzi osiodłane Peonię i Karą. Kamień spada mi z serca, gdy widzę nasze klacze. Biorę lejce Peonii i całuję jej śliczne białe chrapy.

– Więcej zamieszania niż to było warte, kochana – uspokajam ją, a ona, jak to ona, potrząsa jasną grzywą, nie tyle przerażona, co zirytowana.

– Kara ma rozciętą skórę na przedniej nodze – mówi Hampton. – Chyba spanikowała, kiedy zaczęła się strzelanina. Ale poza tym wszystko z nią w porządku.

– I tak teraz na niej nie pojedę – zauważa Jefferson.
– Poprowadzę ją, nie przywiążę jej do wozu, bo wtedy zakurzy się rana – mówi Hampton.

– Dzięki.

Kara klacz Jeffersona wygląda równie żałośnie jak zawsze, smętnie zwiesza łeb, opuściła ogon, jakby to był najgorszy dzień jej życia, ale taka jest, od źrebaka, więc się tym nie przejmuję.

– Ruszamy! – woła pan Hoffman swoim niskim, przejmującym głosem.

Major strzela z bata i woły ruszają z miejsca. Podążamy za nim – ja na Peonii, Jefferson na koźle, reszta na piechotę. Pani Hoffman niesie małą Joyner na rękę, żeby Becky miała chwilę spokoju, a Martin Hoffman sadza sobie na karku młodszą siostrę, Doreen, która aż piszczy z radości. Tom Bigler i Henry Meeks klepią Jaspersa po plecach z uznaniem – znowu wykonał kawał dobrej roboty.

Przepuszczam wszystkich przodem, żeby mieć ich na oku, i przez chwilę rozmyślam w samotności. Myślę o bryłce złota, którą wyczułam, bezpieczną w przybrzeżnym piachu. Mam nadzieję, że tam zostanie, czysta i lśniąca, aż po wsze czasy.

– Działka jest wasza! – wołam w stronę drzew. – Powodzenia!

– Wam też! – odpowiada ktoś. – Przykro mi z powodu twojego przyjaciela.

Włosy na karku stają mi dęba. Nie widzę jego twarzy, więc zapamiętuję jego głos – niski, głęboki, wyraźnie wypowiadający słowa.

Kiedy mam pewność, że znaleźliśmy się poza zasięgiem jego wzorku, chwytam za strzelbę i proch.

Rozdział 2

Jedziemy na wschód, wzdłuż rzeki American, mijamy kolejne obiecujące miejsca, ale nikt nie sugeruje postoju. Nic dziwnego, wszyscy chcemy jak najbardziej oddalić się od tych przeklętych oszustów, zajmujących cudze działki.

Słońce jest już nisko na niebie, drzewa ścielą się nierównymi cieniami na drodze, gdy zatrzymujemy się nad bystrym potokiem wpadającym do rzeki. Pan Hoffman wchodzi do wody, żeby ustalić głębokość i zdecydować, jak przeprowimy wóz.

– Płytko – oznajmia, stojąc po kolana w lodowatej wodzie. – Przejedziemy. Jefferson ściąga lejce i zmusza woły, by ruszyły z miejsca.

– Poczekaj! – wołam. – Chwileczkę.

Oczy wszystkich zwracają się w moją stronę.

Złotowidzenie wzbiera we mnie, czyste, wyraźne.

– To dobre miejsce. Do szukania złota, o to mi chodzi. I dalej, w górę tego potoku.

Major odwraca się na koźle, żeby popatrzeć mi w oczy.

– Jesteś pewna, Lee? Dlaczego tak uważasz?

Rumienię się pod wzrokiem współtowarzyszy. Nie mają nic złego na myśli; tylko Jefferson wie, co potrafię. A jednak czuję się jak jeleń na muszce, zwłaszcza kiedy major spogląda na mnie tak uważnie. Moje oczy w tej chwili lśnią pewnie jak brylanty.

– Ja... No... Skały. I wysokie brzegi. – Wskazuję strumień. – Widzicie, jakie są gładkie? I jak głęboko skały wrzynają się w ziemię? Ten potok wylewa każdej wiosny, a zalanie oznacza złoto. – Oddycham głęboko. Nie skłamałam ani razu.

Po prostu nie powiedziałam całej prawdy. Złoto powierzchniowe zniknie w ciągu roku, ale tutaj jest go pod dostatkiem także pod ziemią. Czuję, jak pulsuje, jak bolący ząb, nie w ustach, lecz pod moimi nogami. U nas, w Georgii, gdy skończyło się złoto powierzchniowe, wszyscy zeszli do kopalń, a ich właściciele zbili majątek. Pewnego dnia i tutaj będzie kopalnia, to jasne jak słońce.

– Zgadzam się z Lee – mówi Jefferson i patrzy na mnie porozumiewawczo. Nikt nie wie, co ma na myśli.

– No dobra – orzeka major. – Czyli szukamy miejsca na obozowisko. Ktoś jest przeciw?

– Mnie ich słowo wystarczy – odpowiada Becky.

– Mnie też – mruczy pan Hoffman.

Jefferson z majorem kierują woły w górę potoku, wzdłuż brzegu. Starsi synowie Hoffmanów, Martin i Luther, idą przodem, usuwają co większe gałęzie

sprzed wozu. Złoto wzywa mnie cały czas, głośno i wyraźnie.

Przypominają mi się słowa Becky: Mnie ich słowo wystarczy.

Muszę im powiedzieć. Muszę powiedzieć wszystkim i muszę zrobić to dzisiaj.

Obiecaliśmy sobie, że będziemy trzymać się razem, przynajmniej póki nie znajdziemy sporej ilości złota. Przeszliśmy razem zbyt wiele, by się rozstawać, stwierdził pan Hoffman. Poza tym, jak zauważył Jefferson, tu, na Zachodzie, niełatwo o ludzi, którym można zaufać.

– Jesteśmy rodziną – podsumowała Becky Joyner. Tak więc po tym, jak wyruszyliśmy z fortu Sutter, ruszyliśmy w góry, żeby znaleźć złotodajne działki położone obok siebie.

Mało brakowało, a już wtedy powiedziałabym im prawdę. Ale tajemnice weszły mi w krew, zwłaszcza że z ich powodu zginęli moi rodzice.

Nowa rodzina ma prawo zdecydować, czy chce mieć w swoich szeregach małą czarownicę, jak ja, przez którą wszyscy mogą zginąć. Mieliśmy szczęście, jeśli chodzi o tych napastników. Gdyby to byli ludzie mojego wuja, nie skończyłoby się na jednym draśnięciu.

Zerkam na Jeffersona. Siedzi na koźle. Na wybojach zaciska dłoń na skraju ławeczki. Tak dobrze znam tę dłoń. Zarys kłykci, odcień skóry. Nagle pieką mnie oczy, mrugam nerwowo, żeby powstrzymać łzy. Umarłabym, gdyby ktoś jeszcze zginął przez tajemnicę, którą skrywam.

– Hej! – woła major i wóz staje. Blokuje koła hamulcem, zeskakuje na ziemię. Szturcham Peonię piętami, ciekawa, co kazało mu się zatrzymać.

Na potoku wznosi się tama z gałęzi i błota. Dalej potok rozlewa się w najpiękniejsze jezioro, jakie w życiu widziałam. Nad wodą kołyszą się trzciny i uwijają ważki. Nieco dalej woda spływa po kamieniach, pieniąc się biało, i tam stoi czapla, jak na straży, ze wzrokiem wbitym w wodę, czekając na kolejny posiłek. Nad jeziorkiem wznosi się samotne trawiaste wzgórze, wysoko ponad poziomem wody, płaskie na tyle, że da się na nim rozbić wiele, wiele namiotów.

– Chwała Panu – szepcze Becky z szeroko otwartymi ustami.

Nugget, wielka płowa suka Jeffersona, szczeka radośnie i rzuca się do przodu, płosząc całe stado wróbli.

– Bobry zawsze wybierają najpiękniejsze zakątki – mówię do Becky.

– Tam, gdzie bobry budują tamy, tam są ryby – dodaje major z tym samym ogniem w oczach, który pamiętałam ze wzroku tatka, gdy mówił o złocie.

Podchodzi pan Hoffman. Marszczy niespokojnie brwi.

– Czy aby na pewno odjechaliśmy dość daleko od tamtych łotrów?

– Tu jest Kalifornia – zauważa Tom. – Każde obozowisko oznacza ryzyko.

– Ale jeśli rozbijemy obóz na wzgórzu – zauważam – będziemy z daleka widzieli, kto się do nas zbliża. Będziemy trzymać wartę, jak w konwoju.

Nikt nie protestuje.

– Do roboty – decyduje major.

Objedźmy jezioro, wspinamy się na wzgórze, rozładujemy wóz, pozwalamy zwierzętom się paść, szykujemy palenisko. Pracujemy szybko, sprawnie – w końcu robiliśmy to już setki razy.

Hampton pogwizduje wesoło, Henry żartuje i śmieje się z przyjaciółmi. Tylko ja biorę się do pracy z ciężkim sercem i poważną miną.

Jesteśmy już tak wysoko w górach, że dęby powoli ustępują drzewom iglastym i wieczorne ognisko pachnie ostrym drewnem sosnowym. Psy, Nugget i Coney, zmęczone całym dniem hasania, zwinęły się w kłębki tak blisko ognia, jak to możliwe. Major nałowił mnóstwo pstrągów i pokazał Becky, jak obtaczać je w mące i smażyć – i tym sposobem trafił się nam najpyszniejszy posiłek od wielu miesięcy – zwłaszcza że major osobiście pomagał jej w smażeniu.

Oblizując tłuste palce do czysta, a Jefferson rzuca do zebranych:

– Mnóstwo drewna na opał. I solidne wzgórze.

– W ciągu kilku dni zbudujemy z chłopcami szałas – mówi pan Hoffman. – Jak takie, które widzieliśmy nad rzeką. A przed zimą może nawet zdążymy z chatą.

– Cudownie byłoby mieć chatę dla dzieci – przyznaje Becky. Jej malutka córeczka patrzy na nas z jej ramion. Co chwila macha nóżkami i gaworzy do siebie. – Tu, w górach, na pewno spadnie śnieg.

– Sucha chata stanowiłaby lepszą ochronę dla naszych rzeczy – zauważa Jasper.

– A więc postanowione – ucina pan Hoffman. – Jutro z samego rana razem z synami zabieramy się za fundamenty. Jefferson i Lee pomogą wszystkim zająć działki, sąsiadujące ze sobą, tak jak postanowiliśmy.

Jasper wznosi blaszany kubek w toaście, jakby miał w nim dzin, a nie napar z igieł sosnowych.

– Za nasz zimowy dom.

– Jak go nazwiemy? – pyta Henry.

– Nazwiemy? – powtarza pan Hoffman.

– Skoro to osiedle, musi się jakoś nazywać.

Luther uśmiecha się promiennie.

– Może Good Diggins – Dobre Kopanie.

Martin, jego starszy brat, szturcha go pogardliwie.

– Dureń.

– Tylko bez wyzwisk! – karci go z daleka pani Hoffman. Jeśli chodzi o jej dzieci, ma słuch nietoperza.

– Ale przecież mijaliśmy już tyle osad z Diggins w nazwie! – sprzeciwia się Martin. – Było już Smith's Diggins, Missouri Diggins, Negro Diggins.

– Może powodzenie, Prosperity? – sugeruje major. – Bo od teraz będzie się

nam dobrze powodzić.

Becky marszczy brwi.

– Nie dziel skóry na niedźwiedziu, ani złota, zanim je wykopiesz.

To kuszenie losu.

– Święte słowa – przyznaje major. – Więc może Hope? Nadzieja? Bo jeśli czegoś teraz mam na kopy, to właśnie nadziei.

Może to tylko gra świateł, ale wydaje mi się, że kiedy Becky patrzy na majora, jej wzrok mięknie.

– To już lepiej – przyznaje.

Jefferson mówi niby do wszystkich, ale patrzy tylko na mnie.

– Nadzieja jest niepewna. To znaczy, czasami nadzieje się spełniają, a czasami nie.

Muszę natychmiast zmienić temat, bo wiem, że nie złoto ma na myśli, a na tę rozmowę nie jestem jeszcze gotowa.

– W tej chwili najważniejsze, że, chwalić Boga, mamy gdzie zacząć.

Pani Hoffman siada u boku męża. Kładzie mu głowę na ramieniu i uśmiecha się miękko.

– Chwała panu – mówi.

– *All ehr und lob sol Gottes sien* – oznajmia poważnie pan Hoffman.

Jasper ponownie wznosi toast.

– Za Głorię, chwałę, w Kalifornii – mówi.

– Za Głorię! – powtarzają wszyscy i wznoszą toasty tym, co mają w rękach.

Tylko ja nie.

– Chwileczkę – odzywam się. – Najpierw muszę wam coś powiedzieć.

Wszyscy milkną, tylko ogień trzaska. Coś pluska w jeziorze.

– Ja... muszę wam powiedzieć...

Jefferson unosi brwi ze zdumieniem, ale zaraz dodaje mi otuchy ruchem głowy. Od samego początku oczekiwał ode mnie tylko i wyłącznie prawdy.

Jego wzrok dodaje mi odwagi, gdy mówię:

– Wuj nadal mnie ściga. Nie spodziewał się, że będę wśród przyjaciół. Nie da za wygraną. Spróbuje jeszcze raz.

– Ale cię nie dostanie – deklaruje Jasper. Pozostali mu wtórują.

– Doceniam to, naprawdę, ale musicie wiedzieć, czemu mu tak na mnie zależy. Dopiero wtedy możecie zdecydować, czy mogę z wami zostać.

– Co ty gadasz, Lee? – dziwi się Becky.

– Ba! – woła maleństwo.

Zdobywam się na odwagę i wyrzucam z siebie:

– Wyczuwam złoto. Nie szukam go, jak zwyczajni ludzie, wyczuwam je, jak... jak czarownica.

Major ściąga brwi i jest to mina tak nietypowa, że zbiera mi się na mdłości.

– Do tej pory nigdy nie plotłaś bzdur – zauważa.

Jefferson wstaje, trzymając się za ranny bok.

– Chyba czas na pokaz. Ma pan jeszcze ten medalion? – zwraca się do pana Hoffmana.

Czoło pana Hoffmana przecinają bruzdy tak głębokie, że chyba dałoby się zasiać w nich kukurydzę. A jednak sięga do kieszeni i wyjmuje z niej medalion w kształcie serca, który moja mama nosiła na szyi do ostatniego dnia swojego życia. Przechodził z rąk do rąk podczas naszej podróży, ale cieszę się, że coś, co do niej należało, pokonało z nami cały kontynent.

Jefferson bierze go od niego. Medalion kołysze się na łańcuszku, migocze w blasku ognia.

– Ten medalion to właściwie czyste złoto. Odwróć się, Lee.

Posłusznie spełniam jego polecenie – domyślam się, co planuje. Stoję do nich plecami, a zebrani szepczą coś ukradkiem i zmieniają miejsca.

– Dobra, jesteśmy gotowi.

Odwracam się i przez chwilę zapamiętuję twarze towarzyszy. Zaraz czegoś się o mnie dowiedzą. Po tym nie będzie już odwrotu. Ale zrobię wszystko, naprawdę wszystko, żeby zapewnić im bezpieczeństwo. Nawet jeśli to oznacza samotność. Znowu.

– Gdzie jest medalion, Lee? – pyta Jeff uroczyście.

Jest grudką słodyczy w moim sercu, przyzywa mnie czule i wyraźnie jak lelkwiec krzykliwy.

– Koło paleniska, w żeliwnym garnku Becky.

Pani Hoffman głośno nabiera tchu.

– Świetna sztuczka – odzywa się Henry. – Masz doskonały słuch, trzeba ci to przyznać.

Jefferson mruży oczy.

– Zrobimy to jeszcze raz. Odwróć się, Lee.

Bez słowa sprzeciwu spełniam jego prośbę. Dobrze, że to on przejął teraz stery. Nie robi tego po to, żeby mną rządzić; Jeff wie po prostu, jak trudno mi o tym mówić, i tym sposobem zdejmuje ze mnie ten ciężar.

I znowu szepty i szmery.

– Teraz, Lee.

Tym razem medalion jest dalej. Muszę zamknąć oczy i mocniej się skoncentrować. Wzywa mnie od południa, gdzieś spomiędzy wzgórz i jeziora. Nie, to coś innego, coś większego.

Wstaję, idę w dół.

– Dokąd ona idzie? – pyta pan Hoffman.

– Ha! – woła jej mąż. – Tym razem się pomyliła.

Nie zwracam na nich uwagi. Osuwam się na kolana, gołymi rękami kopię

w ziemi wilgotnej i zarazem szorstkiej, zupełnie innej niż błoto w rodzimej Georgii. Opuszki moich palców rozpoznają złoto, ledwie je muskam. Z trudem nad nimi panuję, rozkopując wilgotną ziemię.

W końcu udaje mi się podważyć je palcem i wyjąć.

– Co tam masz, Lee? – pyta mały Andy. Podskakuję nerwowo. Odwracam się i dostrzegam, że wszyscy ruszyli za mną. W blasku księżyca z trudem widzę ich twarze. Oczy Jaspera lśnią. Becky jest opanowana i spokojna jak woda w jeziorze. Za to pan Hoffman spochmurniał. W mroku wydaje się przerażająco wielki.

Wycieram grudkę o spodnie i pokazuję wszystkim.

– To czyste złoto. Warte mniej więcej osiemdziesiąt dolarów.

– Wiedziałas, że tam jest – mówi Henry.

– Masz medalion w kieszeni, Henry – odpowiadam.

Zapada cisza. Po chwili wyjmuję go i podaje bez słowa panu Hoffmanowi. Wszyscy wpatrują się na mnie, jakbym miała zaraz zacząć gryźć albo może rzucić zaklęcia.

– W jeziorze jest więcej – mówię, żeby przerwać tę straszną ciszę. – A po wschodniej stronie o wiele więcej. Chyba spora żyła, na tyle blisko powierzchni, że można się do niej dostać, jeśli człowiek umie posługiwać się kilofem. W potoku mnóstwo piasku dla maluchów. To dobre miejsce. Najlepsze, jakie do tej pory mijaliśmy.

– Pamiętacie, jak znalazła Andy'ego? – wtrąca Jefferson. – Kiedy zgubił się na prerii? Miał na szyi medalion.

Becky kiwa głową ze zrozumieniem.

– Więc to dlatego pan Westfall zamordował twoich rodziców – mówi. – Dlatego tak bardzo mu na tobie zależy. To... – Czekam, że powie: klątwa albo brzemień, ale słyszę: – Dar od Boga.

– Chyba... chyba tak.

Major prostuje się.

– Powiem tak: Hiram Westfall cię nie dostanie.

Odczuwam ulgę, ale nie na długo, bo wtedy odzywa się pan Hoffman:

– Chcesz powiedzieć, że nas też może zabić?

Obiecałam sobie, że będę z nimi szczerą.

– Tak.

– Nie mogę stracić kolejnego dziecka – mówi pani Hoffman łamiącym się głosem. – Po prostu nie mogę.

Nie mam jej tego za złe. Brakuje mi Therese bardziej, niż daję to po sobie poznać, nawet Jefferson o tym nie wie.

Pan Hoffman ukrywa twarz w dłoniach. Jego sylwetka odcina się ciemno na tle nieba, jakby dźwigał na barkach ciężar całej Kalifornii.

– Niepotrzebnie w ogóle tu przyjechaliśmy. To najgorsza decyzja, jaką

w życiu podjąłem. Przepraszam cię, Helmo. *Bitte, vergib mir.*

Żona przyciąga go do siebie. Kładzie jej głowę na ramieniu.

Słowa z trudem przechodzą mi przez gardło:

– Spakuję się. Jutro rano będziemy z Peonią już daleko stąd.

– Nie! – Jasper podnosi głos. Nigdy nie widziałam go tak podekscytowanego. Dopadła go gorączka złota, tak samo jak mojego wuja.

– Wzbogaci się każdy, kto będzie mi towarzyszył, to jasne jak słońce – mówię. – Ale można też skończyć martwym.

– Jadę z Lee – oznajmia Jefferson. – To postanowione.

– Ja też – decyduje Jasper.

Hampton podchodzi bliżej i kładzie Jeffersonowi dłoń na barku.

– Ja i tak już jestem trupem – zauważa. – Wystarczy, żeby dopadli mnie łapacze niewolników. Równie dobrze mogę zginąć wśród przyjaciół.

Przełykam z trudem, nagle boli mnie gardło.

– Nie chcę... To znaczy, nie rozdzielajcie się przeze mnie. Tylko ja odejdę. Wskażę wam bogate złoża, żebyście wszyscy mogli zacząć poszukiwania, a potem zostawię was w spokoju.

– Nie – odzywa się pan Hoffman. Wyprostował się, w jego głosie znowu jest spokój: – Ty zostaniesz, Lee. To my odejdziemy.

– Dokąd? – pyta Tom. – Nie macie pojęcia o poszukiwaniu złota. Potrzebujecie Lee i Jeffersona, żeby...

– Do domu. Do Ohio.

– Vater, nie! – krzyczy Martin.

Ojciec krzywi się, ale ignoruje jego błaganie.

Pani Hoffman bierze męża za rękę, tak, że razem stoją naprzeciwko nas. Odwzajemnia jej uścisk i mówi dalej:

– Nie my pierwsi damy sobie spokój i zawrócimy; rozmawiałem z ludźmi w forcie Sutter i na Mormon Island i już niejedna rodzina szykowała się do powrotu. Wydawało mi się, że przeprawa przez pustynię będzie jak przeprawa przez ocean, że po drugiej stronie czeka na nas lepsze życie. Ale złoto nie jest warte naszego życia. Tym razem popłyniemy statkiem, wrócimy do domu o wiele ubożsi, ale wdzięczni Bogu, że nie straciliśmy nikogo więcej.

Milczymy wszyscy przez dłuższą chwilę. Spodziewam się, że lada chwila pozostali ogłoszą podobne decyzje, ale nikt się nie odzywa.

Podaję bryłkę panu Hoffmanowi.

– Proszę.

Bierze ją ode mnie.

– To też. – Sięgam do kieszeni, wydaję kolejną. – Znalazłam przed dwoma dniami. Warta mniej więcej pięćdziesiąt dolarów.

– Nie mogę...

– Może pan i weźmie je. – Wciskam mu złoto w dłonie. – Przy siodle mam sakiewkę pełną mniejszych bryłek. Weźmiecie wszystko. Dzięki temu kupicie bilety do domu.

Kręci głową.

– Mamy jeszcze jeden świecznik. Sprzedam go i...

– I dzięki niemu zaczniecie w Ohio nowe życie. Niech to będzie prezent. Na cześć Therese, która była moją przyjaciółką.

– Ja... – Troska o rodzinę wygrywa z dumą. – Dobrze. Bardzo ci dziękuję, Leah Westfall. – Sięga do kieszeni, wyjmując medalion mojej mamy. – Oddaję ci to.

Kiwam głową, biorę od niego medalion i wieszam sobie na szyi. Oddycham głęboko, kiedy błyskotka w kształcie serca dotyka mojej piersi, wprawia złotowidzenie w drżenie, gdy witam medalion tam, gdzie jego miejsce.

Razem wracamy na wzgórze. Martin Hoffman idzie ze zwieszoną głową, co chwila kopie ziemię pod nogami. Gdy dochodzimy do wozu i namiotów, znika gdzieś w ciemności. Pan Hoffman rusza za nim, ale żona kładzie mu rękę na ramieniu.

– Daj mu chwilę.

Wyjmuję strzelbę z sakwy przy siodle.

– Wezmę pierwszą wartę – oznajmiam.

– Obudź mnie za dwie godziny – prosi Jefferson.

Ale ja nadal siedzę na szczycie wzgórza, nie zmrużywszy oka, ze strzelbą na kolanach, aż do świtu.

Wysoko nad nami krąży kondor. Potężne ptaszysko, większe nawet od orła, o majestatycznych biało-czarnych skrzydłach. Jak wszystko na tej ziemi, jest zarazem znajomy i obcy. Sprawia, że nasz dom w Georgii wydaje mi się malutkim, odległym punkcikiem na mapie.

Po śniadaniu dzielimy się ekwipunkiem. Hoffmanowie godzą się, żebyśmy zatrzymali namioty i sprzęt górniczy, który kupiliśmy w Mormon Island, i szarego wałacha pana Hoffmana. Oni natomiast dostaną wóz i połowę wołów, które sprzedadzą w San Francisco.

Żegnamy się. Czterej synowie Hoffmanów z kamiennymi twarzami zaprzęgają woły do wozu, tylko Ottonowi drżą przy tym wargi. Martin pracuje nerwowo, rusza się niezdarnie, szarpie za popręg tak mocno, że woły ryczą żałością na znak protestu.

Pani Hoffman mocno ściska Becky.

– Helmo, będę czekała na list – mówi Becky.

Pani Hoffman obiecuje pisać.

– A ty dbaj o małą – upomina. – I koniecznie daj znać, kiedy w końcu nadasz jej imię!

Wagon rusza w drogę. Olive Joyner puszcza się biegiem, ściskając

szmacianą lalkę w dłoniach.

– Doreen!

Serce podchodzi mi do gardła, gdy najmłodsza córka Hoffmanów zeskakuje z wozu i upada, zaraz jednak zrywa się na równe nogi i biegnie do Olive, aż czepek spada jej z główki. Dziewczynki rzucają się sobie w ramiona.

Olive odsuwa się, wciska Doreen swoją lalkę, a potem, bez słowa, odwraca się na pięcie i ucieka do najbliższego namiotu.

Martin Hoffman zawraca po siostrę. Doreen nie protestuje, kiedy ją podnosi, ale z jej oczu płyną łzy. Patrzy na nas znad ramienia brata, ściskając w małej łapce szmacianą lalkę Olive, póki rodzina Hoffmanów nie zniknie między drzewami.

Rozdział 3

Becky ociera policzek i wygładza jasne włosy.

– Cóż, nie ma lepszego lekarstwa na smutek niż ciężka praca – oznajmia i z tymi słowami pochyla się nad paleniskiem i szoruje naczynia po śniadaniu.

Pozostali jeszcze chwilę trwają w bezruchu. Rozglądam się po twarzach tych, którzy bez względu na ryzyko postanowili zostać ze mną: Jefferson i Hampton, Jasper, Tom i Henry, wdowa Joyner i jej dzieci, i major Craven. Przełykam gulę w gardle.

– Kto chce się nauczyć wyplukiwać złoty piasek?

– Ja! – Andy podnosi rączkę jak w szkole.

– Ja też – przyznaje Jasper, trochę speszony. Jak na prawie lekarza, który za wszelką cenę chce pomagać ludziom, dał się też ponieść gorączce złota i jak wszyscy inni chciałby poczuć w kieszeniach jego słodki ciężar.

– Pójdziemy z Jeffersonem wyznaczyć działki – proponuje Hampton.

– To żadna robota – zauważa Jeff. – W forcie Sutter mówili, że wystarczy odliczyć długość działki krokami, wbić paliki i związać je sznurkiem.

Tom w zadumie pociera podbródek.

– Nie podoba mi się, że to wszystko jest takie tymczasowe.

Henry szturcha go w ramię.

– Nie wszystko na tym świecie to odwieczne prawa wyryte w kamieniu.

– A szkoda! Zwłaszcza jeśli Kalifornia ma zostać kolejnym stanem! Teraz prawo jest jeszcze bardziej ważne niż w czasie pokoju. A jeśli...?

– Żadne: a jeśli, chodź i pomóż mi wyznaczyć fundamenty chaty – ucina spokojnie Henry i wszyscy oddychamy z ulgą. Kiedy Tom zacznie, nie sposób go powstrzymać.

– Prawo własności to dziewięćdziesiąt procent prawa – mamrocze pod nosem. – Budowa chaty stanowi lepsze zabezpieczenie naszych praw do tej ziemi niż kołki i sznurki.

– Nie zaszkodzi zrobić jedno i drugie – zauważa major Craven. Macha do nas kulą. – Nie będzie ze mnie pożytku przy dźwiganiu i wbijaniu gwoździ, ale zajmę się zwierzętami i stanę na warcie.

– Chyba wdowy Joyner – szepcze mi Jefferson do ucha. Szturcham go łokciem.

– Olive, idź z Lee – mówi Becky do córki. – Później, jak już się nauczysz, pokażesz mi, jak plukać złoto.

Olive wyszła z namiotu. Choć ciągle zapłakana, stoi ze stoickim spokojem z rączkami splecionymi na fartuszk.

– Dobrze, ma.

– Nie bądź taka smutna – pociesza ją Jasper. – Będzie fajnie.

Gładzi ją po głowie. Olive odsuwa się szybko. Nie lubi tego, tak samo jak ja.

Przez chwilę wpatruję się w drzewa, między którymi zniknęła rodzina Hoffmanów, a potem chwytam szerokie, płaskie sito, wiaderko i kapelusz.

– No dobrze. Andy i Olive, chcecie przemoknąć do suchej nitki?

– Tak jest! – wrzeszczy Andy, a Olive przygląda mi się podejrzliwie.

– Mam szpadle – rzuca Jasper.

– No, to idziemy.

Gdybyśmy byli w Georgii i szukali złota w przesianych tamtejszych potokach, moglibyśmy harować przez cały ranek, a i tak skończyłoby się tylko na spalonych słońcem karkach, bąblach na rękach i przy odrobinie szczęścia, garstce złotego piasku. Tu, w Kalifornii, złotowidzenie nie milknie ani na moment, jakby ktoś cały czas pociągał za szkolny dzwonek. Słodka melodia w uszach nie cichnie.

Jasper uspokaja dzieci na tyle, że mogę się skupić. Wybieram doskonałe miejsce. Szeroki, płaski punkt w potoku, na tyle płytki, że Andy i Olive mogą tam pracować, cicho szumiący złotem.

Tak jak się spodziewałam, złota jest pod dostatkiem. Właściwie ograniczam się do wydawania instrukcji. Jasper nabiera szpadlami żwir i ciemny piasek i na zamianę z Olive płucze je na płaskim naczyniu, aż co cięższe kawałki opadną na dno. Olive nuci coś pod nosem, stary hymn religijny. To jej ulubiona pieśń, słyszałam, jak nuciła ją, pomagając matce.

– Wolniej – instruuje Olive. – Złoto musi opaść, widzisz?

– Gdzie? – dziwi się.

Chcę jedynie pokazać, ale wydaje się, że płatek złota unosi się z wody i przywiera do mojego palca, jakbym go przyzwalała. Przedziwne uczucie, jakbym ocierała się o błyskawicę.

– Zrobiłaś to celowo? – pyta Jasper.

– Niby po co? – dziwię się. – Podaj rękę. – Strzepuję złotą drobinę na jego dłoń. – Zbieraj wszystko, co znajdziecie. A teraz do roboty, oboje. Złoto się samo nie wypłucze.

Moi uczniowie spisują się znakomicie. Jasper ma doskonałe wyczucie, Olive doskonały wzrok, a Andy doskonale się bawi. Pluska się w potoku, płoszy ryby i krzyczy z radości, ilekroć jego siostra i doktorek oznajmiają, że coś znaleźli.

Jefferson i Hampton wędrują wzdłuż potoku w towarzystwie psów, wyznaczają działki dla wszystkich członków naszej ekipy i oczywiście proszą mnie o radę. Zostawiam więc Jaspера i Olive w wodzie, a sama razem z Andym biegnę wzdłuż potoku i wskazuję najbogatsze złoża. Wsłuchuję się nie tylko w śpiew złota leżącego tuż pod powierzchnią, ale też w niskie pomruki głębszych złóż. Wskazuję

Hamptonowi najbardziej obfite złoża – musi wykupić siebie i wolność całej swojej rodziny hen, na Południu.

Kończymy wyznaczać sznurkami działkę Hamptona, gdy czuję na sobie wzrok Jeffersona.

– Nie musisz patrzeć mi w oczy – mamroczę pod nosem. – Od razu wam mówię, kiedy wyczuwam złoto.

– Nie dlatego patrzę – odpowiada, a Hampton na darmo usiłuje powstrzymać uśmiezek.

Uciekam stamtąd, wracam do Jaspera, który ma garście pełne złotego drobiazgu. Nie wierzy własnym oczom.

– Kilka uncji – oceniam. – Nieźle jak na jeden ranek.

Wyciąga do mnie dłoń.

– Weź połowę. Zasłużyłaś.

– Wszystko jest twoje – odpowiadam. – Jefferson i Hampton ustalili, że ten odcinek to twoja część. Tam dalej jest działka Toma i Henry’ego, tuż obok, żebyście mogli pracować razem. Miałam cię wszystkiego uczyć, ale chyba już wiesz, o co w tym chodzi.

– Jesteś pewna?

– Jak tego, że masz mokro w butach.

Jasper śmieje się i przesypuje całe złoto w jedną dłoń, wybiera największą bryłkę i woła Olive.

– Proszę, współpracuj. Za ciężką pracę.

Dziewczynka bierze ją z przejęciem i trzyma delikatnie, jak krucho jajko kolibra.

– A moja? – domaga się Andy. – Ja też pomagałem.

– A tu twoje wynagrodzenie – oznajmia Jasper uroczyście, mruga do mnie porozumiewawczo i wręcza chłopcu małe okruszki.

Przez chwilę jestem tak szczęśliwa, jak nie byłam od czasów, zanim wuj Hiram zamordował moich rodziców i odebrał mi dawne życie. Czuję słońce na twarzy, w uszach mam słodki śpiew złota. Jestem wśród rodziny, najprawdziwszej rodziny, nieważne, co mówi prawo, i robię coś, na czym się znam.

– Zimno mi – mówi Olive.

– Więc wracamy do mamy. Musisz się przebrać – odpowiadam. Jasper zbiera narzędzia i gwizdże pod nosem, gdy idziemy w dół potoku. Kiedy zbliżamy się do obozowiska, Andy puszcza się biegiem.

– Ma! Znaleźliśmy złoto! – woła. Przemoczył sobie spodnie, prawa nogawka aż do kolana jest ubłocona.

Becky podrywa się od stołu, tego samego, który pokonał całą drogę aż od Chattanooga. Leży na nim obrus w biało-czerwoną kratę, starannie rozłożony. Pośrodku stoi wazonik pełen górskich kwiatów. Jakby Pan Bóg urządził pośrodku

puszczy przytulny zajazd.

A za stołem siedzi nieznajomy.

Odruchowo kładę dłoń na rękojeści rewolweru za paskiem. Mężczyzna siedzi naprzeciwko Becky i zajada przypalone podpłomyki, jakby to była manna z samego nieba. Okruszki nikną w niesfornej siwej brodzie. Becky tuli do piersi małą, zasłania się nią jak tarczą.

– Cicho, Andy – szepczę. – Ani słowa o złocie.

– Dobrze, Lee – odpowiada cichutko. Olive wsuwa dłoń w moją rękę. Szukam wzrokiem majora. Przecież miał stać na straży.

– Oto pan Tuggle – przedstawia Becky spokojnie, choć znam ją na tyle, że dostrzegam czujność w jej oczach i słyszę niepokój w głosie. – Zapłacił mi dwa dolary za talerz podpłomyków.

– Ale cóż to za pyszności, szanowna pani! – woła nieznajomy. – W życiu nie jadłem lepszych podpłomyków!

Wymieniamy z Olive porozumiewawcze spojrzenia. Brodacz jest albo głupi, albo kłamie, bo Becky Joyner to najgorsza kucharka na całutkim dzikim Zachodzie.

Wyciera usta jedną z haftowanych serwetek Becky, wstaje i wyciąga do mnie rękę.

– Mów mi: Stary Tug – proponuje. – Panno...

– Ja... – Już mam na końcu języka moje prawdziwe nazwisko, Westfall, ale wolę nikomu nie ułatwiać powiązania mnie z wujem. – Lee – odpowiadam. – Panna Lee.

Patrzy na moje spodnie i na włosy sięgające brody.

– Bardzo mi miło, panno Lee. Proszę mi wybaczyć, ale w tej dziczy nieczęsto trafia się towarzystwo pięknych pań. – Ma ogorzałą, pomarszczoną twarz, skóra złazi mu z nosa. Nieokiełznana broda niemal zakrywa usta i szczerbaty uśmiech mniej więcej połowy żółkłych zębów.

Już chcę się odciąć, że co jak co, ale piękna to ja nie jestem, kiedy wyczuwam obecność za plecami. Odwracam się i z ulgą dostrzegam Jaspiera.

– A to Jasper Clapp – przedstawiam go Tugowi. – Nasz doktor. Większość mężczyzn pracuje, ale pewnie zaraz się tu zjawia.

– Rozumiem. – Mam nadzieję, że naprawdę zrozumiał; nie jesteśmy tu same i bezradne.

– Dokąd zmierzasz, Tug? – pytam.

– Właściwie sam jeszcze nie wiem. Szukam obiecującej działki.

– Radzę wrócić do potoku i kawałek na wschód, a zobaczysz mnóstwo obiecujących terenów.

– Cóż, spodobał mi się akurat ten skrawek ziemi.

Spomiędzy drzew wyłania się major Craven. Opiera się na kuli i niesie naręczne talerzy. Zapewne mył je w strumieniu.

– Bardzo mi przykro, szanowny panie – odzywa się grzecznie – ale wszystkie działki w zasięgu wzroku już są zajęte.

Stary Tug marszczy czoło i mruży oczy.

– No coś takiego. – Nie ten głos słyszałam, gdy postrzelono Jeffersona, ale mógł przecież być jednym z tych, którzy bez słowa strzelali spomiędzy drzew.

Major stawia talerze przy palenisku.

– Dobrych sąsiadów nigdy za wiele. Chętnie pokażę kilka obiecujących miejsc, których jeszcze nikt nie zajął.

Przewiercam go wzorkiem. Czy on oszalał?

Becky zabiera talerz Starego Tuga.

– To prawda, szanowny panie – zapewnia ze słodkim uśmiechem. – Dobre towarzystwo zawsze jest mile widziane. Nie ma sensu rezygnować ze zdobycy cywilizacji tylko dlatego, że mieszkamy w dziczy.

Stary Tug wstaje. Dopiero teraz widzę dziurę na kolanie jego spodni.

– Święte słowa, szanowna pani. – Zakłada kapelusz na głowę. – Mogę jutro wrócić? Z przyjaciółmi?

Becky traci panowanie nad sobą. Zaciskam dłoń na rękojeści rewolweru.

– Chyba... chyba tak – mówi.

– A przyjmie pani złoty piasek zamiast pieniędzy? – upewnia się.

Becky otwiera szeroko oczy z wrażenia.

– W sensie sprowadzi mi pan więcej klientów?

– W tych okolicach nie brakuje dżentelmenów z kieszeniami pełnymi złota, którzy chętnie zapłacą za tak pyszne śniadanie – odpowiada.

Becky nie wierzy własnym uszom. Boże, miej w opiece wszystkich mężczyzn w promieniu tysiąca mil, bo nagle staje się najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałam.

– Ależ oczywiście, panie Tug. Niech pan sprowadza przyjaciół, zapraszam.

Tug zerka na majora.

– Możesz mi pan pokazać te wolne działki?

Craven uśmiecha się szeroko.

– Bardzo chętnie, szanowny panie. Bardzo chętnie.

– Idę z wami. – Jasper sięga po strzelbę i podchodzi do nich.

Z wdzięcznością kiwam głową. Nie zostawimy przyjaciela samego z tym indywiduum.

Jasper, major i Stary Tug odchodzą w stronę bobrowej tamy, a Becky mówi do mnie:

– Chyba gotuję lepiej, niż myślałam.

Mrugam szybko.

– Może to kwestia praktyki. – Podchodzę do stołu, jak dawniej setki razy, i nagle parskam śmiechem.

– Co jest? – dziwi się Becky.

– Chciałam pakować stół na wóz, ale sobie przypomniałam, że nie mamy już wozu.

Uśmiecha się.

– Becky, muszę cię o to zapytać. Dlaczego byłaś dla niego tak cholernie miła? Właściwie go do nas zaprosiłaś!

Bierze się pod boki i mierzy mnie surowym wzrokiem.

– A wiesz, co by było, gdybym go przegoniła? Nabralby podejrzeń, ot co. Domyśliłby się, że zajęliśmy najbardziej złotonośne miejsce w górach Sierra Nevada.

– Och.

– I albo odebrałby nam działki, albo zwęszył naszą prawdziwą tajemnicę.

Nasza prawdziwa tajemnica. Mam łzy w oczach.

– Och.

– I dlatego będziemy dla niego mili. Czy ci się to podoba, czy nie, tu, w Kalifornii, spotkamy mnóstwo ludzi. Z każdym dniem zjeżdżają nowi. Równie dobrze możemy zadbać o dobrosąsiedzkie stosunki.

Grzebię w ziemi czubkiem buta.

– Masz rację. Przepraszam.

– Wiesz, nie jestem taka głupia. Wieczorem wystawimy podwójną wartość. Tak na wszelki wypadek.

Jęczę na myśl o krótszym śnie, a Becky zarzuca sobie ścierkę na ramię na znak, że rozmowa skończona. Kuca przy Olive i Andym i wydaje okrzyki podziwu, gdy pokazują jej znalezione złoto.

Wszystko zrobione, więc biegnę nad strumień i widzę Jeffersona stojącego po kostki w lodowatej wodzie, w podkaszanych spodniach i koszuli, opartego o szpadel.

– Dobrze, że jesteś – mruczy. – Chciałem zapytać, czy to dobre miejsce.

Łypię na niego najgroźniej, jak potrafię.

– Jasper pozwolił ci już pracować? Miałeś wyznaczać działki, a nie kopać.

Kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu.

– Martwisz się o mnie, co?

– Szwy ci popękają i potem przez kolejne dwa tygodnie nie będzie z ciebie pożytku.

Wbija szpadel w brzeg, unosi łopatę błota i żwiru, wrzuca do sita.

– Działki wyznaczone. I jestem na tyle zdrowy, że mogę przekopać się stąd aż do Sacramento.

I naprawdę na to wygląda. Widzę napięte mięśnie na jego przedramionach, blask w czarnych oczach, skórę opaloną od słońca. Odnajduje mój wzrok i uśmiecha się szeroko, aż cała czuję się jakoś dziwnie.

Wyrywam mu szpadel.

– Jeśli taki jesteś zdrowy, nic ci się nie stanie, jeśli wepchnę cię do potoku.

Szybko jak błyskawica podchodzi do mnie, tak że niemal dotykam nosem zagłębienia u nasady jego szyi.

– Spróbuj tylko – szepcze. – Wyzywam cię.

– Ja... – Myślę tylko o jego ustach. – Kiedy tak bardzo wyrosłeś? – wybucham.

Dotyka dłonią mojego ucha, delikatnie przesuwa między kciukiem a palcem wskazującym kosmyk moich włosów.

– Odrastają – mówi. – Cieszę się. Zawsze miałaś piękne włosy.

Nie bardzo wiem, jak na to zareagować, więc zmieniam temat.

– Do obozu przyszedł nieznajomy – oznajmiam.

– Co? Kto? – Opuszcza rękę.

– Niejaki Tug. Zapłacił Becky dwa dolary za talerz podpłomyków.

– Biedak. – Jefferson odsuwa się, kuca, sięga po sito pełne żwiru.

Nagle jest mi zimno, otacza mnie pustka.

– Wziął mnie za chłopaka.

– Każdy, kto bierze cię za chłopaka, powinien nosić okulary – prychnę. Zanurza sito, pozwala, by zalała je woda. Błoto oddziela się od żwiru i odpływa.

– Może dlatego, że założyłam dzisiaj spodnie.

– Zwłaszcza w spodniach wyglądasz jak dziewczyna – odpowiada i na jego usta powraca ten mały uśmiezek, który znowu powoduje dziwne uczucie na całym moim ciele.

– W każdym razie powiedział, że jutro wróci na podpłomyki. Z przyjaciółmi. Becky sugeruje podwójną wartę w nocy. Na wypadek, gdyby zjawił się wcześniej.

– Świetny pomysł. – Ponownie zanurza sito pod wodą. – Weźmiemy wspólną wartę. Popatrzymy w gwiazdy. Jak za dawnych czasów.

I nagle, nie wiadomo jakim sposobem, wspólna warta już nie wydaje się taka zła.

– Jak za dawnych czasów – powtarzam.

Wyrzuca z sita co większe kamyki. Z cichym pluskiem wracają do strumyka.

– Powiedz mi, czarownico, znajdę złoto w tym sicie?

– Troszeczkę. Na tyle dużo, że ci się to opłaci.

Błyska zębami w tym szerokim uśmiechu, który chyba nigdy mi się nie znudzi.

– Właśnie to chciałem usłyszeć.

Kilka godzin później wracamy do obozowiska z sakiewką złotego piasku i drobnych bryłek, wartą co najmniej trzydzieści dolarów. Henry i Tom wykreślili spory prostokąt na szczycie wzgórza i zaczęli usuwać z niego krzewy i kamienie, którymi Becky obłożyła palenisko i zawiesiła nad nim kociołek. Hampton wbił

w ziemię słup, do którego można przywiązać konia, i zawzięcie wymachuje siekierą; sterta drwa na opał już sięga mu do połowy ud. Major Craven i mały Andy budują proste szałas z gałęzi sosnowych – i dobrze, bo deszcze dadzą się nam we znaki na długo przed tym, jak chata będzie gotowa.

Robi mi się ciepło na sercu i zarazem puchnę z dumy. Minął zaledwie jeden dzień, ale Gloria w Kalifornii już staje się stałym punktem na mapie. Domem.

Następnego ranka Stary Tug powraca z dwoma innymi, równie brudnymi i potarganymi jak on i równie zachwyconymi podpłomykami Becky – chrupkami z zewnątrz, niedopieczonymi w środku.

Mama dałaby mi po łapach drewnianą chochlą, gdybym przy stole zachowywała się jak oni. Wpychają sobie jedzenie do paszczy, jakby to był ich ostatni posiłek, nie zwracają uwagi na okruchy i kawałki masła w brodach. I cały czas wodzą wzrokiem między Becky a mną i czasami zerkają na małą Olive. Ich spojrzenia mnie niepokoją. Mają oczy wygłodniałych zwierząt, ale nie jedzenie zaprzęta im myśli.

Major Craven i Jefferson cały czas trzymają się w pobliżu, ze strzelbami na widoku i w zasięgu rąk.

Mężczyźni zostawiają Becky dwa dolary i kilka szczypt złotego piasku.

– Ktoś musi pojechać do Mormon Island – oznajmia radośnie, zbierając naczynia ze stołu. – Muszę mieć więcej mąki, soli i kawy. I jajka. I może jeszcze bekon? Skoro zapłacili dwa dolary za podpłomyki, pomyślcie, ile dadzą za jajka na bekonie!

A konkretnie za rzadkie jajka i przypalony bekon, ale nie mówię tego na głos.

– Jeszcze lepsza byłaby krowa i kury – paple radośnie. – Muszę się nauczyć hodować kury i... – Marszczy brwi, patrzy na mnie badawczo. – Lee? – Nagle traci pewność siebie. – Jak myślisz, Tom albo Henry nauczą mnie, jak się robi masło? Ubijali przepyszne masło, póki krowa Atena była z nami.

Uśmiecham się pod nosem. Dawniej, w Chattanooga, pani Rebekah Joyner była wielką damą i zapewne nie przepracowała w życiu ani jednego dnia, póki nie wyruszyła na Zachód.

– Jeśli nie oni, ja cię nauczę – obiecuję. – Podobnie jak innych rzeczy, które cię interesują. Uprzedzam jednak, nigdy nie przepadałam za gotowaniem. W tej dziedzinie major będzie lepszym nauczycielem. Ale powiem ci wszystko, co wiem o kurach i krowach.

Z jej twarzy znika uśmiech, kiedy na mnie patrzy. Nie, nie na mnie. Gdzieś za moimi plecami. Odwracam się z przerażeniem.

W naszą stronę idzie mężczyzna w kapeluszu nisko naciągniętym na oczy, z sakwą na ramieniu. Skądś znam tę posturę i przez chwilę obawiam się, że wuj mnie odnalazł, że to jeden z jego ludzi. Już sięgam po strzelbę, gdy Becky woła:

– Martin!

Przyglądam się uważniej. Rzeczywiście, to Martin Hoffman, zmęczony, brudny, wysoki i chudy jak sosna. Tak samo wyglądała jego siostra Therese, gdy wędrowała przez pustynię, by ratować najbliższych. Tak samo się zataczała, tak samo dumnie unosiła głowę, to samo słońce paliło jej ramiona. Biegnę do niego.

– Martin! Wszystko w porządku? Twoja rodzina...

Podnosi głowę i uśmiecha się szeroko.

Słyszę za sobą kroki Jeffersona.

– Martin?

– Pozwolili mi wrócić – odpowiada.

– Ale z nimi wszystko w porządku? – upewniam się.

– Z tego, co wiem, tak. Rozstaliśmy się.

Becky, major i mały Andy dołączają do nas.

– Twoja biedna mama pewnie umiera ze strachu! – woła Becky.

Martin prostuje się dumnie.

– Mam prawie piętnaście lat. Powiedziała, że jestem już mężczyzną i nie może mnie powstrzymywać, jeśli chcę szukać szczęścia tutaj, w Kalifornii. – Dotyka nowiutkiego colta w skórzanej kaburze na biodrach. – Vater dał mi broń, pod warunkiem że jeśli w ciągu roku niczego nie osiągnę, wrócę do domu, do Ohio.

Major opiera się na kuli, a drugą ręką klepie chłopaka po plecach.

– Synu, bardzo się cieszymy, że do nas wróciłeś.

Jefferson zaraz pęknie z radości. Uświadamiam sobie, że zapewne podczas naszej podróży bardzo się zaprzyjaźnili, a ja tego nie widziałam, bo za wszelką cenę starałam się nie dostrzegać, jak bardzo Jefferson lubił też siostrę Martina, Therese.

– Zmieścisz się pod moim daszkiem – zapewnia Jefferson. – Pomożesz mi zrobić z niego szałas. Pokażę ci później moją działkę, żebyś zajął odcinek...

– Daj dzieciakowi odpocząć – wtrąca się surowo Becky. – Chodź, Martin. Zaparzę ci kawy i usmażę podplomyki. Później wszystko opowiesz.

Andy podbiega do niego i obejmuje go za nogi. Martin pochyla się, bierze go na ręce, a Andy ukrywa twarz na jego szyi, żebyśmy nie widzieli jego łez radości. Wszyscy patrzą na Martina i dlatego nikt nie widzi, że i ja płaczę. Moja rodzina znowu jest w komplecie.

Rozdział 4

Przez następny tydzień wszyscy mamy pełne ręce roboty – zakładamy obóz. Hampton wytycza pastwisko i wbija słupki pod ogrodzenie; dawniej, zanim uciekł i do nas dołączył po śmierci swojego pana, był pasterzem. Major i Jefferson kopią fundamenty i ścinają drzewa na chatę z bali. Studenci – Tom, Henry i Jasper – jadą po zapasy dla Becky, wyposażeni w najpiękniej wykaligrafowaną listę zakupów, jaką w życiu widziałam.

Andy i Olive szukają złota w potoku w towarzystwie rozbrykanych psów, a Martin czuwa nad nimi, jeśli akurat nie poluje.

Ja całym dniami obchodzę nasze działki, używam złotowidzenia, by wykryć najłatwiej dostępne pokłady kruszcu. To, co znajdę, należy do właściciela danej działki. Taką przyjęłam zasadę i twardo się jej trzymam. Pod koniec tygodnia każdy jest bogatszy o co najmniej sto dolarów. Poza Becky. Oprócz złota z ziemi, zgarnia je też od klientów i za swoje niejadalne śniadania dostała od górników siedemdziesiąt pięć dolarów.

Kiedy co rano zjawia się już pięciu głodomorów, major podejmuje się zrobić więcej mebli. Nie mamy narzędzi do heblowania desek, a najbliższy tartak jest o ponad dzień jazdy, więc po prostu przepoławia kilka pni, układa równą stronę do góry i tak zbija prosty stół i krzesła.

Siódmego dnia po powrocie Martina Stary Tug dojada śniadanie, rozciera resztki na brodzie jedną z serwetek Becky, wstaje, poprawia na sobie szelki. Siedzę na drewnianej ławie, poleruję siodło Peonii, gdy widzę, że Tug zmierza w moją stronę. Ścisną kapelusz w dłoni i uśmiecha się jak małe dziecko na Boże Narodzenie.

Stracił sporo zębów, jeden jednak dumnie sterczy jak wartownik w dolnej szczęce. Gdyby tatko żył, byłby mniej więcej jego rówieśnikiem, ale Tug od wielu tygodni nie prał koszuli ani spodni. Włosy przyklepał tłuszczem, ale broda sterczy na wszystkie strony, jak krzaki przyprószone popiołem. Jego oddech cuchnie kawą Becky i nieszorowanymi zębami.

– Coś znalazłem – mówi z błyskiem w oku.

– Coś takiego.

Sięga do kieszeni, ja jednak już wiem, czego szuka – bryłki złota wielkości dojrzałej truskawki. Jej bliskość sprawia, że skóra mnie swędzi.

– Popatrz tylko – mówi. – Wczoraj znalazłem. A to dopiero początek. Znajdę takich jeszcze całe mnóstwo.

– Moje gratulacje, Tug – mówię i silę się na zaskoczenie. – Bardzo się cieszę, naprawdę. A też przepraszam bardzo, ale muszę zająć się koniem. –

Ostatnio poświęcam Peonii zdecydowanie za mało uwagi i chcę zabrać ją na przejażdżkę, a potem wyczesać porządnie jak nigdy.

Wstaję, zarzucam sobie siodło na ramię i już mam odejść, gdy Tug blokuje mi drogę.

– Najpierw chcę z tobą porozmawiać – mówi.

Cofam się o krok.

– Jasne, Tug. O co chodzi?

– No wiesz, teraz, gdy już mam własną działkę i w ogóle, pomyślałem sobie, że dam ci tę bryłkę zamiast pierścionka, czy jak to się tam robi. I się hajtniemy.

Mrugam nerwowo, gdy dociera do mnie znaczenie jego słów.

– Tug, czy to...

– Tak, to są oświadczyńy – potwierdza, szczerząc w uśmiechu nieco wybrakowane uzębienie. – Jestem idealnym kawalerem, najlepszym w promieniu wielu mil, a ty najlepszą wolną panną. Logiczne, że się hajtamy.

– O nie, szanowny panie, logiki nie ma w tym za grosz.

– Ależ oczywiście, że jest. – Śmieje się jakoś tak wrednie. – Pomyśl tylko, jak moi chłopcy pozielenieją z zazdrości, że tylko ja załatwiłem sobie żonkę, i do tego taką młodziutką!

Myślę o butach tatki, ciągle na mnie za dużych, które uparcie noszę. A myślę konkretnie o ich metalowych okuciach i tym, jak bardzo mogą zranić.

Zadzieram głowę i patrzę mu w oczy.

– Nie.

Rozbawienie ustępuje złości.

– Co ja ci niby takiego zrobiłem?

Podnosi głos i pozostali klienci Becky wiercą się niespokojnie i zerkają w naszą stronę.

– Nic – zapewniam pospiesznie. – Ale ja nie chcę wychodzić za mąż ani za ciebie, ani za nikogo innego.

– To wbrew naturze!

– A gdzie tam. – Jakim cudem ludzie tego nie widzą? Kobieta zameżna to kobieta pozbawiona wszelkich praw. Wszystko, co ma, co zdobyła, należy do jej męża, zwłaszcza jeśli spełnią się przepowiednie Toma co do przyłączenia Kalifornii do Unii.

– Chyba nie chodzi o tego Indiańca, co?

– Słucham? – Mój głos jest teraz lodowaty, jak stal hartowana w górskim strumieniu.

– Wszyscy widzimy, jak się za tobą ugania, a ty opędzasz się od niego jak suka od psa. Wykombinowałem sobie, że czekasz na porządnego białego, starszego i bardziej szanowanego.

Dramatyzuje, żeby podkreślić swoją rację. Mimo tego rozglądam się

ukradkiem. Z jednej strony mam nadzieję, że Jefferson tego nie słyszy, z drugiej – liczę, że tak właśnie jest, bo czułabym się o wiele pewniej, gdyby był w zasięgu mojego wzorku. Ale chyba już wyruszył po złoto.

– Powtórzę, Tug: moja odpowiedź brzmi nie i na tym zakończmy tę rozmowę. – Zaledwie centymetry dzielą moją dłoń od rękojeści rewolweru. Kiedy już będzie po wszystkim, muszę poćwiczyć wyciąganie pistoletu, będę trenować dzień w dzień.

Tug spluwa na ziemię.

– Co z tobą nie tak, do diabła? Taka brzydula, taka chłopczyca nie ma co liczyć na kogoś lepszego ode mnie.

Teraz już wszyscy na nas patrzą. Niektórzy przy stole Becky chichoczą jak uczennice na przerwie. Major Craven chwytą kulę i kuśtyka w naszą stronę. Martin kładzie dłoń na rękojeści colta.

Podbudowana wsparciem przyjaciół już mam na końcu języka kąśliwą uwagę na temat jego brakujących zębów i niechlujnej brody, ale w ostatniej chwili przypominam sobie ciepłe słowa Becky i majora, gdy przyszedł do nas po raz pierwszy, i zamiast octem, traktuję go miodem:

– Przystojny z pana kawaler, panie Tug – mówię ze śmiertelną powagą. – Każda kobieta byłaby dumna, mając pana za męża. Ale widzi pan, w domu, w Georgii, czeka na mnie narzeczony.

– Cóż, ale tu go nie ma.

– Chcę dochować mu wierności.

Stary Tug mruży oczy, jakby węszył podstęp.

– No, dobra – przyznaje po chwili. – Chyba słusznie postępujesz.

Martin się rozluźnia.

Uśmiecham się z trudem.

– Ale bardzo dziękuję za propozycję. Mam nadzieję, że jutro rano spotkamy się na śniadaniu.

– To na pewno, kochaniutka. To na pewno. – Zakłada kapelusz na głowę i odchodzi, jak gdyby nigdy nic.

Głośno wypuszczam powietrze z płuc. Nie wiem sama, czemu ta rozmowa tak podziałała mi na nerwy, ale byłam bardzo spięta i nie uśmiecha mi się ponowne spotkanie jutrzejszego ranka.

– To nieprawda, Leah – mówi Olive nieoczekiwanie. Drgam nerwowo.

– Nie słyszałam, kiedy do mnie podeszłaś.

– Wcale nie jesteś brzydka i zasługujesz na kogoś o wiele lepszego.

Parskam śmiechem.

– Wielkie dzięki, Olive, ale nie bardzo się przejmuję, co o mnie sądzi taki nicpoń i kozi syn.

– Wiedziałam, że tobie też się oświadczy, kiedy tylko ma go odrzuciła.

Mało brakowało, a upuściłabym siodło.

– Oświadczył się Becky?

Olive wzrusza ramionami.

– Przecież ma nie wyjdzie za pierwszego lepszego starego dziada.

– I tak mu powiedziała?

– Nie. Była dla niego bardzo miła. Powiedziała, że nadal kocha pa, choć on już nie żyje, na co Stary Tug stwierdził, że i tak oświadczał jej się tylko na próbę, bo tak naprawdę chodzi mu o ciebie.

Łypię gniewnie na Becky, która właśnie nakłada jakiemuś nieszczęśnikowi dokładkę owsianki z grudkami.

– Mogła mnie uprzedzić – mamroczę pod nosem. W drodze do Kalifornii ktoś jeszcze oświadczył mi się pod czujnym okiem Becky. Niejaki wielebny Lowrey. Wtedy też mnie nie uprzedziła.

– Chociaż to też nieprawda – zauważa Olive.

– Co znowu?

– Ma wcale nie kochała pa.

Kładę siodło na pniu i kucam przy niej.

– Skarbie, skąd ten pomysł?

– Bo teraz jest szczęśliwa.

Becky Joyner nigdy nawet słowem nie wspomina zmarłego męża i nie mam zielonego pojęcia, co do niego czuła. Ale co do jednego Olive ma rację: teraz Becky jest szczęśliwsza niż dawniej. Jest wolna. Wolna od mężczyzny, który kontrolował ją pod każdym względem, który był panem wszystkiego, czego się dotknęła. Wolna, a zatem zdolna podejmować własne decyzje, co do zajęć, dzieci, co do życia.

Całuję Olive w czoło.

– Myślę, że jednak kochała waszego pa, chociaż zgodzę się, że teraz jest szczęśliwsza. Olive, ważne, żebyś to zrozumiała; nawet jeśli stracimy ukochaną osobę, mamy ciągle szansę na szczęście.

Bródka jej drży, ale nie płacze.

– Dobrze, Lee.

– Wybierzesz się na przejażdżkę ze mną i Peonią?

– Tak!

Razem zmierzamy do prowizorycznej zagrody, którą buduje Hampton. Dumam o tym, co powiedziałam, i czuję, że to prawda. Straciłam rodziców przez tego węża, wuja Hiram. Brakuje mi ich każdego dnia. Ale zarazem znalazłam szczęście, to jasne jak słońce.

Trochę mnie to przeraża, bo oznacza, że znowu mam coś do stracenia.

Porządnie wycesałam Peonię i wracam ze zgrzeblęm do obozu, gdy nagle słyszę zgrzyt kół. Przyspieszam kroku, pokonuję zakręt i widzę studentów, którzy

właśnie wrócili z wyprawy po zapasy. Wyruszyli konno, z sakwami, wrócili – prowadząc wóz zaprzężony w konia pociągowego. Wóz pełen dóbr.

Puszczam się biegiem, żeby im pomóc w rozpakowaniu, ale zwalniam, widząc grupę ludzi za wozem. To w większości niscy mężczyźni, o lśniących czarnych włosach splecionych w warkocz spływający na plecy. Każdy z nich dźwiga mniej więcej tyle zapasów, co muł. Mają na sobie proste, luźne ubrania i klapki na stopach. Tylko jeden nosi jedwab i szeroki płaski kapelusz. Nie dźwiga ciężarów, niesie tylko kostur. Pozdrawia studentów ruchem ręki. Odpowiadają tym samym. Nieznajomi mijają nasze obozowisko i zacierają w stronę gór.

– To Indianie? – pytam. – Maidu, o których słyszeliśmy?

– Nie, to chińscy robotnicy – odpowiada Tom.

Wbijam wzrok w ich plecy, gdy znikają za przełęczą. Nigdy w życiu nie widziałam Chińczyka, w każdym razie nie w rzeczywistości. Annabelle Smith u nas w domu przechwalała się, że spotkała ich w Savannah, ja jednak znałam ich tylko z litografii i szkiców z gazet.

– To grupa kulisów – tłumaczy Tom. Gniewnie marszczy brwi. – Niewiele to lepsze niż niewolnictwo.

– Rozmawialiście z nimi?

– Z dowódcą – uściśla Jasper. – Nazywa się Henry Lee.

– Naprawdę?

– Może nie naprawdę – przyznaje. – Ale uczyli go brytyjscy misjonarze w Kantonie. Mówi świetnie po angielsku – i to z brytyjskim akcentem!

– Naprawdę nieźle go wykształcili – dodaje Henry, zdejmując z wozu worek owsa. – Zna nawet wiersze Williama Wordswortha.

– Coś takiego. – Nie mam pojęcia, co to za William Wordsworth. – Czyli to niewolnicy?

– Nie przywódca – zaznacza Jasper. – Ale to on decyduje, dokąd wysłać pozostałych. Szuka dużej kopalni albo rancza, żeby właściciel zatrudnił wszystkich naraz. On będzie odbierał wynagrodzenie i prawdopodobnie znaczną jego część wysyłał z powrotem do Chin. Na Mormon Island widzieliśmy sporo takich grup. W Kalifornii są już setki Chińczyków, a kolejni do nas płyną.

– Kontrakty kulisów wkrótce się skończą – wieszczy Tom. – Zapamiętajcie sobie moje słowa. W Kalifornii nie będzie niewolnictwa ani dla Murzynów, ani dla Chińczyków.

– Będą obywatelami amerykańskimi? Tak jak Meksykanie?

Zanim zdąży odpowiedzieć, Andy i Olive ciągną nas za ręce i choć jest ich tylko dwoje, mamy wrażenie, że otoczyła nas gromadka dzieci.

– Kurczaki! – woła Olive.

– Pokażcie kurczaki! – piszczy Andy i ciągnie Jaspiera w kierunku drewnianej skrzynki z wywierconymi dziurami.

– To maleństwa – zaznacza Jasper. – Nie chcieliśmy dorosłych kur, póki nie zbudujemy im kurnika z prawdziwego zdarzenia.

– Nie udało nam się znaleźć mlecznej krowy – mówi Tom do Becky, która przybiegła za dziećmi. – Wygląda na to, że jest na nie duży popyt. Ale mamy dla ciebie coś innego. Prezent.

– Tak? – Becky ciekawie zagląda na wóz.

Major zarzuca sobie na ramię worek mąki kukurydzianej, Jasper odsuwa beczułkę fasoli i naszym oczom ukazuje się nowiutki żeliwny piecyk, czarny, na wygiętych nóżkach. Obok leży rura.

Becky głośno nabiera tchu.

– Ułatwi gotowanie, co? – Jasper uśmiecha się szeroko. – A zimą ogrzeje chatę.

– Ale... Ile jestem wam winna? – pyta, ciągle w szoku.

– Ani centa – odpowiada Tom. – To prezent. Zapłaciliśmy złotem, które Lee nam znalazła. Spłukaliśmy się do reszty i jesteśmy biedni jak myszy kościelne, ale znajdziemy nowe, prawda?

Złoto trudno przychodzi, łatwo odchodzi, mawiała zawsze mama. Ilekroć uważała, że stajemy się z tatkiem zbyt chciwi, przypominała nam, że w Georgii zdarzało się, że ci, którzy znaleźli najwięcej złota, wychodzili na tym najgorzej.

– No tak, ale im nie pomagała mała czarownica – zauważałam wtedy, a mama robiła się wściekła. Nie znosiła słowa: czary.

– Tak się składa – ciągnę – że kiedy was nie było, cały czas dorzucałam coś do waszych worków po mące. Więc nie, nie jesteście biedni jak myszy kościelne. Zdecydowanie nie.

– A ja pomagałem! – piszczy Andy.

– Ja też – zapewnia Olive.

Tom sięga do kieszeni i wyjmuje dwa białe cukierki. W powietrzu rozchodzi się zapach mięty. Podaje je maluchom ze słowami:

– Za ciężką pracę.

Dziękują mu głośno i z przejęciem.

– Dla ciebie też coś mamy, Lee. – Henry patrzy teraz na mnie.

– Nie trzeba było... – Słowa stają mi w gardle, gdy wyjmuje wielki pakunek w brązowym papierze, przewiązany sznurkiem. Podaje mi go.

– Zobacz!

Jefferson zagląda mi przez ramię, gdy czubkiem noża przecinam sznurek, rozsuwam brązowy papier i moim oczom ukazuje się cudowna zielona tkanina. Wyjmuję materiał z pakunku.

To sukienka. Najprawdziwsza na świecie sukienka, z piękną brązową lamówką, białym kołnierzem i najobszerniejszą spódnicą, jaką w życiu widziałam.

Zauważając moje milczenie, Tom spieszy z wyjaśnieniami:

– To nie znaczy, że masz przestać nosić spodnie. Absolutnie nie. Po prostu przypomniało się nam, jak kiedyś powiedziałaś, że najbardziej tęsknisz za sukienkami i że chciałabyś mieć chociaż jedną na wyjątkowe okazje.

– Musieliśmy strzelać, jeśli chodzi o rozmiar – dodaje Henry. – Uznałem, że w tym kolorze będzie ci do twarzy!

– Chyba jest trochę za duża – wtrąca się Jasper. – Ale ekspedientka zapewniała nas, że sukienkę łatwiej zmniejszyć niż poszerzyć.

– Jakby co, nieźle szyję – pochwalił się Henry. – Mogę ci pomóc. – Dosłownie promienieje, tak bardzo go cieszy, że przywiózł mi taki piękny prezent.

Z trudem przełykam ślinę. Mrugam nerwowo.

– Śliczna – szepczę, dotykając materiału. – Od dawna nie widziałam czegoś równie pięknego.

Tom i Jasper oddychają z ulgą.

– Jeśli ci się nie podoba, mamy jeszcze jedną. – Henry sięga do torby. – Dla ciebie chyba nieodpowiednia, ale...

Wyjmuje lawendową suknię, rozkłada i przyciska do piersi.

– Taka wielka, że nawet ty się zmieścisz – mówię. – Nie, moja jest idealna. Doskonała.

Henry z uśmiechem składa lawendową szatę.

– Dwie suknie – dumam na głos. Moim zdaniem to już przesada.

– Krawcowa zaproponowała nam niezłą zniżkę – tłumaczy Henry. – Wygląda na to, że w tej chwili w Kalifornii jest więcej sukni niż kobiet, bo tkaninę łatwiej przewieźć niż żywą istotę, zwłaszcza taką średnio chętną. Ale może z czasem przehandlujemy ją za coś innego.

– Rozładujmy wóz – mówi Jefferson z dziwną miną, jakby usiłował coś zrozumieć.

– Musimy znaleźć suche miejsce na amunicję – rzuca major Craven. – I zbudować kurnik, zanim maleństwa urosną.

– A ja muszę się nauczyć obsługiwać taki piec – mówi Becky.

Wbijamy w nią wzrok. Nietrudno zapomnieć, że zanim wyruszyła do Kalifornii, w życiu nie zajmowała się pracą, a i w konwoju gotowała tylko na otwartym ogniu. Wzrusza ramionami.

– W Chattanooga piec obsługiwała Sookey, moja niewolnica.

Nie panuję nad śmiechem. Nie do wiary, że dorosła kobieta jest aż tak bezradna.

Hampton za to ponuro marszczy brwi.

– Nie licz, że ja ci pomogę.

– Ja... Nie, skądże – mamrocze Becky.

Major podchodzi bliżej, bawiąc się brodą.

– Cóż, z niejednego pieca chleb jadłem – zaczyna. – I tak sobie myślę, że

we dwójkę coś tu wykombinujemy. Jeśli oczywiście nie będę pani przeszkadzał.

– Pięknie panu dziękuję. – Uśmiecha się promiennie.

Wszyscy razem rozpakowują zapasy i starają się znaleźć miejsce na wszystko. Większość zapasów trafia pod szalasy, część ładuje także w sakwach przy siodłach. Beczułki i worki z żywnością zostają na wozie, który ustawiamy pod wielkim dębem i przykrywamy plandeką.

Jefferson jako jedyny pracuje z ponurą miną. Jest tak naburmuszony, porusza się tak szybko, gwałtownie, że w końcu podchodzę do niego i pytam:

– Co jest, Jeff?

– Widzisz to wszystko? – Zatacza łuk ręką. – Wygląda na to, że już jesteśmy bogaci, a przyjechaliśmy tu zaledwie kilka tygodni temu.

Nagle rozumiem.

– Och.

– Ludzie zaczną gadać, to jasne jak słońce. Rozejdą się plotki o tym, jak dobrze powodzi się osadnikom z Glorii w Kalifornii. Wszyscy usłyszą o nietypowej grupce, wśród której są kobiety, dzieci, wolny Murzyn i Metys. A kiedy te plotki się rozejdą...

– Mój wuj będzie wiedział, gdzie mnie znaleźć.

– No właśnie. O ile nas przedtem nie napadną i nie obrabują. – Kiwa głową ponuro.

Spoglądam na wóz. Major Craven pomaga sobie kulą, przesuwa nią kamienie, szykując miejsca na nowe palenisko. Pusta nogawka kołysze się przy każdym ruchu. Cud, że w ogóle utrzymuje równowagę.

– Z jedną nogą robię więcej niż większość mężczyzn z dwiema – powtarza zawsze.

– Majora też nietrudno rozpoznać z opisu – przyznaję. – Nie zniósłabym, gdyby przeze mnie coś się komuś stało.

– Nie zniósłbym, gdyby coś się stało tobie – mówi i nagle czuję na sobie gorące spojrzenie jego ciemnych oczu. Przez chwilę stoimy w milczeniu, wpatrzeni w siebie. Nigdy w życiu nie widziałam równie pięknie wyrzeźbionej twarzy, tak wyrazistych kości policzkowych, poważnego wzroku i szerokich ust, na których zawsze czai się lekki uśmiech, a to wszystko otoczone gęstymi, lśniąco-czarnymi włosami, w których każda dziewczyna chce zanurzyć palce.

Z trudem przełykam ślinę.

– Więc co zrobimy?

– Porozmawiamy o tym przy kolacji. Ze wszystkimi.

Siedzimy przy ognisku, nie tak wielkim i jasnym jak zazwyczaj, bo major i Becky rozpalili piecyk, który grzeje bardziej niż otwarte płomienie. Ugotowali też cały kociołek gulaszu z królika, którego upolował Martin. Potrawka jest co prawda nieco wodnista, ale i tak pyszna, bo pełna świeżej cebuli, rzepy, ziemniaków

i marchwi, którą przywieźli studenci.

U mego boku Jasper pokazuje Olive, jak zszyć niewyprawioną skórę królika.

– Skóra królika jest cieńsza i delikatniejsza niż ludzka – mówi. – Więc kiedy to opanujesz, przejdziemy do czegoś innego, jelenia albo może dzika.

Naprzeciwko mnie Jefferson czyści strzelbę, ale co chwila zerka na mnie ukradkiem. Udaję, że niczego nie zauważam.

Wszyscy z apetytem zajadają gulasz, rozkoszując się spokojem i ciszą po całym dniu pracy.

W końcu, gdy Becky zbiera talerze, chrząkam głośno.

– Dzisiaj wieczorem powinniśmy wystawić podwójną wartę – mówię.

– Nie tylko dzisiaj – dodaje Jefferson.

– Dobry pomysł. – Major kołysze małą Joyner na kolanie. – Jedna osoba przy szalaszach i wozie, druga przy zagrodzie.

– Nadal obawiacie się tamtych? – pyta Becky. – Teraz mamy wspaniałych sąsiadów. Cóż, może nie wspaniałych, ale porządnych.

– Ludzie i tak zaczną gadać – odpowiadam. – Kiedy zobaczą nasz piecyk, kurczaki, wóz pełen towarów, skojarzą, że dobrze się nam powodzi. Aż za dobrze.

– Jestem już duży – oznajmia Andy ze śmiertelną powagą. – Ja też mogę stać na straży.

– Powinniśmy ukryć wszystko, co się da. – Henry Meek w zadumie skubie wątlą brodę.

– Nie musimy się przynajmniej obawiać, że Indianie nas okradną – zauważa Becky. – Od Mormon Island nie widzieliśmy ani jednego.

Jefferson łypie na nią groźnie. Nie dziwię się wcale, że jest zły. Wszyscy udają, że jest biały, zapominają o części jego dziedzictwa. Poza tym Becky nie powinna z góry zakładać kłopotów, bo w kontaktach z Indianami nie mieliśmy do tej pory żadnych przykrości. Chyba czasami trudno się pozbyć utrwalonych uprzedzeń, nawet jeśli zdrowy rozsądek podpowiada, że jest zupełnie inaczej.

– Miejmy nadzieję, że fakt, iż do tej pory nie spotkaliśmy Indian, oznacza, że nie naruszamy granic ich terytorium – mruczy Jeff.

– Nie mają żadnego terytorium – odpowiada Becky.

Jefferson zaciska usta, zaraz jednak otwiera je, żeby odpowiedzieć, ale uprzedza go Hampton:

– Ja tam ich widziałem. Czasami obserwują mnie stamtąd, z tamtego dębowego zagajnika, kiedy oporządzam woły i konie. – Słyszac, jak Becky głośno nabiera powietrza, zapewnia szybko: – Są niegroźni. Chyba ich intrygujemy.

– To wędrowcy – mówi Becky. – Dzisiaj tu, jutro tam.

– Twierdzenie, że to wędrowcy, to idealne usprawiedliwienie dla faktu, że zajmujemy ich ziemię – odpowiada Jeff.

Becky chce zaprotestować, a wtedy do rozmowy włącza się Henry:

- Pewnie tak samo jak ja nie chcę kłopotów.
- Chciałem z nimi porozmawiać, ale kiedy do nich podszedłem, uciekli. Zostawili przepiękne kosze pełne żołądzi. – Ucieka wzorkiem w dal. – W życiu nie widziałem równie pięknych plecionek.
- I co z nimi zrobiłeś? – pytam.
- Z koszami? Zostawiłem w zagajniku. Przecież to nie moje. To cudza praca i cudzy posiłek.
- Miło z twojej strony – rzuca Jefferson.
- Następnego dnia już ich nie było – dodaje Hampton. – Chyba naprawdę nie mamy się czego obawiać z ich strony, to chciałem powiedzieć.
- Co nie oznacza, że nie musimy się obawiać innych zagrożeń – zauważam.
- Jak na razie, strzelali do nas chrześcijanie tacy jak my. Jak ci, którzy zranili Jeffersona.
- Wykopię piwniczkę pod chatą – deklaruje Martin. – Choćby miało mi to zająć cały dzień. Ukryjemy w niej zapasy.
- Daruj sobie – odpowiada major. – Ziemia jest za twarda, to same skały i łupki.
- Trochę dalej w górę potoku jest kawałek miękkiej murawy – zapewnia Tom. – Za wodospadem, z dala od ludzkich oczu.
- Wykopimy ziemiankę z Jeffem – decyduje Martin. – Ukryjemy tam suche towary, takie, których nie lubią gryzonie. – Jeff w milczeniu kiwa głową.
- Skoro o gryzoniach mowa – zauważa Tom. – Przydałby się nam kot czy dwa.

Olive podnosi główkę znad ćwiczonych szwów.

- Ja się kotkiem zajmę. Będę go karmić i pieścić i wtedy na pewno zechce z nami zostać.

Tom kiwa z powagą głową.

- Na pewno spiszesz się doskonale. Zapewne aż do wiosny nie ma szans na kocięta, ale będę miał oczy i uszy otwarte.
- Od jutra będę ćwiczyć strzelanie z rewolweru – decyduję. – Więc nie panikujcie, kiedy usłyszycie strzały.
- Będę ci towarzyszył – proponuje Jefferson.
- Ja też – Martin i Jasper odzywają się jednocześnie.
- Nie znoszę broni palnej – mamrocze Henry.

Major opiera się na kuli i wstaje.

- Gdyby któryś z klientów pani Joyner pytał, skąd mamy tyle rzeczy, odpowiemy, że dostaliśmy je w zamian za to, co przywieźliśmy ze wschodu. Nie ma sensu zdradzać, ile złota udało nam się znaleźć.

Wymieniamy znaczące spojrzenia nad ogniskiem. To kłamstwo i grzech, ale

nikt nie protestuje.

– Rodzinne klejnoty – mówi Becky cicho. – Powiemy, że przywiozłam ze sobą rodzinną biżuterię, z plantacji ojca w Tennessee, i sprzedaliśmy ją w Sacramento.

– Aleś pani łaskawa! – rzuca major żartobliwie.

Becky odpowiada uśmiechem. Ostatnio coraz częściej właśnie tak reaguje na słowa majora.

Przypomina mi się Jefferson. Patrzę na niego przez płomienie i widzę, że się we mnie wpatruje. Znowu.

– Bierzemy z Lee pierwszą wartę – mówi stanowczo.

– Mam oczy szeroko otwarte – mamroczę pod nosem, choć sama już nie wiem, skąd nadejdzie niebezpieczeństwo.

Rozdział 5

Nie dalej jak tydzień po opuszczeniu Independence zdaliśmy sobie sprawę, że warty nie miały większego sensu. Nawet na płaskiej prerii zbyt wiele było pagórków, wąwozów, za dużo bydła, wozów i namiotów, żeby mieć wszystko na oku, zwłaszcza po ciemku. Major, który tak naprawdę dochrapał się jedynie stopnia sierżanta w oddziałach stanowych w Missouri, wołał, żebyśmy obchodzili obóz, żeby potencjalny napastnik czuł niepokój i nie wiedział, gdzie akurat jesteśmy. Kiedy major odniósł rany podczas szarży bizonów, na czele konwoju stanął Frank Dilley. To wredny człowiek, ale dobry dowódca i przewodnik i utrzymał zwyczaj conocnych obchodów.

Tak więc wędrujemy z Jeffersonem wokół obozowiska, w ciemności, ze strzelbami w dłoniach, zapięci pod szyję dla ochrony przed nocnym chłodem. Księżyc odbija się w pomarszczonej powierzchni stawu. Jesteśmy bliżej brzegu i nagle rozlega się głośny plusk. Chwytny za broń, ale zaraz śmiejemy się jednocześnie. To tylko bóbr, ostrzegający pobratymców o naszym przybyciu.

Idziemy w milczeniu. Dawniej w obecności Jeffersona czułam się bardzo swobodnie. Przypominają mi się jego żalose oświadczyń, dawno temu, gdy po raz pierwszy pomyśleliśmy o wyprawie na zachód. Myślałam, że oświadczył mi się tylko dlatego, że razem byłoby nam łatwiej w drodze. Nie wiedziałam wtedy, że mu na mnie zależy.

Teraz wszystko jest inaczej. Teraz w jego obecności czuję się jak dawniej i jednocześnie wcale nie. Jakbym nosiła nowiutkie buty z tego samego kopyta. Wypolerowane, może nawet ładniejsze, ale jednak nie tak wygodne, póki się ich nie rozchodzi.

– Słyszałem co nieco o Starym Tugu – zaczyna.

– Stary dureń – odpowiadam.

– Lubisz go?

– Niespecjalnie.

– To dobrze.

Nie wiadomo dlaczego, radość w jego głosie sprawia mi przyjemność.

– Tak naprawdę wcale nie chciał się ze mną żenić. Powiedział, że jestem brzydka i wyglądam jak chłopak. Po prostu chciał, żeby przyjaciele zazdrościli mu, że w ogóle ma żonę.

– Nie jesteś brzydka.

Uśmiecham się w ciemności.

– Ani nie wyglądasz jak chłopak – dodaje.

– Nie powiedziałam tego, żebyś prawil mi komplementy.

Idziemy dalej, omijamy szerokim łukiem szalasy, żeby nikogo nie obudzić. Gdzieś w oddali rży jeden z naszych koni. Chyba Kara, tak mi się wydaje, cierpiąca jak zwykle.

– Olive mówi, że w ogóle nie chcesz wychodzić za męża.

– Ta mała powinna pilnować własnego nosa.

– Ale to prawda?

Milczę przez chwilę. Sama nie wiem, co mu powiedzieć.

– Lee?

– Nie wiem – odpowiadam szczerze.

– Jak to? Co takiego złego jest w małżeństwie?

Doszliśmy do zagrody, w której przebywają konie i woły. W ciemności to tylko niewyraźne ciemne plamy, ale od razu odnajduję Peonię. Rozpoznałabym ją zawsze i wszędzie, jak własną rękę. Śpi na stojąco. Lekko ugięła tylną nogę.

– Bo widzisz – ciągnie Jefferson – miałem nadzieję, że to, co powiedziałaś Staremu Tugowi... no, że powiedziałaś to, bo nie chciałaś za niego wychodzić.

– To, że mam narzeczonego tam w domu, w Georgii?

– Wszystko razem.

– Jesteś świetnie poinformowany jak na kogoś, kto w tym czasie przebywał zupełnie gdzie indziej.

– Wszyscy rozprawiali tylko o tym. Buzie się im nie zamykały.

No jasne.

– Owszem, nie chcę za niego wychodzić. Ale mówiłam też prawdę.

– Czyli w ogóle nie chcesz wyjść za męża.

– Cóż, na pewno nie zrobię tego pochopnie, to pewne – prychem.

– Ale czy...

– Posłuchaj, kiedy kobieta wychodzi za męża, traci prawo do wszystkiego. Nie może posiadać własnego majątku. Nie może sama o sobie decydować. – Kiedy już zaczęłam mówić, słowa płyną jak wezbrany potok, nie mogę nad nimi zapanować, z trudem nabieram tchu. – Po śmierci rodziców wszystko przeszło na własność wuja. Wszystko, na co tak ciężko harowałam. Myślałam, że mnie okradł, że bezprawnie zabrał nasze złoto, warte ponad tysiąc dolarów, nasze dwadzieścia akrów ziemi, dom, stodołę, konie, powóz. Ale okazuje się, że to wszystko należało do niego, zgodnie z prawem. Bo dziewczyna nie dziedziczy. I dlatego wyruszyłam do Kalifornii, żeby odzyskać to wszystko, co straciłam. Jako niezwiązana z nikim kobieta mogę to zrobić, ale kiedy wyjdę za męża, wszystko znowu przejdzie na własność mojego męża. Nawet ja. Będę musiała zrezygnować z nazwiska Westfall i przyjąć nazwisko męża. Nie rozumiesz? Kiedy wyjdę za męża, znowu wszystko stracę.

Bardzo długo milczy. Może na dobre zamknęłam mu buzię. Zawracamy do wodospadu, wspinamy się na stertę kamieni. Nasze działki znajdują się w górę

strumienia i już zdążyliśmy wydeptać wąską ścieżkę. Po ciemku bywa zdradziecka, ale jesteśmy ostrożni.

– Małżeństwo wcale nie musi być takie – mówi w końcu.

– Tak było w przypadku twojej mamy. Twój ojciec był jej panem.

Jefferson niechętnie rozmawia o matce. Wraz z innymi Indianami Cherokee wyjechała z Georgii, gdy zepchnięto ich do Oklahomy. Jako żona białego mogła zostać. Jefferson miał zaledwie pięć lat, a jednak zostawiła go na pastwę nicponia, który ciągle tylko pił i ją bił. Nikt w Dahlonega nie miał jej tego za złe, a według prawa nie wolno jej było zabrać dziecka białego człowieka. Mój tatko, który rzadko kiedy źle wyrażał się o innych, rzucił kiedyś, że ojciec Jeffersona zabiłby ją któregoś dnia, a to, że ożenił się z Indianką, wcale nie znaczy, że w głębi duszy nie nienawidził wszystkich czerwonoskórych.

– Z twoją mamą było inaczej – zauważa.

W sumie ma rację. Moi rodzice byli partnerami. Przyjaciółmi. Wiem, że się kochali, na pewno tak było. Ale okazuje się, że mama wyszła za tatkę z powodów, których być może nigdy w pełni nie poznam. W tamtych czasach była zakochana w wuju Hiramie i nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że koniec końców wyjdzie za jego brata. Ja też nie miałabym o tym pojęcia, gdybym nie spotkała w Independence Jima, starego przyjaciela tatki, który mi to wszystko powiedział.

– Jeśli kiedykolwiek wyjdę za męża, chcę, żeby było właśnie tak – przyznaję.

– Ale wiesz, mama była jedną wielką tajemnicą. Kochała tatkę, to jasne jak słońce, ale miała swoje sekrety. Nawet w miłości nie do końca była szczerą.

Jefferson zatrzymuje się, podnosi głowę, patrzy w gwiazdy. Podążam za jego wzrokiem. Wielka Niedźwiedzica jest tuż nad nami, Indianie Cherokee mówią na nią Siedmiu Braci. Jefferson zawsze chciał mieć rodzeństwo.

– Nigdy bym ci niczego nie odebrał – mówi cicho.

Serce mi pęka.

– Nie celowo, na pewno nie. Ale taki już jest ten świat. Nie zmienisz go tylko dlatego, że jesteś dobry.

– Nie?

Brak mi słów. Nie ma już we mnie argumentów, jest tylko smutek i cała góra uporu i nagle przychodzi mi na myśl, że może jednak bardzo upodabnam się do mamy.

Jefferson chyba wyczuwa, o czym myślę, bo obejmuje mnie i przyciąga do siebie. Pachnie świeżą ziemią i dymem z ogniska, i chyba ma też w kieszeni resztkę złotego piasku, bo robi mi się nagle gorąco w brzuchu.

Pochyla się nade mną i szepcze mi do ucha, łaskocząc oddechem:

– Jeszcze cię przekonam do małżeństwa, Leah Elizabeth Westfall. Poczekaj tylko.

I nagle sobie myślę, że może to wcale nie złoto. Może to Jefferson sprawia,

że cała drzę i nie mogę oddychać.

Następnego ranka w końcu przesypiam wschód słońca. Taka jest zasada – kto stoi na warcie, rano może dłużej pospać. Kiedy do mojego szałasu dociera brzęk naczyń i zapach smażonego bekonu, odwracam się na drugi bok i zakrywam sobie uszy.

Odpywam sobie przyjemnie w sen, gdy Nugget i Coney zaczynają szczekać na całe gardła. Jęczę głośno. Z sąsiedniego szałasus dobiegają pierwsze odgłosy; najwyraźniej Jefferson i Martin też nie mogą dłużej spać w takim hałasie.

Zastanawiam się, czy to przeczekać, czy jednak wstać na śniadanie, gdy podbiega do mnie Olive.

– To pan Dilley i jego ludzie – szepcze szybko. – Znaleźli nas. Ma mówi, że musisz zaraz przyjść.

Senność znika, jak ręką odjął. Odrzucam koc i sięgam po buty, a Olive powtarza to samo Jeffersonowi.

Wychodzę z szałasus i mrugam, oślepiona słońcem. Chwytam strzelbę, nabijam ją i idę w stronę paleniska. Nugget i Coney biegną koło mnie. Cieszy mnie ich towarzystwo.

– A niech mnie, toż to pan Lee McCauley! – woła Frank Dilley z grzbietu gniadosza. Zgolił brodę, zostawił sobie tylko bujne wąsy. Chyba nikt mu jeszcze nie powiedział, że w życiu nie będzie dżentelmenem, choćby nie wiadomo jak często je woskował i podkręcał.

Towarzyszy mu niemal tuzin mężczyzn, wszyscy konno. Rozpoznaję większość twarzy z naszego konwoju.

– Jak to, chłopcze, dzisiaj nie w spódnicy? Wiesz, co mówią: nie ma to jak poszukiwanie złota, żeby klata porosła ci włosami. – Rechocze z własnego żartu i znacząco patrzy na moją pierś. Odkąd wszyscy się dowiedzieli, że jestem dziewczyną, nie zawracałam sobie głowy owijaniem szalem mamy. Każdy może widzieć moje kształty.

– Czego tu szukasz, Dilley? – Rozglądam się po obozowisku i rozważam wszystkie opcje. Jefferson i major stoją niedaleko, uzbrojeni. Martin Hoffman trzyma na ręku malutką Joyner, ale nie spuszcza oczu z rożka z prochem przy szałasie. Hamptona, ku mojej uldze, nigdzie nie widać – Dilley i jego ludzie na pewno rozpoznaliby zaginionego niewolnika pana Bledsoe – a studenci odsypiają nocną wartę. Becky Joyner krząta się przy palenisku i podaje śniadanie Tugowi i jego przyjaciółom, jak gdyby nigdy nic, ale widzę jej zaciśnięte usta i napięte barki.

– Tak sobie pomyśleliśmy, że wpadniemy do starych przyjaciół – mówi Dilley.

– Przyjaciół? – powtarza Martin tak głośno, że maleństwo zaczyna się wiercić. – Moja siostra... zostawiliście nas na pustyni na śmierć, ty podły...

– Myślałam, że zajmiecie się szukaniem złota – wtrącam się, posyłając Martinowi ostrzegawcze spojrzenie.

Poszukiwacze złota przy stole Becky pomrukują coś między sobą i łypią gniewnie na nowo przybyłych. Stary Tug szepcze coś do Becky. Odpowiada mu. Tug wyjmując rewolwer z kabury i kładzie obok talerza.

– Tylko durnie szukają złota, kiedy nadciąga zima – odpowiada Dilley. – Każdy z odrobiną oleju w głowie jest już w Sacramento i szuka roboty, żeby zdążyć przed ulewami. Ale doszły nas słuchy o dziwacznej grupce osadników: kilka osób z Północy, kilka z Południa, a do tego jeszcze Niemiec. Uznaliśmy, że to na pewno wy, i chcieliśmy przekonać się na własne oczy, prawda, chłopcy?

– Więc ani nie szukacie złota, ani nie pracujecie – podsumowuje Jefferson. – Kto tu nie ma oleju w głowie?

– W twojej koszuli jest dziura po kuli – odpowiada Dilley. – Doigrałeś się w końcu tą beczelną gadaniną?

Major podchodzi bliżej, wspierając się na kuli.

– Widzę, że jak zwykle przybywasz w przyjacielskich zamiarach.

– Wally! – Dilley uchyla kapelusza. Spluwa tytoniem prosto pod nogi wałacha. Koń wierci się zirytowany. – Dobrze cię widzieć, choć nie jesteś już tym samym facetem, co dawniej.

– Jestem i tak sto razy lepszym facetem, niż ty kiedykolwiek będziesz – odpowiada major radośnie. – I to mając o połowę mniej nóg.

– Ładniutką osadę tu sobie budujecie. Wygląda na to, że trafiliście na kruszec.

– Nie za dużo – major kłamie jak z nut. – Ale nie tracimy nadziei.

– A skąd niby macie cały ten sprzęt?

– Sprzedałam rodzinną biżuterię – rzuca Becky, stawiając na stole garnek owsianki.

– Dobrze, że z maleństwem wszystko w porządku. – Dilley zerka na Martina, który kołysze małą, żeby ją uspokoić. – Mam nadzieję, że smyk ma wszystkie paluszki u rąk i nóg.

– Ona. Ma wszystko, co trzeba – odpowiada Becky i nakłada Tugowi grudy owsianki na talerz. – Choć nie dzięki panu.

– Nadal nie wiemy, czego tu szukacie, Dilley – odzywam się.

– Jedziemy do źródeł każdego potoku po kolei, sprawdzamy, kto się gdzie osiedlił. Mój przyjaciel Jonas spisuje to wszystko, bardzo oficjalnie. – Wskazuje głową Jonasa Watersa, swojego zastępcę.

– Oficjalnie? Dla kogo niby?

– Dla kogoś, kto zna się na interesach. Kiedy złoto powierzchniowe zniknie i głód zajrzy wam w oczy, on kupi ziemię za dobrą cenę i będzie wydobywał złoto pełną parą, w kopalni. – Zbывa nasze obozowisko pogardliwym machnięciem ręki.

– Nie wiem jeszcze, czy to miejsce ma jakieś perspektywy.

– Czyżby? – odpowiadam.

– Ale dżentelmen, dla którego pracuję, bogacz, który zna się na wydobywaniu złota, z Georgii, szuka też swojej bratanicy.

Ziemia usuwa mi się spod nóg.

– I tak sobie myślę, że to ty. – Dilley uśmiecha się jak kot, który znalazł śmietankę. – I pewnie bardzo się ucieszy, kiedy mu powiem, gdzie się zaszyłaś.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – szepczę.

Stary Tug wstaje zza stołu. Przyjaciele idą w jego ślady.

– Cóż, szanowny panie, chyba na was już czas – zaczyna Tug. – Strasznie tu dużo strumieni i dużo działek do spisania. Czeka was długa droga.

Dilley porusza wąsami.

– A ty kto?

– Tuggle, do usług. Ja i moi ludzie – wskazuje mężczyzn za stołem – przyjechaliśmy z Ohio, a teraz jesteśmy sąsiadami wdowy Joyner i pani Leni Leah i odwiedzamy je codziennie.

Frank Dilley i Stary Tug przez dłuższą chwilę mierzą się wzrokiem. Dilley przesuwając spojrzenie na jego towarzyszy. Jego uwadze nie uchodzą ich nowiutkie colty.

W końcu Dilley uchyla kapelusza.

– Miłego dnia, panie McCauley. Miłego dnia, Jefferson. – Śmieje się z własnego żartu. – Nie żegnam się – coś mi mówi, że jeszcze się zobaczymy.

– Pewnie tak – mruczę pod nosem.

Ci z Missouri zawracają konie, objeżdżają jezioro, oddalają się, podążając w górę strumienia. Głośno nabieram tchu, gdy dociera do mnie, co robią; ze szczytu wzgórza, z niewielkiej polanki ukrytej wśród drzew, będąc mieli doskonały widok na nasze obozowisko i wszystkie wyznaczone działki. A zatem zobaczą też Hamptona.

– Andy – szepczę. Pomaga mamie zbierać naczynia, ale zaraz do mnie podbiega. – Idź do zagrody, do Hamptona, biegnij co sił w nogach i powiedz mu, żeby się schował i póki co nie wychodził z ukrycia.

– Dobrze, Lee. – Mały spogląda na psy. – Coney i Nugget, chodźcie ze mną.

– I odbiega, przebierając szybko pulchnymi nóżkami, a psy truchtają za nim.

Ktoś kładzie mi rękę na ramieniu.

– Dobrze posunięcie – mówi major.

– Frank Dilley powie wujowi, gdzie mnie znaleźć – odpowiadam.

Major ściska mnie za ramię, chcąc dodać mi otuchy.

– Wiedzieliśmy przecież, że będzie cię szukał, kiedy tylko poczuje się pewniej.

– Będziemy gotowi – dodaje Jefferson z zaciętą miną.

Becky chrząka.

– Coś takiego! – mówi głośno. – Usmażyłam dzisiaj za dużo jajek. Darmowe dokładki dla wszystkich!

Stary Tug i jego kumple krzyczą głośno z radości i klepią się po plecach, a ja po raz pierwszy cieszę się, że tu są. Becky miała rację, wyciągając do nich rękę.

Studenci gramolą się z szałasów, zaspani, z szelkami zwisającymi wzdłuż nogawek. Jasper przeciąga się i ziewa.

– Coś nas ominęło?

Rozdział 6

Od wizyty Franka Dilleya minął tydzień. Pogoda się zmieniła. Co rano wita nas szron, płukanie złota w potoku oznacza palce zdrętwiałe z zimna. A jednak Becky ma tylu klientów co zawsze, choć wielu poszukiwaczy zjeżdża na zimę w doliny. Mnóstwo uparciuchów, jak my, zostaje w górach. My z Jeffersonem dorastaliśmy wśród poszukiwaczy złota. Wiemy, że pokłady kruszcu na powierzchni szybko się skończą, że możemy je zebrać tej zimy i wiosny, później trzeba będzie kopać kopalnię albo odwracać bieg strumienia.

Codziennie ćwiczymy z Jeffersonem strzelanie z rewolwerów. Czasami dołączają do nas Martin, Tom albo Jasper, ale najbardziej lubię, gdy jesteśmy sami. Układamy szyszki na odległych kamieniach i staramy się w nie trafić, a przynajmniej w skałę pod nimi. Strzelam lepiej niż Jefferson, choć ma colta, który jest o wiele bardziej precyzyjny niż mój stary rewolwer. Ale nie zrezygnuję z niego na rzecz nowego colta, nawet jeśli strasznie mnie denerwuje, że co chwila muszę go nabijać. Bardzo niewiele mi już zostało ze starego życia z rodzicami.

Studenci po raz kolejny wyruszają po zapasy do Mormon Island. Tym razem udaje im się znaleźć krowę, mleczną brązową jałówkę. Dają jej na imię Artemida.

Początkowo tak bardzo przerażają ją nasze psy, Nugget i Coney, że mało brakuje, aby straciła mleko, ale pewnego dnia Hampton zastaje rano Nugget wtuloną w jej ciepły grzbiet i od tego czasu Artemida daje mnóstwo mleka. Uczę Olive ubijać masło w nowej maselnicy Jaspiera i od tej pory Becky serwuje na śniadanie podpłomyki z masłem.

Nie ma już śladu po naszych pierwszych, prymitywnych szałasach z sosnowych gałęzi, stanowiących marną ochronę przed deszczem i wiatrem. Ustąpiły miejsca, jak to powiedział Stary Tug, szałasom z prawdziwego zdarzenia. Moim zdaniem to po prostu większe drewniane, o ile drewniane mają zamiast dachu płócienne plandeki.

Jefferson i Henry kończą budowę chaty i rozpinają nad nią kolejne plandeki, obiecując Becky, że na wiosnę zrobią jej prawdziwy dach, z dachówkami i w ogóle. Wewnątrz jest ciemno jak w najczarniejszą noc, jedyne okno na razie zasłania papier, a klepisko nasiąka wodą, ilekroć na zewnątrz pada. Po chacie hulają przeciągi, koniecznie musimy uszczelnić ściany, jest też lekko przekrzywiona, szczyt dachu znajduje się nie do końca pośrodku domu. Ale jest solidna, stosunkowo sucha, ciepła – za sprawą piecyka – i po sześciu miesiącach spania na wozie lub pod nim i kolejnym miesiącu w szałasie Becky oznajmia, że jest wygodniejsza niż najbardziej luksusowy hotel na całym Zachodzie.

Puchnę z dumy, co wieczór wracając do obozowiska po długim dniu

szukania złota. Dzięki pomocy nowo przybyłych nasze obozowisko zmieniło się w małe miasteczko właściwie w przeciągu paru dni. Mamy kilka budynków, markizę dla gości Becky, trzy wychodki, zagrodę i pastwisko, wszystko tuż nad potokiem, który rozlewa się w nasze piękne jezioro, powstałe dzięki bobrom.

Spotkanie z Frankiem Dilleyem i jego oślizgłym towarzyszem, który spisuje działki, pobudziły Toma do działania. Obmyśla już, jak zapewnić nam prawo do ziemi, na zawsze i zgodnie z przepisami. Mówi, że lada dzień skończy się nielegalne zajmowanie terenów i że już wkrótce, zapewne w przyszłym roku, będziemy musieli oficjalnie zadeklarować własność działek. A kiedy już to zrobimy i Kalifornia dołączy do Unii, musimy wnieść o zgodę na założenie miasta.

Nie mieści mi się w głowie, że wystarczy grupka chętnych osadników, by powstało coś tak wielkiego i trwałego jak miasto, ale podobno tak właśnie jest i co wieczór, gdy wracam do szałasów i przyjaciół, czuję, że wracam do domu.

Tylko Jefferson wydaje się niezadowolony. Haruje tak samo jak inni, ale ilekroć Tom wspomina coś o prawach własności i założeniu miasta, pochmurnieje i milknie.

Moim zadaniem było znaleźć złoto i znalazłam go całe mnóstwo. Moja działka okazała się bogata w kruszec, najwięcej jednak wydobywa Hampton. Na jego ziemi znalazłam małą żyłę w wielkim głazie, wśród kwarcu. Nietrudno było się do niej dostać oskardami. Martin i Jefferson pomagali nam w jej eksploatacji.

Ale nikomu nie powodzi się równie dobrze jak Becky Joyner, która trafiła na istną kopalnię, karmiąc samotnych poszukiwaczy. Teraz, gdy wymyśliła, że będzie im sprzedawała podpłomyki na wynos, zapakowane w chusteczkę, zarabia prawie pięćdziesiąt dolarów dziennie. Czasami płacą jej złotem, czasami towarami, na przykład kurczakiem za paczuszkę podpłomyków albo workiem owsa za śniadania przez tydzień. A jeśli nie mają nic na wymianę, płacą nam pracą, z czego też chętnie korzystamy.

Wszystko układa się lepiej niż w najśmielszych przewidywaniach. Będziemy bogaci po zaledwie jednym sezonie, wszyscy. Cudowna myśl.

Jakoś nie mogę się do niej przyzwyczaić. Patrząc, jak mój worek po mące wypełnia się złotem, aż pęka w szwach, i nie wierzę, że to naprawdę moje. Widzę, jak nasze obozowisko się rozrasta, jak dochodzą kolejne luksusy – drugi piec, sadzonka jabłoni, spory kurnik, który w każdej chwili możemy rozbudować, szopa na paszę koło zagrody. I to wszystko nie ma znaczenia. To wszystko jest tylko chwilowe.

Bo Frank Dilley powie wujowi, gdzie jestem, gdy tylko skończy objazd po zajętych terenach. Może nawet już to zrobił. Może wuj Hiram już jest w drodze po mnie. I wtedy to głupie marzenie o nowym domu, rodzinie i wielkiej ilości złota

pryśnie jak bańka mydlana.

Jest rześka, jesienna noc, wszyscy zapinamy się po szyję, ale niebo jest bezchmurne, roziskrzone milionem gwiazd i dlatego jemy kolację na zewnątrz, przy palenisku. Siedzimy pod markizą Becky, która za dnia stanowi osłonę przed palącym słońcem, i przypalonymi podpłomykami Becky wycieramy do czysta fasolowy sos z talerzy. Pod markizą wisi lampa naftowa, spowija nasze twarze delikatną pomarańczową poświatą. Świerszcze cykają melodyjnie, co jakiś czas przerywa im rechotanie żab.

Jefferson siedzi u mojego boku. Co jakiś czas dotykamy się udami, ale żadne z nas się nie odsuwa.

Kończymy posiłek, a Becky już szykuje produkty na jutrzejsze śniadanie – znowu podpłomyki i placek z mięsem, który, jest przekonana, uda jej się komuś sprzedać. Martin Hoffman trzyma na kolanach małą Joyner i co jakiś czas daje jej spróbować odrobinę fasoli. Chyba tęskni za młodszą siostrzyczką.

Hampton siedzi naprzeciwko mnie. W niczym już nie przypomina zabiedzonego niewolnika, który podążał za naszym konwojem w bezpiecznej odległości, podkradając resztki, ilekroć to było możliwe. Regularne posiłki i woda pod dostatkiem sprawiły, że się zaokrąglił, doszedł do siebie. Jest też coraz silniejszy. Widziałam, jak bez chwili wahania przewraca owce, i wystarczy kilka ruchów, by Kara go słuchała.

Ociera usta rękawem i chrząka głośno.

– Chciałem coś powiedzieć – zaczyna. Wszyscy ciekawie podnoszą głowy. – Dzięki pomocy Lee – spogląda w moją stronę – znalazłem dość złota, żeby wykupić i siebie, i moją żonę.

– To cudowna nowina, Hampton! – mówi Becky z przejęciem.

Major klepie go po ramieniu, Jasper unosi blaszany kubek, w którym rzekomo jest woda, ja jednak stawiałabym raczej na whisky.

– Za wolność Hamptona! – mówi. Wznosimy toast kubkami i widelcami.

– Zostawisz nas? – pytam.

Hampton kręci przecząco głową.

– Nie, jeszcze nie, może nigdy. Muszę się zastanowić, jak to zrobić. Tak, żeby nie ruszyli za mną łapacze niewolników.

Odkąd wjechaliśmy do Kalifornii, trzyma się cały czas na uboczu – jeszcze przed świtem odchodzi zająć się zwierzętami, cały dzień szuka złota, dopiero wieczorem przychodzi na kolację. Z rozmów z ludźmi w Mormon Island wynika jasno, że nastroje są antyniewolnicze, że kiedy Kalifornia dołączy do Unii, będzie stanem wolnym, ale nie dziwię się Hamptonowi, że na razie nie chce ryzykować.

Tom Bigler siedzi za stołem za naszymi plecami. Major zrobił go dla Becky.

Opiera łokcie na blacie, pochyla się do przodu.

– Potrzebujesz pomocy? – pyta.

Hampton uśmiecha się nieśmiało.

– Właśnie dlatego o tym mówię. Chciałbym, żeby wszystko było zgodnie z prawem. Niepodważalne.

– To będzie dla mnie zaszczyt – zapewnia Tom. – Muszę posprawdzać co nieco w książkach, ale chyba już wiem, jak spisać akt sprzedaży, nie zdradzając miejsca, w którym obecnie przebywasz.

– Wielkie dzięki.

– Kiedy już to załatwisz, pojedziesz po żonę? – pyta Becky.

– Miałem nadzieję, że może moglibyśmy wysłać po nią kogoś białego. Liczę, że moja noga już nigdy nie postanie w Arkansas ani żadnym innym stanie akceptującym niewolnictwo.

– Znamy abolicjonistów, którzy ci w tym pomogą – zapewnia Tom. – Rano napiszę do wielebnego Sturtevanta.

– A kto to? – Hampton pochyła się zaciekawiony.

– Dziekan uniwersytetu Illinois, wykładowca matematyki. Będzie wiedział, z kim się skontaktować, i zrobi to bardzo ostrożnie. Twoje imię nie padnie ani razu.

Hampton kiwa głową bez słowa, ale widzę, że myśli intensywnie. Czasami, kiedy powie się coś na głos, ta sprawa staje się nagle rzeczywista, realna, o wiele bardziej niż jeszcze kilka minut wcześniej.

Becky uśmiecha się łagodnie.

– Dobrze byłoby mieć drugą kobietę do rozmów.

Jefferson krztusi się podpłomykiem.

– Nie żeby Lee nie była kobietą – zapewnia Becky pospiesznie, a do mnie mówi: – Tylko że wieszcznie zajmujesz się złotem, tak jak Bóg ci przykazał.

Uśmiecham się na znak, że nie zabołały mnie jej słowa.

– Ja też nie miałabym nic przeciwko kobiecemu towarzystwu – zapewniam i nagle tęsknię za przyjaciółkami, Lucille i Therese. Obie znalazły już nowe domy, jedna w Oregonie, druga w wieczności.

Martin, brat Therese, kołysze maleństwo na kolanach. Dziecina gaworzy radośnie.

– Zimą będę próbował dostać się do Sacramento – mówi. – Chciałbym posłać część złota do domu. Pomyślcie, jaka to byłaby miła niespodzianka, gdyby czekało na moich bliskich, gdy wrócą do Ohio.

– To się na pewno da zrobić – mówi Tom.

– Kończą mi się lekarstwa – odzywa się Jasper. – Potrzebne mi rzeczy, których nie dostanę w Mormon Island. Może się okazać, że będę musiał po nie jechać aż do San Francisco.

– Skoro o tym mowa – wtrąca się Becky. – Ja też muszę jechać do San Francisco.

– Naprawdę? – dziwię się.

Becky kładzie podpłomyk na patelni, aż skwierczy i paruje.

– Zanim wyjechaliśmy z Tennessee, mój mąż kazał rozmontować nasz dom i cały nasz dobytek popłynął do San Francisco, przez Panamę.

Zupełnie o tym zapomniałam.

– Mój dom i wszystko, co w nim było – meble, naczynia, drobiazgi – czeka gdzieś w porcie.

– A zatem wygląda na to, że czeka nas wyprawa do Sacramento i San Francisco – orzeka Jasper radośnie. – Bardzo chciałbym zobaczyć Pacyfik. Wyobrażacie to sobie? Więcej wody niż w jeziorze Michigan?

– To nie takie proste. – Becky wyciera ręce w fartuch. – Andrew nie żyje, panie świeć nad jego duszą. Mam wszystkie dokumenty, ale jestem tylko kobietą. Nic do mnie nie należy.

Patrzymy po sobie z przerażeniem. Przejechała taki kawał świata, z dziećmi i chorym mężem, którym opiekowała się przez ponad połowę drogi, i teraz ma wszystko stracić?

– Myślę sobie, że może przekażą mi to jako pełnomocniczce syna – mówi, patrząc na małego Andy’ego. Umazany po uszy sosem z fasoli, macha nóżkami, siedząc na ławce. – Jako najstarszy syn dziedziczy po ojcu. Chyba mam jakieś prawa jako jego matka i opiekunka?

Tom drapie się w podbródek.

– Muszę to przemyśleć, pani Joyner. Na pewno jest jakiś sposób. Gdyby udało nam się odzyskać pani dobytek, sprowadziłaby go pani tutaj?

– Oczywiście. – Dumnie unosi głowę.

– A ktoś na tym statku widział kiedyś pani męża? – wtrąca się major Craven.

– Nie wiem, nie sędzę. Wszystko załatwiał pełnomocnik mojego ojca.

W oczach majora pojawia się szelmowski błysk.

– W takim razie jeden z nas mógłby podać się za pana Joynera.

– Ależ to... Ja nie... Nie mogłabym... – Becky głośno nabiera tchu.

– Proszę się nad tym zastanowić – prosi major.

– Cóż, nie byłoby to do końca zgodne z prawem – przyznaje Tom i major łąpie na niego groźnie. – Ale czasami prawo nie służy sprawiedliwości do takiego stopnia, jakbyśmy chcieli – dodaje.

– Eleganckie rozwiązanie śliskiego problemu – podsumowuje Jasper.

– Może – przyznaje pani Joyner z powątpiewaniem.

– Nie mam po co jechać do San Francisco czy Sacramento – odzywa się Jefferson. – Więc spokojnie mogę tu zostać i pilnować naszych działek i dobytku.

– Gdyby ktoś podszył się pod mojego męża, ja też mogłabym zostać – dorzuca Becky. – I dalej karmić poszukiwaczy złota.

– A ty, Lee? – pyta Hampton. – Zostajesz czy jedziesz?

– Bardzo chciałabym zobaczyć ocean – przyznaję. – Ale jeśli Jefferson

zostaje, ja też.

Robi mi się gorąco, gdy wszyscy na mnie patrzą, a Jefferson najdłużej. Ale taka jest prawda. To najlepszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miałam, a miesiące samotnej podróży to najgorsze chwile mojego życia. Nie rozstanę się z nim po raz kolejny. Poza tym tutaj czuję się bezpieczna, bo znam ludzi, każde drzewo, każde wzgórze. Nie chcę jechać w nowe miejsca, gdzieś, gdzie za każdym rogiem mogę natknąć się na wuja albo Franka Dilleya.

– A niech to! – woła Becky i wszyscy zdumieni podnosimy głowy. Jeszcze nigdy nie słyszałam przekleństwa z jej ust. – Znowu przypaliłam! – mówi, wpatrzona w patelnię. – Wiecie co, prędzej czy później poszukiwacze zorientują się, że fatalnie gotuję.

W pierwszej chwili nikt nic nie mówi. Henry chichocze pierwszy, potem mała Olive i nagle wszyscy śmiejemy się na całe gardło, jakby to był co najmniej czwarty lipca.

Wtulam się w poślanie. Z sąsiedniego szałasu dobiegają stłumione odgłosy – ściągany but, gaszona lampa. Jefferson też układa się do snu. Zamykam oczy, gdy nagle dopada mnie poczucie osamotnienia. Dawniej spaliśmy ramię w ramię, dawniej, kiedy wszyscy uważali nas za podróżujących razem przyjaciół. Czasami gadaliśmy szeptem do późna w noc, a przynajmniej do chwili, gdy mąż Becky walił w podłogę wozu i kazał nam się zamknąć. Chyba przywykłam do jego oddechu, do jego bliskości przez całą noc. Czasami nawet trzymał mnie za rękę.

Wtedy nie przywiązywałam do tego specjalnej wagi. Myślałam, że podoba mi się Therese, że trzyma mnie za rękę, żeby dodać otuchy starej przyjaciółce. Ale teraz wiem, jak jest naprawdę. To była deklaracja, może nawet obietnica.

Jefferson chce o wiele więcej niż trzymania za rączkę. Chce mnie. I kiedy tak leżę sama i zmarznięta w ciemności, bez niego, muszę przyznać, że może ja też chcę jego.

Muszę przestać o tym myśleć i zdrzemnąć się, zanim Hampton zbudzi mnie na wartę. Zamykam oczy i staram się myśleć o czymś przyjemnym, na przykład o zimowej szacie Peonii, przez którą wygląda jak napuszony kot z kopytami, i rozbawieniu na twarzy Becky, gdy śmialiśmy się z jej umiejętności kulinarnych.

Gdzieś w oddali szczeka Coney. Nic w tym dziwnego, ale wtedy dołącza też Nugget i po chwili oba psy ujadają jak szalone. Z westchnieniem odrzucam koc i sięgam po buty. Trzeba to sprawdzić, na wypadek, gdyby coś było nie tak, a skoro nie śpię, równie dobrze mogę to być ja.

Gramolę się z namiotu, przecieram zaspane oczy. Jest ciemno choć oko wykol, księżyc nie rozjaśnia mroku, gdy idę między szałasami w stronę zagrody. Biorę lampę naftową spod markizy Becky, zapalam ją.

Moje nozdrza wypełnia kwaśny zapach dymu. Kilka godzin temu zagasiliśmy palenisko, a dym z piecyka w chacie Becky unosi się wysoko w niebo.

Może to od sąsiadów, obozujących ponad milę stąd. Wiatr w górach często płata figle.

Nugget ujada jak szalona. W moje myśli wkrada się niepokój.

– Jefferson! – wrzeszczę bez namysłu. On też powinien się wyspać, ale czuję, że w ciemności coś jest nie tak, a ilekroć coś się dzieje, Jeff jest pierwszą osobą, która przychodzi mi na myśl.

Major wybiega z szałasu z lampą w dłoni. Mimo kuli porusza się niewiarygodnie szybko.

– Co jest? – pyta.

– Nie wiem. Psy coś wyczuły. Hampton i Martin powinni być koło zagrody.

Przybiega Jefferson, ze strzelbą w jednej dłoni, a wyciorem w drugiej. W zębach ma rzemień od woreczka z prochem, który uderza go w klatkę piersiową.

– Martin i Hampton nadal na obchodzie? – pyta niewyraźnie.

– Nie wiem, nie widziałam ich.

Nabija strzelbę.

– Chodźmy po nich. Majorze, proszę obudzić studentów, niech będą gotowi. A potem proszę zajrzeć do Joynerów w chacie.

– Później do was dołączę – obiecuje major i oddala się w kierunku szałasu studentów. Ci przespaliłyby nawet koniec świata, gdybyśmy im na to pozwolili.

– Rewolwer nabity? – upewnia się Jefferson, wskazując głową colta w kaburze u mego boku.

– Tak jest! – Salutuję mu żartobliwie.

Uśmiecha się w odpowiedzi, ale zaraz poważnieje.

– To pewnie fałszywy alarm, ale...

– Ostrożności nigdy nie za wiele – dokańczam za niego.

Zbiegamy ze wzgórze w stronę zagrody i pastwiska.

– Nie możemy strzelać, póki nie ustalimy, gdzie są Hampton i Martin – mówi. Idziemy ostrożnie, bo lampa niewiele pomaga w tej ciemności. – Więc miej oczy i uszy otwarte.

– Oczywiście.

– Pewnie żałujesz teraz, że nie masz colta zamiast tego starego grata. Lepszy zasięg, szybsze ładowanie i do tego to istne cacko. – Nie widzę w ciemności jego twarzy, ale słyszę uśmiech w jego głosie. Wie doskonale, dlaczego nie chcę rozstać się z pistoletem. – Poczekaj. – Unosi rękę. – Czujesz dym?

– Już wcześniej mi się wydawało, że go czuję. Ale tu wszędzie w okolicy są obozowiska. Nie wiadomo, skąd dobiega.

– Woły się niepokoją.

– Chodźmy.

Jesteśmy już u stop wzgórze. Sosny ustępują łące, ale teraz widzimy jedynie plamę ciemności. Po chwili w zasięgu lampy znajduje się ogrodzenie zrobione

przez Hamptona, potem woły, a po chwili – zarysy koni. Nasze zwierzęta wiercą się niespokojnie, nerwowo rzucając łbami. Peonia nie może ustać w miejscu.

– Hampton! – wołam. – Wszystko w porządku?

Nie odpowiada. Wymieniamy z Jeffersonem niespokojne spojrzenia.

– Może odszedł jeszcze dalej, żeby zobaczyć, co tak poruszyło psy.

– Może. – Psy szczekają gdzieś w oddali. – Nugget! – wołam. – Coney!

Jefferson gwizdże na nie – to sztuczka, której nie udało mi się opanować. Przechodzę przez ogrodzenie i zbliżam się do Peonii. Zapach dymu przybiera na sile.

– Jak się trzymasz, kochana? – szepczę do niej kojąco. Niespokojnie rzuca głową, ale zaraz łagodnieje i pozwala pocałować się w chrapy. – Tak, ja też to czuję – mówię, kiedy prychnie.

Jefferson zagląda do Karej, a ja sprawdzam pozostałe konie: wałacha Joynerów, potężną klacz majora i konia pociągowego. Krowa Artemida przywarła do ogrodzenia, przewraca wielkimi ślepiami. Zagroda nie jest duża, Hampton sklecił ją naprędce, żeby zwierzęta miały swój kawałek ziemi, ale jeśli zaczną panikować, ogrodzenie ich nie powstrzyma.

Pozwalam, by kierował mną zapach dymu, przeciskam się między zwierzętami, dobiegam do ogrodzenia po przeciwnej stronie.

– Jefferson? – wołam, wpatrzona w szopę z paszą. Hampton zbudował ją poza zasięgiem zwierząt, żeby nie dobrały się do niej w nocy. Wygląda jak sporych rozmiarów wychodek bez jednej ściany, wypełniony do połowy wysokości belami siana. Na półkach pod dachem leżą worki owsa. Może to kwestia ciemności, ale wydaje mi się zamglona i nagle coś pali mnie w płucach. – Szopa płonie.

Biegnie w moją stronę, zwinnie przeskakuje ogrodzenie.

– Hampton! – wołam na skraju paniki. Może przyniósł tu lampę. Może postawił ją na sianie i zapomniał. Może gdzieś tu zasnął, biedny głupiec. Pewnie tak bardzo chciał zobaczyć żonę, że za dużo pracował i przysnął na straży. Tak sobie wmawiam.

Kilka rzeczy dzieje się jednocześnie.

– Noga! – woła Jefferson, wskazując coś na ziemi. I rzeczywiście, zza szopy wystaje męski but. – Hampton? – woła i rzuca się w tamtą stronę.

Szopa staje w płomieniach.

Ciszę przecina strzał, niecałe pięćdziesiąt metrów od nas, i rozlega się pisk rannego zwierzęcia. Przeszywa mnie do szpiku kości.

Z przeciwnej strony, od naszego obozowiska, dobiega ludzki krzyk.

Nieruchomieję. Wiem, że muszę działać, ale tracę głowę, nie mam pojęcia, co najpierw zrobić.

– Hampton! – powtarza Jefferson. Kuca koło niego i uderza dłonią w twarz.

– No, obudź się!

Czuję gorąco na twarzy i nagle widzę wszystko w odległości kilkunastu metrów – ogień rozjaśnia ciemność.

– Lee, nie stój tak!

Jego głos ściąga mnie na ziemię. Zrzucam górną belkę z ogrodzenia zagrody. Peonia wybiega pierwsza.

– Biegnij, kochana! – krzyczę, klepię po zadzie pierwszego z brzegu wołu, potem Karą i Artemidę. Cały dzień zajmie nam odnalezienie ich i nie wiadomo, czy odzyskamy wszystkie, ale przynajmniej nie zrobią sobie krzywdy w zamkniętej zagrodzie ani, co gorsza, nie spłoną żywcem.

Podbiegam do Jeffersona i Hamptona.

– Nie żyje? – pytam bez tchu i zanoszę się kaszlem. Szopa płonie i wydaje się, że nawet powietrze stoi w ogniu.

– Jeszcze nie! Szybko, złap go za nogi! Natychmiast musimy go stąd zabrać.

Jak na takiego niskiego mężczyznę, Hampton jest zadziwiająco ciężki. Kaszląc i krztusząc się, niesiemy go dalej na łąkę. Kołysze się bezwładnie między nami. Dochodzimy do błotnistej polanki, nieporośniętej suchą trawą, z dala od szopy na paszę, i delikatnie kładziemy go na ziemi.

– Co z nim, Lee? – pyta Jefferson. Dopiero teraz słyszę strach w jego głosie.

– Oberwał? – pytam. Przypominam sobie niedawno słyszany wystrzał.

– Nie widzę krwi.

– Ale oddycha?

– Jeszcze tak.

Wstaję gwałtownie.

– Pójdę po Jaspersa. I wodę. – Waham się przez chwilę. Nie przyniesiemy dość wody, żeby ugasić ogień. – Wezmę łopaty. Musimy wykopać rów, zanim drzewa zajmą się ogniem.

Jefferson wstaje, chce iść ze mną.

– Zostań z Hamptonem. Ktoś tu jest, może...

– W obozie też coś się dzieje.

Ma rację. Serce mi się ściska na wspomnienie krzyku, który słyszałam. Może Becky? Nie, to nie był jej głos. Henry? I pisk po postrzale, od strony łąki. Obawiam się, że to jeden z naszych psów.

– Idziemy.

Chwytam lampę i razem wbiegamy z powrotem na wzgórze. Potykam się o kamień, mało brakowało, a upadłabym, ale nie zwalniam, nie śmiem. Powietrze płonie, czuję ogień nawet w płucach. Stajemy na szczycie wzgórza. Nasze obozowisko stoi w ogniu.

Jefferson rzuca się na pomoc majorowi, który zerwał plandekę z szafasu i daremnie wali nią w płomienie podkradające się do chaty Becky. Studenci uwijają się między obozowiskiem a strumieniem z kubłami wody, usiłują ugasić

poходnię, która do niedawna była naszym wozem. Andy i Olive zdeptują iskry spadające na ziemię.

– Gdzie Becky? I maleństwo? – wrzeszczę.

Becky wybiega z chaty z dzieckiem na ręku. Wciska mi zawiniątko i odwraca się na pięcie.

– Zaraz wracam! – krzyczy przez ramię i znika w środku.

– Nie! Becky! – Dym gęstnieje, zasłania widok, tak że nie widzę drzwi, za którymi zniknęła.

Chcę rzucić się za nią, ale nie mogę, nie z dzieckiem na ręku. Rozglądam się w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca, gdzie mogłabym je położyć i zrobić coś pożytecznego. Mała zaczyna płakać, szlocha tak, że łzy znaczą bruzdy w umazanej sadzą twarzyczce, więc kołyszę ją tak samo jak Martin.

Martin.

– Gdzie Martin? – wołam na całe gardło. – Ktoś go widział?

Chwytam Jaspera za ramię, gdy przebiega obok mnie z wiadrem pełnym wody. – Hampton jest ranny – mówię. – Nieprzytomny. Przy zagrodzie.

Jasper jest w bieliźnie, w długich kalesonach, mokrych po kolana, bo nabiera wody ze stawu.

– Jest bezpieczny?

– Nie wiem! Ktoś tam był, Jasper. Ktoś z bronią.

– Postrzelili Hamptona?

– Nie sądzę. Ale płonie szopa z paszą. Odciągnęliśmy go z Jeffersonem w bezpieczne miejsce.

– Artemida!

– Wygnałam ją z zagrody. Później ją znajdziemy.

– Dobrze, idę po torbę lekarską, chyba że mój szłaś już się spalił. Kiedy upewnimy się, że chata nie spłonie, przyjdę do zagrody.

Odwraca się już, ale znowu chwytam go za ramię.

– Widziałeś Martina? Miał stać na straży.

Wyraz, jaki przybiera twarz Jaspera, powoduje, że strach boleśnie ściska mi wnętrzności. Jest zrezygnowany.

– Najpierw pożar, zanim stracimy wszystko i narazimy dzieci.

Kiwam głową. To trudna decyzja. Koszmarna. I podjęłabym taką samą.

Układam sobie dziecko na ramieniu i biegnę do szłaś studentów. Z mojego już nic nie zostało, płócienny dach spłonął do szczytu, ściany się zawaliły, języki ognia strzelają wysoko w niebo.

Myślę o wszystkim, co zostało w środku – moje posłanie, siodło i uprząż Peonii, sukienka, którą kupili mi studenci, a której już nigdy nie założę.

Ogień na razie nie tknął szłaś Jeffersona i Martina, natomiast ten studentów już zaczyna płonąć. Ogień już taki jest, czasami omija coś bez

wyraźnego sensu.

Unoszę płachtę zastępującą drzwi, żeby zdecydować, czy ryzykować wejście do środka. Na razie płonie tylko najdalszy kraniec. Torba lekarska Jaspera stoi przy przeciwległej ścianie, obok trzech zwiniętych posłań.

Ostrożnie układam Małą Joyner na ziemi, upewniam się, że mi się gdzieś nie sturla, i wbiegam do szałas. Zależy mi przede wszystkim na torbie lekarskiej Jaspera. Chwytam ją dwiema rękami. Od dymu kręci mi się w głowie. Wynoszę ją na zewnątrz, stawiam koło małej i wracam do środka.

Pracuję najszybciej, jak potrafię, chwytam posłania, wyciągam na zewnątrz. Znajduję sakwę, zarzucam ją sobie na ramię, i parę butów – Henry’ego, o ile się nie mylę. Pod najdalszą ścianą stoi kuferek. Płomienie są tuż tuż.

Nie wiem, co w nim jest, ale muszę coś zrobić, coś ocalić. Usiłuję go podnieść, a ogień pali mi brwi. Ani drgnie. Ścieram pot z czoła, zanim zaleje mi oczy, kucam i pcham.

Kuferek przesunął się o kilka cali. Przepycham go po kawałeczku, raz jeden róg, raz drugi, w stronę drzwi.

Głęboko oddycham świeżym powietrzem. Upewniam się, że z maleństwem wszystko w porządku, i biegnę do szałas Jeffersona. Jeszcze nie płonie, ale to tylko kwestia czasu.

Dwa posłania, plecak Martina i sakwy Jeffersona. Obok sakwy – drewniana szkatułka, której nigdy dotąd nie widziałam. Wieczko zdobi wypalony kwiatowy wzór, od frontu widzę metalowe zamknięcie. Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam tam zaglądać, poza tym nie ma na to czasu, ale dziwne, że przez wiele miesięcy podróży ani razu nie widziałam tej szkatułki. Unoszę wieko i zaglądam do środka.

Jest tam tylko kilka drobiazgów: mały skórzany woreczek z czymś miękkim, długie pióro, list, który rozkładano i składano tak wiele razy, że kartki zaraz się rozpadną, a litery niemal całkiem wyblakły, i bryłka złota wielkości mojego paznokcia.

Wpatruję się w bryłkę kruszcu. Odległości i czas zacierają wspomnienia, ale jestem pewna, że to ta sama bryłka, którą dałam Jeffersonowi jeszcze w domu, w Georgii, tamtego dnia, gdy wuj zabił moich rodziców. Znalazłam ją na ziemi McCauleyów, więc należała się jemu, uczciwie. Miał za nią kupić zapasy na podróż na zachód, a on ją zatrzymał. Zatrzymał ją, nie wiadomo dlaczego, choć wówczas potrzebował pieniędzy najbardziej na świecie.

Maleństwo znowu zaczyna płakać. Zamykam szkatułkę i wybiegam na zewnątrz. Układam dobytek Martina i Jeffersona w miejscu, do którego, jak liczę, nie dotrą płomienie, a potem biorę małą Joyner na rękę.

Biegniemy do chaty, już w ogniu, buzującym tak mocno, że wydaje mi się, że płoną mi włosy. Dotykam ich, żeby się upewnić, że tak nie jest, i jednocześnie rozglądam się wokół z rozpaczliwą nadzieją, że Becky zdążyła wyjść. Widzę ją,

biegnie do potoku z wiadrem w dłoni i nogi uginają się pode mną z radości.

Olive i Andy nadal zdeptują rozżarzone węgielki.

– Olive! – wołam i mała przybiega natychmiast. – Weź siostrę. – Mała bierze zawiniątko wyćwiczonym ruchem. – Zabierzcie ją z Andym nad jezioro, tam będziecie bezpieczni. Macie tam zostać, jasne?

– Chcę wam pomóc! – woła.

Prawie jej na to pozwalam; w końcu ja też nie chciałabym stać bezczynnie z boku.

– Później będziesz potrzebna Jasperowi przy opatrywaniu rannych, więc musisz być cała i zdrowa.

– Dobrze, Lee.

Zabiera brata i prowadzi nad staw. Kiedy mam pewność, że trójka dzieci jest bezpieczna, chwytam łopatę majora i staram się zasypać ogień trawiący chatę. Jefferson coś krzyczy, ale nie rozróżniam słów, wszystko zagłusza ryk ognia.

Pracujemy szybko, ciężko, szybciej i ciężej niż kiedykolwiek, ale i tak widzę, że niewiele to da. Stracimy chatę i prawie wszystko inne. Dziękuję Opatrzności za niedawne deszcze; gdyby nie one, płonęłaby już cała okolica i wszystkie nasze działki. Teraz mamy przynajmniej szansę dopilnować, żeby uchronić przed pożogą otaczające nas lasy i jesienne łąki. Becky i studenci zalewają granice pożaru wodą z jeziora, major i Jefferson starają się plandekami zdusić płomienie.

Pot spływa mi po plecach, ale uparcie macham łopatą, aż w końcu wykopałam dość głęboki rów między drzewami a chatą. Czuję, że skóra na mojej twarzy jest rozpalona i napięta, jakbym spędziła wiele godzin na słońcu, a dłonie, ubranie, całą mnie pokrywa szaro-czarny pył. Każdy oddech przyprawia o przenikliwy ból.

I nadal nigdzie nie widać Martina.

Najbliższa sosna trzeszczy niebezpiecznie i po kilku sekundach płonie jak wielka pochodnia, rozjaśniając całe niebo.

Na wzgórzu nad nami wybucha światło, a chwilę później ziemia drży nam pod nogami, gdy powietrze przeszywa odgłos, jakby waliło się tysiąc drzew. To nasza amunicja wybucha w ziemiance, którą wykopali Jefferson z Martinem.

Wszyscy przestajemy pracować. Miny nam rzedną. Upuszczam łopatę z poparzonych dłoni. Nie wiem już, co robić.

Nagle w krąg światła wkraczają postacie. Dziesięć osób. Nie, więcej, co najmniej trzydzieści. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Indianie. Otaczają nas.

Becky Joyner krzyczy głośno, przeraźliwie, aż zagłusza trzask płomieni.

Mnie także ogarnia przerażenie, aczkolwiek z innego powodu. Jefferson miał rację, Indianie są tutaj. A jeśli ogień rozprzestrzeni się na drzewa, suche jak podpałka, spłoną ich domostwa i być może zapasy.

Większość z nich jest boso. Niektórzy, zwłaszcza kobiety, mają na sobie tylko spódniczki z suchej trawy. Ciemne włosy okalają okrągłe twarze, między nagimi piersiami spoczywają długie naszyjniki. Większość narzuciła na ramiona wielkie zwierzęce skóry.

Kobiety zrzucają spódniczki, zostawiają je na ziemi. Nagie, ze skórami w rękach, podchodzą bliżej.

Becky biegnie nad staw, po dzieci.

Indianie jednocześnie atakują ogień – na chacie, szałasach, na drzewach. Wałą w płomienie jak w samego diabła, aż iskry wzbijają się w powietrze.

Przez chwilę stoimy z towarzyszami jak wryci, a potem bierzemy się do pracy razem z nimi, z nowymi siłami. Teraz, gdy mamy pomocników, Jasper i major biegną do zagrody, sprawdzić, co z Hamptonem.

Mijają minuty, a może godziny, gdy tak walimy, kopujemy i polewamy.

I w końcu ogień przegrywa z naszym zacięciem. Płomienie gasną, choć powietrze nadal wypełnia duszący czarny dym. Z chaty zostały zgliszcza. Nawet płonące drzewo zgasło. Indianie zrobili coś, czego nie widziałam, jakimś cudem przewrócili je na płonąca chatę i już na ziemi zagasili ogień.

Na wschodzie pojawia się pierwsza smuga światła i wtedy zaczyna padać. Henry krzyczy z radości.

Indianie patrzą po sobie, pada kilka gniewnych słów. Nic nie rozumiem. A potem odchodzą, równie szybko i nieoczekiwanie, jak się zjawili.

– Chwileczkę! – woła Jefferson.

Jedna z Indianek się zatrzymuje. To starsza kobieta z pomalowaną twarzą. Ciemne linie ciągną się od ust do podbródka. Jej naszyjnik jest grubszy, dłuższy niż pozostałych.

Jeden z mężczyzn staje za jej plecami. Jest niski, ale muskularny. Na jego piersi widnieje skomplikowany wzór z kropek. Nosi też naszyjnik z paciorków. Niczego nie robi, ale dla wszystkich jest jasne, że nie pozwoli jej skrzywdzić.

Jefferson biegnie do swojego na w pół spalonego szałasu, do sterty rzeczy, które wyciągnęłam z ognia. Bierze posłanie – ogromną skórę bizona, jednego z tych, które zastrzeliliśmy podczas tamtego nieszczęsnego polowania wiele miesięcy temu. Podaje je Indiance.

– Dziękujemy – mówi.

Ciemne oczy otwierają się szeroko ze zdumienia. Dotyka palcem grubej skóry, jakby nie wiedziała, co zrobić, a potem ona i mężczyzna kiwają głowami. Bierze skórę. Oboje odwracają się na pięcie i znikają wśród drzew, jak ich towarzysze.

Rozdział 7

Zostajemy sami w chłodzie przedświt. Wokół nas dymią zgliszcza naszego obozowiska, wszystkiego, na co tak ciężko pracowaliśmy.

– Wszystkie kury nie żyją – mówi Tom i zgina się w pół, szarpany kaszlem.

Jasper i major wchodzą na wzgórze. Ni to prowadzą, ni to ciągną Hamptona, zarzucili sobie jego ramiona na szyję. Powłóczy nogami po ziemi, odrzucił głowę do tyłu, ma dziwne, nieobecne spojrzenie, ale co chwila mruga oczami. Tak się cieszę, że żyje, że łza wypływa mi z kącika oka i spływa po policzku.

– Czy on... czy? – Olive odrywa się od mego boku. Schylam głowę i widzę, jak drży jej dolna warga.

– Nic mu nie będzie – zapewnia Jasper. – Ma wstrząśnienie mózgu i tyle. I poparzenie na barku. Przez kilka dni głowa będzie mu pękała z bólu i na razie nie przełknie ani kęsa, ale nic mu nie będzie.

– Coś mnie uderzyło – mamrocze Hampton. – W tył głowy.

Jefferson odnajduje mój wzrok. Nie tylko Hampton pełnił wartę tej nocy.

– Martin – szepczemy jednocześnie.

Major wyjmuje colta z kabury.

– Idę z wami.

– Ja też – odzywa się Tom.

Becky omiata wzrokiem zniszczony obóz. W mdłym świetle poranka ruiny już nie są czarne, ale bladoszare.

– Ja... cóż... chyba zabiorę się za sprzątanie. – Nagle osuwa się na ziemię, zapada w osmaloną suknię. Ukrywa twarz w dłoniach i szlocha bezgłośnie.

– Zostanę z wdową Joyner – mówi Henry cicho.

Pozostali ruszają wraz ze mną na poszukiwania. Jeśli są równie zmęczeni jak ja, z trudem powłóczą nogami, a każdy oddech z zadymionych płuc wyczerpuje jak sroga bitwa. Nic nie szkodzi; puszcza się biegiem i co chwila wołamy Martina po imieniu.

Minęliśmy moją ziemię, jesteśmy na działce Jeffersona. Teren jest tu bardziej skalisty, łupki sterczą z ziemi, czyhają na nieostrożne stopy. Rosną tu tylko potężne, rozłożyste dęby o nieustępliwych korzeniach i masywnych pniach. Wśród gałęzi kołysze się jemiola. Dopiero wtedy dociera do mnie, że już świta, skoro ją widzę.

– Martin! – powtarza Jefferson. Ma ochryply głos, jakby zjadł wiadro piachu.

– Martin! – wtóruję mu, ale jestem zbyt osłabiona i mój głos nie dotrze daleko.

Zatrzymujemy się na skraju działki Jeffersona, tam, gdzie graniczy z ziemią Hamptona. Ktoś przełamał jeden z palików na pół. Nierówny koniec sterczy spomiędzy złocistych traw. Wymieniamy niespokojne spojrzenia.

– Lee – szepcze Jefferson cicho. – Boję się.

Jego słowa otwierają furtkę lękom, które do tej pory trzymałam na wodzy.

– Ja też.

– Wiesz, po tym, co spotkało Therese...

– Wiem. – Chwytam jego dłoń. Jest szorstka od piachu. Krzywię się, gdy odwzajemnia uścisk – wolę nie wiedzieć, jak wielkie mam bąble po oparzeniach. Ale kiedy idziemy dalej, żadne z nas nie cofa dłoni.

Grunt pod naszymi nogami staje się twardy, a złotowidzenie we mnie narasta, z cichego szumu przeradza się w rozszalałe tornado. Ziemia Hamptona zawsze była najbardziej obiecująca. Nawet jeśli Martin miał przy sobie odrobinę złota, nie usłyszę go teraz.

Jefferson zatrzymuje się gwałtownie i szarpie mnie za rękę.

– Słyszysz?

To samo co zwykle; radosne śpiewy górskich ptaków, szum wody w potoku i wiatru w wierzchołkach drzew.

– Jest tu bardzo dużo złota i w takich okolicznościach nie słyszę najlepiej.

Milczy przez chwilę, nasłuchuje, a potem:

– Tędy. – Prowadzi mnie w stronę samotnej sosny, rosnącej wbrew wszelkiej logice na kamienistym zboczu. Pod nogami trzaskają nam ogromne szyszki. Usuwamy je kopnięciem, turlają się wzdłuż zbocza, aż do potoku.

Najpierw widzę jego rękę, bladą i zakrwawioną na ciemnej skalistej ziemi.

– Nie! – krzyczy Jefferson i rozpacz w jego głosie wyraża też moje uczucia. Wirywam dłoń z jego uścisku, puszczam się biegiem, osuwam na kolana u boku Martina.

Leży na plecach, ma szeroko otwarte oczy. Mruga nerwowo, wpatrzony w poranne słońce. Krew plami kamienie pod jego głową. Prawa noga jest wygięta pod dziwnym kątem, poniżej kolana, więc stopa układa się nienaturalnie.

– Wołałem – szepcze, głosem jeszcze bardziej ochrypłym niż mój.

– Idź po Jaspera – rzucam do Jeffersona. – I to szybko.

Oddala się biegiem.

– Lee... – Martin się uśmiecha, a ja się obawiam, że serce wyskoczy mi z piersi. – Cieszę się, że tu jesteś.

– Co się stało? – Za rzadko oddycha, płytkie, krótkie westchnienia co kilka sekund. Ma chłodną, bezwładną dłoń, jakby już nie żył.

– Nie wiem. Usłyszałem coś w trawie, poszedłem sprawdzić. – Zamyka oczy.

– Martin!

Odzyskuje przytomność.

– Oberwałem w głowę i upadłem. Chyba złamałem nogę, ale nie wiem na pewno. Nic nie czuję. Nic a nic.

– Z nogą wszystko w porządku, to nic, z czym Jasper sobie nie poradzi.

– Kłamczucha. Masz może wodę? Gardło...

– Nie, ja... poczekaj. – Wstaję gwałtownie. – Zaraz wracam.

Biegnę do strumienia, ślizgając się na nierównym podłożu. Tu, powyżej rozlewiska, nurt jest bystry i wartki. Kiedy pochylam się nad potokiem, pstrągi odskakują na bezpieczną odległość. Ściągam chustkę z szyi i moczę ją, ale spływająca z niej woda jest czarna od sadzy, więc wyciskam ją, płuczę i powtarzam czynności jeszcze dwukrotnie, aż woda jest czysta. Wtedy moczę chusteczkę, aż do pełna nasiąknie wodą.

Chroniąc ją w złożonych dłoniach, wracam do Martina i pochylam się nad nim.

– Otwórz usta – mówię.

Spełnia moje polecenie. Pozwalam, by krople sączyły się na popękane wargi. Krztusi się, ale przełyka, więc ściskam płótno, aż woda sączy się cienkim strumyczkiem. Łyka chciwie.

– Chcesz jeszcze? Zaraz przyniosę...

– Jak myślisz, spotkam ją wkrótce?

– Kogo?

– Siostrę.

– Therese?

– Ja. Therese. – Wzdycha głośno. Mówi coraz ciszej. – Nienawidziłem jej. Była taka władcza. Taka dobra. Vater właśnie ją kochał najbardziej. Dopiero kiedy umarła, uświadomiłem sobie, że to nieprawda, że wcale jej nie nienawidziłem.

Niebieskie oczy patrzą szkliscie, jakby nie do końca był tu, z nami.

– Na pewno jeszcze sporo czasu upłynie, zanim spotkasz Therese – mówię.

– Kłamczucha. Kłamiesz. Kłamczucha Leah.

Już mam zaprotestować, ale wtedy słyszę kroki za plecami. Jefferson i Jasper z Becky, Olive i Henrym kilka kroków za nimi.

Jasper stawia torbę lekarską na ziemi, bierze Martina za rękę, słucha tętna.

– Co się stało?

– Dostał w głowę i upadł.

– Cześć, doktorku. – Martin uśmiecha się z trudem.

– Jak głowa? Boli? – pyta Jasper. Ostrożnie obejmuje jego czaszkę dłońmi i maca delikatnie.

– Tak.

– Przykro mi, Martin, musiałem sprawdzić, czy czaszka jest cała.

– I jest?

Chwila wahania.

– Nie.

– Tak mi się wydawało.

Olive podchodzi bliżej i wsuwa małą łapkę w moją dłoń.

– Pani Joyner, czy mogłaby pani podać Martinowi laudanum, kiedy ja go będę badał?

Becky wyciera osmalone dłonie w poły sukni i wyjmuje z torby lekarskiej szklaną butelkę.

– Ile?

– Wszystko.

– Ale czy to nie...?

– Wszystko.

– Rozumiem. – Prostuje się.

– Powinniśmy byli przyjść tu na samym początku – denerwuję się. – Zamiast gasić ogień. Powinniśmy byli...

– To i tak niczego by nie zmieniło – szepcze mi Jasper do ucha.

Nawet nie spojrzy na złamaną nogę Martina, tylko rozpiną mu koszulę, naciska różne punkty na brzuchu, co chwila przestaje, pochyla się nad nim, słucha oddechu. Becky tymczasem przykłada butelkę z laudanum do ust Martina. Krzywi się na smak, ale łyka posłusznie.

Olive wysuwa łapkę z mojej dłoni, bierze czystą ściereczkę z kuferka lekarskiego, moczy ją wodą z manierki i obmywa Martinowi twarz.

– Jeff – szepcze Martin i Jefferson natychmiast jest u jego boku. – Wyślij mutter całe moje złoto, dobrze? I powiedz, że żałuję. Tak bardzo żałuję, że ich zostawiłem...

– Nie zwracaj sobie tym głowy – mówi Jefferson. – Ani się obejrzysz, znowu będziesz ze mną polował na króliki.

– Jeff, proszę.

– Dobrze. – Jefferson mocno zaciska usta.

– A to laudanum... – mówi Martin rozmarzonym głosem. – Nic dziwnego, że pan Joyner tak je polubił.

– Olive – szepcze cicho Jasper. – Pochyl się nad nim i posłuchaj jego oddechu.

Z oczami wielkimi jak spodki spełnia jego polecenie.

– Słyszysz? – upewnia się. – To rżenie? Słyszysz, jaki mokry ma oddech?

Kiwa głową, za wszelką cenę starając się powstrzymać łzy.

– Zapamiętaj to sobie. Później o tym porozmawiamy – obiecuje Jasper.

Martin ma ciągle otwarte oczy, ale światło w nich gaśnie. A jednak nadal oddycha. Ledwo, ledwo, ale ciągle żyje.

Nagle ciszę przecina głos Henry'ego, jego silny, czysty tenor niesie się

echem wśród wzgórz.

Skryta w zagłębieniu Jego boskiej dłoni

Zdrajca tu nie trafi, wróg tu nie dogoni

Trosk tu nie uświadczysz, mroku cienia nie ma...

Martin wzdycha raz, głośno, głęboko, a potem... nic.

Przez chwilę stoimy nieruchomo, wpatrzeni w niego. Gdzieś z tyłu dobiega szloch Becky Joyner. Olive wdrapuje mi się na kolana i ukrywa buzię na mojej piersi. Obejmuję ją mocno.

Jefferson przeklina głośno i szpetnie, słowami, których nigdy nie słyszałam z jego ust. Odwraca głowę, żebyśmy nie widzieli jego twarzy.

– Zanieśmy go do obozowiska – proponuje Jasper tak zmienionym głosem, że serce mi się ściska. – Musimy go pochować.

– Ale co się stało? – Becky zaczyna krzyczeć. – Nie rozumiem! Hampton oberwał w głowę i nic mu nie będzie. Złamana noga? Co to dla ciebie? Jesteś lekarzem! Mógłbyś w jednej chwili...

– Ma złamany kręgosłup – tłumaczy Jasper cicho. – Podczas upadku doszło do przerwania rdzenia kręgowego. Organy przestawały działać. Gdyby to go nie zabiło, umarłby od urazu głowy. Ma strzaskaną czaszkę. Dziw, że wytrzymał tak długo.

– Och – szepcze Becky. Dobrze, że zapytała, bo dręczyły mnie te same wątpliwości.

Jefferson się odwraca. Ma mokre oczy.

– Nie ma jego colta – mówi. – Nie dość, że go zabili, to jeszcze obrabowali.

Henry klepie go po ramieniu.

– Chodź, pomożesz mi.

Henry i Jefferson podnoszą Martina – Henry chwyta barki, Jefferson nogi. Na jego twarzy maluje się rozpacz. Chciałabym do niego podbiec, objąć, pozwolić, żeby się wypłakał na moim ramieniu. A może to ja chcę się przy nim wypłakać. Najpierw Therese, teraz Martin. Biedni Hoffmanowie będą do końca życia przeklinali dzień, gdy postanowili wyruszyć na Zachód. Taki kawał drogi na nic, okupiony śmiercią dwojga dzieci.

Nie mogę na razie o tym myśleć. Wstaję, podnoszę Olive. Tuli się do mnie, gdy niosę ją do naszego spalonego obozowiska.

Major także wraca. Niesie coś na barkach, coś, co zwisa mu z szyi.

– Nie! – krzyczy Jefferson. Upuszcza nogi Martina i zaczyna biec.

Nugget. Na złocistej sierści czerwienią się plamy krwi.

– Oberwała – mówi major.

Olive wyrывa się z moich objęć. Puszczam ją, nagle odrętwiała. Nie wiem, jakim cudem jeszcze trzymam się na nogach. Znałam Nugget od szczeniaka. Pokonała z nami drogę przez cały kontynent, aż z Georgii.

Jefferson pochyla się, żeby pocałować ją w pysk. Nugget macha ogonem, raz, słabo i wysuwa różowy język, żeby polizać go po twarzy.

– Ona żyje! – woła Jeff z radością. – Ty głuptasko, w coś ty się wpakowała?

– Tylna łapa – sapie major. – Nie może chodzić, ale kość jest chyba cała.

I to przelewa czarę. Tama puszcza. Zaczynam szlochać. Nie wiem, jakim cudem trzymałam się w ryzach do tej pory, a teraz, przy pierwszej dobrej nowinie, rozsypuję się na kawałki, nagle osuwam się na kolana i szlocham na całe gardło.

Przez łzy widzę, jak do obozowiska powoli schodzą się Stary Tug i jego poszukiwacze. Zdążyli już wydeptać wąską ścieżkę wzdłuż stawu i potoku. Szybko ścieram łzy i staram się wziąć w garść.

– Bardzo mi przykro, panowie – słyszę roztrzęsiony głos Becky. – Ale dzisiaj śniadania nie będzie.

Górnicy z Ohio z ponurymi minami rozglądają się po naszym obozowisku, a potem w milczeniu podejmują decyzję. Stary Tug chwyta za szpadel. Kto inny naciąga rękawice. Bez wahania, bez słowa, biorą się za sprzątanie.

Olive zaciska małe piąstki. Podchodzi do majora i Jeffersona, pochylonych nad ciałkiem Nugget.

– Wyleczę cię, Nugget – mówi z rękami na biodrach. – Zobaczysz, jak cię wyleczę.

Chowamy Martina na łące. Podłoże jest zbyt skaliste na kopanie głębokiego grobu. Tak samo jak jego siostrę kilka miesięcy wcześniej, chowamy go najstaranniej, jak umiemy, i układamy na grobie stertę kamieni, by miejsce spoczynku przyjaciela było dobrze widoczne. Siekierką majora ścinam gałęzie, ociosuję je z kory i klecę prosty krzyż, który Jefferson wbija w ziemię, tak samo, jak paliki wyznaczające nasze działki.

Po dwóch dniach deszczu zgliszcza stygną na tyle, że możemy je wreszcie porządnie przeszukać. Najmniej szkody ogień wyrządził piecom. Są teraz paskudne, czarne od sadzy, drzwiczki jednego zwisają na wypaczonych zawiasach, nadtopionych przez żar. Major piłuje je godzinami, aż otwierają się i zamykają z pojedynczym zgrzytnięciem. Nasz olej spłonął, więc nie można nic już na to poradzić.

Straciliśmy wszystko, co było w chacie – pozostałe meble Joynerów, ich łoże, naczynia i zapasy Becky, jej papeterię i eleganckie pióro, i całą skrzynkę amunicji. Jednak nie na darmo wbiegła do płonącego domku. Zdążyła zabrać dokumenty potwierdzające jej prawo do ładunku w San Francisco oraz woreczek pełen złota i monet – zapłatę za śniadania dla górników.

W chacie był jeszcze jeden worek złota, którego nie zabrała – ten w którym znajdował się złoty piasek, wyplukany przez Olive i Andy'ego, i szczypty od górników. Drugiego dnia po pożarze Tom przesuwa spalony sosnowy konar i resztki krzesła i naszym oczom ukazuje się cienki, nierówny arkusz złotej blachy.

Złoto w woreczku stopiło się, rozlało w nierówny, okrągły kształt, trochę jak podpłomyk Becky, tylko że w przeciwieństwie do nich lśni, gdy go płuczemy z sadzy.

Złoto nie topi się tak łatwo. Ktoś zadbał, by ogień był naprawdę gorący.

W kufrze, który uratowałam z szałasów studentów, były różności – ubrania, narzędzia, świece, pióra i atrament. Ale też – co tłumaczy jego ciężar – książki z czasów ich studiów w Illinois. Kiedy okazuje się, że ocalałam opasłe księgi, Henry zalewa się łzami, a Tom obejmuje mnie tak mocno, że obawiam się, że zmiażdży mi wszystkie kości.

Peonia, Kara, Apollo i Artemida wracają do na wpół spalonej zagrody. Milę dalej znajdujemy wałacha Joynerów, skubiącego listki dębu, jak gdyby nigdy nic. Chyba jednak cieszy się na nasz widok, bo nie protestuje, gdy prowadzimy go do domu.

Konia pociągowego ani wołów już pewnie nigdy nie zobaczymy.

Przy wsparciu górników sprzątamy, ratujemy, co się da, działamy. Dzieci pomagają, jak mogą, ale czasami tylko nam przeszkadzają, kręcąc się pod nogami, i wtedy Becky wysyła je nad potok, żeby płukały złoto. Ale pilnuje, żeby zawsze były w zasięgu wzroku. Już nikt nigdzie nie oddala się w pojedynkę.

Wieczorem drugiego dnia wszyscy siadamy na drewnianych pieńkach, które zastępują nam spalone meble. Becky nie miała siły gotować, czego nikt nie ma jej za złe, więc jemy zimną owsiankę z odrobiną bekonu i soli dla smaku. Towarzyszą nam Stary Tug i kilku innych poszukiwaczy złota. Harowali z nami przez cały dzień i kolacja to minimum, co możemy dla nich zrobić.

Nawet Hampton do nas dołączył. Jasper wolałby, żeby się nie oddalał, przynajmniej póki nie nabierze pewności, że po wstrząsie mózgu nie ma już śladu, i póki w okolicy kręca się mordercy i podpalacze.

Patrzę, jak poszukiwacze mierzą go badawczym wzrokiem.

– Nie wiedziałem, że macie Murzyna – odzywa się Stary Tug.

– Hampton jest wolny – odpowiadam ostrzej niż zamierzałam.

– Przyjechał tu z nami aż z Missouri – dodaje Henry. – Ręczymy za niego.

– A, to mnie cieszy – mówi Tug. – Bo my z Ohio w większości popieramy ruchy abolicjonistyczne. Nie lubimy niewolnictwa. – Pozostali poszukiwacze pomrukują twierdząco, a mnie kamień spada z serca. Tug pluje tytoniem na ziemię, ściera resztki z brody i oznajmia: – Skoro to już jasne, chciałem powiedzieć, że ja i część moich towarzyszy rozważa, czy nie przenieść tu naszych namiotów.

Nikt się nie odzywa.

– Nasze działki zostałyby tam, gdzie są, ma się rozumieć – dodaje. – Ale zamieszkalibyśmy tutaj. O ile oczywiście nie macie nic przeciwko temu. To dobre miejsce na miasto.

– I nie musielibyśmy taki kawał wędrować na śniadanie – dorzuca ktoś.

Studenci pochylają głowy i naradzają się szeptem. Major i Becky wymieniają porozumiewawcze spojrzenia i kiwiają głowami. Jefferson pochyla mi się do ucha.

– Powinniśmy się nad tym zastanowić.

Nagle wszyscy towarzysze patrzą na mnie. Wiem, dlaczego tak jest. Chodzi o mój sekret. A także o to, że winny śmierci Martina jest prawdopodobnie mój wuj.

Niełatwo będzie zachować moją tajemnicę, mając ich tak blisko. Ale zważywszy na ostatnie wydarzenia, nie sądzę, żeby mogło nam grozić jeszcze większe niebezpieczeństwo niż to, czego już doświadczyliśmy... a kilku groźnych mężczyzn w obozie może okazać się bardzo przydatnych.

Chrząkam głośno.

– Panie Tug, właściwie sami jeszcze nie wiemy, czy tu zostaniemy. Nie zdecydowaliśmy dotychczas, czy odbudujemy obóz, czy ruszamy dalej.

Marszczy brwi.

– Niby czemu nie?

– Straciliśmy przyjaciela – zauważa Becky miękko, o wiele delikatniej niż gdybym ja miała to powiedzieć. – Nie wiem, czy zdołamy się pogodzić z kolejną utratą, jeśli ktoś jeszcze miałby zginąć. – Głos jej się łamie przy tych słowach. Pochyla się nad głową małego, pewnie po to, żeby ukryć łzy.

– Ten ogień ktoś podłożył celowo – mówi Henry. – Ogłuszył wartowników, postrzelił psa i podłożył ogień. Nie jesteśmy pewni, czy to miejsce jest bezpieczne.

– Wiadomo, że nie – prycha Stary Tug. – Toż to Kalifornia, piękniśiu.

– Niebezpieczne szczególnie dla nas – uściślam.

Wzrok towarzyszy kieruje się na mnie. Widzę jedno wielkie pytanie w ich oczach: powiem czy nie?

– Dlatego, że... Że to złotodajne ziemie, jak sami dobrze wiecie. Przecież dobrze się wam powodzi, może nie? Dzień w dzień stać was na kupowane śniadanie.

Kiwają twierdząco głowami.

– Czegoś takiego nie sposób zachować w tajemnicy – ciągnę. – Wszyscy będą chcieli naszej ziemi.

– Jeśli już, ziemi Indian – mamrocze Jefferson.

Rumienię się. Ma rację. Palnęłam głupstwo.

Hampton wstaje. Jasper spina się w sobie, gotów podtrzymać go, gdyby chwiał się na nogach, ale Hampton trwa nieruchomo jak dąb.

– Ja się stąd nie ruszam – oznajmia. – Zaledwie kilka dni temu miałem dach nad głową, żeby żonie było ciepło, i złoto, żeby ją wykupić. Teraz prawie wszystko straciłem, ale nie poddam się. Odzyskam to wszystko, co do okruszynki.

Siada z powrotem.

– Ja też nie – odzywa się Jasper. – Od wielu miesięcy was leczę. Może

nawet... – Peszy się, opuszcza wzrok. – Może nawet uratowałem komuś życie. Robię to, po co tu przyjechałem. Nie zrezygnuję.

– Ja jeszcze nie wiem – przyznaje Tom.

– Rozważamy wyjazd do San Francisco – tłumaczy Henry.

– Chcę zajmować się prawem – dodaje Tom. – To był mój cel od samego początku. I wydaje mi się, że do tego celu najlepsze jest San Francisco.

– Ja pojedę tam, gdzie Lee – deklaruje Jefferson.

– Majorze? – pytam, głównie po to, żeby odwrócić uwagę ode mnie i Jeffa.

Major ma w dłoni płat grubej skóry i szewskie kopyto. Szyje buciki dla małej Olive, bo wyrosła z ostatniej pary. Głęboko nabiera tchu, a kiedy podnosi głowę, patrzy na Becky błagalnym wzrokiem.

Wstrzymuję oddech. Zakochał się, to pewne jak słońce. I to po uszy. Major Wally Craven oszalał na punkcie wdowy Joyner.

– Becky? – pyta niemal szeptem.

Becky mruga szybko, czerwona po uszy.

– Boję się – przyznaje. – Może powinnam wracać do domu, do Tennessee, jeśli tym sposobem zapewnię dzieciom bezpieczeństwo. Ale... – Patrzy majorowi prosto w oczy. – Ale nie chcę.

Stary Tug gryzie koniuszki wąsów.

– A czego pani chce, pani Joyner? – pyta z delikatnością, o którą go w życiu nie podejrzewałam.

Becky uśmiecha się w odpowiedzi.

– Chcę dalej serwować panu śniadanie, Tug. Wam wszystkim z Ohio. Chcę tu, w Kalifornii, stworzyć dom dla siebie i dzieci. Chcę... – Tym razem patrzy na mnie. – Chcę zostać z przyjaciółmi.

Nagle coś boleśnie ściska mnie za gardło.

– Ja też chcę zostać – mówię. Jasper uśmiecha się do mnie z ulgą, ale gestem daję znać, że za wcześnie na świętowanie.

Nie ma co ukrywać, że nasze życie jest w niebezpieczeństwie. Przyjaciele oszaleli, chcąc tu zostać. Złoto pozbawiło ich rozumu. Może mnie także. Zdziwiający, do czego człowiek jest zdolny w imię odrobiny nadziei.

– Zostanę, ale pod jednym warunkiem – mówię. – Dowiem się, kto nam to zrobił, i zakończę tę sprawę raz na zawsze. Tylko wtedy będziemy naprawdę bezpieczni.

Stary Tug kiwa twierdząco głową, ale mnie interesuje jedynie reakcja przyjaciół. Oni także kiwają głowami, choć wiedzą doskonale, kogo podejrzewam, o kim mówię. To sprawka mojego wuja, Hirama Westfalla, to pewne jak to, że słońce zachodzi nad Pacyfikiem.

– Ja się zgadzam – mówi Jefferson. Podnoszę wzrok. Patrzy na mnie rozpalonymi oczami.

– W takim razie... – Spoglądam na Tuga. – Skoro moi towarzysze nie mają nic przeciwko temu, zapraszam was oficjalnie do naszego obozowiska. Chętnie powitamy nowych kompanów.

I więcej broni, to przede wszystkim mam na myśli i chyba każdy myśli to samo.

– O ile będziecie trzymać się z daleka od naszych działek – zaznacza Jefferson.

Stary Tug uśmiecha się szczerbato.

– Chyba wy od naszych. Wprowadzamy się jutro.

Rozdział 8

Niełatwo o drewno na odbudowę. Ścięliśmy tyle drzew na chatę i drewno opałowe – które całe poszło z dymem – że czeka nas długa wędrówka po drewno. Zaprzęgamy konie i ściągamy ścięte drzewa. Nasze wzgórze jest czarne, a jesienne błoto wyjątkowo grząskie, bo pełne popiołu. Ścinamy kolejne drzewa i otaczające nas wzgórza też pustoszeją. Wiatr i deszcz bardziej dają się nam we znaki, a błoto nigdy nie wysycha.

Bobry wynoszą się znad swojej tamy. Nie dziwię się im. Przez pewien czas współegzystowaliśmy w pokoju, na krańcach rozlewiska, tylko czasami słyszeliśmy płaski ich ogonów. Ale kiedy Kasztanki¹ rozbili swoje namioty, zrobiło się nagle za dużo ludzi.

Z brzegów stawu i potoku znika trawa, zdeptana buciorami poszukiwaczy. Jelenie, które dawniej zaglądały na łąkę, już w ogóle się nie pokazują. Hampton przy pomocy kilku z Ohio powiększa zagrodę, żeby zmieściły się też nowe konie. Po tygodniu trawa jest wyskubana. Od tej pory pasza będzie nas więcej kosztować.

Nie widzę ani jednego Indianina. Nie daje mi spokoju myśl, że choć są na tyle blisko, że mogą pospieszyć nam z pomocą, nigdy się nie pokazują. Becky się ich śmiertelnie boi, ja jednak podejrzewam, że budzimy w nich jeszcze większe przerażenie. Może Jefferson ma rację i zajmujemy ich ziemię.

Jestem tak zmęczona szukaniem złota, kuciem skały, rąbaniem, dźwiganiem i trzymaniem warty, że bolą mnie wszystkie kości. Śpię na wilgotnej, zimnej ziemi, pod cienkim kocem, który dostałam w zamian za dwie królicze skórki. Czasami marznę tak bardzo, że zabieram posłanie i idę spać do zagrody, do Peonii. Ziemia jest równie zimna i błotnista, powietrze ciągle cuchnie popiołem, ale tu przynajmniej wiem, że czuwa nade mną, że choć śpi, nigdy na mnie nie nadeptnie. To ogrzewa mi serce, choć nie ciało.

Becky zapewnia, że gdy tylko odbudujemy chatę, będę mogła spać z nią i jej dziećmi w środku, i chętnie skorzystam z tej propozycji. Jednak to trochę potrwa. Studenci wyruszają do Mormon Island z resztkami naszego złota i przynoszą ponure wieści; większość ludzi wyruszyła do Sacramento za pracą, żeby tam przeczekać zimę, i trudno o wszystko, czego potrzebujemy, a zwłaszcza o płótno, młotki i kurczęta.

A więc jeszcze długo nie będzie szalasów, jajek, kurnika i chaty.

Przywożą jednak mnóstwo owsa, bekonu, fasoli, mąki i kawy, a Kasztanki ani razu nie narzekają, że co rano właściwie dostają to samo na śniadanie.

Pewnego dnia kładę się spać po długiej warcie, tym razem blisko Jeffersona, na twardym skrawku ziemi, aż boli mnie kark, ale za to przynajmniej nie ma tu tyle

błota. Jesteśmy z dala od obozowiska i jego odgłosów. Budzi mnie słońce łaskoczące w zamknięte powieki. U mego boku, bliżej niż wypada, Jefferson chrapie jak lokomotywa.

Uprzątnęliśmy obozowisko na tyle, na ile się dało, w miejsce dawnych szałasów wyrastają prymitywne osłony przed deszczem i wiatrem. Znajduję mnóstwo złota, dyskretnie, żeby nie budzić podejrzeń Kasztanków. Muszę dotrzymać słowa. Dzisiaj spróbuję się dowiedzieć, kto podłożył ogień.

Najpierw pojedę w dół potoku, przekonać się, czy nadal są tam ci, którzy nas przegonili z poprzedniego miejsca. Jeśli ktoś może wiedzieć, co się tu święci, to właśnie banda wścibskich poszukiwaczy złota, którzy ze swego punktu nad potokiem widzą całą okolicę. Jefferson się zdenerwuje. Ci ludzie są niebezpieczni, to fakt, ale ja też.

Mrugam niespokojnie, usiłuję zebrać w sobie dość sił, by wstać, ale nagle całe ciało wydaje się ciężkie jak z ołowiu. Może jeszcze kilka minut drzemki. Jefferson przez sen odwraca się na bok i obejmuje mnie ciężkim ramieniem.

Zastygam w bezruchu.

Spaliśmy obok siebie przez całą drogę do Kalifornii, pod wozem Joynerów albo nieco dalej, ale teraz jest inaczej. Każde przypadkowe muśnięcie przyprawia mnie o szybsze bicie serca i rumieniec na policzkach.

Przestaje chrapać. Wydaje mi się to podejrzane. Może tylko udaje, że śpi.

– Jeff? – szepczę.

– Nie dręcz śpiącego – mamrocze.

Nie mam pojęcia, co we mnie wstępuje, ale nagle moje ciało żyje własnym życiem. Wtulam się w niego i szepczę:

– Zimno mi.

Wstrzymuje oddech, a potem przyciąga mnie do siebie, tak że przywieramy do siebie udami, a nosem dotykam jego szyi. Gładzi mnie po głowie, wplata palce w moje włosy. Jest jak piec, emanuje ciepłem, pachnie wilgotną ziemią, ogniskiem i łojem, którym konserwuje swoje siodło.

– Lepiej? – szepcze mi do ucha.

Dziwne, jego bliskość sprawia, że jestem bardziej świadoma samej siebie. Czuję jego oddech na karku, jego dłonie na plecach, jego ciepłą skórę pod wargami, która sprawia, że...

– Mogę cię pocałować? – pyta szeptem.

Uderzenie serca. I jeszcze jedno.

– Tak.

Dotyka ustami mojego policzka, delikatnie, czule, aż w brzuchu wybucha mi płomień. Całuje mnie dalej równie delikatnie, ale coraz bliżej ust. Odgarnia włosy z czoła, muska dłonią policzek, gładzi kciukiem kości policzkowe.

Patrzy mi prosto w oczy, daje jasno do zrozumienia, co zamierza.

– No bo już najwyższy czas – szepcze. A potem zamyka mi usta pocałunkiem.

Początkowo jego wargi są nieśmiałe, pełne wahania, jakby chciał pytać o coś, na co nie znam odpowiedzi, przynajmniej słowami, bo inne części mojego ciała odpowiadają aż nader ochoczo; wtulam się w niego, zarzucam mu ręce na szyję, żeby nie mógł mi uciec.

Z jękiem pogłębia pocałunek, wsuwa mi dłoń pod koszulę, dotyka skóry na plecach i, ot tak, nie ma mnie, nie wiem, gdzie jestem, co się dzieje. Wiem tylko, że jest przy mnie Jefferson, znajomy i zarazem całkiem obcy, on i to poczucie, że nigdy nie będę miała go dosyć. Zbyt wiele przestrzeni nas dzieli, za dużo powietrza, ubrań, rozpaczy.

Odrywa się ode mnie. Nagle zimno mi w usta. Cały czas dotyka palcami moich pleców. Opuszcza je niżej, dotyka paska spodni. Czuję, że zrzucam starą skórę, mrugam szybko, żeby się upewnić, że nie otacza nas obłok złotego pyłu.

– Leah – szepcze. – Wyjdź za mnie.

Jak kubek lodowatej wody z potoku wylany mi na głowę.

– Ja...

– Lee McCauley! – woła ktoś z daleka. Szorstki, denerwujący męski głos. – Lee McCauley!

Patrzymy na siebie niespokojnie.

– To Frank Dilley – mówi Jefferson.

Podrywam się, naciągam buty. Serce wali mi jak oszalałe. Nie mam pojęcia, czego chce, ale było tylko kwestią czasu, że wróci i czegoś zażąda. Może tym razem przyjechał z nim mój wuj. Może chce nas na dobre stąd wykurzyć.

Mój rewolwer znajduje się w sakwie siodła, które służy mi za poduszkę, ale zazwyczaj nie jest naładowany, zwłaszcza przy ciągłym deszczu. Jefferson zakłada buty i chwytając colta, a ja nabijam pistolet. Zmuszam się, by działać powoli, starannie, żeby nie rozsypać prochu na ziemię. Zakładam kaburę na biodra i wsuwam do niej pistolet.

Jefferson zakłada szelki.

– Chodźmy. – Wsuwa colta do kabury.

Henry dogania nas w połowie drogi do obozowiska. Mimo pośpiechu i niepokoju ma starannie zrobiony przedziałek i zaczesane włosy, i czystą, wyprasowaną koszulę.

– To Dilley – mówi. – Chce dobić targu, ale będzie rozmawiał tylko z tobą, Lee.

– Gdzie Hampton? – pytam.

– Zdażył się schować.

Jeden powód mniej do zmartwień.

– Cóż, przekonajmy się, co ma nam do zaproponowania.

– Jest z nim wielebny Lowrey.

– Co? – Jefferson podnosi głos. Nigdy nie przepadał za wielebnym, zwłaszcza kiedy ten poprosił mnie o rękę, jeszcze w drodze, niedaleko Soda Springs. A już całkiem go znieubił, gdy Lowrey odjechał razem z Dilleyem i jego ludźmi z Missouri, zostawiając nas pośrodku pustyni, właściwie bez zapasów, za to z Becky w połogu. – Ten paskudny...

– Spokojnie, Jeff. Nerwy w niczym nie pomogą. – Mama zawsze mi to powtarzała. Kiedy zbiegamy ze wzgórza, odruchowo zaciskam palce na złotym medalionie na szyi.

Obozowisko żyje. Znad pieca Becky unosi się dym, powietrze przepelnia zapach drewna i chleba kukurydzianego. Wszyscy zerwali się na równe nogi, na prowizorycznym stole Becky stygną śniadania. Major, studenci i Kasztanki stoją nierówną grupą, razem przeciwko nowo przybyłym – Frankowi Dilleyowi, wielebnemu Lowreyowi i chyba ośmiu innym jeźdźcom za nimi.

Andy i Olive skulili się przy drzwiach do chaty. Mam nadzieję, że nic im nie grozi. Olive tuli do siebie małą siostrzyczkę.

– Pan McCauley. – Frank uchyla kapelusza. – I Jefferson. – Frankowi nigdy za wiele durnych żarcików.

– Czego chcesz, Frank? – Kładę dłoń na rękojeści rewolweru. – Wykupić nasze działki?

Bo jeśli tak, już ja mam dla niego zapłatę.

– Chcę negocjować – odpowiada. – Pamiętasz wielebneho?

– Pamiętam łotra, który porzucił nas na pustyni. – Patrząc Lowreyowi prosto w oczy, dodaję: – Myślałam, że masz dość wstydu, by się nam nie pokazywać.

– Panno Westfall – zaczyna, po raz pierwszy nazywając mnie właściwym nazwiskiem, i nie wiadomo dlaczego, to przeraża mnie do głębi. Wielebny tuli do piersi Biblię; jeździ wierzchem, a jednak nadal taszczy tę wielką księgę ze sobą. Przez chwilę wyobrażam sobie mściwie, jak wąż płoszy jego konia, a on spada na ziemię. – Moim powołaniem jest nieść górnikom Słowo Boże – mówi. – I wysłucham Pana bez względu na koszty osobiste.

Jasper parska głośno.

– Och, na pewno to była nie lada ofiara, odwrócić się od ludzi w potrzebie i uciekać co sił w nogach. – To Jasper ratował Therese. Na darmo. Nie chce o niej rozmawiać. Póki żyła, chyba za sobą nie przepadali, ale teraz czasami wydaje mi się, że jej śmierć sprawia mu tyle samo bólu, co mnie i Jeffowi.

– Do rzeczy, Frank – mówi major. Wygląda groźnie, z rozwianą brodą, o potężnych, umięśnionych ramionach i bystrym, czujnym, wilczym spojrzeniu. Na co dzień jest dobry i troskliwy i wtedy zapominam, że wielu widzi w nim bohatera wojennego.

Stary Tug i jego chłopcy z Ohio obserwują czujnie, jak Frank Dilley

przerzuca nogę przez siodło i zeskakuje na ziemię. Podchodzi do mnie i chociaż odruchowo chcę się cofnąć, oddalić, zmuszam się, by zostać w miejscu.

– Mam dla was propozycję – oznajmia, choć patrzy tylko na mnie. – Do uszu pewnego szlachetnego dżentelmena doszły wieści o nieszczęściu, które was spotkało, o pożarze i tak dalej.

Jefferson staje koło mnie z dłonią na rękojeści colta.

Dilley zerka na niego niespokojnie, ale brnie dalej:

– Dżentelmen ów, któremu nie brakuje ani złota, ani miłosierdzia, oferuje dobrą cenę za działki w tej okolicy.

Rozlegają się pomruki.

– Dlaczego tutaj? – pytam, a jednocześnie jeden z Ohio woła:

– Ile niby?

– Mój chlebodawca zna się na poszukiwaniu złota – ciągnie Dilley. – Uważa, że to złotonośne tereny, ale kruszec kryje się głęboko pod ziemią. Potrzeba pieniędzy, sprzętu i robotników, żeby je wydobyć. Chce zainwestować w te tereny.

Wymieniamy z Jeffersonem spojrzenia. Nie tego się spodziewaliśmy.

– Proponuje po trzysta dolarów za działkę, a ci, którzy zdecydują się sprzedać, będą mieli prawo pierwszeństwa przy zatrudnieniu w jego nowo powstałej firmie.

Pomruki są coraz głośniejsze. W oczach Ohio to hojna propozycja, ale nie mają w swoich szeregach małej czarownicy. Moje złotowidzenie oznacza, że nasze działki są warte dziesięć razy więcej, niż proponuje Dilley, ale o tym wiedzą tylko moi. Cóż, oni i wuj, który zapewne domyślił się, że wybierzemy najbardziej złotonośny zakątek w okolicy.

– Trzysta dolarów to mnóstwo pieniędzy – zauważa Stary Tug.

– Bez przesady – zauważa Jefferson. Kopię go w kostkę, żeby się zamknął.

– Pod jednym warunkiem – dodaje Dilley, cały czas wpatrzony we mnie.

Nogi się pode mną uginają. A więc teraz to usłyszę. Cios wuja.

– Mój chlebodawca żąda, żeby panna Leah Westfall wróciła z nami do Sacramento.

Wszyscy patrzą na mnie, a jest tak cicho, że chyba usłyszelibyśmy wędrowną dżdżownicę pod ziemią.

Gdzieś z tyłu rozlega się wysoki, kobiecy głos.

– A ten pański chlebodawca nie nazywa się przypadkiem Hiram Westfall? – woła Becky. Bogu dzięki, zadała pytanie, które cały czas chodziło mi po głowie, ale którego nie potrafiłam wypowiedzieć.

– A tak, tak się składa, że to właśnie on. O ile mi wiadomo, bratanica uciekła od niego jeszcze w Georgii. I ukradła mu konia. – Dilley uśmiecha się od ucha do ucha, a ja mam wrażenie, że zaciskają się na mnie metalowe szczęki pułapki. – Żarty się skończyły, chłopcze – mówi.

Zaciskam zęby tak mocno, że boli mnie cała szczęka, odruchowo chcę puścić się do ucieczki. Za trzy minuty mogę być na grzbiecie Peonii, w połowie drogi do Oregonu, zanim Dilley zdąży splunąć.

– Lee nigdzie nie jedzie – mówi Jefferson stanowczo.

– Ejże, chwileczkę – wtrąca się Stary Tug. – To jest uczciwa propozycja. Może się nad nią zastanowimy. – Jego towarzysze pomrukują z zadowoleniem.

– To pewnie oni podpalili nasze obozowisko – zauważa Jasper, na tyle głośno, że słyszą go stojący w pobliżu i pomruki milkną. – Wuj Lee to podstępny gad. Nie radzę wierzyć w jego obietnice.

– Umowa z panem Westfallem to jak umowa z samym diabłem – dodaje Becky głośno.

Tym razem włącza się wielebny Lowrey.

– Pan Westfall proponuje także swoją ochronę. Już nigdy więcej nie zagrozi wam pożar.

Major Craven opiera się na kuli.

– To jego sprawka, Dilley? Nasłał cię, żebyś podпалиł nasz obóz? To robota Westfalla? Wiesz, że mały Hoffman zginął, prawda? Jesteś mordercą, Frank, ot co. – Potrząsa głową. – Pamiętasz, jak proponowałeś, że skrócisz moje cierpienie? Po szarży bizonów?

Frank dotyka strzelby przy siodle.

– Oferta nadal aktualna, Wally.

– Cóż, już wtedy wiedziałem, że z ciebie drań, ale zawiodłeś mnie, Frank, bardzo mnie zawiodłeś. Nie spodziewałem się, że jesteś tak do szpiku zepsuty.

Wielebny najeża się.

– Czy wyście wszyscy całkiem zdiczeli? – krzyczy. – Pan Westfall oferuje wam bezpieczeństwo, uczciwą pracę za uczciwe wynagrodzenie. – Kręci głową, jakby dopadł go wielki smutek. – Chciwość jest źródłem wszelkiego zła i...

– Och, zamknijże się już! – krzyczę. Mam dość tych podłych, nieuczciwych łotrów. – W tej chwili nikt tu nie ma głowy do słuchania Pisma, a już na pewno nie z twoich ust.

Prostuje się w siodle i otwiera usta, żeby zaprotestować.

– Chyba mi się znowu nie oświadczysz, klecho! Bo jeśli jednak, tym razem odmowie będzie towarzyszył kopniak!

– Uważam...

– A ja uważam, że na ciebie już czas. Powiedziałeś, co miałeś do powiedzenia.

Frank Dilley rozgląda się w poszukiwaniu wsparcia. Przygryza wąsy.

– Wyglądasz mi na rozsądnego człowieka – zwraca się do Starego Tuga.

– Rozsądnego i przystojnego. – Tug uśmiecha się pod wąsem. – Ale nie znam pana w ogóle. Za to znam wdowę Joyner, która najwyraźniej nie darzy pana

sympatią, podobnie jak moja przyjaciółka panienka Lee, a to wystarczy, bym nie marnował czasu na zastanawianie się nad pańską ofertą.

– Radziłbym ją jednak przemyśleć – rzuca Dilley i wsiada na konia. – Byłaby straszna szkoda, gdyby to miejsce dotknęła kolejna tragedia, a pan Westfall nie zdążył objąć was wsparciem.

Ciszę przerywa trzask odwodzonego kurka.

Dilley wie, że czas się wycofać.

– Za trzy dni wrócę po waszą odpowiedź. Lee, pakuj się i bądź gotowa do drogi.

Cmoka na konia i zawraca, a w ślad za nim rusza wielebny Lowrey i pozostali z Missouri.

Szepty zaczynają się, ledwie znikną między drzewami. Ohio rozważają propozycję wuja, nieważne, co powiedział w ich imieniu Stary Tug. Byliby idiotami, gdyby tego nie zrobili.

– Naprawdę uważasz, że to twój wuj nasłał na nas zbirów, żeby spalili obóz? – pyta Jefferson.

– A kto inny? – odpowiada pytaniem Jasper.

Becky wzięła małą na ręce i podchodzi do nas, klepiąc ją po pleckach.

– Tu jest Kalifornia – zauważa. – Nie brak tu łobuzów i drani.

Stary Tug i jego towarzysze udają, że nas nie słuchają, ale nadstawiają ucha jak koty. Starannie dobieram słowa.

– Co prawda nie mamy na to żadnych dowodów – zaczynam. – Ale wiem, że to on zabił moich rodziców i pozbawił mnie naszej ziemi. Jest do tego zdolny, to jasne jak słońce.

Major w zadumie gładzi się po brodzie.

– Trochę myślałem o tym pożarze – zaczyna.

Dołączają do nas Jasper, Tom i Henry. Jak narada włodarzy miasta. Kasztanki siedzą nieco dalej, szepczą coś między sobą, ale chłoną każde słowo.

– Wszyscy wiemy, że to było podpalenie – ciągnie major. – Ktoś unieszkodliwił Hamptona i Martina. Ogień podłożono w co najmniej dwóch miejscach jednocześnie – przy szopie z paszą i pod chatą. Prawdopodobnie podpalacz użył nafty albo nawet prochu strzelniczego, bo ogień płonął na tyle mocno, że stopił złoto. Wiemy też, że był uzbrojony, bo postrzelił sukę Jeffersona.

Na razie nic nowego. Od samego początku wiedzieliśmy, że to było podpalenie, i właśnie dlatego padamy z nóg – bo cały czas zachowujemy podwyższoną czujność.

– Do czego zmierzasz? – pyta posępnie Jasper.

– Dlaczego zwyczajnie nie zastrzelili Hamptona i Martina? Z punktu widzenia podpalacza byłoby to o wiele łatwiejsze. Nie musiałby się do nich zbliżać.

– Może było za ciemno na strzały – podsuwam. Przypomina mi się czarna, bezksiężycowa noc.

Major wzrusza ramionami.

– Może. Ale moim zdaniem, jeśli ktoś się zakrada, robi to w jednym celu.

Jefferson kiwa głową.

– Żeby zaatakować z zaskoczenia.

– No właśnie – ciągnie major. – Napastnik nie chciał, żeby zaalarmował nas huk wystrzału. Chciał, żeby ogień się rozprzestrzenił. – Chwila wahania. – Póki śpimy.

Ziemia usuwa mi się spod nóg. Nigdy nie byłam słabą kobietą i nie mdlałam, i nie zamierzam zacząć teraz, ale na wszelki wypadek przysuwam się do Jeffersona, żeby mieć się kogo przytrzymać, gdyby przyszło co do czego.

– Chcecie powiedzieć, że podpalacza nie obchodziło, ile osób przy tym zginie – szepczę. – Ba, może nawet liczył na więcej ofiar.

Major nie odpowiada, ale zaciska usta w wąską linię.

– Ale to bez sensu! – protestuję. – Przecież wuj chce mnie żywą. – Ciszej, żeby nie słyszeli mnie ci z Ohio, dodaję: – Wiecie przecież, że chodzi mu o mnie.

– Wujowi owszem – przyznaje Becky. Mała czka, mleko ulewa się z malutkiej bużki. Becky wyciera ją skrajem fartucha i dodaje: – Ale nie zdziwiłabym się, gdyby Dilley posunął się dalej, niż mu przykazano, z czystej złości. Nienawidzi nas, jestem tego pewna.

– Ale co my mu takiego zrobiliśmy? – dziwi się Jefferson.

– Żyjemy – odpowiada krótko Tom. – Popatrz na nas. Pomyśl, kim jesteśmy.

Półkrwi Indianin, jednonogi weteran, trzech zatwardziałych kawalerów i dwie kobiety. Frank nie ma pojęcia, że mamy też zbiegłego niewolnika, ale prędzej bym umarła, niż mu powiedziała.

– Doskonale jeździsz konno, Lee – zauważa Tom. – I strzelasz celniej niż Frank, lepiej niż on spisujesz się na polowaniu. Sprzeciwiłaś mu się publicznie – i to więcej niż raz. A do tego okazałaś się dziewczyną.

Powiedział: dziewczyna, jakby mówił: złodziej czy morderca, jakby to była najgorsza rzecz na świecie. Wiem, że Tom tak nie uważa, za to Frank Dilley – zapewne tak. Dilley to jeden z tych, którzy mają się za lepszych od innych tylko dlatego, że jest białym mężczyzną. A jeśli fakty dowodzą czegoś innego, zniszczy fakty.

– Dobrze, że nie wie o mnie wszystkiego – mruczę.

– Więc co robimy? – dopytuje Jefferson.

Henry milczy cały czas. Wpatruje się w swoje buty, niespokojnie szura nogami w błocie.

– Ja zrobię, co zechcecie – mówi cicho.

– Nie masz zdania? – dziwi się major.

Henry nieśmiało wzrusza ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie jestem przekonany, że poszukiwanie złota to coś dla mnie. Chciałbym kiedyś zobaczyć San Francisco, może nawet Oregon. Ale... – Spogląda na Toma. – Nie chcę rozstawać się z przyjaciółmi.

Jasper chce zaprotestować, ale nie dopuszczam go do głosu.

– Pewne rzeczy po prostu nie trzymają się kupy – mówię. – No wiecie, jeśli chodzi o mojego wuja.

– Na przykład? – pyta Jasper, mrużąc oczy w porannym słońcu, które już wzeszło nad górami.

– Dilley mówił o nim jak o kimś bogatym i potężnym. I tak jest, przynajmniej do pewnego stopnia. W domu, w Milledgeville, był znanym prawnikiem i dobrze mu się wiodło. Ale nie był aż tak bogaty.

– Ukradł całe twoje złoto, zapomniałaś już? – zauważa Jefferson, a ciszej, żeby Kasztanki nas nie słyszeły, dodaje: – Zabrał wszystko, co zgromadziliście, ponad tysiąc dolarów! I sprzedał waszą ziemię, prawda?

Potwierdzam ruchem głowy.

– Ale prawie tysiąc wydał zapewne na przejazd, swój i Abla Toppera. No i Frank Dilley i ten szczur Jonas Waters, i inni z Missouri nie pracują za darmo. Chyba chodzi mi o to: jakim cudem stać go na wykupienie naszych ziem? Potrzebowałby cztery razy tyle, ile mi ukradł. Może więcej. Skąd miałby taką sumę?

– Może jest bogatszy, niż sądziłaś – rzuca Becky.

– Może tylko blefuje – podsuwa Jefferson.

– A może... – Major w zadumie gładzi brodę, intensywnie nad czymś myśląc. – A może pracuje dla kogoś.

Jasper otwiera usta ze zdumienia.

– Kogoś z zapasem gotówki – dopowiada Becky.

– Tato wspominał kiedyś, że Hiram wpadł w długi – mówię. – Był niecierpliwy, nie chciał w nieskończoność czekać na bogactwo, więc zapożyczył się tak, że nie był w stanie się z tego wykaraskać. Tato mu wtedy pomógł. Za drugim razem poradził sobie sam. Tyle wiem.

– Więc może znowu się zadłużył – podsumowuje major.

– I wie doskonale, gdzie znaleźć małą czarownicę, żeby się wygrzebać z kłopotów – szepczę.

Rozdział 9

Daję im chwilę, żeby oswoili się z tą myślą. Przeszywa mnie dreszcz, jakby cień Hiram już zasłonił mi słońce. A potem ktoś chrząka za moimi plecami. Podskakuję nerwowo.

Stary Tug.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczyna. – Rozmawiałem z chłopakami i nie bardzo nam się uśmiecha ta jego propozycja. Coś w tym śmierdzi. Poza tym gdybyśmy chcieli pracować dla kogoś, nie u siebie, zostalibyśmy w Ohio.

Uśmiech Becky rozjaśnia ponury dzień.

– Bardzo mnie to cieszy, panie Tug.

Mruga, oszołomiony jej uśmiechem, ale szybko bierze się w garść.

– Ale ten Dilley chyba nie rzuca słów na wiatr. Założę się o cały tytoń, że to on podłożył ogień. Więc jeśli mamy tu zostać i dalej szukać złota, musimy coś z nim zrobić.

Major podnosi głowę.

– Święte słowa, sir.

– Zapytam jeszcze raz – powtarza Jefferson. – Co robimy?

Zewsząd sypią się pomysły. Stary Tug radzi dogonić Franka Dilleya i zadbać, by miał nieszczęśliwy wypadek, i choć ten pomysł nie przypada mi do gustu, skłamałabym, twierdząc, że byłoby mi go żal. Henry proponuje ucieczkę do Oregonu i uprawę ziemi.

– Dobry zbiór pszenicy jest wart tyle samo co złoto – zapewnia. – Może w Oregonie znowu zobaczymy państwa Robichaud.

Becky chce odbudować miasteczko i sprowadzić więcej osadników, żeby było nas naprawdę dużo. – Całego miasta nie pokona, prawda?

Pada coraz więcej pomysłów, ale żaden nie jest dobry.

– Zrobię to – krzyczę, przerywając wszystkim. – Zrobię to.

– Ale co? – dziwi się Becky.

– O nie – syczy Jefferson.

– Pojadę do Sacramento.

Zaczynają protestować, ale uciszam ich gestem.

– Nie z Frankiem. Pojadę sama. Może kilka osób wybierze się ze mną, jeśli będą chciały. Muszę zmierzyć się z wujem, dowiedzieć, o co mu chodzi. Może naprawdę dla kogoś pracuje, a jeśli tak, jego chlebodawca musi zrozumieć, z kim ma do czynienia. No i kiedy wyjadę, przynajmniej na chwilę będziecie mieli spokój. Tym sposobem zdobędziemy trochę czasu, żeby opracować lepszy plan.

– Nie ma mowy, Lee – cedzi Jefferson przez zęby. Nie ma mowy. Wuj nigdy

nie wypuści cię ze swoich łap. A ja... Ty nie... – Żyłka drga mu na szyi.

– Myślisz, że może uda ci się przekonać pracodawcę wuja – podsumowuje Stary Tug.

Becky marszczy brwi.

– Czy aby nie pakujesz się z deszczu pod rynnę?

– Mam nadzieję, że nie – mówię.

– Jesteś nam tu potrzebna – wtrąca Jasper. – Ty... – Zerka na Kasztanków. – Cóż, stanowisz nieodzowną część tego przedsięwzięcia.

Łypię na niego groźnie. Jest mniej więcej tak delikatny, jak szarżujący bizon.

– Lee ma rację – wtrąca major.

– Co? – Becky podnosi głos i major kuli się potulnie. – Nie chcesz chyba powiedzieć...

– Nie zabije jej – major obstaje przy swoim. – A jeśli ktoś jest w stanie go do czegoś przekonać, to tylko ona. Ale, Lee... – Patrzy na mnie. – Uprzedzam, jeśli nie wrócisz w określonym czasie, jedziemy po ciebie.

Kasztanki kiwają głowami, robią poważne, surowe, groźne miny. Ale to tylko poza. Nie znają mnie.

– Uratowałaś mi życie. – Major jeszcze nie skończył. – Ty i Jasper. Nie myśl, że sobie zapomniałem. Więc nie łudź się, że nawet jeśli uważam, iż z taktycznego punktu widzenia twój wyjazd do Sacramento jest rozsądny, wcale się od ciebie nie odwracam.

– Jadę z nią – oznajmia Jefferson.

– Nie ma mowy – protestuje major. – Jesteś prawie równie dobrym strzelcem, jak ona. Będziesz nam potrzebny.

– Jeff, przysięgam, że znajdę tego, kto nam to zrobił, i położę temu kres. Jeśli to oznacza konfrontację z wujem, muszę być gotowa. Jeśli teraz stchórzę, Hiram i Dilley będą dalej ranić wszystkich, na których mi zależy. A major ma rację – nie poradzą sobie bez ciebie.

– Nie. – Rzuca to słowo tak ostro, tak gniewnie, że wzdrygam się odruchowo. Podchodzi do mnie jednym krokiem i chwyta za barki. – Nie rozdzielimy się już nigdy więcej, rozumiesz? Bądź sobie uparta, jeśli chcesz. To bez znaczenia, jadę z tobą, zawsze i wszędzie.

Jest teraz ode mnie o całą głowę wyższy, ma szerokie barki, które zasłaniają słońce, i mroczne spojrzenie, w którym nigdy nie widziałam takiej siły. Powinnam się przy nim poczuć mała, ale nie, czuję się potężna, jakbyśmy razem mogli podbić cały świat.

– Podróż do Independence, gdy wyjechałem z Georgii – ciągnie Jeff – to był koszmar. Wydawało mi się, że popełniłem największy błąd mojego życia, zostawiając cię w Dahlonoga. A potem zawitałaś do Independence, los dał mi drugą szansę i niech mnie piekło pochłonie, ale nie rozstanę się z tobą już nigdy.

Wokół nas zapanowała cisza. Major łypie na nas ponuro. Stary Tug przygląda mi się spod zmarszczonych krzaczastych brwi. Jeśli ma choć trochę oleju w głowie, poskłada w całość płomienną mowę Jeffersona i bzdury, których mu naplotłam o ukochanym w Georgii.

– Ja też jadę – odzywa się Tom.

– Co? Nie! – krzyczy Henry.

– Przyda im się ktoś ze znajomością prawa – tłumaczy Tom już spokojniejszym głosem. – Zwłaszcza prawa ziemskiego. Wuj Lee będzie chciał ją zatrzymać. Ktoś musi dopilnować, żeby wiedział, że nie ma do tego prawa.

Rozmawiamy jeszcze chwilę, przerzucamy się argumentami, ale koniec końców decyzja zapada; za dwa dni Tom, Jefferson i ja wyruszamy do Sacramento.

Major siedzi na pniu i ciosa dębową gałąź. Nie wiem, co robi, ale zabiera się za to z takim samym zapalem, jak Coney i Nugget, gdy kopią dół i zapominają przy tym o bożym świecie. Nie znosi bezczynności, to pewne. Wiecznie coś ciosa, rzeźbi, zbija, szyje. Widziałam, jak kleci stoły, ławy, buty, półki, ba, zrobił nawet naszyjnik dla Olive, przewiercił kwarcowy kamyk i przeciągnął przez niego rzemień, a potem orzekł, że jest najlepszym jubilerem w całej Głorii w Kalifornii.

– Czego chcesz, Lee? – praktycznie warczy.

– Jest pan na mnie wściekły, majorze, a ja nie mam pojęcia dlaczego.

Odkłada gałąź na kolana, ostrym końcem w bok, i patrzy na mnie.

– Ta wyprawa do Sacramento – mówi. – To wielkie ryzyko. A ty zabierasz mojego najlepszego człowieka.

– Cóż, tak się składa, że to także mój najlepszy przyjaciel.

Jego wzrok łagodnieje.

– Wiem, Lee, naprawdę. Tylko że... – Ucieka wzrokiem w stronę śniadaniowego kącika Becky, która kręci się w pobliżu, dolewa kawy, unika zbyt bezczelnych rąk, miesza owsiankę, ściera plamy ze stołu. I cały czas, bez przerwy się uśmiecha. Nic na świecie nie jest w stanie zetrzeć uśmiechu z jej twarzy.

– Ma pan chłopców z Ohio do pomocy – zauważam. – Nieźle sobie radzą, musi pan przyznać. Nigdy nie narzekają na nocne warty, upijają się tylko czasami, a niektórzy nawet pomagają w odbudowie.

Wzdycha głośno.

– Tak, ale robią to wszystko dla niej. Oni... Nie ufam im ani odrobinę.

A więc o to chodzi.

Siadam koło niego na pniu i prostuję nogi.

– Ona się panu podoba, prawda? – pytam cichutko.

Chwyta gałąź i ociosuje ją z zapalem, z przejęciem, jakby od tego zależał los całej Kalifornii. Ciach, ciach, ciach.

– Tak jak ty Jeffersonowi? – prychna oskarżycielsko, ale rumieni się po czubki uszu.

- Tak – odpowiadam uczciwie. – Właśnie tak.
- To i tak bez znaczenia – odpowiada z ponurą miną, wpatrzony w gałąź.
- Jak to?
- To prawdziwa dama. Za dobra jak dla mnie.
- Nie uważam, żeby...

– Jest piękna, młoda i wykształcona. Ona umie po łacinie. Po łacinie, rozumiesz? Te maniery, ten uśmiech... Oczaruje każdego kawalera po tej stronie Gór Skalistych, i to bez najmniejszego wysiłku, a i niejeden żonaty się jej nie oprze.

– Cóż, nie nasi studenci – zauważam z uśmiechem.

– No nie, nie oni – prycha. – Ale wdowa Joyner nawet na mnie nie spojrzy, mając tyłu innych na każde skinienie. Już miała cztery propozycje małżeństwa, i to tylko te, o których wiem.

Chce mi się śmiać. Becky spoglądała na majora nie raz i nie dwa.

Jest piękny poranek, chabrowe niebo opiera się na ośnieżonych szczytach gór. Dęby i osiki tracą liście, lasy wydają się nagie i ciemne, ale zarazem piękne, dzikie, splątane. Wysoko nad naszymi głowami lata kondor. Pewnie z jego perspektywy jesteśmy mali i nieważni, jak mrówki w mrowisku.

Po chwili zdobywam się na odwagę, żeby zapytać o to, co naprawdę chodzi mi po głowie.

– Chodzi o nogę? Dlatego pan uważa, że nawet na pana nie spojrzy?

Nie ucieka przed trudnym pytaniem.

– Oczywiście, że chodzi o nogę. I to wszystko, o czym mówiłem, ale głównie o nogę. – Wymachuje nożem w moją stronę. – Nie zrozum mnie źle, dziewczyno. Nigdy się nie uskarżałem na kamienistą drogę, którą nasz Pan mi wytyczył. Mam szczęście, że żyję, i codziennie mu za to dziękuję. – Znowu struga, tym razem wolniej, mniej nerwowo, jakby kamień spadł mu z serca. – Ale ona zasługuje na kogoś lepszego – mamrocze. – Na kogoś najlepszego.

– Jest pan bohaterem wojennym – zauważam. – Urodzonym przywódcą.

– To była straszliwa wojna. Nawet nie wojna, tylko... Pogoń, strzelanie, prześladowanie. Nie było w tym nic bohaterskiego. Nie warto do tego wracać.

Ci z Missouri mówili, że walczył w wojnach z Indianami, mniej więcej wtedy, kiedy się urodziłam. Niewiele o tym wiem. Major jednak nie chce o tym rozmawiać. Ciekawe, co się tam działo, jakie okropieństwa. Missouri uważali, że jest skory do przemocy, że to zabójca. Właśnie dlatego wybrali go przywódcą naszego konwoju, póki nie stracił nogi.

Ale ja poznałam go od zupełnie innej strony. Przypomina mi się, jak nosi Andy'ego na barana, jak pomaga mu łapać żaby w stawie, jak zrobił naszyjnik i buciki dla Olive, jak ciężko pracuje, żeby Becky miała nowe meble i wszystko, co tylko jest w stanie sam zrobić. Przede wszystkim przypomina mi się, jak wodzi

za nią wzrokiem, jakby była cenniejsza niż całe złoto Kalifornii.

– Może to Becky powinna zdecydować, czego jej trzeba – zauważam.

W odpowiedzi wzrusza ramionami.

– Nadal oplakuje męża.

Parskam śmiechem.

– Co znowu?

– W Mormon Island Becky zobaczyła suknię, która jej się spodobała.

Czarną. Stwierdziła, że byłaby odpowiednia na czas żałoby.

– No i?

– No i zamiast niej kupiła niebieski czepek i wstążki dla Olive. Chyba żałoba jednak nie była aż taka ważna.

– Hm. – Ucieka wzrokiem w dal.

– I może wcale pana nie interesuje, co ja o tym sędzę, majorze – ciągnę. –

Ale i tak to panu powiem. Jest pan najlepszy na świecie. Nie mogłaby trafić na kogoś lepszego.

Uśmiecha się pod nosem.

– Ta rozmowa zostanie między nami, dobrze? – prosi cicho.

– Oczywiście.

Pochyliła się i całuje mnie w czubek głowy.

– Dobra z ciebie przyjaciółka, Lee Westfall.

Wyruszamy przed świtem, kiedy pierwsze promienie dopiero muskają szczyty gór, a szadź lśni na opadłych jesiennych liściach. W ciemności kumkają żaby drzewne – w życiu nie słyszałam, żeby tak małe istoty robiły tyle hałasu, nawet świerszcze w letnie noce w Georgii nie mogą się z nimi równać. Wszyscy wstają, żeby się z nami pożegnać, nawet ci z Ohio. Niejeden trzyma w ręku latarnię. Śniadanie Becky pachnie smakiem; w piecyku rośnie chleb, na patelni smażą się podpłomyki. Rozglądam się wokół, patrzę na nowe szalasy, na zręby nowej chaty, na płócienne namioty Kasztanków, wszystko skąpane w świetle przedświt, ognia i lamp naftowych. Tu jest mój dom, z tymi ludźmi, uświadamiam sobie nagle z bólem w sercu. I żal mi od nich odjeżdżać.

Major pożycza mi swój plecak, bo moja sakwa i siodło spłonęły do cna w pożarze. Pakuję do niego suszone mięso, suchary, manierkę, amunicję do rewolweru, zapasową koszulę i pończochy. Złoto, które znalazłam w ciągu kilku ostatnich dni, trzymam w kieszeniach. Wolę mieć je przy sobie, lubię, gdy dotyka mojej skóry, gdy do mnie cicho szepcze.

Pakuję też strzelbę i rewolwer. Rękonożnica nadtopiła się w ogniu, ale na szczęście nie był naładowany i poza tym wyszedł cało z płomieni. Martwiłam się o niego, więc major rozłożył go na części, sprawdził wszystko i zapewnił, że jest w porządku.

Jednego nie zabieram – paszy dla Peonii. Zakładamy, że tam, gdzie

jedziemy, trawy jest pod dostatkiem, nawet teraz, późną jesienią. Peonia rzuca łbem, podekscytowana, gdy prowadzę ją do jednej z łąk skleconych przez majora, żeby wsiąść; dawno na niej nie jeździłam. Utuczyła się na soczystej trawie, a zimowa szata jest gruba i lśniąca, więc wygląda jak kulka złotego puchu.

– Nie masz nic przeciwko temu, że pojedę na oklep? – zwracam się do niej. Prycha cicho. Uznaję to za zgodę. – Moja dziewczynka. Może w Sacramento sprawimy ci nowe podkowy.

Major wychodzi naprzód.

– Jeśli nie wrócić w ciągu miesiąca, będziemy was szukać.

– Wrócimy – zapewnia Jefferson z grzbietu Karej. – Obiecuję.

– W mojej rodzinie obchodzimy jesienią Święto Dziękczynienia – mówi Becky z ponurą miną. – Ale bez was nie mam na to ochoty.

– Więc urządzimy je po raz drugi po naszym powrocie.

– Dwa razy smakołyki! – cieszy się Jefferson, a ja tylko przewracam oczami, bo Jefferson je więcej niż jakikolwiek inny znany mi człowiek.

Tom już wsuwa stopę w strzemień wałacha, gdy Henry podbiega do niego.

– Poczekaj!

Henry rzuca mu się na szyję, ukrywa twarz na jego piersi. Po chwili zaskoczenia Tom obejmuje go z całej siły. Szepczą coś do siebie, aż w końcu Henry odsuwa się ze łzami w oczach.

Becky obejmuje mnie serdecznie.

– Jeśli się uda, przywieźcie kilka kurcząt – prosi, wciskając mi w dłoń kilka twardych kulek. Nie muszę na nie patrzeć, by wiedzieć, że to grudki złota. – I maselnicę.

– Zrobimy, co w naszej mocy.

– A jeśli tylko będzie ku temu okazja, kup sobie nową suknię.

– Naprawdę?

– Jak najładniejszą – podkreśla, kiwając głową. – Zaraz święta Bożego Narodzenia. Prawdziwa dama powinna mieć odpowiedni strój. Potraktuj to jako premię za harówkę na szlaku. Wiesz co... mój mąż dokonał najlepszego wyboru, zatrudniając ciebie i Jeffersona. – W jej głosie jest nutka, tylko nutka, smutku. Zerkam na majora.

Coney uwija się wokół końskich nóg, sądzi, że zaraz wyruszy na wspaniałą wyprawę. Nugget niezdarnie podbiega do przyjaciela, ale Olive chwytą ją i odciąga.

– Nie ma mowy – karci ją jak dorosła. – Najpierw musisz całkiem wyzdrowieć.

Andy obejmuje Jeffersona za nogi, a ten schyla się i delikatnie gładzi go po główce, a potem brzdąc chwytą Coney za skórę na karku.

– Do zobaczenia, Lee! Do zobaczenia, Tom! Do zobaczenia, Jefferson! –

woła z promiennym uśmiechem. Dopiero co wypadł mu pierwszy ząb i pewnie sporo czasu upłynie, zanim przestanie straszyć szczerbatym uśmiechem.

Machamy im po raz ostatni i ruszamy. Omijamy staw i wzdłuż strumienia podążamy ku rzece American.

Rozdział 10

No już, kochana – mówię do Peonii. Wierzga niespokojnie, odkąd wyruszyliśmy w drogę, rzuca łbem, rozdyma nozdrza. Może dlatego, że przywykła do chodzenia pod siodłem.

– Kara też jest niespokojna – mówi Jefferson do moich pleców. Jest kilka długości za mną. Odwracam się, żeby spojrzeć na jego klacz. Przewraca ślepiami i wymachuje ogonem, jakby odganiała się od much.

Za nimi jedzie Tom na szarym wałachu, Apollo, spokojnym jak śpiące dziecko.

– Miały za mało ruchu – mówię do Jeffersona. – I teraz są podekscytowane jak Andy na widok cukierków. Uspokoją się.

– Mam nadzieję, bo inaczej czeka nas ciężka podróż.

Ale kiedy się prostuję, coś nie daje mi spokoju. Znam Peonię od źrebięcia, pamiętam, jak wyslizgnęła się z ciała matki, niezdarna płatanina długich mokrych nóg. To dobra klacz. Najlepsza. Ufam jej jak najlepszemu przyjacielowi, a teraz uważa, że coś jest nie tak.

Dojeżdżamy do rzeki, skręcamy na zachód.

– Wypatruj brodu – mówi Tom. – Najlepiej byłoby ominąć poszukiwaczy, którzy na nas napadli. Obejść ich, o ile to możliwe.

– Zgoda – mruczy Jefferson.

– Chciałabym zostawić ich daleko za nami, zanim rozbijemy obozowisko – dorzucam.

Ścieżka wije się wzdłuż rzeki, więc łatwo się tędy jedzie. Powietrze wypełnia ostry zapach płonącego drewna z niedalekiego obozowiska. Mijamy krzaki jeżyn chylące się nad wodą i widzimy wplątaną w nie wędkę.

Wielu poszukiwaczy zostało w górach na zimę, to jasne jak słońce. Nie widać ich, ale nie trzeba być doskonałym tropicielem, by dostrzec ślady ich obecności.

Dochodzimy do płaskiego skrawka terenu, gdzie rzeka rozlewa się szeroko, leniwie. Zatrzymujemy się na brzegu i mierzymy ją wzrokiem.

– Konie musiałyby płynąć – mówi w końcu Jefferson.

– Ale prąd nie wydaje się zbyt silny – zauważam. – Tom, twój wałach umie pływać?

– Doskonale – zapewnia dumnie.

– No to do roboty – decyduję i zaczynam ściągać buty.

Wiążemy sznurowadła, wieszamy sobie nuty na szyjach, a Tom i Jefferson zarzucają sobie na ramiona sakwy.

Ściskam Peonię piętami i ochoczo wbiega do rzeki, macha ogonem, pryska wodą na wszystkie strony, nie przejmując się, że wołałabym zostać sucha.

Woda jest lodowata. Najpierw zalewa mi nogi, potem biodra, aż nagle płyniemy, prąd nas znosi, woda sięga wysoko powyżej talii.

– Dobry Boże, ależ zimna! – woła Tom.

Trzymam strzelbę nad głową i cmokam na Peonię, żeby płynęła szybciej. Chłód przenika mnie na wylot.

W końcu jesteśmy na przeciwległym brzegu, dobre sto metrów w dół rzeki od miejsca, w którym weszliśmy do wody. Konie gramolą się na trawiasty brzeg. Kara otrzepuje się gwałtownie, zalewając nas wszystkich milionem kropel.

– Przeklęta klacz – mamrocze Jefferson, wycierając oczy i czoło.

Dygocze na całym ciele.

– Musimy jak najszybciej rozpalić ogień – mówię, szczękając zębami.

Spętaliśmy konie i rozłożyliśmy posłania przy ogniu. Nie zabrałam spodni na zmianę, więc czekam, aż wyschną na mnie. Strzelby leżą w zasięgu ręki, wszystkie nabite, co trochę mnie niepokoi. Tatko zawsze powtarzał, że w domu nie może być nabitej broni, z obawy przed przypadkowym wystrzałem, i dziwnie się czuję, mając strzelbę pod ręką, nabitą i gotową, choć wcale nie poluję. Ale to Kalifornia i musimy być przygotowani na wszystko.

– Nie podobało mi się zachowanie Karej i Peonii na trasie – zaczyna Jefferson. – Były bardzo spięte.

– Apollo zachowywał się normalnie – zauważa Tom.

Jesteśmy po drugiej stronie rzeki i na tyle daleko od poszukiwaczy, że powinnam się uspokoić, a jednak coś nadal mnie gryzie.

– Wierzę mojej klaczy – mówię. – Jeśli Peonia uważa, że coś jest nie tak, wierzę jej.

– Wezmę pierwszą wartę – deklaruje Jefferson.

– Nie, ja to zrobię – zgłasza się Tom. Siedzi z opasłym tomiszczem na kolanach i usiłuje coś czytać w mdłym świetle ognia. – I tak muszę jeszcze sporo poczytać o prawie ziemskim, zanim dotrzemy do Sacramento.

Wsadzi nos w książki i zapomni o bożym świecie.

– Dobrze, Jeff – mówię. – Moim zdaniem ktoś nas obserwuje. Konie nie lubią, gdy czują kogoś w pobliżu, ale go nie widzą.

– Myślisz, że ktoś nas śledzi? – zgaduje Jefferson.

– Myślę, że tej nocy musimy być szczególnie czujni.

– Dobrze.

– Ja nie żartuję, Jeff. Ktoś podkradł się do Hamptona i Martina, a obaj wiedzieli, jak się zachować na czatach.

Uśmiecha się szeroko.

– Martwisz się o mnie, co?

– Oczywiście.

– Wiesz, co sobie myślę?

Łypię na niego groźnie, na co uśmiecha się jeszcze szerzej.

Podchodzi bliżej, lekko unosi mi podbródek, tak, że patrzę mu prosto w oczy.

– Jesteś we mnie zakochana – mówi.

Wpatruję się w jego usta, natomiast z moich pada:

– Jeffersonie McCauley Kingfisher, jesteś bezczelny jak kogut i zarozumiały jak indor. – Ale tak naprawdę myślę sobie, że bardzo chciałabym znowu się z nim całować.

Tom stara się wtopić w otoczenie. Policzki mi płoną, ale Jefferson chyba się nie przejmuje, że ktoś nas słyszy.

– Prędzej czy później sama to przyznasz – mówi. – Mówiłem ci, że zmienisz podejście do pewnych spraw. Zobaczysz. – Obrysowuje kciukiem mój podbródek. Pochyliła się, aż jest tak blisko, że czuję na ustach jego oddech.

Już mam wspiąć się na palce, pokonać dzielącą nas odległość, pocałować go tak, jak tego pragnę, ale nagle cofa się, zostawia mnie samą, wytrąconą z równowagi.

– Obudzę cię, kiedy będzie twoja kolej – mówi z tak zadowoloną miną, że mam ochotę mu przyłożyć.

Zgodnie z zapowiedzią budzi mnie w środku nocy. Mrugam nerwowo, żeby oprzytomnieć. Pozwolił, by ognisko przygasło, dlatego tak mi zimno. W gałęziach drzew szepcze wiatr, nocny ptak przelatuje nam nad głowami.

Zrzucam z siebie koc, sięgam po rewolwer. Ziewam głośno, przeciągam się, upewniam, że broń nie zamokła.

– Przy ogniu jest napar z sosnowych igieł – szepcze Jefferson. – Jeszcze gorący.

– Dzięki. Widziałeś albo słyszałeś coś podejrzanego?

– Niewykluczone. Posiedzę z tobą.

Przeszywa mnie dreszcz. Może to tylko pretekst, żeby mnie znowu pocałować, ale zdrowy rozsądek bierze górę. Kręcę przecząco głową.

– Musisz odpocząć, jak my wszyscy.

Nieco dalej Tom wierci się przez sen i mamrocze coś niewyraźnie.

– I tak nie zasnę, nie przy tym hałasie.

– Coś wielkiego? Może jeleni.

– Albo puma – rzuca. – W okolicy jest co najmniej jedna, widziałem tropy.

– Puma nie zbliży się do ognia – zauważam, ale na wszelki wypadek sięgam po strzelbę, oprócz rewolweru. Nie da się z niej tak szybko wypalić, ale jak dobrze wycelować, pokona wszystko.

– Obyś miała rację.

Wiem, czego nie mówi, coś wielkiego może okazać się gorsze niż puma.
To może być człowiek.

Wsuwam rewolwer do kabury i chwytam strzelbę.

– Przejdę się – mówię. – Może przepłoszę intruza.

Chce się sprzeciwić, ale zmienia zdanie. Zna mnie.

– Bądź w zasięgu wzorku – prosi.

– Tak jest! – Salutuję żartobliwie i ruszam między drzewa.

Zgodnie z obietnicą nie spuszczam obozowiska z oczu, wędrując między drzewami. Igły sosnowe i dębowe liście szeleszczą mi pod nogami. Powietrze jest wilgotne, ale niebo bezchmurne, księżyc stoi wysoko na niebie. Chyba zanosi się na burzę, ale brak chmur sugeruje, że jeszcze trochę na nią poczekamy.

Zatrzymuję się koło spętanych koni. Kara i Apollo śpią, ale Peonia unosi łeb i trąca mnie na powitanie. Wtula pysk w moją koszulę, liczy na smakołyk.

– Czemu nie śpisz, kochana? – Gładzę jej ciepłą szyję.

Za moimi plecami trzaska gałązka.

Odwracam się na pięcie, unosząc strzelbę.

Stoi tam ciemna postać, wysoka, nieokreślona. Płomienie ogniska odbijają się w wypolerowanej lufie colta, wymierzonej prosto we mnie. Jestem na siebie wściekła. Obawiałam się, że to Tom zawali wartę, że Jefferson nie zachowa należytej ostrożności, a tym razem zawiodłam akurat ja.

– Jefferson – wołam. – Mamy towarzystwo.

– Nie wysilaj się, dziewczyno – odpowiada znajomy głos. – Jego też mamy.

Serce staje mi w piersi.

– A ja mam ciebie, Dilley – mówię. – Proszę, strzelaj. Oboje wiemy, że mam lepsze oko niż ty. Zobaczymy, kto nie padnie.

Dilley uśmiecha się pod nosem.

Jeśli moi ludzie usłyszą strzał, Bigler i Kingfisher są martwi.

– Skąd mam wiedzieć, że jeszcze w ogóle żyją? Tacy jak ty bez wahania wbijają ludziom nóż w plecy.

Odwraca się w stronę obozowiska i woła:

– Przyprowadźcie ich tutaj! Niech mała zobaczy, że nie rzucamy słów na wiatr!

Konie się obudziły, Peonia szarpie się w więzach. Wcale się jej nie dziwię. Kara parska i macha ogonem, gdy słuchamy kroków idących w naszą stronę przez zarośla.

Jefferson, a jakże, z pistoletem przy skroni, prowadzony przez oprycha, którego widzę po raz pierwszy w życiu. Za nimi idzie Tom, ciągle w kalesonach. Krzywi się, czując lufę na czole. Popycha go Jonas Waters, przyjaciel Dilleya.

Nasze małe ognisko daje odrobinę światła, podobnie jak księżyc na niebie, ale to za mało, bym zdołała cokolwiek wyczytać z twarzy Jeffersona, nie wiem, czy

jest przerażony, zły, czy smutny, i najbardziej na świecie chciałabym teraz do niego podejść. Zamiast tego mówię tylko:

– Panowie, tylko marnujecie czas. Jedziemy do Sacramento, tak, jak tego chciał mój wuj. Niepotrzebnie robicie takie zamieszanie.

Dilley parska śmiechem.

– Twojego wuja nie ma w Sacramento. Nigdy go tam nie było.

– Co?

– Och, spokojnie, zabierzemy cię do niego. Ale Sacramento to tylko bajeczka. Gdybyś wiedziała, gdzie naprawdę jest, w życiu nie ruszyłabyś się ze swojego stadka mięczaków.

– A gdzie jest? – pyta Jefferson i trzymający go oprych uderza go w skroń rewolwerem tak mocno, że Jefferson zgina się w pół i chwyta za głowę.

– Uderz go jeszcze raz, a cię zabiję – syczę.

– Spokojnie, Lee – mówi Tom miękko, łagodnym głosem. Znam go na tyle, że wiem, że w tej chwili jego umysł pracuje na najwyższych obrotach, jak wodny młyn, gorączkowo szuka wyjścia z naszej sytuacji. – Chcieliśmy przecież porozmawiać z panem Westfallem, tak czy nie? A jeśli ci panowie nas do niego zabiorą, pojedziemy z własnej woli, prawda?

Chce grać na czas. Teraz, gdy do nas celują, to najlepsze rozwiązanie.

– Tak – mówię. – Właściwie tak. Jeśli zabierzecie nas do mojego wuja, pojedziemy z własnej woli, możecie schować broń.

Jeśli na chwilę stracą czujność, będziemy mieli szansę uciec.

Ale choć Dilley to parszywy, oślizgły robak niewart mojego obcasa, głupcem nie jest.

– Cieszę się, że możemy liczyć na współpracę – odpowiada. – Ale na wszelki wypadek mam dla ciebie coś specjalnego.

Zbliża się czwarty mężczyzna, wysuwa się z lasu jak duch. Trzyma coś w ręku i nie jest to broń.

– Wypijesz dwa duże hausty – mówi Dilley.

– Nie ma mowy! Ty...

– Musisz, chyba że chcesz, żeby twój indiański kochaś zdechł – odpowiada Dilley, a ten trzymający Jeffersona robi coś, na co Jeff reaguje głośnym jęknięciem.

– Przestań! – krzyczę. – Dobrze, dawaj to.

Upiorny podaje mi butelkę. Jest zimna i twarda w moich dłoniach. Wyjmuję zatyczkę po omacku i otacza mnie znajomy zapach, ostry, gorzki.

– Pij, inaczej oni umrą – mówi Dilley.

Unoszę butelkę do ust. Chłodny płyn jest tak gorzki, tak paskudny, że odruchowo go wypluwam.

– Zabij go – syczy Dilley.

– Nie, przepraszam! Wypiję! Zaskoczył mnie smak i dlatego...

Odczekuję chwilę. Nie zabijają Jeffersona, więc ponownie unoszę butelkę do ust. Tym razem jestem przygotowana na paskudny smak, tak gorzki, że aż pali. Trzymam płyn w ustach i kombinuję gorączkowo, co dalej.

– Sporo mnie to kosztowało – mówi Dilley. – Jeszcze jeden taki numer, a ogłuszymy cię po staremu. – Zerka na upiornego. – Upewnij się, że wszystko połknęła.

Upiorny podchodzi bliżej. Jest potężny, wyższy nawet od pana Hoffmana. Nie widzę jego twarzy, zakrywa ją kaptur naciągnięty na oczy.

Przełykam. Płyn pali mnie w gardle. Krztuszę się.

– Jeszcze łyczek – mówi Frank Dilley.

Ciepło wypełnia mi brzuch, rozlewa się na ręce i nogi.

– Jeden chyba wystarczy. Czuję się... dziwnie.

– Jeszcze łyk – powtarza. Upiorny jest tuż obok.

Unoszę więc butelkę do ust, planując wziąć tym razem mniejszy haust. Upiorny nagle wysuwa rękę, chwytając butelkę jedną dłonią, mój podbródek drugą i wmusza we mnie laudanum, aż zaczynam kasłać. Zatyka mi nos, odchyła głowę do tyłu. Po chwili mu ulegam, przełykam, żeby zaczerpnąć tchu.

Upiorny mnie puszcza. Zataczam się w tył, wpadam na zad Peonii. Świat wiruje, mój żołądek protestuje, ale nic mnie to nie obchodzi. Chyba powinnam to zwymiotować. Nie, lepiej nie, bo wtedy zabiją Jeffa i Toma. Bo wtedy...

Czuję mrowienie w ciele, niebo otwiera się nade mną, zaprasza, bym rozpostarła ramiona i poszybowała prosto do księżycyca.

– Możesz spać na koniu? – pyta Dilley.

– Co? Koń. Oczywiście, że mogę spać na koniu. – Chichoczę.

Dilley marszczy brwi.

– Dobrze, panowie, do roboty, napójdzie ich także. A potem w drogę. Jesteśmy zbyt blisko ich obozowiska.

– Dokąd jedziemy, Frank? – pytam i jest to ostatnie, co powiem, zanim najczarniejsza noc pochłania księżycyca.

Rozdział 11

Budzę się, gdy Peonia zmienia tempo. Pochylam się nad jej szyją. Mam ręce związane za plecami. Bolą wykręcone barki. Sznur wpija się też w uda. Przywiązali mnie do siodła.

Mrugam nerwowo, oślepią blaskiem słońca. Przecież nie mam siodła. Spłonęło w pożarze.

Tuż przed Peonią idzie szeroki kasztanowy zad, kołysze się przy każdym kroku, ogon macha nerwowo. Jeździec – wysoki, mroczny, może to ten upiorny, którego pamiętam z nocy – siedzi na oklep. Pewnie oddał mi swoje siodło.

Pali mnie w gardle, marzy mi się czysta, chłodna woda. Nie wiadomo kiedy zgubiłam kapelusz. Jest jeszcze chłodno, ale słońce już bezlitośnie pali mnie w plecy i kark. Naciągam więzy, odwracam się, na ile mi pozwalają, chcę zobaczyć Jeffersona i Toma. Są. Kara człapie dwa konie za mną, Jefferson zwisa z niej bezwładnie. Nagle się rusza, a moje serce przypomina sobie, że musi bić.

Apollo idzie za Peonią, a Tom jest w takim samym stanie co ja – skrzepowany, bezwładny, ledwie przytomny.

Dranie spoili laudanum całą naszą trójkę. Niewiele wiem na ten temat, ale pamiętam, że podaliśmy je majorowi, zanim Jasper amputował mu nogę. Odzyskał przytomność po kilku godzinach, a ja wypiałam mniej niż on. Oczywiście, w porównaniu z nim jestem kruszynką, więc może na mnie bardziej podziałało.

Ale i tak niemożliwe, żebyśmy jechali dłużej niż jeden dzień. Nadal jesteśmy na tyle blisko naszego obozowiska, że gdybyśmy uciekli, moglibyśmy wrócić do swoich.

Poruszam rękami, żeby sprawdzić, na ile mocne są więzy, i natychmiast tego żałuję. Mam już i bez tego otartą skórę od powrozu, sznur wciska się boleśnie w ciało, skurcze dają mi się we znaki. Rozczarowanie ciąży jak kamień. Nie uciekniemy, o ile nie uda mi się przekonać Franka, żeby mnie rozwiązał, a już raz okazał się odporny na moje błagania.

Peonia prycha. Wyczuwa, że nie śpię.

– Wszystko będzie dobrze, kochana – szepczę. – Masz moje słowo.

– Proszę, proszę, ktoś się obudził – cedzi Dilley gdzieś po mojej prawej stronie.

Upiorny zatrzymuje konia, zawraca. Peonia zwalnia gwałtownie, żeby na nas nie wpadł. Ktoś szarpie za linę.

Upiorny cmoka na swojego gniadego, aż konie idą łeb w łeb. Mężczyzna nadal ma kaptur na głowie, ale w ciemności widzę jego usta, tak blade, że pozazdrościłaby ich każda dama, gdyby nie czerwona blizna przecinająca je na

ukos.

– Czas się napić – mówi Dilley. Upiorny sięga pod pelerynę i wyjmuję butlę. Jest już do połowy pusta. Brązowa ciecz wygląda obrzydliwie w pełnym słońcu. Ile z tego wmusili w Toma i Jeffersona?

– Proszę, nie – szepczę. – Zgodzę się na wszystko, dajcie mi tylko wody...

Nic z tego. Upiorny otwiera butelkę, chwytą mnie za brodę i przyciska ją do moich ust.

Tym razem przetykam z mniejszymi oporami, a to dlatego, że zdradzieckie usta i język nie wiedzą, że to nie woda, i rozpaczliwie pragną płynu.

Upiorny chrząka zadowolony i jedzie dalej, do Jeffa i Toma.

Słońce nagle pulsuje, a powietrze już wcale nie jest zimne. Myliłam się, jest ciepło jak w środku lata.

Wiotczeją mi mięśnie. Bezwładnie osuwam się na grzbiet Peonii.

– Kocham cię, dziewczyno.

Nie mam pojęcia, jak długo jedziemy. Chyba kilka dni, bo czasami, kiedy odzyskuję przytomność, jest ciemno, czasami leżę na ziemi, przywiązana do drzewa, nie do konia. Zawsze lepiej ocknąć się w nocy, bo nie rani tak obolałych oczu, suchych jak ziemia na pustyni.

Żołądek niebezpiecznie podchodzi mi do gardła, bolą mnie wszystkie kości. Dilley karmi nas sucharami i kawą, ale ja potrzebuję wody. Któregoś wieczora, gdy rozbijamy obóz, zwracam wszystko na ziemię.

W odpowiedzi Dilley wmusza we mnie jeszcze więcej laudanum. Jest cudownie. Łykam chciwie, choć wiem, że po przebudzeniu będzie o wiele gorzej, choć mam opuchnięty język i popękane usta. Przypomina to przeprawę przez pustynię w drodze do Kalifornii – jeśli wkrótce nie dostanę wody, umrę.

Jest ranek. Odzyskuję przytomność na tyle, by zorientować się, że Missouri zwijają obozowisko. Jefferson i Tom już siedzą w siodłach, bezwładni, oszołomieni. Udaję, że nadal śpię, żeby upiorny nie wmusił we mnie kolejnej dawki.

Ile laudanum już zażyłam? Za dużo, to jasne jak słońce. Nikomu nie życzę takiego bólu głowy. Moje wnętrzności kurczą się boleśnie jak wysuszone letnie warzywa. Bolą mnie wszystkie mięśnie, mam otarte nadgarstki i zdrętwiałe od więzów palce.

Cichutko, ostrożnie rozglądam się wokół. Mniej sosen, więcej dębów. Łagodne wzgórza porośnięte złotą trawą. Góry zostały za nami, jesteśmy o wiele dalej na zachód. Rzeki nigdzie nie widać.

To może być wszędzie, uświadamiam sobie z przerażeniem. Być może przejechaliśmy tylko kilka dni, ale prawie ciągle byłam nieprzytomna i nie mam pojęcia, ile czasu minęło. Może tydzień, może dłużej.

Wraca upiorny. Chwytą mnie pod pachy i sadza.

– Chwileczkę! – wołam. – Muszę się napić. Tom i Jefferson też.

Puszcza moje słowa mimo uszu, ciągnie mnie w stronę Peonii, już osiodłanej. Przeszywa mnie fala paniki. Dbali o nią? Karmili i poili do syta? Wycierali po dniu jazdy? Sprawdzili kopyta? Skąd wiadomo, czy nowe siodło jej nie uwiera?

– Proszę! – powtarzam. – Wuj chce dostać mnie żywą, prawda?

Waha się. Korzystam z okazji, żeby stanąć na własnych nogach. Jestem tak osłabiona, że chyba nie dałabym rady uciec, nawet gdybym wyzwoliła się z więzów.

– Wuj mnie potrzebuje – sapię, nagle wdzięczna losowi za ból głowy, bo przynajmniej wrywa mnie z oparów laudanum i zmusza do myślenia. – Chce mnie całą i zdrową. Jeśli coś mi się stanie, słono za to zapłacicie i dobrze o tym wiecie.

Upiorny szuka wzrokiem Dilleya, który twierdząco kiwa głową.

Nagle puszcza mnie i odchodzi. Nogi nie wytrzymują mojego ciężaru i osuwam się na ziemię.

Wraca po chwili z manierką. Przykłada mi ją do ust. Matko przenajświętsza, to najczystsza, najcudowniejsza woda, jaką w życiu piłam.

Zmuszam się, by łykać powoli. Nie ma sensu napić się łąpczywie i zaraz wszystko zwrócić. Więc robię tak: oddech. Łyk. Oddech.

– Teraz Jefferson i Tom.

– Twoi kochasie to nasza karta przetargowa – mówi Dilley. – Gwarancja, że będziesz posłuszna. Więc w nosie mam, czy chce im się pić.

Łypię na niego groźnie.

– Jeśli umrą, nici z gwarancji.

Myśli nad tym intensywnie.

– Dobrze mówi – wtrąca Jonas Waters. Podchodzi bliżej. Patrzy na mnie tak, że przechodzi mnie lodowaty dreszcz. – Wiesz, Frank, ona kiepsko wygląda.

– Niech ci będzie – burczy Dilley. – Woda dla Bigleya i Kingfishera, ale nie marnujemy czasu.

Staram się nie okazywać ulgi. To mój jedyny tryumf, odkąd nas porwali, i nie dam mu ani odrobiny satysfakcji.

Upiorny podaje wodę Tomowi i Jeffersonowi, którzy chłopcą głośno jak psy. Wraca do mnie.

– Czas na śniadanie, chłopcze – woła Dilley ze śmiechem.

Kiedy upiorny wmusza we mnie laudanum, uświadamiam sobie, że jeszcze ani razu nie słyszałam jego głosu.

Księżyc to rozpalona kula na aksamitnym niebie, samotna sowa pohukuje gdzieś w pobliżu, gdy docieramy do celu. Laudanum spowija mój umysł miękką mgłą, niewiele widzę, zaledwie zarysy budynków, kilka namiotów, białą ścianę

klifu. Muszę to wszystko zapamiętać. Szukać drogi ucieczki, słabych punktów, ale nie mogę się skupić, a po chwili już mi wszystko jedno. Dobry Boże, taka jestem zmęczona. Mogłabym zamknąć oczy i spać przez cały tydzień...

– Miałaś przywieźć tylko dziewczynę – mówi niski, oślizgły głos. Znajomy głos. Strzała strachu przebija się przez mgłę spowijającą mój umysł.

– Sir, zatrudnił mnie pan także dlatego, że umiem improwizować – zauważa Frank Dilley. – Nie mogliśmy pozwolić, żeby ci młodzieńcy wrócili do obozu i powiedzieli wszystkim, że dziewczynę porwano, prawda? Poza tym małej na nich zależy, zwłaszcza na tym po prawej. Zrobi, co pan zechce, o ile obaj będą pod ręką.

– Rozumiem. – Chwila ciszy. Nie widzę w ciemności. I chyba wcale nie chcę.

Ciepłe, silne palce unoszą mi podbródek. Przewracam oczami, staram się skoncentrować, ale nie dam rady, choćby nawet za całe złoto Kalifornii. O wiele łatwiej jest dalej spać.

– Pijana? – pyta znajomy głos. Chyba ma ochotę kogoś uderzyć. Oby nie mnie.

– Daliśmy jej trochę wyciągu makowego, żeby nie wierzgała.

– Co?

– Nic jej nie będzie.

– Laudanum jest niebezpieczne...

– Znam ją. Przez pół roku podróżowaliśmy w jednym konwoju. Jest uparta i denerwująca, ale jest też sprytna jak lis i dobrze strzela. Wolałem nie ryzykować.

Kolejna cisza.

– Jeśli zrobiłaś jej krzywdę, obedrę cię żywcem ze skóry i wepchnę do klatki z niedźwiedziem.

Frank chyba mu wierzy, bo głos mu drży, gdy odpowiada:

– Zrobiliśmy to, co pan kazał. Dziewczyna jest cała i zdrowa, gwarantuję.

– Zobaczmy. Zwiążcie chłopaków za stajnię. Dziewczyna do domu, do zapasowej sypialni.

Peonia rzuca się gwałtownie. Po chwili luzują mi więzy, silne ręce obejmują mnie, zdejmują z końskiego grzbietu. Ni to mnie niosą, ni ciągną, na werandę, przez drzwi, do ciemnego pomieszczenia, pachnącego świeżo porąbanym drewnem, olejem lnianym i tytoniem.

Tytoń. Słodko-ostry aromat. Znajomy.

Ktoś prowadzi mnie na łóżko, popycha, aż opadam na słomiany siennik. Żdźbło kłuje mnie w ramię, ale nic mnie to nie obchodzi, bo leżę na łóżku. Nie na ziemi, błocie czy skale. Na prawdziwym łóżku.

Nie rozwiązują mi rąk i to nie daje mi spokoju, coś tu jest nie tak. A Jefferson... Mgła zwycięża. Zapadam się w kłujące pośłanie, zapadam, zapadam, aż mam wrażenie, że pochłonęła mnie ciemność.

Budzi mnie aromat smażonych jajek i bekonu. Słońce zagląda do środka przez jedyne okienko we wschodniej ścianie. Jest za jasno, światło jest jak dzida przeszywająca mój mózg. I całą głowę. Boli niemiłosiernie.

Żołądek podchodzi mi do gardła. Chcę usiąść i więzy na nadgarstkach zaciskają się boleśnie. Mrugam szybko i wpatruję się w linę. Prowadzi do wezgowia.

Jestem przywiązana do łóżka.

Chwytam się liny, podciągam na materacu, rozglądam w poszukiwaniu wiadra na nieczystości, miski do mycia, czegokolwiek, do czego mogłabym wymiotować. Żołądek podchodzi mi do gardła i nieruchomieję, oddycham powoli przez nos, liczę, że zapanuję nad torsjami.

Jestem w małym pokoiku o ścianach i podłodze z drewna. Obok wąskiego posłania stoi mały stoliczek, a na nim, obok lampy, leży powieść dla młodych dam. Po drugiej stronie czekają cztery puste półki. Dalej – framuga drzwi, a w niej – patchworkowa kotara.

Odsuwa się i do pokoju wchodzi drobniutka kobieta w dziwnym stroju. Niesie tacę z jedzeniem. Dwa smażone jajka, bekon, podplomyk i kubek gorącej kawy.

Za dużo, za nagle. Pochylam się i wymiotuję na podłogę.

Frank Dilley nie dawał mi jeść ani pić, więc niewiele we mnie zostało i torsje zaraz ustępują. Twarz płonie mi ze wstydu, chcę przeprosić nieznajomą, ale kobieta błyskawicznym ruchem wyciera mi usta i brodę.

– Dziękuję – mamrocze, patrząc na nią.

To Chinka. Ma inne oczy niż ja, ale nie zaciska ich z całej siły, jak na karykaturach w gazetach. Ma też długie, lśniące czarne włosy splecione w warkocz spływający na plecy. Skóra jej twarzy wydaje się delikatna jak chmura na niebie. Nie, to puder sprawia takie ważenie. Ale i tak nie jest żółta, tak samo jak Indianie, których widziałam, nie są czerwoni.

– Jestem Lee – przedstawiam się. – Dziękuję za śniadanie. Przepraszam za... bałagan.

Przygląda mi się badawczo i wtedy zdaję sobie sprawę, że to tylko młoda dziewczyna, mniej więcej w moim wieku.

Ostrożnie omija kałużę na podłodze, kładzie tacę na posłaniu, a potem pokazuje palcem na siebie i mówi:

– Mary.

– Bardzo mi miło, Mary. Pracujesz dla mojego wuja? Hirama Westfalla? – Teraz, gdy jestem w pełni przytomna, gdy w moim organizmie nie ma już laudanum, dałabym sobie rękę uciąć, że przypominam sobie jego głos. Jego zapach.

Mary opuszcza wzrok na moje skrępowane nadgarstki, a może raczej

na lepką skórę pod sznurem i mówi coś szybko w niezrozumiałym języku. Marszczy brwi.

– Przykro mi, nie znam chińskiego.

Wskazuje kałużę na podłodze, dodaje coś jeszcze i odchodzi. Jasnoniebieska bluza opada miękko na szerokie spodnie. Sandały na platformach stukają miarowo, gdy się oddala. Patchworkowa kotara opada za nią z cichym szelestem.

Odprowadzam ją wzrokiem i zastanawiam się, co robić. Może jednak zjem trochę tego śniadania. Podróż z Dilleyem i jego ludźmi osłabiła mnie, muszę odzyskać siły, bo nie wiadomo, co mnie czeka. Ale kałuża na podłodze straszliwie cuchnie, a mój żołądek nadal miota się jak ryba na haczyku. Może lepiej zacząć od kawy.

Ponieważ mam związane ręce, unoszę kubek obiema dłońmi. Początkowo sączę małymi łydkami, obawiam się, żeby za bardzo nie obciążać żołądka. Wydaje się, że wszystko jest w porządku, więc upijam kolejny łyk.

Kiedy coś zjem, pomyślę o ucieczce. Nie, najpierw muszę się dowiedzieć, gdzie trzyma Toma i Jeffersona. Jak przez mgłę przypominam sobie, że być może są w stajni.

Ale nawet gdyby udało nam się uciec, dokąd pójdziemy? Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy. Chociaż z drugiej strony lepiej uciekać na oślep niż czekać beczynnym na to, co wymyślił mój wuj.

Na samą myśl o nim żołądek skręca mi się boleśnie, aż odstawiam kubek i unoszę dłonie do ust. I znowu to samo. To, czego bałam się od dawna. Jestem zdana na łaskę mordercy moich rodziców. Niewykluczone, że stoi tuż za drzwiami.

Ktoś odsuwa kotarę. Podskakuję nerwowo. Ale to tylko Mary, z wiadrem i szmatą, żeby po mnie posprzątać.

Rzuca szmatę na ziemię u moich stóp i gestem pokazuje, że mam wytrzeć podłogę. Nie ruszam się, więc powtarza gest, bardziej energicznie. Nie wiedząc, co robić, naciągam linę na kostkach i dotykam podłogi związanymi rękami. Staram się ją wytrzeć, ale robię to pod złym kątem i tylko wszystko rozmazuję.

– Przepraszam – powtarzam, choć nie jestem pewna, czy mnie rozumie.

Nie ukrywa obrzydzenia, podnosząc brudną szmatę.

– Jedz – rzuca. Ma wysoki, dźwięczny głos i zaczynam podejrzewać, że jest jeszcze młodsza niż ja, że ma dopiero piętnaście lat.

– Spróbuję – mówię. – Ale to nie takie proste z tym. – Podnoszę związane ręce, naznaczone czerwonymi pręgami od sznura.

Mary marszczy brwi. Nie bardzo wiem, co ją oburza; więzy czy fakt, że się na nie uskarżam. Składa ręce razem, jakby były skrępowane, i udaje, że je, jakbym była za głupia, by sama na to wpaść.

Zostawia mnie samą. Próbuje. Dźgam jajka widelcem, zjadam kawałek bekonu, kruszę podpłomykiem. Czuję się lepiej niż poprzednio i udaje mi się

przełknąć kilka kęsów.

Znowu rozglądam się po pokoju, tym razem w poszukiwaniu moich rzeczy i wtedy dostrzegam kuferek u stóp łóżka. Może jest w nim mój plecak. Naiwnością byłoby liczyć, że znajdę tam też broń.

Ktoś odsuwa zasłonę. Podnoszę wzrok, spodziewam się Mary, ale o Boże, to on, wuj Hiram, w eleganckiej czerni. Patrzy na mnie z góry jak chmura gradowa. Cofam się na posłaniu, aż dotykam plecami ściany.

– Witaj, groszku – mówi z przeciągłym akcentem z Milledgeville.

Rozdział 12

Zdrobnienie, którym zwracał się do mnie tatko, w ustach wuja Hirma drażni jak zgrzyt nożem po talerzu. Denerwuje mnie tak bardzo, że na chwilę zapominam o ostrożności.

– Gdzie Jefferson i Tom? – pytam.

Marszczy czoło.

– Nie chciałem ich tu sprowadzać, ale spokojnie, są cali i zdrowi. Chyba wkrótce zapędzimy ich do pracy.

– Jakiej pracy?

– Mary przygotuje ci kąpiel. Masz być czysta i elegancka, jak prawdziwa dama.

– Będę się ubierać, jak mi się spodoba.

– Będziesz się ubierać tak, jak ci każę. Albo twój przyjaciel, ten Indianin, tego pożałuje.

– Zabiję cię, jeśli go skrzywdzisz.

Przechyla głowę i przygląda mi się ciekawie z rękami splecionymi na piersi. Z bliska widać, że nie jest tak elegancki jak dawniej. Drogi surdut ma przetarcia na łokciach, kabura z czarnej skóry jest porysowana i brudna. Na kolanie spodni widnieje nie do końca dopasowana łąta, buty są brudne i znoszone. On także, jak my wszyscy, wycierpiał swoje podczas podróży do Kalifornii.

– Groszku, czeka cię tu wspaniała przyszłość. U mego boku. Reuben puszczał cię luzem, jak dzikiego żrebaka, ale z tym koniec. – W jego głosie rozbrzmiewają teraz miękkie, czułe nuty. – Wiem, że niełatwo jest się zmienić. Ale obiecuję, że będziesz tu szczęśliwa. Po prostu musimy uzbroić się w cierpliwość.

Pochyla się, chwyta mnie za ramiona, patrzy na moje otarte, pokryte sińcami nadgarstki. Usiłuję się wyrwać, ale trzyma mnie mocno.

– Przykro mi, kochanie – mówi. – Nie chciałem cię skrzywdzić.

Ogarnia mnie wściekłość.

– Oczywiście, że chciałeś. Od samego początku tylko tego chciałeś. Zabiłeś moich rodziców. Odebrałeś mi wszystko, co miałam. A teraz rozczulasz się nad zdartą skórą? Idź do diabła.

Puszcza mnie, wzdycha ciężko.

– Nie wszystko jest takie, jak nam się wydaje.

– Rzeczywiście. Stoisz tu i mówisz do mnie jak człowiek, choć w rzeczywistości jesteś jadowitym gadem, zasługującym najwyżej na to, żeby odrąbać ci łeb kantem szpadla.

Cios pada tak nagle, tak gwałtownie, że głowa odskakuje mi na bok, a przed

oczami tańczą zabawne światełka. Dopiero po chwili odzyskuję oddech i wtedy też czuję krew na języku.

Pluję nią na kołdrę. Zostanie po niej plama, to jasne jak słońce.

– Wydawało mi się, że nie masz wobec mnie złych zamiarów.

– Rózczką dziateczki Duch Święty bić każe.

Nienawidzę go. Wybacz mi, Jezu, ale to przenajświętsza prawda.

– A teraz ten sam cios wymierzę twojemu drogiemu Jeffersonowi – cedzi leniwie. – Tylko że on oberwie pięścią, a nie otwartą dłonią.

Żołądek podchodzi mi do gardła i zaraz zwróć tę odrobinę śniadania, którą udało mi się przełknąć. Skoro nie ma oporów, żeby uderzyć mnie, własną bratanicę, jak potraktuje Jeffa?

– Nie – szepczę. – Poczekaj.

Pytająco unosi brew. Czeka. Jest tak bardzo podobny do tatki, że serce ściska mi się boleśnie. Tylko że kiedy tatko tak na mnie patrzył, był ze mnie dumny albo czymś go rozbawiłam.

– Pozmywam. Zrobię, co zechcesz.

Uśmiecha się jak kot do bezbronnego szczura. Zdradziłam się, stwierdzam z rozpaczą. Jefferson to mój słaby punkt i Hiram już o tym wie.

– Bardzo mnie to cieszy. Rozwiążę cię, kiedy Mary przygotuje kąpiel. Nie myśl nawet o ucieczce. Nie wolno ci opuszczać domu, chyba że ze mną albo z Wilhelmem. Obóz jest dobrze strzeżony i wszyscy wiedzą, że nie wolno ci się oddalać. Jeśli spróbujesz, Jefferson i ten drugi zginą, jasne?

Na usta ciśnię mi się tysiąc pytań: co to za obozowisko? Gdzie jesteście? Kim jest Wilhelm? Ale przede wszystkim chcę, żeby już wyszedł.

– Tak – szepczę.

– Dobrze. Skończ śniadanie. Mary zaraz wróci.

Odprowadzam go wzrokiem, gdy wychodzi.

Strzelałam do jeleni, wiewiórek, bażantów i królików, ale czy byłabym w stanie zabić człowieka? Nie podoba mi się ten pomysł, ale jeśli kiedykolwiek miałoby do tego dojść, wiem, od kogo zacznę.

Śniadanie smakuje jak piach, ale zmuszam się, by je zjeść. Tymczasem Mary wpycha do pokoju miedzianą balię i co kilka minut wraca z dzbankami gorącej wody, którą do niej wlewa.

Balia, najprawdziwsza balia. Kąpiel w najbardziej luksusowym wnętrzu, jakie widziałam od wielu miesięcy. Becky oddałyby ukochany obrus za taką kąpiel.

Wuj dotrzymuje słowa, wraca, gdy kąpiel jest gotowa, i rozcina więzy długim nożem. Przez chwilę dotyka mnie chłodnymi palcami, aż żółć podchodzi mi do gardła.

– Umyj się – mówi. – Starannie. Mary przyniesie ci nowe ubranie.

Niezbyt chętnie się tu rozbieram, nawet za kotarą. Czekam, aż ucichną jego

kroki, ściągam ubranie najszybciej, jak potrafię, wchodzę do balii i zanurzam się w gorącej wodzie. Jest naprawdę gorąca, aż robię się czerwona, a balia tak ciasna, że muszę podciągnąć kolana pod brodę, żeby się zmieścić, ale po kilku dniach w siodle, karmiona jedynie laudanum, chłonę wodę całym ciałem.

Mary zostawiła przy balii szczotkę i mydło, więc szoruję się cała, szczególnie twarz i brudne paznokcie. Namydlam włosy, zanurzam się, żeby spłukać pianę, i rozczesuję je palcami. Kiedy to robię, długie pasma opadają z mojej głowy na wodę i unoszą się na niej jak wodorosty. I kolejne. Na wszelki wypadek zostawiam włosy w spokoju.

Szoruję się pod pachami, gdy wraca Mary. Przyciągam kolana do piersi, zasłaniam się nimi, aż woda chlusta na ziemię. Ale Mary nie podnosi głowy. W jednej ręce ma wiadro z wodą, w drugiej – kłęb ubrań, które rzuca na posłanie.

Wychodzi bez słowa, bez jednego spojrzenia.

Gorąca woda jest cudowna, ale nie chcę przebywać tu nago, więc muszę się spieszyć. Ostrożnie przemywam otarcia od sznura. Zdarta skóra piecze niemiłosiernie, gdy dotyka jej mydło, więc robię to delikatnie, ale szybko.

Nasłuchuję, czy nikt się nie zbliża, chwytam wiadro z czystą wodą, wstaję i wylewam połowę na włosy, żeby spłukać mydliny, a potem resztą spłukuję szyję i barki.

Wychodzę z balii. Podłoga wydaje się lodowato zimna i zaraz pokrywam się gęsią skórką. Przez chwilę z podziwem wpatruję się w posadzkę. Prawdziwe deski, a nie klepisko. Prawdziwe łóżko, nie byle posłanie. Prawdziwe szkło w oknach. Miedziana balia kąpielowa. Zapasowa pościel i ubrania.

Fakt, wuj ukradł mi mnóstwo złota, tam, w Georgii, ale jakoś nie wyobrażam sobie, by w takim tempie zbudował takie luksusy. Ani jakim cudem stać go na służącą i usługi kogoś takiego jak Frank Dilley.

Dzieje się tu coś dziwnego. Muszę się dowiedzieć co.

Chwytam ręcznik, wycieram się dokładnie i rozkładam ubrania na łóżku. Wszystko aż się prosi o prasowanie, ale to nowiutkie rzeczy – gorset, pantalony, halka. I suknia.

Z zadziwiającą łatwością zakładam pantalony i gorset. Nie ściskam się z całej siły, choć to modne, bo w tej chwili w nosie mam modę. Wolę móc w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

Po raz ostatni założyłam halkę na pogrzeb rodziców, ponad dziewięć miesięcy temu, dwa tysiące mil stąd. Staram się o tym nie myśleć.

Rozkładam suknię na łóżku, żeby się jej przyjrzeć, i serce podchodzi mi do gardła.

Już ją kiedyś widziałam. Jestem tego pewna.

Ciemnoniebieskie płótno upstrzone żółtymi gwiazdkami, choć jak się bliżej przyjrzeć, okazuje się, że to kwiatki. Materiał na przodzie układa się w malutkie

fałdki, zbiegające się na trójkątnej talii. Rękawy spływają trzema falbanami, każda zwieńczona białą koronką.

Zakładam suknię i nagle nie mogę oddychać, bo to suknia mamy.

Niemożliwe. Przestała ją nosić, gdy spodziewała się mojego braciszka. A potem on zmarł i zamiast poszerzyć suknię, żeby mama się znowu w niej mieściła, podarłyśmy ją na szmaty. Moja kołdra w Georgii zawierała kawałki tej sukni.

Dotykam rękawa, pocieram materiał między kciukiem a palcem wskazującym. Płótno jest sztywne, twarde, tak jak materiał, który nie ma za sobą niezliczonych prań. Koronka też jest inna, szersza, staranniej wykończona.

A zatem to nie jest ta sama suknia. Nie wiadomo dlaczego, oddycham z ulgą, gdy dochodzę do tego wniosku.

Zakładam ją przez głowę, obciążam na halkę i jedna myśl nie daje mi spokoju. Dlaczego Hiram sprawił mi akurat suknię, która wygląda jak ulubiony strój mamy sprzed lat? To na pewno zbieg okoliczności. Na pewno.

Suknia jest na mnie trochę za długa, i dobrze, bo to oznacza, że nie muszę ciasniej ścisnąć gorsetu. Przydałaby się do niej obszerniejsza halka, ale i ta da radę.

Nie mam do niej nowych bucików, więc rozglądam się po pokoju w poszukiwaniu moich. Otwieram skrzynię w nogach łóżka i wstrzymuję oddech. Są tam buty tatka i mój plecak.

Przeszukuję go najciszej jak potrafię. Suszone mięso, suchary, zapasowa koszula i pończochy, ale nie ma ani noża, ani amunicji. I gdzie jest moja strzelba? I pistolet?

Zamykam plecak i chowam do skrzyni. Na razie to musi mi wystarczyć.

Moje brudne ubrania cały czas leżą na ziemi koło balii. Podnoszę je, szybko jak grzechotnik, sięgam do kieszeni spodni. Złotowidzenie zapewnia, że woreczek złotego piasku i bryłek nadal tam jest, ale i tak z przyjemnością zaciskam na nich palce.

Teraz pytanie, gdzie je ukryć.

Nie ma tu skrytek, nie ma obłuzowanych desek. Materac to oczywista kryjówka. Zbyt oczywista?

Odnajduję wzrokiem buty tatki. Zawsze były na mnie za duże. Już mnie nie obcierają, ale do dzisiaj wypycham czubki szmatami albo, jak już nieraz podczas podróży do Kalifornii – suchą trawą.

Sięgam do lewego buta, chwytam zwitek brudnych gałganków, wyciągam go i na jego miejsce wsuwam woreczek złota. But będzie teraz ciasniejszy, ale dam sobie radę.

– Gotowa? – pyta Mary zza kotary.

Chyba tak, ale potrzebuję jeszcze chwili samotności, planowania, zanim po raz kolejny stanę twarzą w twarz z wujem.

– Jeszcze chwilka! – wołam.

W izbie jest tylko jedno okienko, wysoko nad posłaniem. Ciągle boso, tylko w pończochach, zakasuję spódnicę, wchodzę na skrzynię, chwytam się parapetu, wspinam na palce i wyglądam na zewnątrz.

To obozowisko, podobne do tego, z którego wyruszyliśmy: namioty, szałas, ziemianki. Ale o wiele większe niż nasze w Glorii, o wiele bardziej ożywione. Ludzie chodzą we wszystkie strony, muły ciągną wozy po ubitej ziemi. Przy wejściu do jednego z większych namiotów grupa brodaczy siedzi za stołem i gra w karty. Rozpoznaję w nich tych z Missouri, z naszego konwoju.

Ale tu są także Indianie, noszą worki kruszcu na schylonych plecach. Są o wiele chudsi niż ci, którzy nam pomagali ugasić pożar w obozowisku. Nie widzę z okna, dokąd zmierzają, ale domyślam się, że idą nad rzekę, żeby ocenić jakość rudy albo żeby płukać złoto.

Nieco dalej grupa Chińczyków ciosa drewno – o ile się nie mylę, budują kolejne wozy. Mają na sobie luźne spodnie i bluzy, i kapelusze, które wyglądają jak talerze do góry nogami. Jak ci, którzy przejeżdżali przez Glorię, mają długie, ciemne warkocze spływające w dół pleców. Może ich nadzorca też mówi z brytyjskim akcentem.

Są niewiarygodnie wydajni. Ich ruchy są płynne, miękkie. Jeden trzyma deskę, drugi wali w nią młotem, bez słowa zmieniają pozycje i kontynuują pracę. Jeden oddala się po więcej gwoździ i zaraz wraca.

Z mojego okienka widać tylko skrawek obozowiska, ale już wiem, że poza Mormon Island to największe skupisko, jakie widziałam w Kalifornii. Gdybym lubiła zakłady, a nie lubię, o nie, postawiłabym sporą sumę, że jest tu najprawdziwsza kopalnia, głęboka i bogata w złoża.

Może dlatego wuj ma taką elegancką chatę. Może to jego ziemia. Ziemia i wszyscy na niej.

Zeskakuję ze skrzyni, zakładam buty tatki. Złoto w czubku jednego z nich oznacza, że muszę kurczyć palce, ale cieszę się, czując jego bliskość, znajomą i ciepłą.

Nie mam zwierciadła, nie mam szpilek ani wstążek do włosów, więc wyznaczam przedziałek pośrodku i zaczesuję je najlepiej, jak potrafię. Wyglądam spódnicę, głęboko nabieram tchu, odsuwam kotarę i wchodzę do głównego pomieszczenia.

Wuj siedzi w fotelu na biegunach, czyta jakąś broszurkę przy oknie okolonym koronkowymi żółtymi firankami. Na stoliku leży niezapalona fajka. Środek pomieszczenia zajmuje stół. Po jednej stronie ciągnie się drewniana ława, po drugiej ustawiono dwa stołki. Pod przeciwległą ścianą stoi ogromny piec, na półce piętrzą się starannie poukładane garnki i patelnie. Mary gotuje coś, co pachnie ziemniakami i rzepą.

Z haka w suficie zwisa lampa naftowa, jest tak nisko, że muszę się schylić, przechodząc pod nią. Drzwi po mojej lewej stronie przenika światło słoneczne, a zatem prowadzą na zewnątrz. Drzwi po prawej są ciemne. Czyżby był tam jeszcze jeden pokój?

Chata z trzema izbami. Takich luksusów nie widziałam od Independence.

Wuj dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że weszłam do pokoju. Podnosi głowę, zaskoczony i odkłada broszurkę. Mierzy wzrokiem sukienkę, lustruje jeszcze mnie całą, od ciągle mokrych włosów po zabłocone buty i z powrotem. Wyraz jego twarzy zmienia się, łagodnieje, w oczach pojawia się dziwne, niezrozumiałe dla mnie pragnienie. W końcu kąćki jego ust unoszą się w leciutkim uśmiechu.

– Leah – szepcze. – Jesteś piękna.

Jakby wąż oplatał mi gardło.

– Kiedy tylko to będzie możliwe, kupię ci nowe buty – obiecuje. – Może ktoś w obozie umie zrobić trzewiki.

– Mnie tam te buty wystarczą.

– I oczywiście możesz je zachować. Ale elegancka dama powinna mieć eleganckie obuwie.

– Skoro tak twierdzisz. – Nie podoba mi się, jak na mnie patrzy. I to bardzo.

– Mary, kiedy już uporasz się z kolacją, zajmij się kąpielą Leah i jej brudną odzieżą.

Nic nie mówi, tylko kiwa głową i dalej pochyla się nad kuchnią.

Nabieram głęboko tchu. Czas zacząć go urabiać, jeśli chcę dostać to, na czym mi zależy.

– Dziękuję za suknię – mówię i staram się zapanować nad gniewem w głosie. Po chwili dodaję ostrożnie: – Przypomina mi suknię mamy.

Rozpromienia się.

– Cudownie, że to pamiętasz. To była moja ulubiona suknia. Specjalnie zamówiłem taką samą.

Żeby wspominać kobietę, którą zabiłeś? Chce mi się krzyżeć, ale tylko skromnie składam dłonie. Przypominam sobie Becky, gdy jak prawdziwa dama radzi sobie z kłopotliwymi gośćmi i mówię:

– Wiem, że nie powinnam wychodzić bez towarzystwa, więc może razem zajrzemy do moich przyjaciół? Byłabym o wiele spokojniejsza, wiedząc, że są cali i zdrowi.

Mruży oczy. Może posunęłam się za daleko. Analizuję słowa w myślach. Nawet w moich uszach brzmią naiwnie, jak bajeczka ze szkolnego przedstawienia.

On jednak po chwili kiwa głową.

– To rozsądna prośba. Możesz ich widywać raz dziennie, pod warunkiem, że będziesz się zachowywała bez zarzutu.

Raz dziennie. Pod nadzorem. Muszę się bardziej postarać, jeśli mamy uciec.

– Dziękuję – mówię.

Przyglądamy się sobie przez chwilę. Nie wiemy, co powiedzieć. Dociskam palce do zawiniątka ze złotem w bucie, czerpię pociechę z jego ciepłej wibracji.

– Zapewne masz dla mnie jakieś... zadania? – pytam w końcu i zaraz się zastanawiam, czy przypadkiem aluzja do mojego daru nie jest zbyt zawoalowana. Nie mam pojęcia, ile wie Mary, na ile wuj jej ufa, ale wolałabym nie zdradzać informacji o mojej magii.

– Oczywiście – odpowiada. – Razem zdobędziemy majątek, Leah Westfall. Z moim doświadczeniem i kontaktami i twoim... szczęściem.

– Wygląda na to, że już masz więcej złota niż król Midas – mamroczę. Na chwilę zapomniałam, że miałam być dla niego miła.

– Co to było?

– No, że już ci się bardzo dobrze powodzi. Masz piękny dom.

Wstaje, zdejmuje kapelusz z haka, zakłada go i mówi:

– Owszem, dobrze mi się powodzi, ale uruchomienie kopalni i zatrudnienie odpowiednich ludzi kosztowało mnie sporo wysiłku i determinacji. I oryginalności.

W otwarciu kopalni nie ma nic oryginalnego. Znajduje się żyłę kwarcu i kopie dalej, a jeśli trafiasz na więcej kwarcu i dobrą rudę, kopiesz i kopiesz. Dopiero po chwili dociera do mnie, o co mu naprawdę chodzi.

– Szybko oddamy to, co jesteś winien – zapewniam i tym razem to on jest zaskoczony.

A potem uśmiecha się, jakby był ze mnie dumny, że to powiedziałam.

– No, chodź. Zobaczysz się z przyjaciółmi.

Oddałabym całe złoto z buta, żeby dowiedzieć się więcej, na przykład ile jest winny i komu, ale wydusiłam już dzisiaj jedno wyznanie i nie chcę posuwać się za daleko.

Po raz ostatni zerkam na Mary przy kuchni. Z ponurą miną i gniewnym wzrokiem atakuje talerze jak najgorszego wroga. I nagle sobie myślę, że tak naprawdę wszystko świetnie rozumiem.

Hiram podaje mi ramię i choć wewnętrznie cała się skręcam, opieram się na nim i pozwalam, by wyprowadził mnie z chaty na słońce.

Rozdział 13

Obozowisko jest o wiele większe, niż mi się wydawało. Naprzeciwko naszej chaty stoi druga, mniejsza. Przez otwarte drzwi widzę piętrowe łóżka.

– Śpią tam moi nadzorcy – tłumaczy wuj.

Nieco dalej wznosi się wzgórze, a na nim skalisty klif, porośnięty suchymi krzewami, naznaczony martwym pniem drzewa. Poniżej zieje wejście do kopalni. Podpierają je potężne stemple, a strzeże największy mężczyzna, jakiego w życiu widziałam. Ma na głowie czarny kaptur, a w ręku strzelbę. Upiorny.

Obok kopalni ustawiono prymitywne żarna. Muł obraca ogromny kamień, który miażdży rudę, sypaną do środka przez jednego z pracowników. Złoto jako cięższe, opada na dno, kwarc zostaje wyżej. W tej chwili jest go niewiele – to raczej muśnięcie, nawet nie szept. Powietrze przesycane zapachem gnoju, potu i pyłu.

– Witaj w domu, Leah – mówi wuj, nadęty jak kogut. – I co powiesz na moją kopalnię?

– To ciężka robota – odpowiadam neutralnie. – Młyn do rozdrabiania kwarcu i wydobywania złota.

– To przemysł – prostuje Hiram. – Przemysł sprawia, że Ameryka jest wielka, i dzięki niemu i my zbijemy fortunę. Wiesz, ludzie już nazywają to miejsce Kopalnią Hiram.

– Coś takiego.

Przyglądam się wszystkim wokół. Niektórzy odwzajemniają moje spojrzenia. I kolejni, i jeszcze następni, aż cały obóz przestał pracować. Wszyscy mężczyźni są brudni i wynędzniali, zgarbieni i przygaszeni. Poza upiornym. I moim wujem.

– Na co się tak gapią? – pytam szeptem.

– Wielu z nich od miesiący nie widziało kobiety, a co dopiero prawdziwej damy.

– A Mary?

Wzrusza ramionami.

– To nie to samo.

Bez sensu – Mary jest równie dystygowana i piękna jak Becky Joyner w dobry dzień – ale rzeczywiście, we wzroku wielu górników widzę pragnienie i tęsknotę, jakbym była szklanką słodkiej herbaty w upalny letni dzień.

– Gdzie Tom i Jeff? – pytam.

– Tędy – prowadzi mnie coraz dalej od kopalni. Mijamy mniejszą chatę, zbliżamy się do stajni, a raczej zagrody o bardzo wysokich ścianach. – Po lewej stronie jest pastwisko dla mułów. Na wiosnę zbudujemy prawdziwą stajnię.

Na razie tu trzymamy najlepsze konie w razie niepogody.

Kara prycha na powitanie i rzuca radośnie łbem. Obok niej stoi Apollo, koń Toma, a jeszcze dalej – potężny czarny wałach wuja, nie pamiętam, jak się nazywa, Czarny Wiatr czy Piorun, czy coś równie banalnego.

Czwarty boks jest pusty.

– A gdzie Peonia? – pytam z narastającą paniką w głosie.

– Ma ją Abel Topper.

– Co takiego? – Abel Topper to były nadzorca kopalni z Georgii i pomagier wuja. Widział mnie, kiedy uciekłam z domu, i śledził aż do Tennessee, zanim w końcu zawrócił. Od samego początku pragnął mojej klaczy.

Wuj odpowiada powoli, cierpliwie:

– Już dawno mu ją obiecałem, jeszcze zanim ją ukradłaś i uciekłaś. – Kładzie mi rękę na ramieniu, zagląda w oczy. Przeszywa mnie dreszcz. – A ja zawsze dotrzymuję słowa, Leah. Zawsze.

Zaciskam usta. Nie rozplączę się przy nim. Wychowałam Peonię od żrebaka. Znam ją jak nikt. Myślałam, że wuj odebrał mi już wszystko, ale byłam w błędzie. Miałam coś jeszcze, a jednak znalazł to i także zabrał.

Zaciskam pięści. Nie patrzyłby na mnie z taką wyższością, z taką pewnością siebie, gdybym wybiła mu kilka zębów i rozwalila nos na krwawą miazgę.

– Gdzie on jest? – pytam przez zęby.

– A co, chcesz ją znowu ukraść? – Śmieje się szczekliwie. – Nie sądzę.

Krwawa miazga. Podbite oko. Wybite zęby.

– Nie, chciałam ją raczej od niego odkupić.

Mruży oczy.

– Nie jestem idiotą. Wiem, że coś knujesz.

Co do tego się nie myli.

– Myśl sobie, co chcesz, później go znajdę. – Kończę temat machnięciem ręki. – Poza tym obiecałeś mi zaprowadzić mnie do przyjaciół?

Zaciska usta w wąską linię, ale chwyta mnie za rękę i ciągnie na tył stajni. Jest tam długi drąg, do którego można przywiązać więcej koni, jeśli zajdzie taka potrzeba. Stoi tam nieznana mi kasztanowa klacz, a także Tom i Jeff.

Siedzą na gołej ziemi, z rękami przywiązanymi do drąga nad nimi. Tom zwisa bezwładnie, głowa opadła mu na pierś, ma zamknięte oczy. Jefferson podnosi głowę na nasz widok.

– Cześć, Lee – mamrocze.

Wstrzymuję oddech. Pod lewym okiem ma wielką śliwę. Jest nienaturalnie blady, ma zapadnięte policzki. Wygląda jak pijak, wpatruje się w punkt poza mną, jakby nie był w stanie skoncentrować wzroku na mnie.

– Och, Jeff – szepczę. – Kto ci to zrobił?

– Ładna suknia – bełkocze.

Kucam przy nim, unoszę jego podbródek.
– Kto ci to zrobił? – powtarzam. – Frank?
– Tak. Powiedział, że od dawna miał na to ochotę.
– Nie kazałem ich pobić. Zapewne zrobił coś, czym sobie na to zasłużył – wtrąca Hiram.

Wstaję, patrzę mu prosto w oczy.
– Jedyne, co Jefferson zrobił Frankowi Dilleyowi, to chyba to, że urodził się z matki Indianki. Dilley to zły człowiek, wuju. Zapamiętaj to sobie.

Wuj marszczy brwi.
– Wiem, że lubisz tego chłopaka, ale... – Nie słucham go. Nie zasługuje na to. Ponownie koncentruję się na przyjaciółach.

– Coś jeszcze cię boli, Jeff? – Mam łzy w oczach. Tyle bliskich mi osób zabitych lub skrzywdzonych przez Hiram Westfalla.

– Szczęka – mówi. – Nie mogę jeść, z trudem mówię, ale chyba nie jest złamana.

Oglądam jego podbródek z każdej strony. Szkoda, że nie ma z nami Jaspera.
– Nadal poją was laudanum?
– Tak.

– Spokojnie, załatwię to. – Jeszcze nie wiem jak, ale zrobię to. Poza tym laudanum jest drogie, Dilley nie będzie go kupował w nieskończoność. Gdyby udało mi się znaleźć i zniszczyć jego zapasy...

O dziwo, nagle ślinka napływa mi do ust, serce bije szybciej, robi mi się gorąco.

Potrząsam głową, jakbym chciała to z siebie zrzucić, i podchodzę do Toma. Siedzi tak cicho, tak nieruchomo, że przez jedną straszną chwilę obawiam się, że nie żyje. Kiedy czuję na dłoni jego oddech, kamień spada mi z serca.

– Tom? Tom, słyszysz mnie?
Porusza się, ale nie odpowiada. Płonie od gorączki.
– Cały czas śpi – mruczy Jefferson. – Od dawna.

Zamykam oczy i głęboko nabieram tchu, a potem przysuwam się do Jeffersona, pochylam się tak, że stykamy się czołami, i mówię tak cicho, że tylko on mnie słyszy: – Trzymaj się, Jeff. Wyrwiemy się stąd.

– Lee – szepcze. – Moja Leah. Moja dziewczyna. Moja...
– Cicho. – Dotykam wargami jego czoła, a potem wstaję i patrzę na wuja. Albo mi się wydaje, albo widzę cień niepewności w jego oczach.

– Wuju – zaczynam. – Chciałabym, żebyś lepiej traktował moich przyjaciół.
– Nie wiem, czym sobie na to zasłużyli, ale zapewniam cię, że...

– Powiedziałam, że będę z tobą pracować, i dotrzymam słowa. Dzięki mnie będziesz najbogatszym człowiekiem w Kalifornii – pod warunkiem, że zapewnisz im czystą wodę i jedzenie, i porządne miejsce do spania.

– Nie trzeba, Lee – woła Jeff za moimi plecami. – Bywałem w gorszych opałach. Wytrzymam.

Serce mi się kraje na myśl, że Jefferson uciekł od swojego ojca okrutnika tylko po to, żeby trafić w szpony kolejnego nicponia, który taktuje go jak żywą tarczę. Albo go stąd wyrwę, albo mnie szlag trafi.

– Jeszcze jedno – dodaję do wuja. – Każ ich rozwiązać. Nie możecie ich trzymać skrępowanych jak bydła. Prawdziwy dżentelmen odnosiłby się do nich z szacunkiem.

Wuj z powątpiewaniem unosi brew.

– A co ich niby powstrzyma od ucieczki?

– Ja – odpowiadam. – Nie uciekną beze mnie.

Przygląda mi się niepewnie.

– Nie masz pojęcia, jak wiążące są przyjaźń i lojalność – zapewniam. – Radziłabym spróbować. Może gdyby komuś naprawdę na tobie zależało, nie musiałbyś nikogo porywać i odurzać, żeby dostać to, czego chcesz.

Od razu żałuję tych słów, bo w życiu nie widziałam takiej wściekłości, jak teraz w jego oczach. Podchodzi do mnie i unosi rękę do ciosu.

W ostatniej chwili, gdy się uchylam, zmienia zdanie i opuszcza dłoń.

– Masz niewyparzoną gębę, dziewczyno. To zapewne sprawka Reubena.

Mam ochotę poradzić mu, żeby zamknął jadaczkę i nigdy więcej nie wymieniał imienia mojego tatki, ale tylko zaciskam zęby i milczę.

– Bardzo dobrze – mówi Hiram w odpowiedzi na moje milczenie. – Zadbam, żeby twoi towarzysze dostali coś do jedzenia i mieli dach nad głową. Znajdziemy im miejsce w kwaterze. Ale nalegam, żeby nocą, kiedy nie pracują, byli wiązani.

Krwawa miazga. Podbite oko. Wybite zęby.

– Dziękuję – mówię głośno. – Czy w Kopalni Hiram jest lekarz?

– Jeszcze nie. Przywódca Chińczyków trochę się na tym zna, w każdym razie lepiej mu idzie leczenie niż nauka angielskiego. Nie bardzo mu ufam. – Jakby znajomość angielskiego oznaczała, że ktoś jest godny zaufania.

Hiram prowadzi mnie z powrotem do chaty, a moje myśli uwijają się jak pszczoły w ulu. Rozglądam się dokoła, analizuję wzrokiem każdy szałas, każdy namiot i ziemiankę, i szukam schronienia. Kryjówki. Ucieczki. W przeciwieństwie do naszej pięknej okolicy nad stawem, tutejsze wzgórza są nagie, ale od północy chatę ocienia zagajnik. Marnie wygląda, suche liście opadają na ziemię, ale może stanowiłby pewną osłonę, gdybyśmy przez niego uciekali. Niestety drzewa są na tyle wysokie, że nie wiem, co jest za laskiem. Mogłoby się okazać, że przedzieramy się przez zarośla tylko po to, żeby nagle stanąć na krawędzi urwiska. Czasami jednak zagajnik prowadzi do strumienia, a strumień albo jego koryto doprowadziłoby nas do Sacramento i wolności.

Cały czas rozglądam się też za Ablem Topperem i Peonią. Niewielu stać

na własnego konia, ale nie brakuje tu mułów, ciągnących załadowane wozy, dostrzegam też kilka osiołków. Niestety, nigdzie nie widzę Peonii i gdy ponownie zamykają się za mną drzwi i znajduję się w półmroku pachnącym rzepą, dopada mnie rozpacz.

– Daję ci dzień, żebyś odpoczęła i odzyskała siły – mówi Hiram. – A potem bierzesz się do roboty.

Może mam sprzątać i gotować zamiast Mary, której nigdzie nie widać. A może mam szukać złota pośród wzgórz. Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Muszę jednak odpocząć i odzyskać siły, tylko z zupełnie innych powodów, niż mu się wydaje.

Najprzejmiej, jak umiem, pytam:

– Mogę prosić gulasz?

Następnego ranka siadam do posiłku razem z Hiramem. Zajmuję miejsce na ławie, a on – na jednym ze stołków. Mary przygotowała śniadanie, namoczony owies z masłem i melasą i do tego podpłomyki, ale potem zniknęła, jak zawsze. Szkoda, że tu nie zostaje. Od śmierci Therese nie miałam przyjaciółki w moim wieku.

– Włosy ci odrosły od naszego ostatniego spotkania – zauważa Hiram.

– Mhm. – Mam usta pełne podpłomyka.

– Za jakiś miesiąc będziesz mogła je upinać.

Nie mam pojęcia, czemu to dla niego takie ważne, ale kiwam głową twierdząco. Choć nie zamierzam spędzać tu całego miesiąca.

Becky, major i wszyscy w domu wiedzą, że nie będzie nas kawał czasu, że wrócimy dopiero po Święcie Dziękczynienia. Albo ucieknę szybko, albo muszę wytrwać do ich przybycia. Lepiej, żebyśmy uciekli, ja, Jefferson i Tom. Bo inaczej może dojść do rozlewu krwi.

– Dzisiaj zwiedzisz kopalnię – informuje mnie. Wyciera usta serwetką, składa ją starannie i kładzie obok pustego talerza. – Tutaj się rodzi nasze imperium, Leah. Kopalnia jeszcze nie jest zbyt głęboka, ale póki co okazała się bardzo zyskownym przedsięwzięciem. Chciałbym, żebyś się z nią zapoznała i ją... wybadła, że tak powiem.

– Mam ci mówić, gdzie kopać.

– Tak.

Obiecałam, że mu pomogę, żeby ocalić przyjaciół, ale na Boga na niebie, nie mam na to najmniejszej ochoty.

– Dobrze – mówię. – Tom i Jefferson też będą pracowali w kopalni?

– Oczywiście muszą zarobić na swoje utrzymanie, jak wszyscy.

Rozmazuję owsiankę podpłomykiem po talerzu. Nie jestem w stanie jeść.

– Mógłbyś ich wypuścić. – Niełatwo będzie ich przekonać, żeby odeszli beze mnie, ale zawsze warto spróbować.

Wuj uśmiecha się.

– Nie sędzę. Mam kilka spraw do załatwienia, więc Frank Dilley będzie ci towarzyszył.

Wypluwam podpłomyk.

– Nie! Dilley to wredny, nic nie wartym...

Hiram wyciąga rękę, ściska mnie za nadgarstek, szarpie mocno. Nadal jestem obolała i mam obtartą skórę po więzach.

– Wie, jak się zachować. – Pochmurnieje. – I ty też.

Milczę, ale po chwili wyzwalam rękę z jego uścisku. Biorę widelec i z nowym animuszem zabieram się za śniadanie. Muszę odzyskać siły, na miłość boską.

Wuj prowadzi mnie przez obozowisko. Mijamy prymitywny młyn, jakby wielkie żarna, w których rozdrabnia się rudę złota, przy wejściu do kopalni. Tam przekazuje mnie Dilleyowi, który podaje mi ramię, jakby był najprawdziwszym dżentelmenem, a nie podłym skunksem.

– Masz ją traktować jak damę – upomina wuj, gdy opieram dłoń na rękę Dilleya.

– Oczywiście, proszę pana. – Dilley uśmiecha się i uchyla kapelusza. – Tędy, moja pani. – Prowadzi mnie do wejścia. Jego ludzie, w tym ten blady, upiorny olbrzym – ruszają za nami. Czuję szczypanie na karku i wiem, że są z tyłu, choć ich nie widzę.

Wchodzimy w mrok i natychmiast otacza nas chłodne, wilgotne powietrze. Tunel jest wąski, szeroki na trzy kroki, tak że z trudem zmieści się w nim muł i wóz. Drewniane stemple podtrzymują sklepienie w nieregularnych odstępach, ciemność rozjaśniają naftowe lampy. Ściany są szorstkie, nierówne. W pewnym momencie tunel rozszerza się i moim oczom ukazuje się stół obok ściany, a przy nim krzesła i kilka beczek. Mężczyźni z Missouri kręcą się tu i sączą coś z blaszanych kubków. Na mój widok stają na baczność i uchylają kapeluszy.

Łypię na nich groźnie. Podczas podróży przez cały kraj nie okazywali mi takiego szacunku. Albo wuj ich uprzedził, albo zgłupieli na widok mojego stroju.

– Nadzorcy mają przerwę – wyjaśnia Dilley.

Jeszcze nigdy nie widziałam tylu nadzorców w jednej kopalni.

– Myślałam, że nadzorcą jest Abel Topper – zauważam.

– Och, on jest nadzorcą nadzorców – wyjaśnia Dilley. – Pewnie jest w Wodopoju z Indiańcami.

– W Wodopoju? – Głosy brzmią tu dziwnie, głośno, mocno.

– Jeden z tuneli kończy się rozlewiskiem. Sporo tam złota, ale Indiańce stoją po kolana w bajorze. A skoro o picciu mowa, panowie, pokażcie bratanicy szefa swoje maniery. Podajcie jej kubek wody z cukrem.

Ci z Missouri potykają się o własne nogi, tak się pchają, by spełnić jego polecenie. Napełniają własne kubki i trzech z nich jednocześnie wyciąga do mnie ręce.

Biorę pierwszy z brzegu i mamroczę pod nosem słowa podziękowania. Gapią się na mnie, czekają, aż upiję łyk. Zwykła czysta woda z odrobiną cukru i tyle. U nas w domu coś takiego piło się, gdy człowieka nie było stać na herbatę. Tu, w Kalifornii, to prawdziwy luksus, jak pomarańcze.

– Tędy – wskazuje Dilley. – Weź to ze sobą. – Zerka na kubek.

Część z mężczyzn rusza za nami, w tym ten upiorny, i po raz kolejny czuję pieczenie w karku – dowód, że mnie obserwuje. Przypomina mi się, jak mnie szarpał, wmuszał we mnie laudanum, cisnął na grzbiet Peonii i związał. Pieczenie przeradza się w nieprzyjemny dreszcz.

Mam tego dosyć. Odwracam się i mierzę go wzrokiem.

Przewyższa mnie o ponad głowę. Jest wyższy od Jeffersona, nawet od pana Hoffmana. Po jego ustach błąka się okrutny uśmiech.

– Jak się nazywasz? – warczę.

Pozostali przyglądają się nam ze zdumieniem.

– A, to Wilhelm – odpowiada Frank. – Trochę małowówny. Właściwie to w ogóle nic nie mówi. Jak na mój gust, jest trochę walnięty, ale też silny jak wół, wierny jak pies i podstępny jak żmija.

Wilhelm. Wuj wspominał, że wolno mi wychodzić z domu tylko w towarzystwie jakiegoś Wilhelma.

– Cóż, Wilhelmie, powinnam teraz powiedzieć, że bardzo mi miło, ale już się przecież znamy i to nie było miłe doświadczenie. Nie podoba mi się, jak traktowałeś mnie i moich przyjaciół, i na pewno ci tego nie zapomnę.

Dostrzegam coś jakby drgnienie jego ust, ale zaraz odwracam się i patrzę na Dilleya.

– Chodźmy dalej.

Dilley macha ręką i po raz kolejny podaje mi ramię. Upijam łyk wody z cukrem, głównie po to, żeby jej nie rozlać, kiedy idę, i pozwalam, by poprowadził mnie tunelem. Szyja mnie już nie szczypie, za to całe ciało zaczyna wibrować. Jak tuż przed burzą, gdy powietrze aż iskrzy się od energii. Tylko że tym razem czuję to głęboko w trzewiach i zastanawiam się, czy rozsądnie zrobiłam, przyjmując napój.

Tu jest złoto. Mnóstwo złota. Cała góra złota. Mąci mi się wzrok.

– Lee? Wszystko w porządku?

Głos Franka ściąga mnie z powrotem na ziemię. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że zatrzymałam się wpół kroku pośrodku tunelu. Nie pierwszy raz; złoto czasami mnie oszałamia, zwłaszcza w takiej ilości. Muszę być bardziej ostrożna.

– Tak, ja po prostu... Nie przywykłam do zamkniętych pomieszczeń.

– No to chyba czas się przyzwyczaić. Wuj chce, żebyś codziennie przychodziła do kopalni, choć nie bardzo pojmuję, po co mu taka kruszyna pod ziemią.

Kiedy miał mnie za chłopaka, nigdy nie mówił takich rzeczy.

– Franku Dilley, przypominam, że ta kruszyna strzela i jeździ konno o wiele lepiej od ciebie.

– A gdzie tam, dawałem ci fory, bo myślałem, że jesteś małym chłopaczkiem ze śmiesznym akcentem. Nie masz ze mną szans.

Frank Dilley awansuje na pierwsze miejsce na liście tych, którym rozkwaszę nos, zanim stąd ucieknę.

Tunel się rozwidla. Jeden korytarz opada bardziej stromo.

– Który chcesz zobaczyć najpierw? – pyta Dilley. – Wodopój czy Joyner?

– Joyner? Dlaczego tak go nazwaliście?

– Bo jest równie bogaty, uparty i suchy jak... – Ktoś szturcha go w plecy. – No cóż, po prostu przypominał nam pewną marudną wdowę, z którą się przyjaźnisz.

– Rozumiem. – Nieprawda, nic nie rozumiem. – Zacznijmy od Wodopoju.

– Tędy – wskazuje bardziej stromy korytarz. – Uważaj, zaraz będzie ślisko.

Rzeczywiście. Woda wypływa z ziemi, pokrywa skaliste podłoże warstewką błota, lśniącą w świetle lampy. Dostrzegam pod nogami drewniane deseczki, wbite w nieregularnych odstępach, trochę jak podkłady kolejowe. Początkowo sędzę, że to pomoc dla ludzi, żeby się nie ślizgali, ale wkrótce orientuję się, że chodzi o wozy z rudą – kiedy muł nie daje rady, drogocenny towar nie rozsypuje się, nie zjeżdża z powrotem w dół.

Przywieramy do mokrej ściany, żeby wóz się zmieścił. Prowadzi go wychudzony Indianin, nagi jak go pan Bóg stworzył. Drugi pcha wóz od tyłu, pomaga mułowi. Przypomina mi się wóz Joynerów na równie stromym zboczu. Widzę, jak lina nie wytrzymała i wóz runął, miażdżąc wszystko na swojej drodze, w tym męża Becky. Odwracam wzrok.

Z oddali dobiega charakterystyczny odgłos kilofów uderzających w skałę. Na razie to tylko ciche stukanie, ale wiem, że gdy będziemy bliżej, przybierze na sile. W domu, w Georgii, większość górników wracała do domów z bólem głowy. Nic dziwnego, że wielu z nich szukało zapomnienia w księżycówce.

– Wkrótce położymy tory i przestawimy się na wagoniki – tłumaczy Dilley. – Biednym bydłakom będzie trochę lżej.

– Czyli Indianom – uściślam.

Wzrusza ramionami.

– Robią za bydło. Szczerze mówiąc, wolę osły – sprawiają mniej kłopotów. Ale Indianie są o wiele tańsi. Wystarczy wziąć strzelbę, jechać do lasu i zgarnąć większą grupę.

Otwieram usta z wrażenia. Nie mogę uwierzyć w to, co przed chwilą powiedział. Ale niewolnictwo zapewne zawsze zaczyna się tak samo – od muszki strzelby.

Dilley nie zwraca na mnie uwagi. Wóz przejeżdża obok nas. Schodzimy coraz głębiej. Powietrze jest duszne, gęste od pyłu i wilgoci, utrudnia oddychanie. A może to sprawka Franka Dilleya. Oddycham głęboko, żeby się upewnić, że jeszcze jestem w stanie.

Tunel opada, rozszerza się i moim oczom ukazuje się płytkie podziemne jezioro. Światła lamp odbijają się od błotnistej powierzchni, wzburzonej, bo ze wszystkich stron widać prace.

Jaskinię wypełniają Indianie z kilofami. Dwa wozy stoją po osie w wodzie. Piętrzy się na nich ruda, tak wilgotna, że wygląda jak krowi nawóz. Dwóch Indian z trudem dźwiga potężny pień drzewa i wbija w błotnistą ziemię, chcąc podeprzeć sklepienie, jakby jeden pień wystarczył, by je utrzymać.

– Zostań tutaj, Lee – radzi Frank. – Krok dalej i pobrudzisz sobie piękną suknię.

Słyszając jego głos, Indianin najbliżej nas podnosi głowę, ale zaraz opuszcza ją z powrotem. Kuje ścianę niedaleko wejścia, ale rusza się powoli. Jest wychudzony jak żrebak, ma zapadnięte policzki i błoto na całym ciele.

– Dlaczego są nadzy? – pytam.

– Nie można dawać im ubrań – odpowiada. – Bo zamiast wydobywać złoto, wszystko ukradną.

– Ale to przecież ludzie, nie...

Trzaśnięcie bata. Wszyscy nieruchomieją. Indianin pod przeciwległą ścianą osuwa się do wody. Sięga mu po pachy. Na ramieniu czerwieni się krwawa szrama. Nie zwraca na nią uwagi, po omacku szuka pod wodą kilofa, a potem wraca do pracy.

Zbiera mi się na mdłości. Jeszcze nigdy nie widziałam batożonego człowieka. Ale co nieco słyszałam. U nas, w domu, niektórzy nadzorcy batożyli niewolników, których plantatorzy dzierżawili im zimą. Mało który Murzyn nie poczuł bata na skórze; Hampton ma paskudne blizny na plecach i barkach.

Wbijam wzrok w mroczną jaskinię, szukam spojrzeniem człowieka z batem. Światło lampy ma ograniczony zasięg, nie wiem, jak wielka jest grota. Już chcę pytać Dilleya, kto za to odpowiada, gdy z mroku wynurza się postać i zmierza w naszą stronę.

Abel Topper, nadzorca nadzorców, ten, który zabrał Peonię. Pejcz w jego dłoni wije się jak długi, cienki wąż. Już i tak miałam o nim jak najgorszą opinię, a teraz brak mi nawet słów pogardy.

– Dzień dobry, panno Westfall – wita mnie z promiennym uśmiechem.

– Nie można tak traktować ludzi – odpowiadam.

– Nikt cię nie pyta o zdanie.

– Jak tam moja klacz? – pytam, bo wiem, że tym wyprowadzę go z równowagi.

– Moja klacz ma się doskonale. Znalazłem jej łąkę pełną koniczyzny, więc wcale za tobą nie tęskni. Mam nadzieję, że na wiosnę się ożrebi.

– Peonia się nie żrebi! – krzyczę. – Jest zbyt cenna. Zbyt delikatna. Tatko dzięki niej przyuczył do zaprzęgu dwa narowiste żrebaki!

Abel uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Każdą klacz można pokryć. Jeśli urodzi mi takiego ślicznego żrebaka, jak sama jest, będzie lepsza niż złoto.

Nie zniosłabym, gdyby coś złego spotkało Peonię. Wielokrotnie mogłam kazać ją pokryć, ale nigdy nie chciałam ryzykować. Dodaję Abła do mojej czarnej listy.

– Mój wuj wie, że batożysz tych biedaków? – pytam.

– Wie i pochwała – odpowiada Frank Dilley.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale coś przykuwa moją uwagę. Indianin przy wejściu zerka na mnie ukradkiem. Nie, nie na mnie. Patrzy na mój kubek. Może chce mu się pić. Zewsząd otacza nas woda, ale nie nadaje się do picia. A może pragnie cukru.

– Lee! – odzywa się znajomy głos. Dostrzegam w mroku dwie postacie.

Jefferson i Tom w przemoczonych spodniach. Jefferson niesie oskard, Tom szpadel. Są bladzi, na piersi Jeffersona widnieją siniaki, ale tak bardzo się cieszą na ich widok, że aż oczy zachodzą mi łzami.

– Wracajcie do roboty – warczy Abel.

– Nie, spokojnie! – zapewniam. – Wuj mówił, że mogę się zobaczyć z przyjaciółmi i... – Kolejne słowa wypowiadam ze szczególnym naciskiem: – Upewnić się, że są cali i zdrowi. – Wędruję wzrokiem po skatowanej klatce piersiowej i barkach Jeffersona. Jest stworzony do tej pracy, to fakt. Żałuję, że nie mam niczego, czym mogłabym zakryć jego rany. Pewnie umiera ze wstydu, że wszyscy wokół widzą sińce na jego ciele. – Ablu, mój przyjaciel Jefferson chyba jednak nie jest cały i zdrowy. Muszę powiedzieć o tym wujowi.

Abel mruży oczy. W mdłym świetle lampy wyglądają jak ślepiec szatana.

– Strasznie się zrobiła zarozumiała – syczy.

Upijam łyk wody z cukrem, żeby mieć chwilę spokoju i zastanowić się, co dalej. Muszę wydostać stąd Toma i Jeffersona. Może jeśli znajdę wujowi sporą grudkę albo nową żyłę, wysłucha mnie. Albo przeciwnie, chciwość tylko pogorszy sprawę.

Stojący najbliżej mnie Indianin cały czas wpatruje się w kubek.

– Proszę – podaję mu blaszane naczynie. – To dla ciebie.

Wyciąga rękę, wrywa mi kubek. Dygocze na całym ciele, unosząc go do

ust.

Znowu rozlega się trzask bata. Kubek wysuwa się z dłoni Indianina, woda rozlewa się na ziemię. Mężczyzna rzuca się za nim, podnosi, ponownie przywiera ustami. Z zakrwawionej ręki płynie krew, gdy wylizuje wnętrze naczynia, byle nie zmarnowała się najmniejsza odrobina cukru.

– Czemu to zrobiłeś? – krzyczę do Abła. Jefferson i Tom patrzą na niego z obrzydzeniem.

– Miękkim sercem złota nie znajdziesz – odpowiada. – Ci cholerni Indianie wleżą człowiekowi na głowę, jeśli im się na to pozwoli.

– To był tylko kubek wody z cukrem!

– Do roboty! – warczy Abel do Indianina, trzaskając z bata.

Mężczyzna go nie słucha, jego uwagę pochłania pusty kubek.

I wtedy Frank Dilley wyjmuje rewolwer z kabury i strzela mu w głowę.

Robi mi się słabo na myśl, że niewinny człowiek zginął na moich oczach, a także dlatego, że echo wystrzału niesie się po małej jaskini. W uszach dzwoni mi bardziej niż kościelny dzwon. Mężczyzna bezwładnie osuwa się do wody. Na ścianie jaskini zostaje krwawa plama.

Abel krzyczy coś do Franka, Indianie krzyczą do siebie, ja jednak nie rozumiem ani słowa, istnieje tylko dzwonienie w głowie i ból w żołądku. Przyciskam dłonie do uszu. Niech to się wreszcie skończy. Twarz Indianina jest do połowy zalana wodą. Jedno oko patrzy na mnie oskarżycielsko. Obok niego powoli tonie cynowy kubek.

Przepraszam, szepczę. A może tylko myślę. Nie chciałam tego.

Nie chciałam też, żeby Martin zginął, żeby Nugget oberwała, żeby nasze obozowisko spłonęło do cna. A jednak to wszystko dzieje się wokół mnie.

Muszę się stąd wyrwać, z tej wilgotnej jaskini, i to szybko, zanim rozpadnę się na kawałki. Odwracam się na pięcie, zbieram spódnicę i biegnę pod górę. Rozpycham mężczyzn stojących mi na drodze, odpycham też Wilhelma. Przepuszcza mnie. Być może są równie zaskoczeni jak ja, bo nikt mnie nie zatrzymuje. Pragnę powietrza, światła, dobrego słowa, przyjaciół. Pragnę Peonii.

Pragnę broni.

Bo w tej chwili jestem gotowa zabić Franka Dilleya. I Abła Toppera. I mojego wuja razem z nimi.

Rozdział 14

Przed kopalnią zbiera się spory tłum, głównie Chińczycy, ale widzę też kilku Indian i tych z Missouri.

– Słyszeliśmy strzał – mówi ktoś albo mi się wydaje. Cały czas dzwoni mi w uszach po wystrzale.

Odwracam się w stronę mówiącego. Jeden z Indian, nieco ode mnie niższy, ubrany tak samo jak ci, którzy pomagali nam ugasić pożar, z naszyjnikiem na szyi. Zapewne ktoś ważny dla wuja, skoro nie pracuje w kopalni, jak pozostali. – Kto? Kto dostał? – Na jego twarzy maluje się strach. Bardzo dobrze mówi po angielsku.

– Spokojnie, Piżmaku – cedzi przez zęby jeden z Missouri i kolbą strzelby uderza go w pierś. – Nie masz prawa się do niej odzywać.

Piżmak cofa się o krok, ale szybko bierze się w garść. Nie daje za wygraną.

– Więc ty mi powiedz. Kto dostał?

– A skąd, do cholery, mam wiedzieć? – odpowiada Missouri i patrzy na mnie. – Kto, panno Westfall?

Mrugam nerwowo. Szczękam zębami, choć wcale mi nie zimno. Cały czas mam to przed oczami – głowa mężczyzny uderza o skalną ścianę, ciało osuwa się do wody, martwe oko patrzy na mnie pustym wzrokiem.

– Ja... Jeden z górników – mówię do Piżmaka. – W Wodopoju. Nie wiem, jak się nazywał. Zastrzelił go Frank Dilley.

– Żyje? Muszę do niego iść. – Chce minąć tych z Missouri, ale zastępują mu drogę.

– Bardzo mi przykro, panie Piżmaku – mówię drżącym głosem. – Ale... W niczym mu już pan nie pomoże.

Widzę rozpacz w jego oczach. Stracił właśnie przyjaciela, nie wie jeszcze którego.

Wszyscy pomrukują gniewnie, być może mówią coś do mnie, ale nic do mnie nie dociera. Wilhelm wychodzi z kopalni. Inni idą w ślad za nim. Na mój widok odpręża się wyraźnie.

– Gdzie wuj Hiram? – pytam głośno i wyraźnie. Muszę mu o tym powiedzieć. Nawet on nie pozwoli, by coś takiego uszło płazem.

– Pojechał w górę rzeki – mówi ktoś. – Do jednego z innych obozów. Kupić... – Dzwonienie w uszach zagłusza resztę słów.

Zasłaniam sobie uszy, jakby to miało w czymkolwiek pomóc, i przeciskam się przez tłum w kierunku chaty wuja. Muszę tam dotrzeć, zanim do końca stracę panowanie nad sobą. Albo nad żołądkiem.

Ale kiedy czuję pod stopami deski werandy, waham się nagle. Skoro wuja

nie ma, może to idealna okazja, żeby... Sama nie wiem, żeby coś zrobić. Nie ucieknę bez Jeffersona i Toma, ale może rozejrzę się po obozie, sprawdzę, co jest za chatą, ustalę, gdzie Abel trzyma Peonię. Dowiem się, jak się wydostać z tego piekła.

Wilhelm jest u mego boku w ułamku sekundy. Chwyta mnie za łokieć. Usiłuję się wyrwać, ale jest bardzo silny. Ciągnie mnie po schodach.

Dochodzimy do drzwi. Otwiera je i w tym momencie udaje mi się wyswobodzić łokieć. Pochylam się, wbiegam do środka pod jego ręką i odwracam się gwałtownie.

– Nie wejdiesz do środka. Rozumiem, że kazano ci pilnować mnie na dworze, ale musisz uszanować moje granice i... – Zastanawiam się gorączkowo, jak do niego dotrzeć, i chyba znajduję rozwiązanie: – Nie możesz przebywać ze mną w środku bez pozwolenia wuja Hirama.

Porusza szczęką, jakby zgrzytał zębami. Teraz, w świetle dziennym, przytomna, a nie oszołomiona laudanum, widzę go nieco lepiej. Ma krzywy nos, jakby go kiedyś złamano, spod krzaczastych jasnych brwi spoglądają ołowianoszare oczy.

Wpatruje się we mnie. Odwzajemniam jego spojrzenie. Ani mrugnę.

Nagle zatrzaskuje mi drzwi przed nosem i odchodzi.

Osuwam się na bujany fotel Hirama, podciągam kolana do piersi i jeszcze bardzo długo kołyszę się w przód i w tył.

Leżę na pościeli ze wzrokiem wbitym w sufit.

Nie mogłam rozejrzeć się po obozowisku, bo Wilhelm stał na straży pod drzwiami. Później przyszła Mary i jakimś cudem z namoczonej fasoli wyczarowała najprawdziwszy gulasz z wieprzowiny, fasoli i melasy. Najwyraźniej szybko się uczy, bo to jankeskie danie. Tatko zawsze je przyrządzał podczas wypraw łowieckich. Hiram chyba też je lubi. Zjadłam odrobinę i poszłam do siebie, wolałam, żeby zostało dla niego. Wrócił do domu, gdy zapadał zmierzch.

Wślizgnęłam się pod kołdrę, słysząc jego kroki, i odwróciłam plecami do drzwi. Czułam, że unosi zasłonę, czułam jego mroczną obecność, słyszałam cichy oddech, ale udawałam, że śpię, bo w tamtej chwili nienawidziłam go tak bardzo, że nie byłam pewna, czy zdołam udawać pokorną.

Już chyba po północy, księżyc stoi wysoko na niebie, zagląda do mojego pokoju niebieską poświatą. Okienko się nie otwiera, już sprawdzałam. Z chaty jest tylko jedno wyjście – przez drzwi frontowe.

Coś stuka w okno, cichutko, jak wiewiórcze pazurki. Może mi się tylko dawało.

Znowu, tym razem głośniejszy. Odrzucam kołdrę, wstaję. Wspinam się na skrzynię, wysuwam głowę nad parapet i wyglądam na zewnątrz.

A tam – Jefferson, uśmiechnięty od ucha do ucha, z garstką kamyków,

doskonale widoczny w świetle księżyca. Rozglądam się nerwowo, ale jest noc i wszyscy śpią. Z drugiej strony, potrzeba tylko jednej osoby, by doniosła o wszystkim wujowi.

– Uciekaj – szepczę.

– Otwieraj! – odpowiada i wskazuje okienko.

Kręcę przecząco głową.

– Nie da rady.

Przymyka oczy, zaciska usta w wąską kreskę. Zawsze ma taką minę, ilekroć nad czymś myśli. Znam ją tak dobrze, że ten widok ściska mnie za serce.

Podchodzi do szyby, wspina się na palce, tak że nasze twarze dzieli zaledwie kilkadziesiąt centymetrów. Może to tylko kwestia oświetlenia, ale wydaje mi się, że siniak pod okiem zmienił kolor z głębokiego fioletu na zielonkawożółty – a to dobry znak.

Jefferson nabiera głęboko tchu, rozchyła usta i chucha na szybę, aż zostaje na niej mleczny obłoczek, i pisze palcem wskazującym:

JUTRO

Dopiero po chwili zrozumiałam. Jutro. Kiwam twierdząco głową.

Ściera napis dłonią, chucha ponownie i pisze:

PÓJNOC

Znowu ściera i pisze dalej:

ZA STANIA

Serce bije mi jak oszalałe. Dam radę? Uda mi się wymknąć z chaty pod samym nosem wuja?

Jefferson przyciska dłonie do szyby. Widzę na nich ślady pracy tego dnia: małe ranki ubrudzone ziemią, pęcherz u nasady kciuka.

Powoli podnoszę ręce i też przyciskam dłonie do szyby, tak że między nami

jest tylko tafla szkła.

Jefferson uśmiecha się lekko, wyciera szybę, żeby nie zostały żadne ślady po jego wizycie, schyla się i znika w ciemności.

Rozglądam się po opustoszałym obozie, żeby upewnić się, że nikt go nie widział. Światło dobiega jedynie z kilku namiotów Chińczyków, ale poza tym chyba wszyscy śpią.

Hiram wspominał, że będą na noc wiązać Jeffersona. Jakim sposobem się uwolnię? Jak mógł tak strasznie ryzykować tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć?

Podchodzę do posłania, siadam na łóżku, opieram się plecami o ścianę, podciągam kolana do piersi. Jutro o północy. Za stajnią.

Następnego ranka zjawia się Mary i bierze za szykowanie śniadania. Ma naderwany rękaw i wielki siniak na lewym policzku. Od razu rozpoznaję ślad po uderzeniu; Jefferson miał je właściwie zawsze. Staram się pochwycić jej wzrok, chcę ocenić, jak się czuje, ale uparcie odwraca głowę.

Wuj Hiram chyba niczego nie zauważa. Powoli zajada jajecznicę, myślami jest najwyraźniej daleko stąd. Z bólem serca muszę przyznać, że przystojny z niego mężczyzna. Przystojniejszy od tatki, choć nie ma za grosz jego ciepła, czułości i radości. Jest za to bardziej zadbany, starannie ogolony, ma równo przystrzyżone włosy i zaczesane na bok, z równiutkim przedziałkiem.

Mary zbiera talerze ze stołu, a ja w końcu zdobywam się na odwagę, by powiedzieć wujowi, co mi chodzi po głowie.

– Wczoraj Frank Dilley zastrzelił człowieka.

Może tylko mi się wydaje, ale Mary chyba drgnęła, zbierając resztki z talerzy.

– A, tak – odpowiada Hiram lekko. – Słyszałem. – Wyciera usta serwetką.

Gapię się na niego z niedowierzaniem.

– I co zamierzasz z tym zrobić?

– Już zrobiłem. – Składa serwetkę i starannie układa na stole.

– Och?

– Zbeształem Franka za brak ostrożności. Topper mówi, że Indianiec cieszył się szacunkiem dzikusów. Był czymś na kształt ich przywódcy. To nie ten, z którym rozmawiam, niejaki Piżmak, ale inni czerwonoskórzy bardzo go szanowali. Frank powinien był wybrać kogoś innego.

Mrugam nerwowo, staram się zrozumieć, co powiedział. Jakbyśmy prowadzili dwie zupełnie różne rozmowy. Równie dobrze mogłabym zapytać, czy naprawił płot, i usłyszeć, że zaraz poda mi szklanekę wody.

– Kim właściwie jest Piżmak? – pytam. Przypominam sobie mężczyznę z kopalni, który nie dawał sobą pomiatać.

– Przez kilka lat mieszkał w jednej z hiszpańskich misji, jest w miarę ucywilizowany. Mówi po angielsku i hiszpańsku, nie tylko w tym pogańskim

lokalnym bełkocie, więc służy mi za tłumacza. Nie wierzę, że naprawdę nazywa się Piżmak.

– Nie?

– Niechętnie zdradzają chrześcijanom swoje prawdziwe imiona. Ale przydatne z niego stworzenie.

– To on zajmie się pogrzebem tego, którego zastrzelił Frank Dilley? – Nie mam pojęcia o zwyczajach Indian, ale może powinnam tam pójść i złożyć kondolencje?

– Żadnego pogrzebu nie będzie – odpowiada Hiram. – Zaniesiemy głowę Indianca, zgarniemy nagrodę, a potem złapiemy kolejnego.

– Nagrodę?

– Spokojnie, żaden z moich ludzi nie będzie strzelał do Indianców tylko po to, żeby dostać nagrodę. Za dobrze im płacę.

– A Indianom? Im też płacisz?

– Są sownie wynagradzani – mają jedzenie, dach nad głową i okazję, by porzucić pogańskie wierzenia i przyjąć do serca nauki naszego Pana Jezusa Chrystusa. A właśnie, niedługo odwiedzi nas wielebny Lowrey. Głosi Słowo Boże w pobliskich obozach górników. To miła rozrywka dla moich ludzi.

– A Chińczycy? Płacisz im? Nigdy nie widziałam równie zgranej ekipy.

– Mogą liczyć na strawę i schronienie, jak wszyscy inni. W wolnym czasie mogą też handlować z innymi mieszkańcami obozowiska. Niektórzy z nich zbijają na tym niemały majątek.

Mary przestała zmywać, ale teraz, gdy zapadła cisza, ponownie bierze się do pracy, ostentacyjnie stukając talerzami.

– Ten Indianin nie zrobił nic złego, wuju – zauważam, wracając w rozmowie na bardziej interesujący mnie temat. – A Frank Dilley to morderca.

– Masz miękkie serduszko, jak twoja matka. – Uśmiecha się czule. – To godna pochwała cecha u młodej damy.

O moim sercu można wiele powiedzieć, ale nie to, że jest miękkie. Przeciwnie, jest twarde jak rozżarzony węgiel.

Hiram mówi dalej:

– Oczywiście to skomplikowana kwestia moralna, a ani twoje wykształcenie, ani płeć nie przygotowały cię do takich dyskusji, ale uwierz mi, groszku, zabicie Indianina to nie morderstwo.

Nie chcę nikomu wmawiać, że mam ogromną wiedzę, ale wiem, że to, co mówi, jest bzdurą, jak to, że ryby mieszkają na drzewach.

– Chyba nie rozumiesz...

– Dzisiaj masz iść do górnego korytarza – decyduje, odsuwając stołek. Wstaje, patrzy na mnie z góry. – Nie wiemy, dokąd prowadzi żyła, a trafiliśmy na ścianę granitu. Zaoszczędzimy czas i pieniądze, jeśli ty... – Zerka na Mary. –

Jeśli doradzisz nam, gdzie twoim zdaniem jest złoto. No wiesz, jako córka górnika i tak dalej.

Mary szoruje talerze tak mocno, że obawiam się, że sobie połamię palce.

– Zrobię, co w mojej mocy, wuju. Ale przyznam, że pracowałoby mi się łatwiej, gdybym wiedziała, że Indianie mogą liczyć na lepsze traktowanie.

Hiram zakłada kapelusz na głowę.

– Dopilnuję, żeby dzisiaj wszyscy dostali dodatkową porcję pszenicy, co ty na to?

A ile normalnie dostają? I czy dostają same ziarna, czy plewy też? Jadłam już w życiu surową pszenicę. Ma przyjemny, lekko orzechowy smak, ale zostawia osad na zębach i ból w żołądku, jeśli zje się jej za dużo.

Nadal mi się przygląda, czeka na moją reakcję.

– Dziękuję – wyduszam z siebie. I wyobrażając sobie, co zrobiłaby Becky, dodaję: – To bardzo wielkoduszne z twojej strony.

Uśmiecha się znowu, a mnie zbiera się na mdłości na myśl, że sprawiłam mu przyjemność.

– Kiedy tu skończysz, Wilhelm zaprowadzi cię do kopalni.

Wychodzi. Zostaję z Mary i stukaniem talerzy.

Na stole cały czas stoi koszyk podpłomyków, przykrytych serwetką, żeby nie wystygły i dla ochrony przed muchami. Może mogłabym podwędzić kilka i zanieść Jeffersonowi i Tomowi do kopalni.

I nagle przeblysł wspomnień: huk wystrzału, Indianin bezwładnie walący się do wody.

Frank, Abel, w ogóle nikt nie może widzieć, że kogoś traktuję inaczej niż pozostałych, bo tym sposobem wyrządzam im niedźwiedzią przysługę.

Ale zaniósę im to wieczorem, w nocy, o północy, gdy nikt już nie będzie czuwał. Chwytam koszyk.

– Mary, mogę zabrać podpłomyki do siebie? Czasami w nocy chce mi się jeść.

Wzrusza ramionami i rzuca obojętnie:

– Tak. Bierze.

– Dziękuję. – Już się odwracam, żeby odejść, ale w ostatniej chwili zatrzymuję się. – Co ci się właściwie stało?

Mary odwraca się do mnie ze ścierką w dłoniach.

– Nie rozumię.

Unoszę dłoń do policzka. W tym samym miejscu na jej twarzy widnieje wielki siniak.

Na ułamek sekundy z jej oczu znika wszelki blask, a potem się uśmiecha.

– Nada. To nic takiego. Mężczyźni. Czasami są... jak to się nazywa? Brutalni. – Wzrusza ramionami.

Zdumiona, marszczy brwi.

– Im też sprzątasz i gotujesz?

Śmieje się gorzko, jakby moim kosztem.

– Och nie, nie ci. – Ponownie bierze się za zmywanie. – Wielki czeka przed domem – mówi, ucinając dalszą dyskusję.

Ze wzrokiem wbitym w jej plecy analizuję naszą rozmowę. Pod pewnymi względami przypomina mi Jeffersona; zamknięta w sobie, wiecznie zamyślona, z blaskiem w oczach, gdy to, co mówię, wydaje jej się śmieszne z takiego czy innego powodu. Ale do prawdziwej przyjaźni jeszcze bardzo daleko, bo w przeciwieństwie do Jeffersona odnosi się do mnie z lodowatym chłodem.

Biegnę do siebie i chowam podpłomyki w skrzyni przy łóżku. Sznuruję trzewiki, prostuję się dumnie i szykuję na spotkanie z Wilhelmem.

Frank Dilley miał rację; w korytarzu Joyner jest o wiele bardziej sucho. W kopalni nie ma dzisiaj Franka, za to jest Abel Topper. Prowadzi mnie z Wilhelmem w głąb tunelu, długiego i tak niskiego, że muszę się pochylić, żeby nie uderzać głową w zawieszony pod sufitem lampy. Co jakiś czas trącamy korzenie drzew, co oznacza, że nachylenie terenu pokrywa się z nachyleniem tunelu.

Dwukrotnie usuwamy się na bok, żeby przepuścić wózki z rudą, aż w końcu docieramy do końca korytarza. Rzeczywiście, wygląda na to, że górnicy natknęli się na litą skałę.

– Wszystko wskazuje na to, że żyła kwarcu prowadzi w tamtą stronę – Abel wskazuje kamień. – Możemy się przez to przebić, ale taka lita skała tępi kilofy szybciej, niż jesteśmy w stanie je naostrzyć. Westfall pojechał wczoraj do Rough and Ready po proch strzelniczy. Moglibyśmy w razie czego wysadzić ścianę wybuchem, ale powiedział, że córka Szczęściarza Westfalla mogłaby... udzielić nam rady. Zdecydować, gdzie dalej kopać.

Ile właściwie wuj zdradził Ablowi? W końcu Topper w Georgii też pracował w kopalni i wie, jak się wydobywa złoto. Na pewno nie dał się nabrać na bajeczkę o mojej radzie. Z drugiej strony, górnicy bywają bardzo przesądni. Wuj pewnie powiedział mu, że mam szczęście.

Rough and Ready? Gdzie to jest? Na północ? Jeszcze wyżej w górach? Jeśli się dowiem, będę miała mniej więcej pojęcie, gdzie się znajduje.

– Panno Westfall?

– Muszę się zastanowić.

Abel przygląda mi się z oczekiwaniem. Wilhelm stoi za mną. Co prawda go nie widzę, ale i tak ciężar jego spojrzenia na plecach jest namacalny, jak spore obciążenie.

– Poświeć tutaj – wskazuję ścianę litej skały. Abel spełnia moje polecenie, przesuwając światło lampy ze ślepego zaułka przed nami. W ciemności zamykam

oczy, zdaję się na złotowidzenie.

Natychmiast znajduję żyłę złota, ciepłą, żywą rzekę kruszcu, nieco po prawej stronie. Gdyby kopali dalej do przodu, minęliby ją.

Zahaczam barkiem o ścianę. Zaskakuje mnie to. W ślad za złotem podeszłam do skały, choć w ogóle nie zdawałam sobie z tego sprawy. Jak ćma do ognia. Dotykam dłonią szorstkich kamieni, czuję przez skórę, jak złoto wibruje mi pod palcami, jak snuje opowieść o nadziei i ciepłe. O życiu i wolności.

Najcudowniejsza rzecz na świecie, lepsza nawet niż placek z brzoskwiniami, niż jesienne poranki przy gorącym piecu. Koncentruję się, uruchamiam złotowidzenie, które rozrasta się jak korzenie w żyznej glebie. Wibracje narastają, wypełniają mnie całą.

Uśmiecham się.

Ziemię przeszywa lekki wstrząs. Drobne kamyki sypią mi się na głowę.

– Co to było? – pyta Abel. – Czulaś to?

Mrugam szybko i wracam do terażniejszości. Wydawało mi się, że to tylko wibracje złotowidzenia, że kruszec przemawiał do mnie jak zawsze, ale tym razem Abel także to poczuł.

– Może warto wstawić tu więcej stempli – mówię szybko. – Ten korytarz chyba nie jest do końca bezpieczny. – I może to prawda, widzę przecież splątane korzenie nad głową. A może to mój wpływ. Przecież niemal wydawało mi się, że złoto mi odpowiada.

Abel marszczy czoło. W świetle lampy jego oczy nikną w oczodołach.

– Może i tak. – Odwraca się gwałtownie i świeci mi lampą prosto w twarz. – No i co ty na to? Gdzie kopać? Przed siebie? W bok?

Dziwi mnie, że tylko ja czuję żyłę po prawej stronie. To dla mnie naturalne, jak wiatr we włosach, jak słońce na twarzy. Podejmuję szybką i być może złą decyzję.

– Do przodu, zdecydowanie – mówię. – Dawajcie tu proch i kopcie dalej. Zmierzacie we właściwą stronę.

Uśmiecha się szeroko.

– Wiedziałem!

– Jestem jeszcze do czegoś potrzebna?

– Na razie nie. – Odprawia mnie machnięciem ręki, już myśli tylko o skale przed sobą.

Wracamy z Wilhelmem na górę i choć uwielbiam czuć wokół siebie zapach, ciężar i gładkość złota, skłamałabym, mówiąc, że niechętnie wychodziłam z ciemnej, wilgotnej nory pod ziemią.

– I co teraz? – pytam.

Gestem wskazuje chatę.

– Znowu? Cały dzień? – Nie znoszę bezczynności. Nigdy dotąd nie

przeleniuchowałam całego dnia. Energia mnie roznosi.

W odpowiedzi tylko marszczy czoło.

– Hej, nie tak szybko, nie rozumiem, co mówisz.

Mars na jego czole pogłębia się.

– Dobrze, już dobrze, jeśli tak ci zależy, odpuszczę.

Przez jego twarz przemyka inny grymas, pojawia się i znika, jak wystrzelona kula. Jakbym sprawiła mu przykrość.

Już otwieram usta, by zadrwić z urażonych uczuć, kiedy przychodzi mi o do głowy coś innego; może to nie tak, że on nie chce mówić. Może nie potrafi, a w takim wypadku moje żarty to nie żadne żarty, tylko najzwyczajniejsze okrucieństwo.

Dochodzimy do chaty. Obóz tętni życiem, mężczyźni kręcą się po całym terenie. Gigantyczne żarna trzeszczą niemiłosiernie, poruszane wysiłkiem mułów. Jeden z Chińczyków ostrzy oskardy przy prymitywnym stanowisku kowalskim. Mary siedzi na kolanach jednego z Missouri. Zrobił sobie przerwę i pali fajkę.

Przez chwilę stoimy z Wilhelmem, nie wiedząc, co ze sobą zrobić; on czeka, aż wejdę do środka, a ja sama nie wiem na co.

W końcu przerywam milczenie:

– Zostało mi trochę podpłomyków. Chcesz?

Zastyga w bezruchu, a potem na jego pełnych ustach pojawia się uśmiech i lekko kiwa głową.

– Poczekaj tutaj. – Wbiegam do środka, wydaję dwa podpłomyki z zapasów w kuferku i wracam do niego. – Proszę.

Bierze je ode mnie, uchyla kapelusza i odwraca się, żeby stać na straży na zewnątrz chatki.

Kilka minut później ciszę przerywa huk. Gwałtownie otwieram drzwi. Z zewnątrz, od strony wejścia do kopalni, nadciąga chmura pyłu, a wraz z nią – zapach prochu strzelniczego. Abel i kilku innych stoją niedaleko, krzyczą, śmieją się i walą się kapeluszami po udach, jakby obserwowali fajerwerki na czwartego lipca.

Nie znajdują tam żyły złota. Wysłałam ich na manowce. Gdyby wuj pytał, powiem, że to była niewielka żyła, niewarta zachodu, i że po wybuchu już pewnie niewiele z niej zostało. Oczywiście znajdą trochę złota, wystarczająco, żeby moje słowa zabrzmiały wiarygodnie. Ale nie dość, żeby wuj się wzbogacił.

Nie wiem, czy to była słuszna decyzja. Niczego już nie wiem.

Rozdział 15

Muszę znaleźć moją broń.

Nie mam pojęcia, dokąd pojechał Hiram ani kiedy wróci, ale nie mogę zmarnować takiej okazji. Do jego pokoju prowadzą prawdziwe drzwi. Jeśli trzyma moją broń w chacie, to na pewno właśnie tam.

Choć jestem w domu sama, cichutko podkradam się do drzwi jedyne go pokoju, w którym jeszcze nie byłam. Z duszą na ramieniu pcham je lekko. Nie ma w nich klamki. Otwierają się na oścież ze zgrzytem, który słychać chyba aż w San Francisco.

Pokój jest o wiele większy niż mój. Jest w nim ogromne łóże dla dwóch osób, regał pełen książek i piękna komoda z wiśniowego drewna. Stoi pod oknem wychodzącym na północ, na zagajnik, więc w pokoju panują chłód i półmrok. Powietrze przesycza zapach wosku i tytoniu.

Zaglądam pod łóżko, za ubrania – nic. Na paluszkach podchodzę do komody, żeby sprawdzić szuflady, i wtedy coś przykuwa moją uwagę. Oprawiona fotografia obok wypalanej do połowy świecy. Jest niewyraźna, jakby ktoś często jej dotykał. Przyglądam się jej uważnie, coś nie daje mi spokoju.

Spogląda na mnie młoda kobieta. Pozuje skromnie, z rękami skrzyżowanymi na kolanach, z dumnie uniesioną głową. Jest młodziutka, ma może z osiemnaście lat, nieskazitelną karnację i szczupłą sylwetkę, uparcie zaciska ładnie wykrojone usta.

Jest do mnie bardzo podobna, tylko, szczerze mówiąc, o wiele ładniejsza. Ma wąski podbródek i jasną karnację, której nigdy nie tknęło słońce.

To chyba moja mama.

Mama miała zmarszczki w kącikach oczu i skronie przyprószone siwizną, straciła figurę po dwóch ciążach. Miała też wiecznie opalony nos, bo ciągle zapominała czepka. Jej dłonie nie były delikatne, lecz silne, a usta zdradzały upór, a nie opanowanie.

Ale te oczy. I ten uśmiech, niby obecny, a zarazem niewidoczny.

Powinnam natychmiast rozpoznać własną matkę i dziwnie się czuję na myśl, że nie od razu tak się stało. Może już zapominam, jak wyglądała, a przecież nie żyje zaledwie niecały rok. A może życie w Georgii u boku tatki zmieniło ją tak bardzo, że w pierwszej chwili nie skojarzyłam, że to ona.

Przyglądam się jej sukni. Szukam czegoś znajomego. W życiu nie widziałam mamy w takiej kreacji, ale pochodziła ze starej bostońskiej arystokracji i w dzieciństwie prowadziła zupełnie inne życie.

Na szyi ma naszyjnik. Zdjęcie jest zbyt niewyraźne, żebym mogła mu się

dokładnie przyjrzeć, ale dałabym sobie rękę uciąć, że to ten sam medalion, który teraz zwisa z mojej szyi, ten sam, który wraz ze mną przewędrował cały kontynent, medalion z puklem włosów mojego braciszka...

Za dużo czasu już zmarnowałam, stercząc tu beczynn timer. Muszę kończyć i zniknąć stąd, zanim Hiram wróci.

Staram się nie zwracać uwagi na fotografię. Otwieram kolejne szuflady, zaglądam pod bieliznę i pościel, szukam mojego rewolweru i amunicji – i nic. Nic, co mogłoby mi posłużyć jako broń. Cichutko zasuwam szuflady.

Zaglądam za komodę, pod materac, obmacuję deski podłogi – może jedna jest obluzowana?

Nic z tego.

Za to słyszę kroki na werandzie.

Nie mam czasu odwrócić się i sprawdzić, czy wszystko zostawiłam tak, jak było. Wybiegam z pokoju, zamykam za sobą drzwi, siadam na jego fotelu bujanym w tym samym momencie, gdy Hiram staje w drzwiach.

– Dzień dobry, Leah – zwraca się do mnie uprzejmie. Wpatruje się w medalion na mojej szyi, jakby miał dla niego szczególne znaczenie. Zakrywam go dłonią.

– Dzień dobry – odpowiadam głośno, wyraźnie, jakby serce wcale nie chciało wyskoczyć mi z piersi, jakbym ciągle miała czym oddychać.

– Abel mówi, że poradziłaś, żeby wysadzili ścianę w tunelu Joyner.

Wzruszam ramionami.

– Niewiele tam znajdą. Żyła nie sięga daleko.

Mruży oczy, jakby coś podejrzewał, ale nic nie mówi.

Gdyby nie obawa o własne życie, życie przyjaciół i... do licha, o życie wszystkich w całym obozie – zapytałabym prosto z mostu, czemu ma u siebie fotografię mamy. Dlaczego akurat tę pamiątkę zabrał ze sobą na drugi koniec kontynentu? Dlaczego stoi w takim miejscu, że widzi ją codziennie?

Ale czuję ten strach, a ponieważ mam udawać chętną do współpracy, mówię tylko:

– Abel wspominał, że pojechałeś do Rough and Ready po proch.

Hiram ściąga rękawice jeździeckie, uderza nimi o uda, żeby pozbyć się kurzu.

– Tak, i udało mi się wynegocjować dobrą cenę. Od tej pory Dilley może jeździć w moim imieniu.

– Więc potrzebujemy jeszcze więcej?

Zdejmuje kapelusz z głowy, wieszka na haku przy drzwiach.

– Skąd to zainteresowanie?

– Kazalesz mi zaznajomić się z kopalnią, więc to robię.

– Co poczułaś rano, pod ziemią?

Wiem, co chce usłyszeć.

– Złoto. Dużo złota. Wodopój da więcej kruszcu. Powinniśmy pomyśleć o dodatkowym tunelu. – Nie kłamię, ale nie mówię mu, gdzie dokładnie i w którą stronę kopać.

Uśmiecha się miękko i, powiedziałabym, z czymś na kształt dumy.

– Dobrze wiedzieć.

Nakłada sobie na talerz sporą porcję jedzenia na kuchni i ruchem głowy daje znać, że mam ustąpić mu miejsca.

– To mój fotel – rzuca. – Szybciutko.

– Tak jest, wuju – odpowiadam posłusznie.

Później, następnym razem, gdy wyjdzie, przeszukam pozostałe pokoje. Tylko że on nie wychodzi. Siada za biurkiem i przez kilka godzin zajmuje się korespondencją. Sięgam po książkę o młodych damach przy moim łóżku i udaję, że z przejęciem czytam opowieść o młodej panience z Bostonu, która organizuje wśród innych pań w kościele zbiórkę na rzecz sierot z okolicy.

Przychodzi Mary, zajmuje się kolacją i podaje kurczaka i pierogi. Po posiłku zmywam razem z nią. W końcu Hiram przerywa milczenie.

– Dobranoc, groszku – mówi. – Śpij dobrze. Do zobaczenia rano.

Odsyła mnie do siebie, to jasne, bo sam najwyraźniej jeszcze nie wybiera się na spoczynek.

– Dobranoc – odpowiadam cicho i idę do pokoju.

Kładę się na łóżku i czekam. To ciężka praca. Nie mam zegarka, więc północ muszę potraktować raczej umownie. Kieruję się blaskiem księżyca, ale kiedy widzę, jak się zmienia – za wolno jak dla mnie – tylko denerwuję się coraz bardziej.

A co, jeśli Hiram w ogóle nie pójdzie spać? A jeśli Wilhelm nadal czuwa przed chatą? A jeśli źle oszacuję czas?

Kiedy smuga księżycowego światła pokonała pół podłogi w moim pokoju, zakładam, że to już mniej więcej czas, i wstaję. Rozważam, czy zakładać buty – bosy chodzę ciszej, ale prawda wyszłaby na jaw, gdyby ktoś zobaczył brudne, podarte pończochy, więc zakładam trzewiki i sznuruję starannie.

Chwytam wiadro na nieczystości, stojące w rogu pokoju. Gdyby mnie przyłapano, powiem, że zapach nie dawał mi spokoju i chciałam je opróżnić do wychodka. Kiepska wymówka, ale nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. W ostatniej chwili przypominam sobie o podpłomykach w skrzyni. Chwytam tyle, ile mieści się w ręce. Moje dłonie dziwnie będą wyglądały, gdyby ktoś przyjrzał się im uważniej.

Światło lampy Hiram zgasło już dawno, ale nasłuchuję czujnie za kotarą – czekam, czy usłyszę, jak wierci się na fotelu, kołysze czy zwyczajnie oddycha. Nic.

Powolutku odsuwam zasłonę. Izba wydaje się pusta.

Niewiele widzę, skradając się do drzwi. Wyobrażam sobie, co będzie, jeśli na coś wpadnę, potknę się o krzesło. Nie śmiem zapalić lampy, zdradzić wszystkim, gdzie jestem. Musi mi wystarczyć światło księżyca.

Jestem już przy drzwiach. Znowu się zatrzymuję, nasłuchuję z uchem przy deskach. Nic. A więc teraz. Jeśli Wilhelm czeka na zewnątrz, nie uda mi się spotkać z Jeffersonem. Jeśli go nie ma, niewykluczone, że w pobliżu czyha ktoś inny. Znając wuja, możliwe, że chata jest pod ciągłą obserwacją.

Drzwi uchylają się z cichym zgrzytem. Zastygam w bezruchu. Nic. Wuj śpi. Wymykam się na zewnątrz, zamykam drzwi, krzywię się, gdy zahaczam kubłem o framugę.

Obóz spowija cisza, nie licząc szeptu wiatru w trawie i pokrzykiwań ptaków wśród drzew. Ubita ziemia mieni się niebieskawo w księżycowej poświacie i nagle przypominają mi się wzgórza Georgii i drzewa, a zwłaszcza mgła, błękitna w księżycowe noce.

Za stajnią, powiedział Jefferson. Muszę tylko minąć kwaterę Franka Dilleya i innych z Missouri. Znam Franka od dawna, idę o zakład, że wystawił strażę. Więc może rozsądniej pójść naokoło, ominąć ich kwaterę szerokim łukiem. Ale to oznacza obejście domu od tyłu i przeprawę tuż pod oknem Hirma.

Budynek wznosi się przede mną, lekko po prawej stronie. Przyglądam mu się przez dłuższą chwilę, rozważam wszystkie opcje. Światelko w jednym z okienek ułatwia decyzję.

Biegnę w przeciwną stronę, omijam chatę wuja i wtedy jestem dobrze widoczna od strony namiotów Chińczyków. Nie widzę żadnego ruchu, ale trzymam się cienia chaty tak długo, jak to możliwe. Pod moimi stopami coś trzeszczy – suche gałązki z zarośli na tyłach domu.

Idealna okazja, żeby się przekonać, jak daleko ciągnie się zagajnik i czy, zgodnie z moimi przypuszczeniami, prowadzi do potoku albo strumienia, ale tej nocy jest po prostu za ciemno. Skręcam za róg, przekradam się wzdłuż tylnej ściany. Ziemia lekko opada w dół, liście pod nogami utrudniają kroki. Dobrze, że zdecydowałam się założyć buty.

Pod oknem Hirma schylam się, przemykam zgięta w pół, co nie jest łatwe, zważywszy, że niosę kubel na nieczystości. Jeśli niechcący uderzę nim o ścianę domu, na pewno obudzę wuja.

Nagle rozlega się głośne pohukiwanie sowy i wraz z nim wracają wspomnienia: ja, skulona w zimną noc, taką samą jak ta, po tym, jak obrabowało mnie trzech braci. Zaszłam już tak daleko, a jednocześnie, pod pewnymi względami, nie ruszyłam się ani o krok. Nadal ukrywam się przed okrutnymi mężczyznami. Nadal usiłuję odnaleźć własną drogę, własną przyszłość.

Mijam okno Hirma, zatrzymuję się, nasłuchuję – i nic. To solidna chata, najsolidniejsza ze wszystkich, jakie widziałam, odkąd przybyłam do Kalifornii,

możliwe więc, że nawet teraz, w tej chwili, wygląda przez okno, a ja go zwyczajnie nie słyszę. Nie mam wyjścia, muszę iść. Zaciskam zęby i idę dalej.

Z ogromną ulgą odrywam się od ścian chaty. Niecałe trzydzieści metrów i znikam w cieniu stajni. Przez chwilę rozważam, czy jednak nie przekraść się przez zagajnik, ale nie mogę ryzykować po ciemku. Skręcona kostka byłaby najmniejszym z moich problemów; pękająca gałązka bywa w nocy głośniejsza niż strzał.

Rozglądam się dokoła. Nigdzie nie widzę Wilhelma, w szopie chyba nie ma okna na tę stronę. Wychodzę na otwartą przestrzeń.

Jestem coraz bliżej stajni, już w połowie drogi, już....

– Lee! – rozlega się znajomy szept i wtedy już nad sobą nie panuję, ostatni odcinek pokonuję biegiem.

Kara prycha, kiedy mijam jej boks, ale nie mam czasu odpowiedzieć na jej pozdrowienie, bo czyjaś ręka chwyta mnie za łokieć i ciągnie za gigantyczny szafas.

Ktoś obejmuje mnie ramionami.

– Lee – szepcze mi Jefferson do ucha. Obejmuję go z całej siły. Wciskam dłoń z podpłomykami w jego koszulę.

Ktoś chrząka znacząco. Odskakuję od Jeffersona, zdumiona, że nie jesteśmy sami.

A to Tom, uśmiechnięty od ucha do ucha. Za nim jest ktoś jeszcze – Piżmak, ten, który odezwał się do mnie przed kopalnią. Z mroku wyłania się kolejna postać. Głośno nabieram tchu. Mary.

Nie mam pojęcia, co się tu dzieje, ale i tak rzucam się Tomowi na szyję i ściskam go serdecznie. Śmieje się cicho i klepie mnie po plecach.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Lee – szepcze.

– Wszystko w porządku? – pytam. – Biją cię, tak jak Jeffa? Jeśli Wilhelm nadal wmusza w ciebie laudanum, ja...

– Nic mi nie jest, Lee. Naprawdę. Jestem zmęczony, obolały i głodny, ale poza tym w porządku.

Nie wierzę. Nawet kiedy szepcze, mówi niewyraźnie, z wysiłkiem.

Patrzę na Jeffersona.

– No dobra, mów. O co chodzi. Czemu jest nas tu tyle?

Odpowiada mi Mary.

– To bunt, panno Westfall. Szansa ucieczki. Dla nas wszystkich.

Przyglądam się jej badawczo.

– Doskonale mówisz po angielsku – stwierdzam z wyrzutem.

– Po hiszpańsku jeszcze lepiej – odpowiada.

– Więc dlaczego....

– Mężczyźni są głupi – odpowiada, wzruszając ramionami. – Zarabiam

więcej, kiedy udaję, że nie mówię dobrze po angielsku. I więcej się dowiaduję.

Zarabia więcej? Za co? Za sprzątanie i gotowanie dla wszystkich w obozie?

– Mary to nasz najlepszy szpieg – mówi Piżmak. – Dopóki ty się nie zjawiłaś.

Prawda uderza mnie jak cios między oczy. Mary jest kobietą lekkich obyczajów. Obozową prostytutką.

– Powinienem was sobie oficjalnie przedstawić – mówi Jefferson. – Lee, to Piżmak z plemienia Maidu. Piżmaku, to Leah, moja najstarsza przyjaciółka.

– Już się poznaliśmy – mówię. – Tak jakby.

Teraz, gdy w uszach nie grzmi mi już huk wystrzału, gdy żołądek nie podchodzi mi do gardła, widzę, jak przerażająco jest chudy. Ma na szyi naszyjnik z paciorków, skórzaną przepaskę biodrową i brudne mokasyny. Ciemne plamy na jego klatce piersiowej są zbyt okrągłe, zbyt regularnie rozmieszczone, by były to naturalne znamiona – to tatuaże, takie same, jak na piersi mężczyzny, który pomagał nam gasić pożar. Właściwie Piżmak przypomina go pod wieloma względami: jest tego samego wzrostu, ma to samo bystre spojrzenie, może nawet nosi taki sam naszyjnik. Ale tamten był zdrowy i silny.

– Bardzo mi miło poznać pana osobiście – mówię. Po chwili dodaję. – A jeśli chodzi o pańskiego przyjaciela... Bardzo mi przykro.

Wyraz twarzy Piżmaka nie zmienia się. W końcu mówi:

– Dobrze.

Wzdrygam się.

– Co nam przyniosłaś, Lee? – Wtrąca się Jefferson i zerka znacząco na kubek w mojej dłoni.

– Och, to kubek na nieczystości, na wypadek, gdyby ktoś pytał, czemu wychodzę w środku nocy. Ale też... – wyciągam rękę z podpłomykami – ... jedzenie.

– Boże drogi! – woła Tom. Chwyta jednego i wpycha sobie w usta, jakby umierał z głodu.

Jefferson pochłania swojego równie łakomie. Za to Piżmak bierze placek z mojej dłoni jak dobrze wychowany dżentelmen. Mary odmawia.

– Jutro upiekę świeże – mówi i uśmiecha się pod nosem.

– Nie wiem, ile mamy czasu – zaczynam.

– Więc do rzeczy – decyduje Tom. – Piżmak planuje ucieczkę swoich współbraci. I potrzebuje naszej pomocy.

– Czyli wuj Hiram wam nie płaci? – upewniam się. – Przetrzymuje was wbrew waszej woli, tak jak mnie.

– Nie – ucina Piżmak. – Nie tak jak ciebie. Ciebie trzyma w eleganckim domu, w pięknej sukni, ze służbą, która ci sprząta i gotuje. Nas trzyma w chlewie, jak świnie, w brudzie i smrodzie, a do jedzenia daje tylko odpadki.

Dobrze, że ciemność skrywa rumieńce na moich policzkach.

– Przepraszam, ja nie...

Piżmak ucisza mnie ruchem dłoni. Jego wzrok ściałby nawet ozime zboża.

– Dilley zabił jednego ze starszyzny – tłumaczy Jefferson.

– Tak. I to tylko dlatego, że... – Głos mi się łamie. – Że dałam mu wodę z cukrem.

– Dilley szykował się na zabijanie Indian, odkąd wyruszyliśmy z Missouri – zauważa Tom. – Tylko czekał na pretekst.

– I będzie zabijał dalej – rzuca Piżmak. – Jeśli przedtem nie umrzemy z głodu.

– Chorują – tłumaczy Jefferson. – Missouri karmią ich zatrutymi ziemniakami, tymi samymi, którymi wyciągają rtęć z amalgamatu złota. Maidu wiedzą, że to trucizna, ale wygłodniały organizm nie zwraca uwagi na takie rzeczy.

Twarz płonie mi żywym ogniem. Przez cały ten czas kombinowałam tylko, jak stąd uciec z Tomem i Jeffersonem. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że ktoś jeszcze może potrzebować pomocy. A już na pewno nie że ten ktoś może pomóc i nam.

– Mam przyjaciela – zaczyna Piżmak. – Farmera, który udzieli nam schronienia, jeśli do niego dotrzemy, ale otwarcie nie wystąpi przeciwko Westfallowi. Musimy uciec stąd sami.

– Mary coś dzisiaj słyszała – zauważa Tom. – Dalej, Mary, powiedz Lee.

– Abel Topper był wściekły na Franka, że zastrzelił Ezrę – mówi. – Ezra cieszył się wielkim szacunkiem. Sam nie mógł za bardzo pracować, ale inni w jego obecności starali się o wiele bardziej. Frank odparł na to, że znajdzie mu innego, że może zabić tylu, ilu mu się żywnie podoba, bo wkrótce planują wypad po nowych górników do niedalekiej wioski ludu Nisenan. A potem... – Szeroko otwiera oczy, pochyla się bliżej. – Twierdzi, że w Sacramento jest taki jeden, który daje nagrodę za głowę Indianina, i że co starsi i słabsi są więcej warci martwi niż żywi.

Kręci mi się w głowie, jakbym sobie łyknęła laudanum.

– Lee? – szepcze Jefferson.

– To prawda – przyznaję. – Hiram wspominał dzisiaj o nagrodzie.

– Musimy ich stąd zabrać – decyduje Tom. – Są chorzy i słabi. To tylko kwestia czasu, zanim Dilley pozabija kolejnych, a ani Westfall, ani Topper nie zrobią nic, żeby go powstrzymać.

– Ale jak? – pytam. – I co ja mam zrobić?

– Tego jeszcze nie wiemy – przyznaje Tom.

Zapada cisza. W końcu przerywa ją Piżmak.

– Potrzebne nam coś, co odwróci ich uwagę. Coś takiego, jak święto w misji. Coś w stylu Estanislao.

– Kim jest Estanislao? – pytam.

– Wielkim wodzem ludu Yokut i starszym misji San Jose. Kiedy Hiszpanie stali się zbyt okrutni, na czele armii zaatakował misję. Lud Yokut poszedł za nim, podobnie jak Chumash i inne plemiona, i wodzowie, mój ojciec także. Jako były starszy Estanislao wiedział, kiedy w misjach są zajęci czymś innym i kiedy można zaatakować.

– Zbliża się Święto Dziękczynienia – zauważa Tom. Patrzy na Piżmaka i Mary. – Podziękowanie za żyzne plony. Nie wszyscy je obchodzą, ale możliwe, że Hiram tak. Wielebny Lowrey raczej na pewno. Wspominał o nim w jednym z kazań jeszcze podczas podróży.

– Hiram i mój tatko dorastali w okolicach Bostonu – dodaje. – U nas w domu zawsze się obchodziło Święto Dziękczynienia, więc Hiram nadal pewnie przestrzega tej tradycji. Choćby po to, żeby pokazać wszystkim wokół, jaki jest ważny.

– Zamówił więcej jedzenia i whisky – dorzuca Mary. – Coś nowego. Trzyma to wszystko pod kluczem. Nie wolno nam tego nawet dotykać, póki nie wyda rozkazu.

– Wygląda mi na Święto Dziękczynienia – mamrocze Tom.

– Czyli podczas tego święta uciekamy – konkluduje Piżmak.

– Wiemy już kiedy, ale nadal nie wiemy jak – zauważa Jefferson. – Musimy mieć plan.

Kiwam głową.

– Wyślijmy wiadomość do naszych, w Glorii. Kiedy major, Jasper i Becky dowiedzą się, że nas złapał, wyruszą nam na pomoc.

– I zginą albo skończą tak samo jak my – dopowiada Jefferson.

– Racja – wzdycha Tom. – Ale jeśli nie wymyślimy nic innego albo jeśli coś pójdzie nie tak, to może być nasza jedyna nadzieja.

Myślę o dzieciach wdowy Joyner, o słodkim Andym, małej Olive i maleństwie, które jeszcze nie ma imienia. Myślę o Hamptonie, który haruje jak wół, żeby wykupić żonę z niewoli, i majorze, który wzdycha w sekrecie do Becky i pomaga wszystkim dokoła. Wspominam Therese, rozpaloną słońcem pustyni i zaraz Martina, jak leży na ziemi, niezdolny się poruszyć, i szepcze ostatnie słowa. Dygoczę na całym ciele. Nie chcę znowu narażać przyjaciół. Za żadne skarby.

– Więc co mam robić? – pytam.

– Obserwować – mówi Mary. – Słuchać.

– Na razie – zaznacza Tom.

– I nikomu więcej nie oddawaj swojej wody – dodaje Piżmak z taką pogardą w głosie, że domyślam się, że uważa mnie za idiotkę, która i tak zapewne znowu palnie jakieś głupstwo, choćby nie wiadomo, ile razy ją uprzedzano. Rozumiem go. Zareagowałam impulsywnie i ktoś przypłacił to życiem. Piżmak i Mary są tu dłużej, więcej widzieli i chyba powinnam zdać się na ich osąd i słuchać ich rad.

– Spotkamy się jeszcze? – pytam. – Niełatwo jest mi...

– Nam jest jeszcze trudniej, uwierz mi na słowo – prycha Mary.

Zaciskam usta. Właściwie jakim cudem udało im się wszystkim przyjść tu o tej porze? Wuj wspominał przecież, że Jefferson i Tom będą na noc wiązani.

– Musimy wracać – mówi Jeff. Tom przytakuje ruchem głowy. – Harówka w tej norze jest wystarczająco ciężka, a jeśli się jeszcze nie prześpimy...

– Na pewno dacie radę? – denerwuję się. – Biją was?

Mary zerka na mnie spod oka i znowu zdaję sobie sprawę, że palnęłam głupstwo. Nadzorcy katują Indian, ba, zabijają ich, a ja martwię się tylko o przyjaciół. Zerkam na Piżmaka. Nie patrzy na mnie, wbija wzrok w ciemność.

– Da się wytrzymać – zapewnia Tom, ale nie słyszę przekonania w jego głosie.

– Kiedy znowu będziemy mieli się spotkać, podam na śniadanie podpłomyki z jabłkami – oznajmia Mary.

– Dobrze. A do tego czasu mam czekać beczynnie? Obserwować? Nasłuchiwać?

– Na razie, taki mamy plan – przyznaje Jefferson.

– Wiemy, co zrobimy – kończy Tom. – Więc teraz prześpijmy się z tym i zastanówmy, jak wcielić plan w życie.

– Przyjdź do nas – mówi Piżmak cichym, spokojnym głosem, ale to rozkaz, nie zaproszenie. – Poproś wuja, żeby ci pokazał. Powinnaś to zobaczyć.

Chyba nie musi mówić, co powinnam zobaczyć. Mam na własne oczy przekonać się, w jakich warunkach żyją jego pobratymcy, jak bardzo cierpią.

– Dobrze.

– Rozchodzimy się – decyduje Mary. – Pojedynczo.

Piżmak kiwa lekko głową i znika w ciemności, między drzewami, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. On ryzykuje najbardziej, nic dziwnego więc, że poszedł pierwszy.

– Teraz ja. – Tom wyciąga rękę, dotyka mojego barku. Otwiera usta, chce coś powiedzieć, ale zmienia zdanie i biegnie za stajnię, w stronę przeciwną niż Piżmak.

– Leah, teraz ty – rozkazuje Mary.

Na paluszkach wracam do chaty wuja, ale nagle ktoś chwyta mnie za ramię i odwraca gwałtownie. Jefferson przyciąga mnie do siebie, pochyla się, muska oddechem moje włosy.

– Uważaj na siebie, Lee – szepcze. Mogłabym tak stać do końca świata, czując jego ciepło i usta we włosach.

Ale tylko odwzajemniam uścisk, na jedną boleśnie krótką chwilę, i mówię cicho:

– Ty też, Jeff. Posłuchaj, ja....

– Tak?

– Uważaj na siebie, koniec kropka.

Przygląda mi się badawczo, kiedy odchodzę, i zerkam na niego co chwila, aż jestem tak daleko, że nawet w świetle księżyca nie rozróżniam rysów jego twarzy.

Kucam, stapiam się z mrokiem, w nadziei, że powrót okaże się tak łatwy, jak droga tutaj. Ale cały czas coś szczypie mnie w kark, jakby czyjś wzrok śledził każdy mój ruch.

Rozdział 16

Udaje mi się wrócić bez żadnych przeszkód. Wkradam się do środka. Drzwi skrzypią cichutko. Delikatnie stawiam wiadro w kącie pokoju. Ściągam buty i uciekam pod kołdrę, ale jestem zbyt poruszona, by zasnąć. Odpływam dopiero przed świtem.

Rano budzi mnie zgrzyt drewna o podłogę. Siadam gwałtownie. Mało brakowało, a przespałabym śniadanie.

Ubieram się pospiesznie, poprawiam fryzurę. Burczy mi w brzuchu, gdy dobiega mnie zapach świeżych podpłomyków. Zanim odgarnę kotarę, prostuję się, nabieram powietrza w płuca.

Wuj podnosi głowę znad talerza podpłomyków i najprawdziwszego syropu klonowego.

– Dzień dobry, groszku – mówi głosem płaskim jak preria.

– Dzień dobry, wuju Hiramie. – Mary już kładzie przede mną nakrycie. Siadam naprzeciwko wuja, starannie rozkładam serwetkę na kolanach i za wszelką cenę staram się nie zwracać uwagi na to, jak śledzi wzrokiem każdy mój ruch, niczym kojot obserwujący bezbronnego królika.

– W nocy spotkała cię pewna przygoda – zaczyna.

Serce podchodzi mi do gardła. Wszystkie odgłosy w chacie wydają się nagle przerażająco głośne. Zgrzyt noża o talerz, skwierczenie podpłomyków na ogniu, trzeszczenie łąwy.

Mary przy kuchni stoi nieruchomo jak rzeźba, zamarła z chochlą w powietrzu. Hiram odwraca się i patrzy na nią pytająco, Mary zabiera się za podpłomyki.

– Przygoda? – powtarzam sztucznie.

– Widziano cię, jak wychodziłaś z domu – mówi, ciągle wpatrzony w Mary. Jego głos jest mroczny jak najczarniejsza noc.

– Ach, o to ci chodzi – rzucam beztrosko, jak gdyby nigdy nic. Pewnie i tak słyszy, jak serce wali mi w piersi. Pewnie i tak widzi gęsią skórę na moich rękach.

– Kubeł był pełen i smród nie dawał mi spać.

Marszczy brwi.

– Przepraszam, wuju! – mówię. – Wiem, o takich rzeczach nie mówi się przy stole. Gdyby mama mnie słyszała, złołaby mi skórę.

– Długo cię nie było – zauważa.

Kto mnie widział? Kto mu doniósł? Hiram powiedział przecież, że będę pod ciągłą obserwacją. Czyli to nie była tylko moja wyobraźnia, gdy czułam czyjś wzrok na karku. Co jeszcze widział tajemniczy obserwator?

Zmuszam się do oddechu. A jeśli ściągnęłam kłopoty na współpiskowców?

– Prawda – przyznaję po zbyt długiej chwili. – Nie za bardzo pamiętałam, gdzie jest wychodek, a nie chciałam wylewać nieczystości koło domu.

Mary stawia przede mną talerz podpłomyków. Zerkam na nią z wdzięcznością. Nabijam placek na widelec i unoszę do ust, jakbym uznała, że rozmowa zakończona i nie mam nic więcej do powiedzenia.

Kiedy jem, unikam Hirama wzrokiem. Patrzę na Mary. Stoi do mnie tyłem, smaży kolejne podpłomyki. Ale to też niezbyt bezpieczne, bo odruchowo porównuję tę milczącą postać z tą z poprzedniej nocy, która świetnie mówiła po angielsku i wydawała nam wszystkim rozkazy, jakby była do tego stworzona. Wyobrażam ją sobie z mężczyznami z obozu i nie mogę przestać myśleć, co to wszystko znaczy. Po wczorajszej rozmowie wiem o niej jeszcze mniej niż przedtem.

Zmuszam się, by przełknąć kolejny kęs, choć straciłam już apetyt.

– Dziś wieczorem przywiążę cię do łóżka – oznajmia.

– Co? To niesprawiedliwe! Mówiłeś, że nie chcesz mnie skrzywdzić i...

Gestem ręki ucina dalszą dyskusję.

– To moje ostatnie słowo. Jeśli przez najbliższe dni nie będę miał ci nic do zarzucenia, odzyskasz przywilej spania bez więzów.

Chcę dalej protestować, ale mars na jego czole pogłębia się.

– Wiem, że twoim zdaniem to okrutne i nierozsądne – tłumaczy spokojnie. – Ale uwierz mi, kocham cię. Kocham cię, Leah, jakbyś była moja.

Z trudem utrzymuję śniadanie w żołądku. Nagle wydaje mi się, że zamiast podpłomyków mam w brzuchu robaki.

Hiram się uśmiecha.

– Nauczysz się odwzajemniać moją miłość, ale spokojnie, nie ma pośpiechu. Wiem, że dzieci potrzebują dużo czasu, ale cierpliwości mi nie brakuje.

Nie to mówili rodzice, ale mam dość oleju w głowie, by z nim nie dyskutować.

Wstaję od stołu.

– Wilhelm zaprowadzi cię dzisiaj, gdzie tylko zechcesz – mówi, zakładając rękawiczki. Sięga po kapelusz i płaszcz. – Nawet do wychodka, żeby opróżnić kubeł.

Siedzę nieruchomo, gdy pochyła się i całuje mnie w czoło. Jego usta zostawiają wilgotny, zimny ślad na mojej skórze.

– Do zobaczenia wieczorem, kochana. – Z tymi słowami wreszcie, wreszcie wychodzi.

Chwytam serwetkę i trę miejsce, które pocałował, trę i trę, jakby naznaczył mnie trucizną, która przeżre skórę. Mam łzy w oczach, aż czuję drobne palce na nadgarstku, powstrzymujące moją rękę.

– Wymyślmy coś – mówi Mary cichutko, choć jesteśmy w chacie same. – Nie załamuj się teraz. – Po raz pierwszy widzę współczucie w jej oczach. Może w końcu zaczyna się otwierać.

Kiwam głową.

– Zawsze tak jest – dodaje. – Kiedy cię dotykają.

Z trudem przełykam ślinę. Wolę za długo o tym nie myśleć.

– Cóż, wkrótce stąd uciekniemy – szepczę ledwie słyszalnie, jakby nawet ściany miały uszy. – Obie.

– Tak.

Prostuję się, sięgam po widelec i wmuszam w siebie kolejne mdłe podpłomyki.

Wilhelm jak zwykle stoi na straży pod drzwiami.

Na niebie wiszą niskie chmury, dzień jest wilgotny i zimny. Widzę mokre błoto na jego butach. Zapewne nad ranem padało.

– Mam podpłomyki – mówię na powitanie. – Mary wspaniale gotuje. Chcesz?

Po chwili potwierdza jednym ruchem głowy.

Podaję mu przygotowane wcześniej zawiniątko w serwetce. Chowa do kieszeni, na później.

– Wilhelmie, chciałabym dzisiaj zwiedzić obóz – mówię. – Cały obóz. Pan Westfall chce, żebym zapoznała się z funkcjonowaniem jego przedsięwzięcia.

Dzisiaj jest bez kaptura i wyraźnie widzę jego oczy, zimne i nieprzeniknione jak lód na jeziorze. Wykrzywia pokaleczone usta, ale podaje mi ramię.

Korzystam z wahaniem, jakbym miała przytulić żmiję, ale kiedy nie dzieje się nic strasznego, opieram się z większą pewnością i razem schodzimy z werandy.

– Chciałabym zobaczyć, gdzie mieszkają Indianie – mówię.

Zastyga w bezruchu. Myśli nad czymś.

– Stanowią większość pracowników w kopalni, a jeśli mam wiedzieć o wszystkim, muszę też zobaczyć, w jakich warunkach mieszkają.

Prycha, co jak na niego jest szczytem elokwencji, i prowadzi mnie w lewo, w stronę namiotów Chińczyków.

Namioty są puste. Zakładam, że większość osób pracuje, w kopalni albo nad strumieniem, gdzie oceniają jakość rudy wydobywanej z kopalni, a potem miazdzonej w żarnach. Nie, dostrzegam jednak kilka osób. Mijamy mężczyznę wykuwającego podkowę. Na stoliku leżą kolejne, a także kilofy o różnym stopniu zużycia. Starszy mężczyzna o białych włosach i w koszuli zwieńczonej pięknym haftem siedzi przed namiotem, w którym przez rozchylone poły widać mnóstwo słoików na półkach. W każdym jest coś dziwnego. W jednym dostrzegam jaskrawoczerwoną roślinę o rozłożystych liściach, w innym coś miękkiego i różowego – świńską nogę? Kiedy go mijamy, mierzy mnie łokciem,

bezwstydnym wzrokiem.

Tylko on na mnie patrzy. Pozostali są zajęci pracą i wyraźnie unikają mojego wzroku.

Nie widzę tu żadnych kobiet. Mary także nie.

Za namiotami Chińczyków ziemia opada ku rzece, gdzie na brzegu rosną wierzby. Błotnistą ścieżką schodzimy coraz niżej, aż wychodzimy na najbardziej żalostną polanę, jaką w życiu widziałam.

Uwija się na niej mniej więcej trzydziestu mężczyzn, Chińczyków, Indian i białych. Płuczają rudę na brzegu strumienia albo stoją po kolana w błocie. Woda jest brudna i mętna, na brzegach nie zostały się żadne rośliny. Błoto pokrywa wszystko – spodnie górników, kamienie na brzegu, sita do płukania złota, nawet stary fotel na biegunach. Powietrze cuchnie bagnem i moczem.

To częsty błąd – rozkopać dno potoku, nie kierując wody innym korytem. Woda wzbiera wtedy jak w gliniance, brudna, skażona ziemią, aż nic przez nią nie widać. A sądząc po odorze, wszyscy się tu załatwiają zamiast iść do wychodka czy lasu, jak należy.

Zastanawiam się, czy poruszyć ten temat w rozmowie z Hiramem, gdy nagle praca ustaje. Wszyscy patrzą na mnie.

– Dlaczego się gapią? – pytam Wilhelma, ale zaraz sobie przypominam, że przecież nigdy mi nie odpowie.

Nagle widzę się ich oczami i uświadamiam sobie, że jestem jak kolorowy szczygieł wśród szarych szpaków. Mam na sobie elegancką suknię, to po pierwsze, ledwie muśniętą błotem. Jestem też jedyną kobietą w okolicy i choć całe życie ciężko harowałam, nie mam żyłastych mięśni, jak ci tutaj, ani skóry ogorzalej od słońca jak źle wyprawiona wołowa skóra.

Wzdłuż brzegu człapie muł, ciągnie wóz pełen rudy zmiażdżonej w żarnach i wszyscy otrząsają się z odrętwienia. Odczuwam dziwną ulgę, gdy ruszamy z Wilhelmem dalej. Nie żeby coś mi groziło, ale ich wzrok przyprawia mnie o dreszcz.

Nieco dalej rzeka odzyskuje dawną czystość, wpływa na rozległą łąkę, kiedyś zapewne pełną złotej trawy, z której teraz została błotnista polana. Z czasem i ją rozkopią, kiedy dotrze do nich, że to teren zalewowy i co roku spływa tu z gór garść złota.

Czuję je w gardle. Zaczynam drzeć. Mało tu bryłek, za to mnóstwo złotego piasku, który tylko czeka, aż ktoś go znajdzie. Zamykam oczy, rozkoszuję się złotowidzeniem. Cudownie jest poczuć coś znajomego, coś prawdziwego. Kiedy tak stoję z zamkniętymi oczami, mogę sobie wyobrazić, że jestem w domu, w Georgii, że gdy uniosę powieki, u mego boku będzie tatko, a nie ten milczący niemy olbrzym.

Ale tatki ze mną nie ma, ani mamy, ani żadnego z przyjaciół. Jestem sama

i została mi już tylko jedna rzecz, coś, czego nikt mi nie odbierze.

Złotowidzenie jeszcze nigdy nie było mi tak bardzo potrzebne jak teraz. Nie mamy żadnego planu ucieczki, a jedyne, co mogę zaoferować naszej grupie, jedyne, co robię lepiej niż Mary, Piżmak, Tom czy Jefferson, to złotowidzenie. Szkoda tylko, że to raczej mało przydatna umiejętność podczas ucieczki.

Zdaję się na mój tajny zmysł. Szukam. Coś po prawej stronie. Malutka bryłka, niewiele większa niż paznokieć na małym palcu. Przyzywa mnie, wzywa jak dzwon na nabożeństwo i coś we mnie drga, odpowiada na wezwanie kruszcu.

Ziemia się rusza.

Unoszę powieki. Nagle brakuje mi tchu. Coś się stało, choć w tej chwili nie bardzo wiem co.

Wilhelm się zatrzymał – a może to ja stanęłam – i łypie na mnie pytającym wzrokiem.

Znowu straciłam poczucie czasu? Jak długo tak stoję? Chyba straciłam równowagę, jeszcze chwila, a runęłabym jak długa. Jakby ziemia chciała mnie z siebie zepchnąć.

Nie, raczej jakby złoto wyczuwało mój lęk i chciało mi odpowiedzieć. Mój dar się zmienia. Szlachetnieje.

Albo tylko wszystko to sobie wyobrażam, bo nic innego nie działa.

Ale przecież nigdy nie byłam fantastką i gdyby tatko tu ze mną był, powiedziałabym mu od razu, co się dzieje, a on wysłuchałby mnie uważnie. Nagle najbardziej na świecie chcę zobaczyć Jeffersona. Muszę go zobaczyć, potrzebuję go tak samo, jak wody i powietrza. Potrzebuję jego ciepłego, czulego spojrzenia, jego miękkiego uśmiechu, jego bystrego umysłu. Razem coś wykombinujemy, to jasne jak słońce.

Wilhelm szarpie mnie za ramię.

– Przepraszam – mamroczę pod nosem. – Obcas utkwiał mi w błocie.

Ruszam do przodu. Wilhelm chwieje się, ale zaraz odzyskuje równowagę. Zerkam na niego z ukosa; przecież nie pociągnęłam go aż tak mocno.

Zaciska poranione usta w wąską kreskę, uparcie patrzy przed siebie, na jego policzkach pojawia się lekki rumieniec. Coś go boli i głupio mu, że się zorientowałam.

Zmierzamy w kierunku wysokiej palisady z zaostrzonych pali powiązanych sznurkiem. Poza chatą wuja to najsolidniejsza struktura w obozie. Serce bije mi coraz szybciej. Może jest tam Peonia. Może w końcu ją zobaczę.

Palisada jest wysoka, wyższa nawet od Wilhelma. Dochodzimy do furty. Strzegą jej dwaj strażnicy z bagnetami. Jeden z nich to Jonas Waters, zastępca Dilleya podczas podróży do Kalifornii. Nie zwraca na mnie uwagi, natomiast skinięciem wita Wilhelma, unosi skobel, otwiera furkę. Cuchnie bimbrem, co wcale mnie nie dziwi – Jonas zawsze chętnie zaglądał do butelki.

Ale odór księżycówki to nic w porównaniu ze smrodem za ogrodzeniem. Jest tak nie do wytrzymania, że odruchowo cofam się o krok. Jak ze stajni niesprzątej od wielu miesięcy, jak z piwniczki pełnej gnijących warzyw.

Zakrywam nos dłonią. Zbiera mi się na mdłości.

Wilhelm ciągnie mnie do środka.

Widzę kilka niechlujnych szałasów i lepianek z błota. Nigdzie nie dostrzegam koni, i dobrze. Nie wiem, jak zareagowałabym, widząc Peonię w takim miejscu.

Po prawej stronie jest koryto pełne mętnej deszczówki, w której unoszą się bulwy – chyba ziemniaki. Po drugiej stronie błotnistej polany wznosi się wieża. Strażnik obserwuje nas z góry ze strzelbą w ręku.

– Gdzie zwierzęta? – zwracam się do Wilhelma. – Nie ma tu paszy. W szałasach zmieściłby się tylko najmniejszy z mułów, a...

Coś przykuwa moją uwagę przy jednym z szałasów. Coś bladego pośród błota. Wyteżam wzrok.

Coś cielistego, pokrytego łuskami, jak wąż zrzucający skórę. Podchodzę bliżej i w powietrze wzbija się chmura much, gdy moje trzewiki zapadają się w błocie. Coś jest nie tak, czuję to w żołądku.

Kolejny krok i nagle już wiem, na co patrzę. Ludzka noga wystająca z za szałas, ze stopą tkwiącą w błocie.

Dlaczego ktoś leży na ziemi?

Zbieram spódnicę, podbiegam bliżej, Moje ciało już wie, mój rozum jeszcze nie chce przyjąć tego do wiadomości, ale oczywiście mijam szałas i tak, leży tam na boku, nagi, brudny, z popękana skórą. Młody mężczyzna, na wpół łysy, bo czarne włosy powypadały, na głowie zostały tylko marne kępy. Chmara much wzbija się w powietrze. Odślania jego twarz, rozchylone blade usta i oczy, niknące zbyt głęboko pod łukami brwi.

Odwracam się na pięcie i odbiegam całe dwa kroki, zanim podpłomyki podchodzą mi do gardła i zwracam je prosto na błotnistą ziemię. Krztuszę się, kaszlę, żółc pali mnie w przełyku.

Ktoś podsuwa mi chusteczkę. Nie, to nie chusteczka, to serwetka, w którą zawinęłam podpłomyki dla Wilhelma.

Biorę ją, wycieram usta, spluwam kilka razy.

– Dziękuję – mówię z trudem, a potem krzywię się z obrzydzeniem; jak mogę dziękować za chusteczkę temu potworowi, skoro tuż obok nas leży martwy nieszczęśnik, prawdopodobnie ofiara głodu i trucizny.

Jonas Waters wszedł za nami do środka. Jest ogorzały i zarośnięty jak wszyscy inni ludzie wuja. Zerka na mnie wrogo.

– Dlaczego nie zabraliście stąd ciała? – pytam. – Dlaczego go nie pochowaliście?

Wzrusza ramionami.

– Wytrzyma.

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

– Po powrocie z kopalni, pozwolimy im trochę posprzątać.

Rozglądam się wokół i postrzegam to wszystko w nowym świetle. A więc to tutaj mieszkają Indianie. Wydawało mi się, że w moim żołądku nie zostało już nic, co mogłabym zwrócić, ale najwyraźniej się myliłam. To nie obóz, to wielki chlew. Chlew dla ludzi.

Dostrzegam niewyraźne kształty przy najdalszej części ogrodzenia. Wcześniej ich nie widziałam, bo okrywa je błoto, chyba dla ochrony przed muchami i ciepła, bo wszyscy są nadzy jak ich Bóg stworzył. Jest wśród nich staruszka i młoda kobieta z dzieckiem przy piersi. Inne tłoczą się wokół niej.

– Nikt nie powinien mieszkać w takich warunkach – mówię.

– Dajemy im jedzenie i schronienie. – Jonas wzrusza ramionami. – Więcej niż sami potrafią sobie zapewnić.

Zerkam na niego z ukosa. Chyba nie mówi poważnie. Indianie w pobliżu Glorii byli w doskonałej formie, wiodło im się o wiele lepiej niż tym tutaj.

– Co zrobią z ciałem? – pytam.

Za palisadą jest dół na nieczystości.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale nie pada z nich żadne słowo. Nie potrafię tego nazwać.

To właśnie chciał mi pokazać Piżmak. Takim człowiekiem jest mój wuj.

Jedno z dzieci rusza się ospale. Muchy wzbijają się w powietrze, czekając chwilę, i zaraz ponownie opadają na brudne ciało.

Nagle biegnę przez błoto do wejścia, walę w drzwi, bez opamiętania, wołam do strażnika, żeby mnie wypuścił, a kiedy w końcu drzwi stają otworem, wybiegam zza palisady na czyste powietrze. Potykam się o własne nogi.

Rozdział 17

Pochyliłam się, opieram dłonie na kolanach, oddycham szybko, nerwowo i staram się nie wymiotować. Suknia jest upaprana, pas błota ciągnie się wokół całego dołu na co najmniej dziesięć centymetrów i to mnie przeraża. Co zrobi wuj, kiedy zobaczy, że zniszczyłam kreację, którą mi kupił, żebym w niej jeszcze bardziej przypominała mu mamę?

Z mojego gardła wyrywa się cichy jęk. Jestem okropna, gorsza niż Frank Dilley, bo po tym, co zobaczyłam w tym straszliwym ludzkim chlewie, nadal przede wszystkim martwię się o siebie.

Peonia. Muszę ją zobaczyć. Albo Jeffersona, ale on teraz jest pewnie w kopalni. A zatem Peonia.

Prostuję się, oddycham głęboko. Słucham, jak furta w palisadzie zamyka się za mną, słyszę, jak skobel trafia na miejsce. Odwracam się twarzą do Wilhelma i mówię:

– Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłeś. A teraz chciałabym wiedzieć, gdzie trzymamy inwentarz.

Wilhelm ponownie podaje mi ramię. Tym razem korzystam bez wahania. Prowadzi mnie za palisadę. Mijamy głęboki dół, do którego wolę nie zaglądać, do zagajnika na stromym zboczu. Nagle dociera do mnie, gdzie jesteśmy; ten zagajnik prowadzi do chaty wuja. A zatem zatoczyliśmy koło.

Gdybym chciała uciekać przez zagajnik, trafiłabym właśnie tutaj. Przypomina mi się, jak dumałam, że takie zagajniki często oznaczają wodę i rzeczywiście, po kilku krokach stajemy nad strumykiem, który wraca na łąkę, a potem znika wśród dębów i niskich sosen.

Może ten strumień poprowadzi nas do wolności. To jasne jak słońce, że wiedzie do jednej z wielkich, szerokich dolin Kalifornii.

Idziemy wzdłuż jego koryta. Ziemia jest tu mniej zniszczona, gdzieniegdzie przebija się nawet uparta trawa. Nocami do wodopoju przychodzą tu jelenie – zdradzają to bobki odchodów i ich tropy w regularnych odstępach.

Ziemia gwałtownie opada w dół i oto jest – obszerna, błotnista zagroda po obu stronach strumienia. Pilnuje jej kilku strażników o posępnym wyglądzie, a za ogrodzeniem jest kilkanaście mułów, stadko osłów i nawet kilka koni.

– Peonia? – wołam, wrywam się z uścisku Wilhelma, zadzieram suknię i puszczam się biegiem. – Peonia!

– Ejże, panienko, a dokąd to się niby wybierasz? – pyta ktoś, ale puszczam jego słowa mimo uszu, bo jest tam, stoi wysoka, dumna i strzyże uszami w kierunku, z którego dobiega mój głos.

Przełazę przez niskie ogrodzenie. Moja suknia albo halka zaczepia o coś, ale uwalniam się szarpnięciem, słyszę trzask rozrywanego materiału i przez głowę przebiega mi myśl, że wuj mnie zabije, ale zaraz to nie ma najmniejszego znaczenia, bo Peonia do mnie podbiega. Zarzucam jej ręce na szyję, wplatam palce w jasną grzywę. Parska mi we włosy, a potem szturcha mnie w ucho, znów parska i wymachuje ogonem, jakby atakowało ją stado much.

Jednocześnie cieszy się, że mnie widzi, i zarazem jest wściekła jak osa. Wcale się jej nie dziwię.

– Tak mi przykro, kochana – szepczę. – Nie chciałam, żeby cię zabrali.

– Ej, to klacz Toppera! – mówi ktoś i chwytą mnie za łokieć z siłą kowalskiego imadła.

Peonia jest moja, zawsze była i będzie, i uciekniemy stąd razem, ale mam dość oleju w głowie, by nie mówić tego na głos.

– Zanim trafiła do Toppera, była moja – tłumaczę strażnikowi. – Chciałam się tylko upewnić, że z nią wszystko w porządku i że Topper dobrze ją traktuje.

Mężczyzna poprawia broń w kaburze. Ma colta, jak wszyscy, i już po niego sięgał, zanim zorientował się, że nie mam złych zamiarów.

– Abel Topper traktuje ją lepiej, niż odnosiłby się do samej angielskiej królowej – mówi. – Zagląda do niej regularnie, podsuwa smakołyki, czesze. Chciał, żeby przebywała w stajni, razem z resztą lepszych wierzchowców, ale pan Westfall się na to nie zgodził.

Kamień spada mi z serca. Co prawda bardzo za nią tęsknię, ale chyba przynajmniej nie muszę się o nią martwić. Wiem za to, dlaczego wuj nie zgodził się, żeby Topper trzymał ją w stajni – to za blisko chaty. Bez trudu mogłabym się wymknąć i uciec pod osłoną nocy. Rozglądam się i nagle widzę w zagrodzie Karą i Apolla. Wuj przeniósł je tutaj z tego samego powodu.

Głaszczę Peonię po szyi, aż całkiem się uspokaja, a potem obmacuję jej nogi, sprawdzam, czy wszystko w porządku, oglądam kopyta, wydlubuję z nich błoto palcami, żeby lepiej widzieć podkowki.

– Podkowki na przednich są już bardzo zdarte – mówię do strażnika.

Patrzy na mnie z ukosa.

– Jeszcze nigdy nie widziałem młodej dziewczyny, która do tego stopnia przejmowałaby się koniem – zauważa. – Żeby dla niego klęczeć w błocie i w ogóle.

– Cóż, niewiele w okolicy młodych dziewczyn dla porównania – odpowiadam.

– To święta prawda – przyznaje z głębokim westchnieniem.

– Powiesz Topperowi o podkawkach? – upewniam się.

– Powiem.

– Ale zaznacz, że sam to zauważyłeś – proszę. – Nie posłucha uwag

od młodej dziewczyny.

Strażnik przez chwilę analizuje moje słowa, ale potem się zgadza.

Tulę się do Peonii tak długo, jak mi na to pozwalają, ale już zaraz Wilhelm chwyta mnie za rękę.

– Do zobaczenia, kochana. Postaram się niedługo znów do ciebie zajrzeć.

Tym razem nie muszę przechodzić przez ogrodzenie. Wilhelm i strażnik zdejmują jedno polano, tak że wychodzę spokojnie, a potem zawracamy do obozowiska.

Analizuję w myślach wszystko, czego się dowiedziałam. Indianie wegetują w najstraszniejszych warunkach, jakie można sobie wyobrazić. Muszę porozmawiać o tym z wujem. Muszę i już, bo inaczej nie dożyją ucieczki, którą zaplanował Piżmak.

Ucieczka, planowanie – to wszystko okaże się niemożliwe, jeśli Hiram nadal będzie mnie krępował co noc. Albo, i to szybko, uda mi się go na nowo przekonać, że może mi ufać, albo muszę zdobyć nóż i przemycić go do pokoju.

Właściwie dobrze byłoby też wiedzieć, co zrobił z moją bronią palną. Albo ustalić, jak ukraść inny pistolet. Wygląda na to, że w dzisiejszych czasach wszyscy mają colta u boku. Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia z taką bronią, ale kilka razy strzelałam z rewolweru Jeffersona. Rządzi się własnymi prawami, ale może opanowałam go na tyle, że z bliska trafię do celu.

A kiedy już uda mi się uciec, Peonia jest niedaleko, u dołu zbocza, za drzewami. Czeka tam na mnie. Może nawet będzie miała nowiutkie podkowy.

Ilu strażników pilnuje koni? Odwracam się przez ramię, gdy Wilhelm prowadzi mnie z powrotem do obozowiska. Dostrzegam tego, który obiecał porozmawiać z Topperem o podkuciu Peonii, i trzech innych, w równych odstępach od siebie. Każdy ma co najmniej jedną sztukę broni, dwóch – oprócz rewolweru także strzelby.

Muszę założyć, że w nocy straże są równie liczne.

Ktoś widział, jak wyszłam z chaty na spotkanie z Jeffersonem. Czyli nawet kiedy Wilhelma nie ma na progu, ktoś czuwa. I to zapewne niejeden ktoś. Może mój wuj to podły drań, ale głupi nie jest.

I dlatego Mary i Piżmak usiłują wymyślić coś, co odwróci uwagę w Święto Dziękczynienia. Coś na tyle spektakularnego, że nikt nie będzie zwracał uwagi na chatę, palisadę czy zagrodę.

Powinnaś to zobaczyć, powiedział Piżmak.

Dzisiaj zrobiłam już dość, ale jednak ciągle nie mogę przestać. Muszę ustalić, gdzie Tom i Jefferson spędzają nocę i jakim cudem udaje im się wymknąć. Muszę zacząć oszczędzać jedzenie na podróż; może Mary mi w tym pomoże. No i musimy wykombinować, jak odwrócić uwagę górników i nadzorców.

I to na długo. Jeśli wszyscy Indianie są w takim stanie, jak ci, których

widziałam w kopalni i za palisadą, żaden z nich nie będzie uciekał biegiem. A zatem potrzebne nam konie. Dużo koni. I coś, co spowolni pościg.

Potykam się w tym momencie, ale Wilhelm mnie podtrzymuje i nie upadam. Ucieczka to nie wszystko.

Wuj nie da za wygraną. Albo nas dogoni i ponownie schwyta, albo znajdzie sobie nowych niewolników do kopalni. Kiedy Dilley spalił Głorię, poprzysięgam mu śmierć, ale słowa to za mało. Musimy go naprawdę zniszczyć, i to szybko.

Siedzę w chacie, zjadam kolację. Rano zwróciłam całe śniadanie, więc jestem głodna jak wilk. Na szczęście Mary zostawiła dla mnie placki z maślanką i konfiturę jabłkową, i szybko pochłaniam sporą porcję. Staram się myśleć o wszystkim, poza tym, co widziałam za palisadą.

Po napełnieniu żołądka mam ochotę uciec do łóżka i naciągnąć kołdrę na głowę, ale to głupota. Żadna kołdra nie spowolni gonitwy moich myśli.

Wycieram więc usta serwetką, siedzę sztywno wyprostowana i myślę intensywniej niż kiedykolwiek.

Żeby zniszczyć wuja, musiałabym go zabić.

Już kiedyś o tym myślałam. Chciałam zabić Hiram, Franka Dilleya i Abła Toppera. Ale to był impuls, a teraz snuję te rozważania z zimną krwią.

To byłoby morderstwo, to jasne jak słońce. Zabiłam w życiu wiele istot, tak, i każda z nich wolałaby dalej żyć, ale jeszcze nigdy nie targnęłam się na człowieka. Jeszcze nigdy nie zabiłam żadnego stworzenia tylko dlatego, że jest okrutne i złe.

Za to mój tato tak, raz. Nie człowieka, ale niedźwiedzia, który buszował wśród wzgórz wokół Dhlonega. Włamywał się do domów i wszystko niszczył. Zagustował w solonej wieprzowinie; gorzej, że któregoś dnia wdarł się do domu i nagle zagustował w starym Benjaminie Daltonie. Niedźwiedź musiał zginąć, bo stanowił zagrożenie, więc tato go zastrzelił.

Nie wiem, czy zabicie wuja Hiram to to samo, co zastrzelenie tamtego niedźwiedzia. Hiram stanowi zagrożenie, to jasne jak słońce. Co powiedziałyby tato, gdyby wiedział, co mi chodzi po głowie? Jak zareagowałby na wieść, że jego rodzona córka planuje zabójstwo?

Zapewne byłby oburzony. Moja córka nie jest morderczynią. Mądra z ciebie dziewczyna, wymyśl inne rozwiązanie.

Albo może trzymałby za mnie kciuki.

Załatw go, groszku. On mnie zabił.

Jeśli naprawdę mam to zrobić, muszę mieć broń. Huk wystrzału przyciągnie tu wszystkich w ułamku sekundy, tak że nie zdołam uciec. Ale może nie to powinno być dla mnie najważniejsze. Podstawowa sprawa to powstrzymać wuja.

Nóż jest cichszy. Bardziej intymny. Musiałabym podejść bardzo blisko, tak blisko, że sama mogłabym oberwać, gdybym nie okazała się wystarczająco cicha i szybka.

Może gdybym zdobyła odrobinę laudanum... Frank Dilley na pewno je jeszcze ma, Wilhelm także. Gdyby tak dolać go do jedzenia wuja... Ale laudanum ma silny, charakterystyczny smak. Musiałabym bardzo uważać.

Wstaję od stołu, przechadzam się nerwowo.

Żadna z tych opcji nie jest idealna, a zresztą ciągle nie wiem, jak zdobyć potrzebne mi przedmioty.

Z drugiej strony mogę wszystko zepsuć, wyskakując z własnymi pomysłami, choć nie znam całego planu. Piżmak i Mary wydają się rozsądni. Może powinnam siedzieć cicho i zdać się na nich.

Ale nie mogę opędzić się od myśli, że Hiram Westfall to moja sprawa. I że to ja muszę dopilnować, żeby już więcej nikogo nie skrzywdził.

Rozdział 18

Drzwi otwierają się ze zgrzytem zawiasów. Zatrzymuję się wpół kroku. Wchodzi wuj, a wraz z nim – podmuch zimnego powietrza.

– Witaj, groszku – mówi. Niesie sporą paczkę obwiązaną sznurkiem. Kładzie ją na podłodze.

– Dzień dobry, wuju.

Ściąga rękawiczki, rzuca na pakunek.

– Byłaś dzisiaj w kopalni?

– Jeszcze nie. – Splatam ręce za plecami, te ręce, które planowały jego śmierć, jakbym tym sposobem mogła też ukryć moje zamiary.

– Masz tam chodzić codziennie, musisz dopilnować, że kopia we właściwym kie... – Nagle dostrzega ubłocony kraj sukni i pochmurnieje tak bardzo, że przeszywa mnie dreszcz. – Co się stało z suknią?

– Poprosiłam Wilhelma, żeby mi pokazał południowe pola. – Z trudem przełykam ślinę. – Bardzo dużo tam błota.

– To nie jest miejsce dla młodej damy.

– Mówiłeś, że mam się zapoznać z całym przedsięwzięciem. Robię to cały czas. To duży obóz. Nie oczekiwałeś chyba, że wszystko od razu zrozumiem.

Zdejmuje kapelusz, wiesz go na haku przy drzwiach.

– Chciałaś zobaczyć tę klacz.

Nie ma sensu zaprzeczać.

– To także, tak. Wychowałam ją od źrebięcia. Chciałam mieć pewność, że Abel Topper dobrze ją traktuje.

– A gdyby było inaczej? Co wtedy, Leah?

Wtedy wyprułabym draniowi wszystkie flaki, ot co.

– Cóż, wtedy zapewne powiedziałabym ci o tym i liczyła, że z nim porozmawiasz.

– Mężczyzna nie ma prawa wtrącać się w to, jak drugi traktuje swoją własność.

– Niektórzy mężczyźni nie umieją dbać o to, co ich.

W jego oczach lśni gniew. Rozważam, czy nie przeprosić za swoje słowa.

– To jego sprawa – mówi. – We własnym domu każdy mężczyzna jest sobie panem, czy to chodzi o konia, kobietę, czy broń.

Zaciskam zęby tak mocno, że aż bołą mnie szczęki. Jefferson przez całe życie obrywał cięgi od ojca, bo wszyscy wychodzili z tego założenia. Pani Lowrey umarła w połogu, bo nikt nie śmiał się wtrącać. W Dahlonoga nikt nie reagował, kiedy moich rodziców zamordowano, a nieznajomy zjawił się nie wiadomo skąd

i zagarnął ich majątek i mnie na dokładkę.

Cóż, ja się na to nie zgodzę. O nie.

– Idź do kopalni – nakazuje. – Mamy za mało złota. Potrzebujemy go o wiele więcej, i to szybko.

– Dobrze.

– A skoro już o tym mowa... Stało się coś dziwnego.

Serce wali mi jak szalone. Nie mam pojęcia, co zaraz usłyszę.

– Nadzorca wysadził ścianę, tak jak mówiłaś. Nie znaleźli prawie nic. Ale wybuch sprawił, że odpadł też kawałek skały na zachodniej ścianie. I nie uwierzysz, ale właśnie tam, gdzie mówiłaś, że nie ma sensu kuć, znaleźli żyłę złota.

Krew szumi mi w uszach.

– Ja... czasami się myślę, zwłaszcza gdy złoto otacza mnie ze wszystkich stron.

Wystarczy dwa kroki, żeby znalazł się tuż przy mnie. Wyciąga rękę, chwytając mnie za podbródek, unosi tak, że patrzę mu w oczy. Boleśnie ściska mi szczękę i mówi:

– Nigdy więcej tego nie rób.

– Ja... dobrze.

– Twoi przyjaciele, Bigler i McCauley, nie dostaną dzisiaj kolacji. Jeśli to się powtórzy, głód będzie najmniejszym z ich problemów.

Ściska mnie tak mocno, gniew i frustracja wzbierają do takiego stopnia, że z moich oczu płyną łzy.

– Ja... bardziej się postaram.

Hiram wypuszcza mnie z ramion tak gwałtownie, że zataczam się w tył.

– Moja dziewczynka – mówi. – Mam sprawy do załatwienia, ale później wrócę i chcę mieć pewność, że pójdziesz do kopalni. A poza tym dzisiaj nie zobaczysz się z przyjaciółmi. To będzie nagroda, jeśli poprawisz swoje zachowanie.

Opieram się o ścianę chaty, czerpię siłę z jej solidnej konstrukcji.

– A gdzie byłeś rano? – pytam. Zawsze ma jakieś sprawy do załatwienia, choć nie pojmuję, co takiego można załatwiać w środku dziczy.

– Dlaczego pytasz?

– Okazuję zainteresowanie. – Przełykam z trudem. Nie wiem, czy w gardle stoi mi duma, czy uprzedzenie. – Staram się być taką młodą damą, jaką sobie wymarzyłeś.

– W takim razie ci opowiem: byłem u Antonio Da Sola, posiadacza ziemskiego na zachód od nas. Do niego należy jedno z największych rancz w Kalifornii. Potrzebujemy pieniędzy, żeby rozwijać kopalnię, a on silnych pracowników. Może dobijemy targu.

Myślę o tym intensywnie. Skoro ranczer ma tyle pieniędzy i potrzebuje

robotników, czemu ich sam nie zatrudni?

– Ale my nie mamy zbędnych robotników – zauważam. – Nie, jeśli chcemy rozbudować kopalnię.

– To prawda. Musimy zdobyć ich więcej.

– Ale jakim cudem... – Och. Ma na myśli Indian. Planuje wysłać Dilleya i jego ludzi, żeby ich sprowadził. Nie, poprawiam się w myślach. Planuje wysłać Dilleya i jego ludzi, żeby ich porwał.

Chyba już wiem, co powiedziała by tatko. Nie ma nic złego w zastrzeleniu niedźwiedzia ludożercy.

– To dla ciebie. – Wuj wskazuje pakunek na podłodze. – Załóż natychmiast. A po wizycie w kopalni upierzesz suknię.

– Tak jest, wuju – mówię potulnie.

Nie wytrzymam ani chwili dłużej w jego towarzystwie. Biorę pakunek i idę do siebie.

Nie dziwi mnie, gdy w środku znajduję nową parę trzewików. Bardzo eleganckie i piękne, z błyszczącymi mosiężnymi okuciami, jedwabnymi niebieskimi sznurówkami i małą różyczką na czubku. Zaskakuje mnie ich wytrzymałość i solidne wykonanie. Uszyto je z czarnej lśniącej skóry, obcasy są nieco bardziej stabilne, niż nakazuje moda. Daleko im do delikatnych, jedwabnych cudeniak, które nosiła Annabelle Smith, u nas, w domu. Właściwie to idealne trzewiki dla dziewczyny, która brodzi w błocie albo jeździ konno.

Cudowny, przemyślany prezent, a jednak wzdrygam się na myśl o tym, że muszę je założyć.

Od prawie roku noszę za duże buty tatki. Tylko one mi po nim zostały. Nie oddam ich. O nie.

Ale nie wiadomo, co zrobi wuj, jeśli nie założę nowych.

Uśmiecham się pod nosem. Już wiem.

Ściągam buty tatki, wyjmuję woreczek ze złotem z jednego czubka i chowam pod materacem. Kiepska kryjówka, ale na razie musi mi wystarczyć.

Zakładam nowe trzewiki. Są sztywne, trochę uciskają palce, ale kiedy się rozchodzą, będą idealne. Dziwne, że wuj tak bezbłędnie odgadł mój rozmiar. Mierzył mnie, kiedy spałam? Nie przypominam sobie, żeby patrzył na moje stopy.

Sznuruję je i wracam do saloniku. Hiram siedzi za stołem, je i pisze coś szybko. Na mój widok podnosi wzrok.

– Bardzo dziękuję za trzewiki – mówię.

Jeszcze nigdy nie widziałam u niego tak promiennego uśmiechu.

– Leżą, jak ulał! – woła. – Kiedy oczyścisz skraj sukni, będziesz prawdziwą damą.

Nie wytrzymam tych uprzejmości ani chwili dłużej.

– Idę do kopalni – informuję go w drodze do drzwi. – Do zobaczenia. –

Otwieram drzwi i wychodzę na zewnątrz, nie dając mu czasu na reakcję.

Wilhelm jak zwykle stoi na posterunku.

– Pan Westfall chce, żebyśmy poszła do kopalni – mówię.

Może się mylę, ale chyba patrzy na mnie ze współczuciem. Podaje mi ramię. Ruszamy.

Frank Dilley i jego ludzie siedzą w jaskini nad beczką z wodą z cukrem i grają w karty. Marszczę brwi. Skoro mamy wydobywać więcej złota, warto, by do pracy zabrali się wszyscy zdolni do wysiłku mężczyźni.

– Panna Westfall – zaczyna Frank, dotyka róna kapelusza. Zaskakuje mnie tym gestem. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni ze mnie nie szydził, nie nawiązywał do chłopięcego przebrania.

Ale zaciska usta w wąską kreskę i łypie na mnie groźnie. Nie podoba mu się, że musi okazywać mi szacunek.

– Dilley. – Witam go skinieniem głowy. – Wuj chce, żebyśmy obejrzała Wodopój.

Nie chcę tam wracać. Wystarczy, że znajdę się w ciemnej, dusznej jaskini, a zaraz przypomni mi się nieszczęśnik, któremu na moich oczach odstrzelono głowę. Ale muszę to zrobić. Muszę.

– Jak sobie chce. – Frank Dilley wzrusza ramionami.

Ale nie chce mu się przerywać karcianej rozgrywki, więc dalej idziemy z Wilhelmem sami.

Tym razem wiem, dokąd idę, prowadzę nas śliskim korytarzem. Powietrze wokół nas faluje, jakby wiała tu bryza, lampy pod sufitem kołyszają się, wyczarowują na ścianach i podłożu ruchliwe cienie.

W miarę jak zbliżamy się do końca tunelu, odgłos kilofów uderzających w ścianę przybiera na sile. Mijamy wóz do połowy pełen mokrej rudy. Znudzony osioł nerwowo strzyże uszami przy każdym uderzeniu kilofa, aż w końcu tunel prowadzi do rozległej jaskini. Zatrzymuję się, gdy czubki nowych trzewików dotykają lustra wody.

Rozglądam się w poszukiwaniu Jeffersona, Toma albo Piżmaka. Wszędzie pracują mokrzy, nadzy ludzie. Abel Topper stoi z boku z pejczem w dłoni.

– Wuj chce, żebyśmy się tu dokładnie rozejrzała – wołam do niego. Kiwa głową.

Teraz nawet nie unoszę spódnicy, wchodzę w błoto w nowych trzewikach.

Ostentacyjnie oglądam wszystko – ściany, sklepienie, zapomniany kilof w kącie, o rękojeści napuchniętej od wilgoci. Złoto chwyta mnie za gardło. Jest go tu mnóstwo, ale muszą jakoś pozbyć się wody, żeby się do niego dostać.

Wilhelm idzie za mną. W półmroku jaskini jest jak gigantyczny cień za moimi plecami. Muszę jakoś odwrócić jego uwagę.

Pozwalam, by kierowało mną złotowidzenie. Idę w kierunku zachodniej

ściany. Tak mi się przynajmniej wydaje; pod ziemią łatwo stracić orientację. To zaniedbana część kopalni – Topper chyba wysłała swoich ludzi w jej inne zakamarki. Pracuje tu tylko jeden człowiek. Uparcie wali kilofem. Szybko, mocno, choć jest wychudzony jak jeleń podczas suszy.

Słyszysz, jak brnę przez błotnistą wodę i odwraca się w moją stronę. To Piżmak.

Wydawało mi się, że nie pracuje w kopalni. Coś się najwyraźniej zmieniło. Może wuj nabrał podejrzeń. W obecności Wilhelma wolę o nic nie pytać.

Udaję, że wszystko jest w porządku, kładę ręce na skale i zamykam oczy.

Ten kawałek ściany to skała osadowa, przez tysiące lat woda znosiła tu osad i wyczuwam w niej mnóstwo złota. Błyszczą w mojej głowie, jak gwiazdy na aksamitnym nocnym niebie. A nieco dalej jest żyła, cała rzeka słodczy, przyzywa mnie słodko jak słowik.

To pierwsze miłe doznanie tego dnia. Koncentruję się na nim, zatracam w nim, pozwalam, by wypełniło mnie całą.

Ściana wibruje, drży, lekko i szybko, jak uderzenia skrzydeł kolibra.

Odkakuję jak oparzona, podnoszę rękę do oczu, wpatruję się w nią. Mdłe światło lampy spowija ją żółtym blaskiem, co chwila kołyszają się cienie i przez to wydaje się, że moja dłoń płonie.

Co się przed chwilą stało? Położyłam rękę na ścianie, a gdy złoto do mnie przemówiło, ja mu odpowiedziałam. Nie wydawało mi się, że ściany zdrząły pod wpływem złotowidzenia. Naprawdę tak było.

Wprawiałam skałę w ruch.

Za moimi plecami Wilhelm chrząka głośno. Piżmak czeka, w milczeniu, cierpliwie. Jeśli Topper zdybie go na bezczynności, może oberwać batem, nawet za to, że okazuje mi szacunek.

Stałam zbyt długo w jednym miejscu, muszę się ruszyć. Później to wszystko przemyszę.

– Wilhelm – zaczynam.

Patrzy na mnie wyczekująco. W świetle lampy rana na ustach wygląda jak drwiący uśmiech.

– Idź po Ablę Toppera. Musimy porozmawiać o tym odcinku kopalni.

Marszczy brwi.

– Pośpiesz się, proszę – dodaję bezczelnie. – Musi zaraz brać się do roboty. – Ponownie dotykam ściany, udaję, że badam ją dalej, wpatruję się w nią, jakbym oczami mogła dostrzec coś, czego jeszcze nie wiem.

Tym razem, gdy wypełnia mnie złotowidzenie, tłamszę je w sobie, odpycham, bo w tej chwili muszę się skupić na czymś innym.

Wilhelm waha się jeszcze chwilę, a potem wycofuje się niepewnie, brnie przez wodę w stronę Toppera z pejcem w ręku.

Kiedy jest już wystarczająco daleko, szepczę do Piżmaka:

– Miałaś rację. Widziałam. I zrobię, co w mojej mocy.

Milczy.

– Co tu robisz? – pytam. – Myślałam, że jesteś tłumaczem.

Atakuje ścianę kilofem.

– Westfall – cedzi przez zęby. – Kazał mi zająć miejsce Ezry. Tego zastrzelonego.

– Ezra – szepczę. Na zawsze zapamiętam to imię.

Leciutkie, niemal niezauważalne skinienie głowy.

– Poznaliśmy się w misji. Uczył mnie angielskiego. On... – Kawał skały odrywa się od ściany, wpada do wody. Piżmak wyjmuje go, podnosi i rzuca na wóz, gdzie spada z głuchym uderzeniem.

– A teraz muszę dopilnować, żeby jego wnuki wyszły stąd żywe.

– Masz plan?

– Już prawie gotów. Rób, co każe Mary.

Chcę go zapytać, czy on też ma rodzinę, ale wtedy zbliżają się Topper i Wilhelm. Ich kroki wzbudzają wodę, fale moczą mi suknię aż do kolan. I suknia, i nowe trzewiki są już zniszczone.

– Panno Westfall, musimy tu pracować – zaczyna Topper. Piżmak nie zwraca na nas uwagi. Atakuje ścianę kilofem. – Nie wyrobiliśmy ustalonej normy i...

– Tu jest złoto – przerywam mu i wskazuję ścianę. – Mój tatko kułby właśnie tu. – Wszyscy z naszego okręgu Lumpkin w Georgii słyszeli o moim tatku – Reubenie „Szczęściarzu” Westfallu, który miał dar znajdowania złota, gdzie teoretycznie wcale go nie było. Oczywiście nikt nie wiedział, że tak naprawdę to ja je znajdowałam.

– Jesteś pewna, dziewczyno? – Topper marszczy brwi.

– Jestem gotowa założyć się o moją klacz.

– Chyba moją.

– O twoją też.

Topper gładzi się po brodzie z nitkami siwizny, kręcącej się niesfornie. Podobnie jak wszystkich znanych mi ludzi, jego także wyprawa na Zachód postarzyła o dziesięć lat.

– No dobra – mówi w końcu. – Spróbujemy. Ale jeśli niczego tam nie znajdziemy, twój wuj się dowie.

Uśmiecham się.

– Niepotrzebnie się pan martwi, panie Topper. Jutro przy kolacji powiem mu, że na moje polecenie zmienił pan kierunek kopania. Jeśli wuj będzie kogoś obwiniał, to tylko mnie. – I tylko mi będzie wdzięczny, gdy znajdziecie bogate złoża.

– Na twoje polecenie? – Topper nie wierzy własnym uszom.
– To kopalnia Westfalla, czyż nie?
– No tak.
– W takim razie radzę wracać do roboty. Później zajrzę sprawdzić, jak wam idzie.

Zanim zdąży odpowiedzieć, zgarniam poły przemoczonej spódnicy, skinieniem daję znać Wilhelmowi, żeby szedł za mną, i brnę przez wodę ku wyjściu.

Drżą pode mną nogi, gdy wędrujemy stromym korytarzem. Obym dokonała właściwego wyboru. Topper może chwycić za pejcz, jeśli za bardzo go przycisnąć. Z drugiej strony, jeśli znajdę złoto, będę bezcenna. Warta wysłuchania. Przydatna w planie ucieczki Mary i Piżmaka.

Kiedy dochodzimy do rozwidlenia, zerkam tęsknie w ciemny tunel Joyner. Zapewne tam właśnie są Jefferson i Tom, skoro nie widziałam ich w Wodopoju, i oddałabym wszystko, żeby się z nimi zobaczyć, żeby się upewnić, że są cali i zdrowi. Ale tego dnia już wystarczająco ryzykowałam. Jeśli sprzeciwię się wujowi i odwiedzę przyjaciół, rozpęta się piekło.

Niechętnie odwracam się do tunelu plecami i idę pod górę, mijam Franka i innych nadzorców przy stole podczas przerwy, wychodzę na zalany słońcem świat.

Zatrzymuję się na chwilę, oddycham zimnym, świeżym powietrzem. Ta kopalnia jest malutka w porównaniu z tymi w Dahlonga, zbyt nowa, by sięgać naprawdę głęboko. Jak oni to robili? Jakim cudem spędzali całe dni pod ziemią, tak głęboko, że w każdej chwili mogli zostać tam na zawsze?

Wzdrygam się, gdy zimny powiew wiatru smaga moje przemoczone buty i suknię. Jesteśmy koło żaren i nagle serce podchodzi mi do gardła. Jest tam Jefferson, sypie rudę z wozu na żarna.

Rękawy brudnej koszuli zakasał po łokcie, na czole ma smugi brudu. Mimo chłodu ocieka potem, włosy lepią się do mokrego karku.

Przyglądam mu się uważnie, szukam śladów urazów, ale nie widzę żadnych otwartych ran. Odruchowo idę w jego stronę. Jefferson podnosi wzrok. Patrzymy sobie w oczy i nagle jego twarz rozjaśnia uśmiech, promienny jak słońce nad górami.

Nie panuję nad sobą, zgarniam poły mokrej sukni i biegnę do niego. Za sobą słyszę ciężkie kroki Wilhelma, ale nie zwracam na niego uwagi. Muszę zobaczyć Jeffersona. Muszę z nim porozmawiać.

Nie jest sam. Nie widzę Toma, ale dwóch Chińczyków prowadzi osła, wprawiając żarna w ruch. Jeszcze inny zgarnia zmieloną rudę na kolejny wóz, który później zawiezie urobek nad potok, żeby go ocenić i płukać. Wszystkiego pilnuje ciemnowłosy mężczyzna o śniadej karnacji ze strzelbą w dłoni,

w kapeluszu z najszerszym rondem, jakie w życiu widziałam. Stoi na skrzynce i obserwuje nas uważnie. Pewnie wypożyczony z tego rancza, o którym wspominał wuj.

– Dzień dobry, panno Westfall – mówi Jefferson. Nie przestaje machać łopata, ale kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu.

– Dzień dobry, Kingfisher – odpowiadam oficjalnie. Zatrzymuję się dość daleko od niego. – Wuj chciał, bym zapoznała się z całym przedsięwzięciem – mówię głośno, żeby wszyscy wokół mnie słyszeli.

– W takim razie służę informacjami – zapewnia Jefferson, a tymczasem nadzorca zeskakuje ze skrzynki i idzie w naszą stronę ze strzelbą w dłoni.

Oczywiście w tej chwili mam w głowie tylko te pytania, których nie mogę zadać przy świadkach: Znowu cię pobili? Jak cię traktują? Gdzie Tom? Jakim cudem udało ci się wymknąć tamtej nocy? Kiedy się znowu spotkamy? Masz pojęcie, jak bardzo mi brakuje naszych rozmów?

– Sądziłam, że pracujesz w kopalni – mówię w końcu.

– Dilley nie chciał, żebym się spoufalał z górnikami, więc przydzielił mnie tutaj. – Jefferson pluje jadem. Nienawidzi Dilleya nawet bardziej niż ja.

Już mam powiedzieć, że cieszę się, że wyrwał się z tamtej paskudnej dziury i może teraz oddychać świeżym powietrzem, ale w porę sobie uświadamiam, że może Jefferson wolałby tkwić w kopalni. Może Dilley jest mądrzejszy, niż sądziłam, i wie, że żeby nie stracić kontroli nad podwładnymi, musi utrudniać im kontakty.

– Dziś rano Wilhelm oprowadził mnie po całym obozowisku – mówię ostrożnie. – Dzięki temu, zgodnie z życzeniem wuja, wiem o wiele więcej o całym przedsięwzięciu.

Jefferson mocniej ściska dłoń na szpadlu. Wiem, że zrozumiał, co chcę powiedzieć.

– To dobrze – odpowiada głosem płaskim jak podpłomyk. – Pan Westfall będzie zadowolony, że wzięłaś sobie do serca jego życzenia.

– Tak myślę.

– W pewnym sensie mu na tobie zależy, a to ważne. – Teraz na chwilę przestaje pracować. Szpadel zawisa w powietrzu. – A mężczyzna dla ukochanej kobiety zrobi wszystko.

Nadzorca jest już koło nas.

– Señorita Westfall – mówi z miękkim hiszpańskim akcentem i uchyla kapelusza. – Ci ludzie muszą pracować.

Uśmiecham się z wysiłkiem.

– Rozumiem, proszę pana. Chciałam tylko chwilę popatrzeć.

Choć nie mam na to najmniejszej ochoty, muszę zostawić tu Jeffersona. Spoglądam na niego po raz ostatni, omiatam go wzrokiem od stóp do głów. Muszę

to zapamiętać, jego dumną postawę, mimo wszystkiego, co się stało, jego determinację, gdy wbija szpadel w rudę.

Biorę Wilhelma pod rękę. Odchodząc, mam wrażenie, że to moje serce trafia między żarna i zaraz obróci się w pył.

Rozdział 19

Hiram jeszcze nie wyszedł; siedzi za biurkiem i coś pisze, kiedy wracam do chaty. Podnosi wzrok na mój widok. Ma smugę atramentu na policzku.

– Leah... – Omiata wzrokiem upapraną błotem suknię. Zrywa się na równe nogi, w ułamku sekundy jest przy mnie. Chwyta mnie za ramię, szarpie tak mocno, że aż szcękam zębami. Cały czas wpatruje się w suknię. Jest w panice. – Coś ty zrobiła?

– Byłam przy Wodopoju i...

Szarpie mnie jeszcze mocniej.

– Ta suknia... Moja... Twoja suknia. I... – Unosi poły spódnicy, aż stoję przed nim jak naga. – Nowe buciki. Do wyrzucenia.

Robi mi się niedobrze, gdy czuję jego wzrok na pończochach.

– Musiałam – zapewniam. – Musiałam, wuju. Wyczułam złoto i musiałam wejść do wody, żeby się upewnić. Naprawdę.

Zaciska usta. Puszcza moją suknię, co przyjmuję z wielką ulgą, nieco luzuje dłoń na moim ramieniu. Głęboko nabiera tchu.

– Wyczułaś złoto? – sapie. Mówi z trudem. Nie mieści mi się w głowie, że tak bardzo przejął się zniszczoną suknią.

– Tak, wuju, i to chyba jest bardzo obfite złożo.

W końcu mnie puszcza. Cofa się o krok, masuje szczękę i kark.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

– Powiedziałam Topperowi, gdzie mają kopać. Dzisiaj trafią tylko na trochę kruszcu, ale jutro w ciągu dnia dotrą do wielkiej żyły.

Przez chwilę milczy. A potem:

– Mam nadzieję. Ze względu na ciebie.

I nagle wątpię w siebie. A jeśli tam nic nie ma? A jeśli się pomyliłam? Zrobi Indianom krzywdę, jeśli żyła nie da dość złota? Albo mnie? Albo, co gorsze, Jeffersonowi?

Nie. Wiem, co czułam. Wiem i już. Zresztą nie tylko czułam tam złoto, ja z nim rozmawiałam. Rozkazałam mu się ruszyć i mnie usłuchało. Było jak pies na smyczy, rwało się do mnie.

– Zobaczysz. – Unoszę dumnie głowę. – Uczynię cię bardzo bogatym.

I chyba wybrałam odpowiednie słowa, bo napięcie znika z jego barków, a wzrok łagodnieje.

– Cieszę się, groszku.

Sądziłam, że go zadowoliliłam, ale wieczorem, po kolacji, odbywa się znajomy rytuał. Jedną ręką chwyta sznur, drugą mój nadgarstek i ciągnie mnie

do pokoju.

– Co ty wyprawiasz?

– To tylko środek ostrożności, groszku. Póki nie będę pewien, że mogę ci ufać.

– Ależ możesz!

Przywiązuję mnie do łóżka. Mam ochotę go kopać, wrzeszczeć, wierzgać, ale na myśl, że z zemsty skrzywdziłby Jeffersona, leżę spokojnie. I to chyba najgorsze, co w życiu zrobiłam.

Przywiązuję mi też nogi, tak, że leżę jak długa. Sprytne to bardzo. Sama nie wyzwolę się za żadne skarby.

Pochyla się, jest tak nisko, że łaskocze mnie starannie przystrzyżoną brodą.

– Dobranoc, kochanie – mówi i całuje mnie w policzek, blisko ucha.

Nie wiadomo dlaczego, to jest najgorsze ze wszystkiego. Odprowadzam go wzrokiem, przeszywam jego plecy nienawistnym spojrzeniem. Ale nie będę narzekać. Inni w obozie mają jeszcze gorzej.

Złoto szepcze do mnie z kryjówki pod siennikiem. Kiedy tylko będzie to możliwe, ponownie umieszczę je w czubku buta, ale na razie, niech mnie otacza, niech dodaje mi otuchy. Do rana łązy obeschną. Boli mnie szyja i ręce obtarte od sznura, ale nie dają za wygraną.

Przez cały tydzień zachowywałam się wzorowo. Ze wszystkich sił starałam się wyczyścić suknię i choć lamówka jest nieodwracalnie zniszczona, udało mi się doprowadzić ją do na tyle przyzwoitego stanu, że nadaje się na co dzień, do pracy. Codziennie chodzę do kopalni i mówię, gdzie kopać. W ciągu kilku dni wydobyto więcej złota niż w dwóch poprzednich miesiącach razem wziętych. Dilley, Topper i inni nadzorcy uważają, że mam szczęście.

Ani razu się nie skarżyłam, choć widzę, jak Jefferson chudnie z dnia na dzień, choć bolą mnie otarte sznurem nadgarstki, choć nadzorcy całymi dniami leniuchują i tylko obserwują wycieńczonych, zatrutych Indian, harujących jak woły. Milczę o tym, że ludzie Dilleya są wobec mnie pozornie bardzo uprzejmi, ale kiedy tylko się odwrócę, przewiercają mnie spojrzeniami, które błędzą po mojej skórze jak muchy.

Bardzo chcę coś zrobić, cokolwiek, ale wiem, że muszę na razie czekać. Zniszczenie wuja to długie polowanie, to mnóstwo malutkich, ledwie zauważalnych kroczków, które zwieńczy śmiertelny cios.

Wiem co nieco o długich polowaniach. Jestem cierpliwa. Jestem jak duch.

Duch, który sporo widział. Dzięki nienagannemu zachowaniu zdobywam coraz większą wiedzę. Obserwuj, powiedział Piżmak. Słuchaj. I to właśnie robię.

Wiem już, że broń, co logiczne, trzymają w szopie strażników. To najsuchsze miejsce w obozowisku. Nie licząc chaty wuja. I zapewne tam właśnie znajdują się moja strzelba i rewolwer.

Codziennie widuję Mary w chacie Hirama, czasami mijam Piżmaka w drodze do kopalni, ale nie odzywam się do nich. Duch na łowach nie ryzykuje.

Wpatruję Toma. Nie widzę go w obozie i dowiaduję się, że teraz pracuje nad potokiem, tak jak Chińczycy i Indianki. Płucze złoto od świtu do zmierzchu. Wiem z doświadczenia, że to ciężka praca, ale bez porównania lżejsza niż kucie litej skały w zimnej, wilgotnej jaskini. Znając Toma, załatwił sobie lżejszą pracę dzięki umiejętności gadania.

Piżmak powiedział, że plan jest już prawie gotów. Wierzę w niego, Mary i pozostałych, naprawdę. Ale i tak wiem, że poczułabym się o wiele lepiej, gdybym miała własną broń do starcia z wujem Hiramem.

Tak więc pewnego ranka, gdy wuj wychodzi, zakradam się do jego biurka. Szufłada otwiera się ze zgrzytem, który słychać stąd chyba aż do Missisipi. Liczę, że znajdę otwieracz do listów albo coś równie ostrego, ale jest za mądry, by zostawić tu ostre narzędzie. Znajduję jedynie kilkanaście listów i małą książeczkę oprawioną w skórę.

Książeczka to księga rachunkowa, całe rzędy cyfr i notatek. Matematyka nigdy nie była moją mocną stroną, więc trochę trwa, zanim orientuję się w jego zapiskach. Jeśli wierzyć słowom wuja, wydobywamy mnóstwo złota, ale w rubryce zatytułowanej wydatki figuruje też sporo pozycji: materiały budowlane do tuneli, proch strzelniczy, kilofy, osły i przedmioty luksusowe, jak balia, w której kąpałam się pierwszego dnia, dodatkowy piecyk i zastawa stołowa.

Po prawej stronie każdej kartki jest suma, która zmienia się stopniowo. Na pierwszej było to osiem tysięcy dolarów, miesiąc później – już tylko trzy. A ostatnio znowu wzrosła, do czterech tysięcy.

Miałam rację. Wuj Hiram jest komuś winny pieniądze. I to całe mnóstwo.

Ma obsesję na jednym punkcie – wydobywać więcej złota... I na ten cel wyda wszystko, co zarobi. Mama zawsze powtarzała, że kruszec ogłupia nawet najmądrzejszych I najwyraźniej mówiła to z osobistego doświadczenia.

Przeglądam listy. Większość nadano w Sacramento i San Francisco. Wiele dotyczy zapasów; wygląda na to, że Hiram negocjuje też listownie. Jednak często powtarza się jedno nazwisko. Przebiegam wzrokiem listy od tego mężczyzny, aż trafiam na ostatni.

Dziękuję za szczegółowy opis postępów. Spełnię pańską prośbę, mój prawnik otrzymał odpowiednie instrukcje. Ma pan czas do wigilii Bożego Narodzenia. Jest to jednak ostatnia prolongata, na którą wyrażam zgodę. Jeśli do tego czasu nie spłaci pan całej sumy, kopalnia i wszelkie ruchomości staną się moją własnością.

Z poważaniem,

James Henry Hardwick

Przez długą chwilę wpatruję się w jego podpis. Nie takiej bronii szukałam, ale to zdecydowanie oręż, tyle że innego rodzaju. W końcu mam nazwisko.

Powtarzam je w myślach, żeby mi nie umknęło. *James Henry Hardwick. James Henry Hardwick.* To jego dłużnikiem jest wuj. To on dzierży bat nad głową Hiram Westfalla.

Rozdział 20

Po powrocie z kopalni zastaję wuja w chacie. Czeka na mnie. Powietrze pachnie tytoniem. Kiedy wchodzę, właśnie wypuszcza z ust kłęb dymu. Na stole leżą dwa spore pakunki.

– Dla ciebie – oznajmia z miękkim uśmiechem.

Spinam się odruchowo, ale odpowiadam najgrzeczniej, jak potrafię.

– Wuju, niczego mi nie trzeba.

– Pozwól mi cię rozpieszczać, groszku.

Powinien spłacić swój dług, a nie wydawać pieniądze na prezenty. Powoli zbliżam się do stołu, jakby pakunki były zwierzętami w pułapce, które tylko czekają, aż znajdę się w zasięgu ich kłów.

Otwieram tę mniejszą i wzdycham.

Wuj uśmiecha się z fajką w ustach, ale to nie było westchnienie radości. Bo w paczce jest suknia. Kolejna suknia, identyczna jak ta, którą mam na sobie, niebieska, z koronką na rękawach.

– Kiedy chodzisz do kopalni i nad potok, zakładaj starą – instruuje mnie spokojnie. – Ale w innych sytuacjach masz wyglądać pięknie i elegancko.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

– Ale dlaczego?

– Bo moja dziewczynka ma wyglądać jak dama, co zresztą pokrywa się z jej statusem...

– Nie. Dlaczego taka suknia? Dlaczego chcesz, żebym wyglądała jak mama?

Ledwie te słowa padają z moich ust, wiem, że to był błąd, bo jego oczy nagle przypominają burzowe chmury.

– Twoja matka była bardzo piękną kobietą – odpowiada zimno. – Powinnaś być dumna, że jesteś do niej podobna.

– Dlaczego masz jej podobiznę przy łóżku?

Kolejny błąd. Przydałaby się tama, żeby zatkać mi buzię, ale nic na to nie poradzę. Nagle ogarnia mnie dziwny, rozpaczliwy strach i wiem, że nie cofnę tych słów za całe złoto Kalifornii.

Odkłada fajkę na stół.

– Byłaś w moim pokoju.

– Tylko raz. Sprzątałam. Zamiatalam. Od tego czasu tam nie wchodziłam. – Cóż, przynajmniej ostatnie zdanie jest prawdziwe.

Milczy. Przez dłuższą chwilę mierzymy się wzrokiem.

– Otwórz drugi pakunek – mówi.

Drżącymi rękami rozplątuje sznurek na drugiej paczce i moim oczom

ukazuje się kolejna para damskich butów, jeszcze ładniejszych niż poprzednie, z delikatnym koronkowym wykończeniem cholewki.

– Zamówiłem też nową suknię – dodaje. – Potrwa, zanim ją uszyją, ale na Boże Narodzenie w Sacramento będzie bal, pierwszy bal na złotodajnych polach Kalifornii. Musisz pięknie wyglądać. Zapewne zjawią się tam ważni ludzie. Liczę na nowe, korzystne znajomości.

Wbijam wzrok w trzewiki. W życiu nie widziałam czegoś równie niepraktycznego. Zniszczyłabym je, idąc do wychodka.

– Leah?

– Nie odpowiedziałeś na pytanie. O mamę.

Waha się, jakby nad czymś myślał, aż w końcu siada na ławie i gestem daje znak, bym też zajęła miejsce siedzące.

Robię to i splatam dłonie, żeby ukryć ich drżenie.

– Twoja mama była mi bardzo droga – zaczyna.

– Wiem – przyznaję. – Wolny Jim mówił, że się w niej kochałeś. Wszyscy się zdziwili, gdy tak nagle zmieniła zdanie i wyszła za mojego tatkę, nie za ciebie.

Z całej siły uderza pięścią w stół.

– Byliśmy sobie przeznaczeni!

– Tak, oczywiście, właśnie to miałam na myśli. – Kulę się.

Coś w nim pęka, gdy mówi dalej:

– Nikt nie był bardziej zdziwiony niż ja. Byliśmy z Elizabeth zaręczeni, a potem pewnego dnia jadę do miasteczka i okazuje się, że wyszła za Reubena, w wielkiej tajemnicy.

Ucieka wzrokiem w dal.

– Wiesz, to był najgorszy okres mojego życia. Nigdy nie czułem się bardziej zdradzony, bardziej... – Z trudem przełyka ślinę. – Bardziej samotny. Rodzony brat odebrał mi ukochaną kobietę.

To już wiedziałam, nadal jednak nie pojmuję, czemu każe mi się ubierać tak, żebym wyglądała jak ona. Ani dlaczego ich zamordował. Ale staram się zachować spokój, gdy pytam:

– Jak myślisz, dlaczego tatko to zrobił?

Marszczy brwi.

– Nie życzę sobie, żebyś o nim mówiła.

– Niby dlaczego? Żeby nie dręczyły cię wyrzuty sumienia, że go zabiłeś?

Patrzy na mnie, ale w jego wzroku nie ma gniewu czy wściekłości. To wzrok księgowego, który w myślach dodaje długie kolumny liczb. Sięga po fajkę, pyka przez chwilę. Czekam, aż wszystkiemu zaprzeczy, on jednak w końcu mówi:

– Zasłużył sobie na to.

Wybałuszam na niego oczy.

Nagle tamten widok znowu staje mi przed oczami: tatko na progu, krew

na deskach, wyraz zdumienia na jego twarzy.

– Wszystko mi odebrał – ciągnie. – Wszystko! – Znowu wali pięścią w stół. Dostrzegam ślinę w kącikach jego ust.

– Tylko dlatego, że mama wybrała jego...

– Odebrał mi kobietę, ziemię i ciebie. Nawet ciebie.

– Co, do diaska, to ma znaczyć? – Łzy płyną mi z oczu. Łzy gniewu i frustracji, a także rozpacz, która, jak błędnie sądziłam, ogranicza się już tylko do ułucia na dnie serca. Ale w tej chwili, podczas konfrontacji z szalonym wujem, tęsknię za rodzicami bardziej niż kiedykolwiek.

– Nie rozumiesz, Leah? Nadal nie wiesz? Reuben zawsze powtarzał, że bystra z ciebie dziewczyna, ale...

– Na miłość boską, wuju Hiramie, powiedz po prostu, co ci chodzi po głowie.

– Jesteś moja. Naprawdę moja. Moja dziewczynka. Owoc mojej miłości do Elizabeth.

Zalewa mnie nagła fala gorąca, nie mogę oddychać.

– Mylisz się.

– Moja Leah... czy kiedykolwiek dokładnie przyjrzałaś się swojemu odbiciu? Jesteś do mnie podobna jak dwie krople wody. Masz moje usta, mój podbródek, moją szczękę... – Błądzi wzrokiem po mojej twarzy. Rozpaczliwie chce to zobaczyć.

– Często się zdarza, że wuja i bratanicę łączy podobieństwo.

– Każdy z odrobiną oleju w głowie widzi, że to coś więcej – obstaje przy swoim. – Jestem twoim ojcem, to nie ulega wątpliwości.

Energicznie zaprzeczam ruchem głowy. Sama taka ewentualność jest zbyt straszna, by w ogóle brać ją pod uwagę.

– Kiedy się urodziłam, mama i tatko już od lat byli małżeństwem.

– To prawda. My... To nie jest temat do rozmowy z młodą damą.

– Świetnie. Nic mi nie mów, a już na pewno ci nie uwierzę.

Wzdycha, wyciąga rękę, dotyka sznurówki nowych trzewików.

– Zbliżyliśmy się. Tylko raz. Wiele lat po tym, jak wyszła za Reubena. Zostałem ją w stodole i... cóż, namiętność wzięła górę i... Wreszcie oboje byliśmy sobą.

Ma niespokojny, rozbiegany wzrok, nie może patrzeć dłużej w jeden punkt i jest dla mnie oczywiste, że ta opowieść to stek bzdur. Ręce mi drżą.

– Niemożliwe – upieram się, unoszę dłoń do medalionu na szyi. – Moja mama nigdy nie... – Widzę, jak zbiera się w sobie, napina, jak żmija przed atakiem, więc nie kończę zdania, pozwalam, by słowa zawisły w powietrzu.

Nadal dotyka trzewików, muska sznurówkę opuszkami palców.

– Miała takie same buciki – mówi.

Owsianka z melasą, którą jadłam na śniadanie, kotłuje mi się w brzuchu. Oddycham głęboko przez nos. Boję się, co będzie, jeśli zwymiotuję na nową suknię.

– Chciałbym, żebyś założyła nowe trzewiki – mówi.

– Teraz? – Ochryplam nagle.

– Teraz – potwierdza stanowczo. – Chcę się upewnić, że pasują.

– Dobrze. – Obserwuję go kątem oka, pochylam się, rozsznurowuję buty tatki. Mam w nich wielkie stopy, ale należały do niego, wytrzymały tysiące mil błota i skał, słońca i deszczu, szczęścia i rozpaczy.

Przez chwilę zastanawiam się, co ze złotem ukrytym w czubku jednego z nich, ale wątpię, żeby Hiram je dokładnie sprawdzał, zresztą przy najbliższej okazji założę je z powrotem.

Niechętnie zsuwam je z nóg. Wuj Hiram obserwuje szeroko otwartymi oczami, jak zakładam nowe trzewiki, z przejęciem, gorączką, z pasją, której nie rozumiem. Nie jest moim ojcem. Nie jest i już.

Sznuruję je i wstaję. Dziwnie się w nich czuję – są ciasne, wąskie, delikatne.

– Leżą jak ulał – mówię z wymuszonym uśmiechem. – Bardzo dziękuję.

– Ależ proszę – rozpromienia się. – Wstaje, obchodzi stół, żeby lepiej widzieć. – Pasują ci.

A potem, szybciej niż polujący jastrząb, pochyla się, podnosi buty tatki z podłogi, gdzie je zostawiłam.

– Co robisz? – pytam.

– Już ci nie będą potrzebne.

– Jak to nie? Przecież błoto i...

Otwiera drzwiczki pieca, wrzuca je do środka, zamyka, opuszcza zasuwkę.

– Nie! – rzucam się do pieca, ale blokuje mi drogę, odpycha mnie.

– Tatko – szepczę. Chcę go wyminąć, ale chwytam mnie za gardło i odpycha, aż zataczam się na stolik i przesuwam go o kilka centymetrów.

Usiłuję wstać, a on ciągle stoi przy piecu, ze skrzyżowanymi rękami i zdecydowaną miną.

– Do kopalni będziesz zakładała te drugie buciki, te, które zniszczyłaś, a nowe będą na wyjątkowe okazje.

Powinam coś odpowiedzieć, ale jeśli otworzę usta, zacznę wrzeszczeć.

– I Leah? Nigdy więcej nie wspominaj Reubena, jasne? Nigdy więcej.

Poddaję się, nie mam siły dłużej stać, osuwam się na kolana, z mojej piersi wrywa się szloch, z oczu płyną łzy. Rozpacz mnie spala, niszczy, jak gnijące złoto. Bo tatko był najlepszym człowiekiem, jakiego znałam, a teraz straciłam go na nowo.

Coś trzaska w piecu. Płonąca skóra wydaje charakterystyczny zapach, inny niż drewno.

Mija minuta. Dwie. A potem słyszę kroki Hirama, gdy podchodzi do drzwi i znika za nimi, zamykając je z głośnym trzaskiem.

Zrywam się na równe nogi, szczypcami wyciągam z paleniska buty tatka. Są sztywne, skurczone, czarne, obsypane popiołem. Kładę je na stole i zostawiam na nim brzydką smugę sadzy, ale później będę się tym martwić.

Czekam, aż trochę ostygną, a potem ostrożnie odsuwam zwęglony język i znajduję to, czego szukam, ciągle w czubku buta. Drobniejsze bryłki zbiły się w jedną całość – to stopiły się zanieczyszczenia, ale złoto jest w doskonałym stanie. Odwracam buty do góry nogami, wytrząsam złoto na serwetkę, ale złotowidzenie podpowiada, że coś jeszcze zostało w środku, więc sprawdzam palcem i zgarniam wszystko, nawet najmniejszą drobinę.

Palec piecze po kontakcie z gorącą skórą. Myślę intensywnie. Jeśli zachowam buty, wuj – nie chcę myśleć o nim jako o moim ojcu – znajdzie je i znowu spali. Tak więc to kiepska kryjówka na złoto. Może lepszym pomysłem jest piec. Ogień rzadko osiąga temperaturę na tyle wysoką, żeby mu zaszkodzić.

No tak, ale nie mam pojęcia, jak często Mary go czyści. A co, jeśli będę musiała zabrać złoto szybko, nagle? Może nie być czasu na czekanie, aż ostygnie, a nie sposób uciekać z rozżarzonym metalem.

A zatem znowu kruszec wróci pod materac, choć znając Hirama, zapewne od czasu do czasu przeszukuje mój pokój. Może lepiej ukryć je wewnątrz materaca, ale nie mam noża, żeby go rozciąć. Hiram jest ostrożny – w całej chacie nie widziałam ani jednego noża, nawet stołowego. Starannie sprząta na biurku i zabiera nóż do papieru, ilekroć wychodzi.

Chociaż może nie tym razem. Wyprowadziłam go z równowagi.

Patrzę na biureczko. Podbiegam do niego, wysuwam jedyną szufladę. I rzeczywiście, w środku leży brązowy nóż do papieru. Rękojeść wygląda jak rękojeść miecza, więc przypomina malutki sztylet. Biorę go, muskam palcem ostrze.

Malutki, tępy sztylet. Ale jest twardy i szpiczasty i to musi mi wystarczyć.

Biegnę do sypialni, ściągam kołdrę i unoszę materac. Wbijam w niego nóż do papieru, poszerzam otwór palcem, aż jest na tyle duży, że zmieści się w nim zawiniątko ze złotem.

Wsuwam paczuszkę do materaca, wygładzam materiał i ponownie ścielę łóżko. Cofam się o krok.

Wspaniale. Gdyby nie złotowidzenie, nie miałabym pojęcia, co się tu kryje.

Wracam do biurka. Waham się, zanim odłożę nóż do papieru. Zbyt tępy, żeby nim zranić, ale ktoś silny, jak ja, mógłby wyrządzić nim sporo krzywdy. Jeśli nie uda mi się dorwać broni palnej ani prawdziwego noża, być może będę zdana na to maleństwo.

Znalazłam go po prawej stronie papierów, leżał lekko ukosem. Odkładam

go na miejsce, najdokładniej, jak potrafię, odtwarzając pozycję, i zasuwam szufladę.

Biorę buty tatki ze stołu i wyłączam serce i umysł, a potem otwieram drzwiczki pieca i ciskam je do środka. Jedną ze szmatek Mary ścieram sadzę ze stołu, aż blat jest naprawdę czysty.

Wreszcie. Zrobiłam coś. Coś ponad nurzanie się w rozpacz.

Następny dzień mija, jak gdyby nigdy nic. Idę z Wilhelmem do kopalni, w zniszczonych trzewikach, zgodnie z poleceniem Hirama. Mijam Jeffersona przy żarnach i macham do niego, nonszalancko, bezmyślnie, jakbym wcale nie chciała do niego podbiec.

Przychodzi Mary i zabiera się za kolację – podaje rosół z surowym jajkiem wbitym do środka i ugotowanym w wywarze. Jemy w milczeniu, a w piecu buty tatka palą się na popiół.

Po posiłku Hiram wyciera usta serwetką, składa ją starannie i nagle mówi:

- Przejdź się ze mną.
- Dobrze – zgadzam się potulnie.
- Ale najpierw załóż nową suknię.

Choć zbiera mi się na mdłości, odpowiadam:

- Jak sobie życzysz.

Dziwnie się czuję, przebierając się z jednej identycznej sukni w drugą. Nie, ta jest lżejsza i czystsza, a Hiram promienieje, kiedy wspieram się na jego ramieniu.

- Pięknie wyglądasz – zapewnia i dotyka pukla moich włosów.

Nie ufam sobie na tyle, żeby odpowiedzieć, więc milczę, gdy otwiera drzwi i wyprowadza mnie na wieczorny chłód.

Nadzorcy siedzą przed swoją chatą, grają w karty, piją coś, żartują. Mary znowu siedzi komuś na kolanach. Założyła jego zbyt duży kapelusz, wplotła mu palce we włosy.

Po naszej lewej stronie także obozowisko Chińczyków tętni życiem. Dźwięczne uderzenia zdradzają, że kowal jeszcze pracuje. Przy jego namiocie zebrała się spora grupka – zapewne grzeją się przy ciepłym powietrzu z miechów. Wypatrzyłam też starszego mężczyznę, właściciela namiotu pełnego dziwacznych słoików. Kiedy przechodzę, mierzy mnie wzrokiem, szacuje jak dorodną jałówkę.

Powietrze zdradza, że zima jest tuż tuż, oddechy unoszą się białymi obłoczkami w świetle lamp. W blasku ognisk gwiazdy są mniej widoczne, ale rąbek księżycy wisi nad nami wszystkimi.

Nigdzie nie widać Jeffersona ani Toma.

- Dokąd idziemy? – W końcu zdobywam się na odwagę.
- Nigdzie – odpowiada Hiram. – Ale ojciec i córka powinni spędzać razem więcej czasu, nie sądzisz?

Fakt, że nie wyrywam ręki z jego uścisku, kosztuje mnie bardzo dużo siły

woli.

Zbliża się do nas Abel Topper. Wybałusza oczy, widząc moją nową suknię i trzewiki. Ściąga kapelusz z głowy, przyciska go do piersi.

– Dobry wieczór, panie Westfall. Panno Westfall.

Nie odpowiadam, robi to Hiram.

– Witaj, Topper.

Abel pochłania mnie wzrokiem.

– Bardzo pięknie pani dziś wygląda – mówi.

Milczę uparcie, więc Hiram ściska mi ramię.

– Dżentelmen powiedział ci komplement – zauważa.

– Bardzo dziękuję – wykrztuszam.

– To ja dziękuję – odpowiada Topper. – Ma panienska nosa do złota; nic dziwnego, że panienki ojciec był szczęściarzem.

Hiram sztywnieje u mego boku.

Abel, niczego nieświadomy, papla dalej:

– Przez cały tydzień co najmniej wyrabialiśmy normę albo i ją przekraczaliśmy. Dzięki panience.

– Cieszę się – wyduszam z trudem.

– To twoja zasługa. – Hiram patrzy na Toppera. – Ciężko harujesz, Abel. Nie myśl, że tego nie widzę.

Nie panuję nad grymasem na twarzy. Topper to doświadczony górnik i nadzorca i zna się na swojej robocie, ale o ile mi wiadomo, całą harówkę odwalają Indianie i Chińczycy. Chyba że za ciężką pracę uznać batożenie zagłodzonych.

– Dziękuję panu. – Topper schyla głowę. – Bardzo dziękuję.

Hiram odwraca się, chce mnie wyprowadzić, ale Topper go zatrzymuje:

– Przepraszam pana, sir, ale jest coś, o czym chciałbym z panem porozmawiać.

– Tak? – Poznałam już wuja na tyle dobrze, iż wiem, że powoli się niecierpliwi.

– Chodzi o Indian, proszę pana. Bo widzi pan, są wycieńczeni i nie pracują tak ciężko, jak powinni. Wkrótce będę musiał dostać nową partię, jeśli mamy utrzymać wydobycie na takim poziomie. Albo to, albo... czy dałoby się czasem dać im dodatkową rację żywieniową? – Nerwowo mnie kapelusz w dłoniach. – Zdaję sobie sprawę, że staramy się oszczędzać i minimalizować koszty, ale ci najsilniejsi, najwięksi... no, przydałoby się trochę więcej paliwa.

Zerkam na niego ukradkiem. Nie bardzo wiem, co o tym myśleć. Czy mi się zdaje, czy przed chwilą chciał pomóc Indianom? Mówi o nich per bydło. Choć nigdy w życiu nie widziałam, by ktoś tak traktował swoje stado, jak on pracowników.

– Zgadzam się z Topperem – mówię bez namysłu. – Uważam, że wszyscy

pracują lepiej z pełniejszym żołądkiem.

– Tak uważasz? – Hiram unosi brew.

– Wuju, wiem, że ty przez całe życie zajmowałeś się tylko pracą godną dzentelmena, ale ci z nas, którzy harowali fizycznie, wiedzą najlepiej, o ile wydajniej pracuje się z pełnym brzuchem.

To obelga, żałośnie udająca komplement, ale daje Hiramowi do myślenia. Autentycznie daje mu do myślenia.

– Taniej i prościej byłoby po prostu sprowadzić nowych. I tak miałem wysłać po nich Wilhelma i Dilleya.

Od samego początku taki był plan. Zaharować Indian na śmierć, zgarnąć nagrodę za ich skalpy, a później schwytać następnych.

– Cóż – mówię najspokojniej, jak potrafię. – A tymczasem musimy dopilnować, żeby ci, których mamy na miejscu, pracowali jak najlepiej, prawda?

Patrzy na mnie innym, delikatniejszym wzrokiem.

– Czy to cię uszczęśliwi? – pyta.

– Tak.

– W takim razie... – Wraca spojrzeniem do Toppera. – Dodatkowa porcja pszenicy dla każdego Indianina, jutro i w każdą sobotę. I w Święto Dziękczynienia zamkniemy kopalnię, będą mieli dzień odpoczynku.

Jedna dodatkowa racja tygodniowo? Tylko na to go stać?

Serce podchodzi mi do gardła. Hiram patrzy na mnie wyczekująco.

– To bardzo... wielkoduszne, wuju.

– Dziękuję, panie Westfall – odpowiada Topper z kamienną miną. On wie, że to za mało.

Ruszamy z Hiramem na dalszy obchód obozu. Widząc mnie wspartą na jego ramieniu, wszyscy kłaniają się z szacunkiem, ale wiem, że to tylko pozory. Kiedy wracamy do chaty, mam po dziurki w nosie uchylanych kapeluszy i grzecznych pozdrowień i najbardziej na świecie chciałabym być znowu z ludźmi, którym ufam i których kocham.

Tęsknota za Becky Joyner i dzieciakami ściska mnie za gardło. Mam nadzieję, że mały Andy złapał całe mnóstwo żab, że Olive uczy się od Jaspera, jak leczyć różne choroby, że major zrobił Becky najpiękniejsze meble po tej stronie Missisipi. Hampton na pewno ma już dość złota, żeby wykupić żonę, a Henry napisał wspaniały poemat opiewający piękno naszych gór.

Jeśli wkrótce z kimś nie porozmawiam, oszaleję. Chciałabym pogadać z Mary, lepiej ją poznać, ale Hiram jest zawsze w pobliżu, ilekroć dziewczyna krząta się po chacie.

Przede wszystkim jednak tęsknię za Jeffersonem. Eleganckie suknie, takie same, jakie nosiła mama, absurdalne twierdzenie Hiram, że jest moim ojcem, brak choćby cienia współczucia dla Indian z jego strony... Gdybym mogła pogadać

z Jeffersonem, to wszystko złożyłoby się w logiczną całość.

Przede wszystkim towarzyszy mi to głupie przekonanie, że może będę zmuszona zabić Hiram, i to raczej wcześniej niż później. Takich decyzji nie można podejmować w samotności. Jefferson pomógłby mi się w tym wszystkim zorientować. Zawsze stanowiliśmy zgraną drużynę, zawsze. Może wystarczyłoby, żebym popatrzyła na jego spokojną twarz, poczuła na sobie jego ramiona, jego siłę u boku.

Może to zasługa mojego zachowania bez zarzutu albo kwestia sukni, którą mam na sobie, a może, paląc buty tatka, uporał się z demonem przeszłości, nie wiem. W każdym razie tego wieczora, gdy idziemy spać, Hiram już mnie nie wiąże.

Rozdział 21

Po śniadaniu Mary zmywa, a Hiram wychodzi bez słowa. Może poszedł załatwiać tajemnicze sprawy, a może tylko do wychodka, więc muszę działać szybko.

– Mary – szepczę, gdy wyciera talerz do sucha.

Zastyga w bezruchu.

– Wczoraj mnie nie związał. – Walczę ze sobą, żeby nie rozmasowywać czerwonych pręg na nadgarstkach.

Wyciera dalej, ale już wolniej.

– Muszę z kimś porozmawiać – mówię. – Chcę coś... robić. – Zabić wuja, ale tego nie dodaję.

– Nie wygłupiaj się – syczy. – Bo wszystko im zepsujesz.

– Maidu, tak?

– Im także.

Milczymy przez dłuższą chwilę, aż w końcu, cały czas tyłem do mnie, mówi:

– Święto Dziękczynienia. Wtedy wszystko będzie gotowe.

Co za ulga, że naprawdę coś planują.

– Za niecałe dwa tygodnie – zauważam.

– Ludzie Piżmaka dłużej nie wytrzymają.

– Rozumiem. – Ile ciał wyniesiono z za palisady, odkąd tam byłam? –
Co mam robić?

Mary kończy zmywanie.

– Dziś w nocy. Czekaj przy oknie. – I wychodzi.

Robię, co do mnie należy. Po jej wyjściu sprzątam w chacie, później wychodzę na dwór, do Wilhelma. Daję mu resztkę podpłomyków. Pochłania je tak szybko, że prawie tego nie zauważam. Razem idziemy do kopalni. Mam tylko jedną radę – kopać dalej w tym samym kierunku. Abel Topper wychodzi ze skóry, żeby mi się przypodobać, pozwalam mu więc marnować mój czas na bezsensowną rozmowę o pogodzie, Unii i Święcie Dziękczynienia, bo dzięki temu koncentruje się na mnie, a nie na pracujących Indianach.

Wilhelm odprowadza mnie do chaty. Na progu odwracam się do niego.

– Dlaczego pracujesz dla mojego wuja?

Ma kamienną twarz. Właśnie takiej odpowiedzi się spodziewałam.

– To zły człowiek, Wilhelmie. Może najgorszy, jakiego znam. No, może tylko Frank Dilley dorasta mu do pięt. Wiedziałeś, że Dilley chciał kiedyś zabić mojego przyjaciela tylko dlatego, że stracił nogę?

Wilhelm mruży niebieskie oczy.

– Wmuszał we mnie twoje laudanum, prawda? – Strzał w ciemno, ale celny. Widziałam kilka razy grymas bólu na jego twarzy, zwróciłam uwagę, jak czasami zwalnia. Spotkało go coś bardzo złego. Może dlatego stracił głos.

Ku mojemu zaskoczeniu, kiwa głową.

– To droga sprawa, prawda? Pewnie sporo cię kosztowało, gdy musiałeś mi tyle oddać.

Mars na jego czole pogłębia się.

– Wilhelmie, ty też jesteś złym człowiekiem. Może ci się wydaje, że jest inaczej, że tylko wykonujesz polecenia. Może jesteś więźniem, jak ja.

Błądzi wzrokiem po mojej twarzy. Nie wiem, czego w niej szuka. Kiedyś, zanim blizna go oszpeciała, był chyba przystojny.

– Choć może się mylę – ciągnę. – Może robisz to, co chcesz. Może lubisz porywać i więzić niewinnych ludzi.

Zaciska usta w wąską linię.

– Zresztą to i tak bez znaczenia, czy to lubisz, czy po prostu nie masz odwagi, by postąpić, jak należy – jesteś złym człowiekiem.

Odwracam się na pięcie i wchodzę do środka.

Hiram już wrócił, siedzi jak zwykle przy biurku.

– Wuju? – zaczynam.

Nie podnosi głowy znad kartki, na której kreśli zamaszty podpis.

– Nie jestem twoim wujem.

Ale też nie jest moim ojcem. W jego historii o mamie coś mi nie pasuje i wolę się nad nią dłużej nie zastanawiać. Ale nawet gdyby, z Reubenem Westfallem łączyła mnie nie tylko wspólna krew. Wychowywał mnie, uczył, kochał.

– Cóż, niełatwo się od razu pogodzić z taką rewelacją – zauważam spokojnie. – Minie trochę czasu, zanim przywyknę do tej myśli.

Kiedy zrobiła się ze mnie taka wredna, wyrachowana Dalila? Kiedy upodobałam się do niego?

Odwraca się do mnie i jego twarz rozjaśnia ciepły uśmiech.

– Rozumiem, groszku. Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Mogłabym dostać papier i pióro?

– Po co?

Po to, żeby w nocy rozmawiać z kimś przez szybę.

– Chciałabym napisać do przyjaciół, u nas, w Dahlonega – odpowiadam radośnie. – Do sędziego Smitha i jego rodziny. Chciałabym dać im znać, że cała i zdrowa dotarłam do Kalifornii.

Mruży oczy. Chyba nie przepada za sędziami, o ile nie siedzą u niego w kieszeni.

– Raz w tygodniu pisałyśmy z mamą razem. Zawsze powtarzała, że młoda

dama powinna ćwiczyć kaligrafię. No więc wprawiałam się, pisząc listy do Annabelle Smith, a ona do mnie. Wymieniałyśmy się nimi w szkole.

Kolejne paskudne kłamstwo, jedno z wielu, które ostatnio opowiadam. Oczywiście, mama pięknie pisała i zawsze miała pióro pod ręką, ale mnie kaligrafia obchodziła tyle, co szurze oko.

I teraz mam problem. Bo kiedy Hiram zobaczy, jak gryzmolę, uzna, że go oszukuję. Dodaję więc:

– Szczerze mówiąc, bazgrzę jak kura pazurem, ale już szło mi lepiej. No i... cóż, chyba mi tego trochę brakuje.

Myśli przez chwilę, w zadumie gryzie koniuszek pióra.

– Rzeczywiście, wszystkie młode damy w Milledgeville ćwiczyły się w sztuce kaligrafii – przyznaje.

Wstrzymuję oddech.

– Na balu w Sacramento zapewne zawrzesz nowe znajomości z różnymi damami i powinnaś je podtrzymywać.

– No właśnie.

– Musisz mi obiecać, że pokażesz mi każdy list, zanim go zakleisz.

Do diabła.

– Oczywiście.

– W takim razie chętnie użyczę ci przyborów do pisania. Po Święcie Dziękczynienia wybieram się do Sacramento, wtedy wyślę twoje listy.

– Cudownie. Bardzo dziękuję.

– Chcesz zacząć od razu? – proponuje. Uśmiecha się nieśmiało, z nadzieją. – Moglibyśmy pisać razem. Jak ty i Elizabeth.

Wpadłam we własne sidła. Teraz muszę udawać, że piszę listy do ludzi, na których, jak mu nakłamałam, mi zależy. Annabelle Smith wydaje mi się tak odległa, stanowi część tak innego życia, że nie wiem, czy poznałabym ją, gdybyśmy mijały się na ulicy. Gdyby to było możliwe, napisałabym pewnie do Jima Boisclaira, ale nie mam pojęcia, gdzie jest. Po raz ostatni widziałam go w Independence – on też wyruszał na zachód, do Kalifornii. Chciałabym go jeszcze kiedyś zobaczyć, choć szanse na to są niewielkie, bo to ogromny teren.

– Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio coś pisałam – mówię. – Najpierw wolałabym poćwiczyć litery, jeśli masz zapasowy papier i pióro.

– Mam.

Siadam za stołem i podwijam rękawy, żeby ich nie poplamić, a on szuka w biurku papieru, pióra i kałamarza. Otwiera pióro, napełnia je czarnym płynem, zakręca ponownie.

– To droga sprawa – podkreśla, kładąc papeterię przede mną na stole. – Więc pisz małymi literkami. To moje jedyne zapasowe pióro, więc ostrożnie. Przy najbliższej okazji zamówię więcej przyborów do pisania, a także atramentu, ale

na razie to ci musi wystarczyć.

– Właściwie wystarczyłaby mi tabliczka – mówię. – Żeby ćwiczyć kaligrafię.

– Doskonały pomysł – przyznaje.

Doprawdy doskonały, jeden z najlepszych, na jakie kiedykolwiek wpadłam. Mogłabym pisać wiadomości i potem od razu je ścierać. Wystarczy tabliczka i kawałek kredy. O wiele lepszy sposób porozumiewania się z Jeffersonem.

– Na razie pisz. Porozmawiam ze starszym, może ma tabliczkę na składzie. Wielu z nich posługuje się tabliczkami.

– Starszym?

– Szef Chińczyków. Jest też obozowym sklepikarzem. Ma w namiocie najróżniejsze dziwactwa. Chyba widziałaś?

– Tak.

Wychodzi z domu, a ja zabieram się do pracy i udaję, że ćwiczę kaligrafię. Atrament powoli spływa ze stalówki i za pierwszym razem robię w papierze malutką dziurkę. Ślinię palce, ściskam stalówkę i po chwili atrament płynie już równo i miękko.

Zaczynam na skraju arkusza, kreślę małe litery, ale i tak kiepsko mi idzie i ciągle rozmazuję wielkie B i H. Nie daję za wygraną, choć niełatwo mi się skoncentrować. Tabliczka! Oby handlarz miał na składzie tabliczkę!

Pisanie zawsze wydawało mi się kompletnie bezużyteczną umiejętnością. Czymś takim nie nakarmisz bliskich, nie ochronisz ich przed deszczem, a wymaga skupienia i koncentracji, które wolałabym zainwestować w polowanie na jelenia. Ale skoro skłamałam, muszę się z tym pogodzić.

Zwieńczam X fantazyjnym zawijasem, który podejrzenie przypomina kleks, gdy wraca Hiram.

Niesie ciemnozieloną tabliczkę w dębowej ramce i kilka kawałków kredy.

– Zobacz, co znalazłem! – woła.

Nie muszę udawać uśmiechu.

– Bardzo dziękuję.

Patrzy na moje gryzmoły i krzywi się z niesmakiem.

– Mówiłam ci, że fatalnie piszę, a do tego wyszłam z wprawy. Ale z czasem będzie lepiej, obiecuję.

– Wiem – odpowiada i patrzy na mnie z taką dumą i czułością, jakby naprawdę mu na mnie zależało.

Hiram zabiera papier, pióro i kałamarz i kładzie tabliczkę na stole.

Znowu kreślę alfabet, ostrożnie, żeby nie zużyć za dużo kredy, bo będzie mi potrzebna na noc. Zapowiada się długi wieczór.

Leżę w łóżku, wsłuchana w nocne odgłosy obozowiska – odległe rozmowy, śmiechy, trzaskanie ognia. Z czasem wszystko milknie. Za zimno już na świerszcze

i żaby i cisza budzi niepokój, nawet strach. Wolę wiedzieć, że za ścianami chaty wre życie.

Nasłuchuję też wuja. Zgrzyt stalówki po papierze, krzesła na podłodze. Zawsze siedzi do późna, światło jego lampy zagląda między szparami kotary w drzwiach.

Tulę tabliczkę do piersi. Hiram nie zareagował, kiedy zabrałam ją do sypialni, nawet nie mrugnął okiem. I zaraz dzięki niej z kimś porozmawiam. Może nawet z Jeffersonem.

Oby to był Jefferson.

Z drugiej strony taka rozmowa może oznaczać dla niego wielkie ryzyko. W tej chwili chyba najlepiej, żeby trzymał się ode mnie z daleka.

Lampa wuja gaśnie. Podłoga trzeszczy pod krokami. Wsuwam tabliczkę pod kołdrę, zaciskam powieki. Czuję muśnięcie powietrza na policzku, gdy odgarnia zasłonę w drzwiach i przygląda mi się od progu. Zmuszam się, by leżeć nieruchomo i miarowo oddychać.

A potem deski znowu trzeszczą pod jego ciężarem, gdy odchodzi. Jeszcze później zamykają się drzwi do jego pokoju. W końcu udał się na spoczynek.

Leżę jeszcze długo, z nadzieją, że zobaczę Jeffersona, z nadzieją, że go nie zobaczę, i dumam, co powiem temu, kto przyjdzie.

Cichutkie stuknięcie w szybę.

Zrywam się z pośłania, zanim rozsądek podpowie, żebym działała cicho, i wolno chwytam tabliczkę. Wchodzę na skrzynię, wyglądam na zewnątrz i nagle nie mogę oddychać – ze szczęścia i przerażenia zarazem, bo to Jefferson, uśmiechnięty od ucha do ucha.

Z księżycy został tylko wąski rąbek, od strony namiotów Chińczyków dobiega światło jednej lampy, spowija go dziwnym cieniem. Mam ochotę wybiec na zewnątrz, porozmawiać z nim naprawdę, ale kiedy ostatnio wymknęłam się z domu, ktoś mnie widział.

Zamiast tego więc piszę na tabliczce:

Jak się wydostałeś? I unoszę ją do szyby.

Otwiera szeroko oczy na jej widok, a potem chucha na szybę i odpowiada:

NADZORCA

Wpatruję się w to słowo przez dłuższą chwilę, zanim zdołam uwierzyć, że to prawda. Piszę szybko na tabliczce:

Nadzorca wam pomaga?

Jefferson kiwa głową.

Ale dlaczego?

Chwila wahania, a potem:

NIĘ WŁAZŁYŚ WIE

To chyba część problemu. Bo źli nigdy nie są do końca źli, a dobrzy do końca dobrzy i dlatego tak trudno jednych rozróżnić od drugich. Ścieram tabliczkę dłonią i piszę: *To pułapka? Może to szpieg?*

Jefferson energicznie kręci głową. Nie.

Jaki mamy plan?

Układa usta w literę O, przysuwa się do szyby. Mam ochotę pocałować go przez szkło, ale szyba zachodzi parą, a Jeff pisze:

DSIĘKCSYNIENIE

Potwierdzam ruchem głowy. To już wiem.

Co mam robić?

LAND.
W

Zdobyć laudanum od Wilhelma?

Twierdzące skinienie.

PROCH

Serce podchodzi mi do gardła.

Ale jak?

Kręci głową i robi taki gest, jakby coś mi podawał.

Ścieram połowę tabliczki i piszę: *Dacie mi proch?*

Potwierdza.

A więc to ma odwrócić uwagę, na pewno. *Czemu akurat ja?*

AKUSZ

To logiczne. Mnie nikt nie sprawdza. Prawdopodobnie jestem jedyną osobą, której nie przeszukują przy wychodzeniu z kopalni. *Co mam z nim robić?*

ŻYRUK

Widziałam całe beczki prochu przy wejściu do kopalni, przykryte płótnem dla ochrony przed deszczem. Beczka stoi też w jaskini, w której nadzorcy robią sobie przerwy. Piżmak i Mary chcą go pewnie wykorzystać, żeby odwrócić uwagę nadzorców, ale nie wyobrażam sobie, jak chcą mi go przekazywać, nie zwracając na nas uwagi. W słoiku? W chusteczce? I gdzie niby mam go ukryć?

Gdzie?, piszę na tabliczce.

Jefferson wzrusza ramionami, a potem odpowiada:

WIADRO

Już mam zaprotestować, ale wtedy przypomina mi się, że Mary opróżnia kubek każdego ranka, gdy przychodzi robić nam śniadanie, czasami jeszcze zanim się obudzę.

Dobre, piszę.

Patrzemy na siebie przez szybę. Chyba powiedział już wszystko, co miał mi przekazać, ale nie chcę, żeby odszedł. Nigdy więcej.

Hiram spalił buty tatki, piszę szybko.

Kiedy podnoszę tabliczkę do okna, mam łzy w oczach.

Na twarzy Jeffersona maluje się gniew, ale sam fakt, że mogłam mu to powiedzieć, że widzę, jak się tym przejmuje ze względu na mnie, stanowi ogromną ulgę.

PRZYKRO MI

, odpowiada.

Twierdzi, że jest moim ojcem, dodaję.

Jefferson gapi się przez chwilę, a potem energicznie kręci głową.

NI

Nigdy, czytam z jego ust.

Przykładam palec do szyby. Powtarza mój gest, palec do palca. I mimo ciemności, mimo tego, że jego oczy nikną w cieniu, czuję jego cierpienie. Jest w napięciu jego barków, w zaciśniętych ustach. Co oni mu robią? Jeśli go krzywdzą...

Po raz ostatni chucha na szybę i pisze:

WYJDŹ ZA MNIE

Serce bije mi jak oszalałe. Ścieram tabliczkę i wpatruję się w nią, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Jefferson odpowiada na moje wahanie uśmiechem, który rozjaśniłby najczarniejszą noc. Wyciera okno, niszczy wszelkie ślady naszej rozmowy i ciągle uśmiechnięty, znika w mroku.

Skoro nawet w tej sytuacji ma siłę się uśmiechać, może jednak nie wszystko stracone. Szkoda tylko, że nie mam jego optymizmu.

Rozdział 22

Masz krede na sukni – zauważa Hiram, marszcząc brwi.

Siedzimy przy stole i jemy śniadanie – smażone jajka, podplomyki i miód.

– Przepraszam – mamrocze niewyraźnie, z ustami pełnymi jajeczniczy.

Mars na jego czole pogłębia się.

W myślach wymierzam sobie kopa. Mam dość oleju w głowie, by w jego obecności nie mówić z pełnymi ustami. Przełykam szybko i dodaję:

– Przed wyjściem do kopalni wszystko wyczyszczę.

– Bardzo dobrze.

Kiwam głową i jem dalej.

– Zaczynasz cieszyć się reputacją eleganckiej młodej damy o właściwych manierach. I tak ma zostać.

– Naprawdę? – Mało brakowało, a zadławiłabym się podplomykiem.

– Naprawdę. – Od jego uśmiechu przeszywa mnie dreszcz. – Wyobraź sobie, już dwie osoby prosiły mnie o twoją rękę.

W pierwszej chwili nie wiem, co ma na myśli. Że mam komuś pomóc? Aż do mnie dociera. Oświadczyny.

– Kto? – wyduszam z siebie.

– Chiński starszy – odpowiada. – Wysłał pośrednika, żeby ustalił datę ślubu i wynegocjował dobrą cenę. Zapropował mi zastawę stołową, wyobrażasz sobie? Oczywiście mu odmówiłem.

– Oczywiście – szepczę.

– Spokojnie, groszku. Jesteś za młoda na małżeństwo, a kiedy w końcu uznasz, że czas wydać cię za mąż, znajdę porządnego Amerykanina o dobrym pochodzeniu.

Marszczę brwi. Pewnie jego zdaniem Jefferson ma fatalne pochodzenie, choć zna na pamięć wszystkich prezydentów i bez trudu dzieli w myślach nawet wielkie liczby.

– Mówiłeś, że miałeś dwie oferty – przypominam.

– Ach, tak. Drugą złożył Abel Topper.

– Co takiego? – Czy na tej przeklętej ziemi choć jeden z nich nie ma obsesji na punkcie kobiety?

Hiram uśmiecha się.

– Pytał, czy może przychodzić w konkury, a z czasem poprosić o twoją rękę. Twierdzi, że wyrosłaś na prawdziwą damę, wbrew temu, co wszyscy mówili. Strasznie się przy tym plątał. Budził we mnie obrzydzenie. Powiedziałem, że muszę się zastanowić.

– Najpierw dajesz mu mojego konia, a teraz...

– Spokojnie, Leah. Nie oddam cię jednemu z nadzorców. Możemy liczyć na o wiele lepszy mariaż. Na balu gwiazdkowym poznasz znacznie ciekawszych kandydatów.

Jaja smakują nagle jak trociny. Mówi o mnie jak o klaczy, którą na aukcji sprzeda najhojniejszemu nabywcy. I czemu nie? Uważa mnie za swoją własność.

– A tymczasem masz być miła dla pana Toppera – dodaje. – Bardzo miła. Aż do balu musimy wyrabiać normę, więc ważne, żeby dobrze pracował.

– Mam być przynętą.

Mruga nerwowo.

– Wulgarnie to ujęłaś.

– Kiedy musisz spłacić dług? Niedługo? I dlatego normy wydobywania są teraz takie ważne? – Wiem to, oczywiście, ale jestem ciekawa, czy powie mi prawdę.

Spuszcza wzrok z mojej twarzy, wpatruje się w niedojezdzonego podpłomyka na swoim talerzu.

– Tak – przyznaje.

– Komu jesteście winni? – pytam. Nie podoba mi się to „my”, kiedy mowa o kopalni, obozie czy długu, ale mam nadzieję, że dzięki temu bardziej mi zaufa.

– Nie znasz go. Człowiek sukcesu, który dorobił się, najpierw dzięki złotu, a później – sprzedając działki w Sacramento. Ubiega się o stanowisko pierwszego gubernatora Kalifornii, choć nie sądzę, żeby mu się to udało.

– Rozumiem. – *James Henry Hardwick. James Henry Hardwick.* – Będzie na balu świątecznym?

– Zapewne.

O ile wszystko pójdzie dobrze, do tego czasu już mnie tu nie będzie, ale odpowiadam:

– Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy, by go oczarować.

W odpowiedzi Hiram obdarza mnie tak ciepłym, szczerym uśmiechem, że zbija mnie z tropu.

– Moja dziewczynka – mówi.

Wstaje, żeby zająć się swoimi sprawami, i wymusza na mnie obietnicę, że będę ćwiczyła kaligrafię. Oddycham z ulgą, ledwie zamykają się za nim drzwi. Zawsze wtedy wydaje mi się, że powietrze jest czystsze, że lżej się nim oddycha.

– Mary – zaczynam ostrożnie. W domu nie ma nikogo poza nami, ale zawsze jest tak ostrożna, że odruchowo idę w jej ślady.

Odwraca się do mnie.

– Mogę zabrać kilka podpłomyków? Mój towarzysz je lubi.

Nie przychodzi mi do głowy nic innego, czym mogłabym przekupić Wilhelma. Z jej ślicznej twarzy nie mogę wyczytać żadnej reakcji. Bez słowa zdejmuję koszyk z półki i stawia na stole przede mną.

Unoszę serwetkę i widzę stosik świeżych, wciąż jeszcze ciepłych placków. Co więcej, złotowidzenie budzi się do życia, łaskocze mnie w gardle.

Sięgam do środka, unoszę podpłomyki i dotykam palcami czegoś chłodnego, płaskiego i okrągłego.

Wyjmuję dłoń z koszyka. Złota moneta, warta pięć dolarów. Powinno wystarczyć, żeby przekonać Wilhelma, by rozstał się z laudanum. Lepsze to niż wszystko, co mogłabym sama wymyślić. I znowu mam poczucie, że zostaję w tyle.

– Dziękuję za placki – mówię. Mary nie reaguje, zajęta obowiązkami.

Mam pieniądze i podpłomyki na laudanum. Teraz muszę jeszcze wykombinować, jak wynosić proch z kopalni.

Suknia, którą na rozkaz Hiramam mam nosić, nie ma kieszeni. Może Mary ma zapasowy fartuch, który mogłabym pożyczyć. Z drugiej strony, czyż nie wyda się podejrzane, gdy nagle zacznę nosić fartuch? A poza tym coś mi mówi, że wuj wpadłby w szal, gdybym zakryła suknię.

Nowe trzewiki są za obcisłe, żeby coś do nich wsunąć. Dopasowany kołnierz nie pozwala też ukryć niczego pod suknią.

Może rękawy... Myślę intensywnie. Koronka ukryje wypukłość, zwłaszcza w półmroku kopalni, ale na powierzchni, w świetle dziennym, sprawa ma się zupełnie inaczej. No i w rękawie ukryłabym tylko malutką paczuszkę prochu.

Wzdycham głośno. Nie wiem nawet, ile prochu mam wynosić z kopalni.

W chacie jest chłodniej niż zazwyczaj, więc otwieram drzwiczki piecyka i dorzucam drewna. Syczy i trzaska, jest wilgotne, gdy zamykam drzwiczki i przechadzam się nerwowo.

Mróz maluje kwiaty na oknie. Nadchodzi zima. Sytuacja Indian za palisadą jeszcze się pogorszy. Plan związany ze Świętem Dziękczynienia musi się powieść, choćby nie wiem co. A zatem i ja muszę zrobić, co do mnie należy.

Gdybym miała igłę z nitką, mogłabym odciąć kawałek materiału ze starej sukni i zrobić kieszeń w nowej. Nigdy nie byłam dobrą krawcową, ale mama nauczyła mnie podstaw i na pewno dałabym radę.

Może kupić przyrządy do szycia u chińskiego handlarza? Żołądek podchodzi mi do gardła na samą myśl o rozmowie z kimś, kto proponował wujowi cenę za moją rękę. Jak Hiram zareaguje, gdy kupię igłę? W domu nie ma przecież nawet noża do masła.

Przechadzam się nerwowo po całym domu, od biurka, po chodniczku z gałganków do mojego pokoju i z powrotem do biurka. Coś nad nim przykuwa moją uwagę.

Małe futerko, skórka rozciągnięta na ścianie, dla ozdoby. Zdarta z zająca amerykańskiego, biała jak śnieg.

Annabelle Smith w zimie zawsze nosiła mufki z królika. To był jej największy skarb.

Czyżby rozwiązanie było tak proste?

Wchodzę na krzesło wuja, ściągam skórkę ze ściany. Jest do niej przybita gwoździami, ale przy odrobinie cierpliwości udaje mi się ją odczepić, nie robiąc większych dziur.

Sporo ryzykuję, biorąc skórkę, nie zapytawszy uprzednio o pozwolenie. Ale wuj chyba nie będzie zły, że chciałam, by było mi ciepło w ręce? Taka futrzana mufka jest bardzo modna. A biała – to ostatni krzyk mody. Powiem mu po prostu, że było mi zimno w ręce, a do tego uznałam, że białe futerko pięknie kontrastuje z niebieską suknią.

Co więcej, wmówię mu, że mama też taką miała.

Dopadają mnie wyrzuty sumienia. Zrobiła się ze mnie straszna kłamczucha, a do tego podpieram się dobrym imieniem rodziców. Niedobrze.

Ale czy mam inny wybór?

Bez podszewki, igły i nici nie zrobię ze skórki prawdziwej mufki. Musiałabym też mieć gwóźdź albo szydło, żeby przebić skórę, a nie sądzę, żeby wuj się na to zgodził. Na razie po prostu przykrywam nią dłonie. I to wystarczy, żeby ukryć odrobinę prochu.

Zostawiam ją chwilowo na stole i wychodzę na werandę, z koszykiem z podpłomykami w jednej ręce i monetą w drugiej.

– Dzień dobry, Wilhelmie. – Podaję mu podpłomyk.

Bierze go szybko i kiwa głową w podzięcie. Czy oni go nie karmią? Albo może po prostu uwielbia podpłomyki.

– Przykro mi, że musisz tak marznąć – mówię. – Zaprosiłabym cię do środka, ale pan Westfall sprząby mnie pewnie na kwaśne jabłko, gdybym to zrobiła.

Speszony wzrusza ramionami.

Odwlekam nieuniknione, a nie ma innego wyjścia, muszę go o to poprosić. Bez zastanowienia wypalam:

– Posłuchaj, masz może trochę laudanum?

Otwiera usta ze zdumienia.

– Bardzo źle sypiam – tłumaczę pospiesznie. – Strasznie tu głośno. Do tego wuj co wieczór siedzi do późna, a kiedy już udaje się na spoczynek, chrapie jak lokomotywa i co rano jestem wyczerpana. Zapłacę ci. Mam pięć dolarów. Dostaniesz wszystko, całą sumę. I podpłomyki. Codziennie dam ci podpłomyki.

Mruży oczy, przygląda mi się badawczo. Nie mam najmniejszego pojęcia, co sobie myśli.

– Podpłomyki z miodem? – kuszę.

Oczywiście nie odpowiada, tylko patrzy intensywnie i ciężko oddycha nosem.

– Proszę, Wilhelmie. Nie wiem, do kogo jeszcze mogłabym się zwrócić.

Odwraca wzrok, jakby rozwiązanie mojego problemu kryło się w odległych, zaśnieżonych szczytach Sierra Nevada. W zadumie zaciska poranione usta.

Za pięć dolarów dostanie się kilka butelek laudanum, w każdym razie u nas, na wschodzie. W Mormon Island przekonałam się, że tu na zachodzie wszystko jest droższe, ale powinno starczyć na co najmniej dwie.

Wyciągam rękę z monetą. Błyszczy w świetle porannego słońca.

– Potrzebne mi tylko... – Już chciałam powiedzieć: jedna butelka, ale nie wiem przecież, co właściwie zaplanowali Jefferson i pozostali. – Dwie butelki. Reszta jest dla ciebie.

W końcu wraca do mnie spojrzeniem i wyrywa mi monetę z dłoni. W jego oczach pojawia się coś nowego. Powiedziałabym, że to gorączka złota, ale przecież nie o nim rozmawialiśmy.

– Bardzo dziękuję – mówię. Kamień spadł mi z serca. Podaję mu koszyk z podpłomykami. – Weź, ile tylko chcesz. Zaraz przyjdę.

Wracam do środka, na chwilę, tylko żeby zabrać mufkę z króliczej skórki i wziąć się w garść. Poprosiłam Wilhelma o laudanum. Wszystko inne też nam się uda.

Ale kiedy biorę Wilhelma pod rękę w mufce, wątpliwości nie dają mi spokoju. A co, jeśli powie wujowi? Co prawda do tej pory nie słyszałam z jego ust ani słowa, ale pewnie umie pisać. Musi przecież jakoś zdawać Hiramowi sprawozdania.

Jeśli Hiram o coś zapyta, powiem mu to samo, co Wilhelmowi. Jestem przemęczona, muszę się wysypiać, żeby dobrze robić to, co do mnie należy. Może nawet posunę się dalej: złotowidzenie słabnie, kiedy jestem przemęczona, tak mu powiem.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób chcą mi przekazywać proch, muszę więc być gotowa na wszystko. Na szczęście niedługo muszę się tym martwić. Mniej więcej w połowie długości tunelu Joyner ktoś wciska mi do ręki coś małego, twardego i chłodnego. Biorę szybko i wsuwam do mufki. Chwilę później, gdy od niechcienia odwracam się za siebie, nikogo tam nie ma. Posłaniec jakby rozwiął się bez śladu.

Zupełnie jak Mary i podpłomyki. Nie mam pojęcia, jaki jest plan, ale czuję, że coś się dzieje. Inni robią, co do nich należy, więc i ja muszę.

Wykonuję codzienne obowiązki, zapewniam Dilleya, że kopie we właściwym kierunku, zaglądam do Wodopoju i do nadzorców, jak zwykle przesiadujących w jaskini. Upijam łyk wody z cukrem tylko po to, żeby sprawić im przyjemność, aż w końcu wychodzimy z Wilhelmem na powierzchnię i wracamy do chaty.

Ku mojej uldze, wuja nadal nie ma.

Dopiero sama, w moim pokoju, za zasłoną oddzielającą mnie od głównego

pomieszczenia, wyjmuję przedmiot z mufki.

Kałamarz. Nie taki ładny, jak ten wuja, po brzegi wypełniony prochem.

Zgodnie z planem wstawiam go do wiadra. Rano nie ma po nim śladu.

Zgodnie z moimi przypuszczeniami Hiram jest zachwycony tym, co zrobiłam z zajęczą skórką. Ba, przynosi mi nawet szydło i dratwę, żebym uszyła prawdziwą mufkę. Przez cały wieczór ślęcę nad nią przy blasku świecy, a wuj prowadzi korespondencję. Nigdy nie przepadałam za szyciem, ale to miła odmiana po ciągłym gryzmoleniu liter. Kiedy kończę, zapewnia, że moja mufka to ostatni krzyk mody i natychmiast zabiera mi dratwę.

Jakimś cudem Piżmakowi udaje się codziennie przekazywać mi odrobinę prochu. Trafia do mnie w różnych pojemnikach, z różnych rąk. Raz jest to złożony strzęp materiału związany sznurkiem. Innym razem mały, ale mocno wypchany skórzany woreczek. Co rano w wiadrze po prochu nie ma śladu.

Kilka dni po tym, jak rozmawiałam z Wilhelmem o laudanum, czeka na mnie przy drzwiach z dwiema butelkami. Rozglądam się szybko, żeby się upewnić, że nikt nas nie widzi, i zabieram je, w zamian za podpłomyki.

Tego wieczora umieszczam w kubie na nieczystości i proch, i laudanum. Długo w noc zastanawiam się, czy będę wiedziała, kiedy Mary – albo kto inny – wejdzie do pokoju po przesyłkę. Szczerze mówiąc, nie podoba mi się to ciągle skradanie, a szczególnie nie podoba mi się fakt, że nawet we własnym pokoju nie mogę czuć się w pełni bezpieczna. Ile osób chodzi tu potajemnie, gdy śpię?

Moje myśli wędrują też ku zawiniątku w materacu. Jestem jak księżniczka na ziarnku grochu – choćbym miała pod sobą nie wiadomo ile warstw, zawsze będę wiedziała, czy tam jest. Jeszcze go nie znaleziono. Koncentruję się na nim, rozkoszuję ciepłym wibrowaniem w gardle.

Materac pode mną się rusza. Siadam gwałtownie.

Upewniam się, że naprawdę nadal jestem sama, że do materaca nie dostały się żadne szczury, myszy, dzikie koty ani ludzie, i ponownie uruchamiam złotowidzenie. Tym razem bardzo delikatnie.

I po chwili odczuwam nacisk z tyłu nogi. To zawiniątko ze złotem, napiera na materac, posłuszne mojemu wezwaniu.

Czy to możliwe? Naprawdę przyzywam złoto do siebie? W pierwszej chwili wydaje się to nieprawdopodobne – podobnie jak sam pomysł, że w ogóle wyczuwam kruszec. Dlaczego w Georgii nigdy tego nie zauważyłam? Może to dlatego, że tu, w Kalifornii, złota jest tak dużo. Od dawna czułam, że mój dar się zmienia, dojrzewa.

Ćwiczę godzinami. Przyzywam złoto i odpycham. Przyzywam i odpycham. Aż w końcu odpływam w sen, czując pod plecami twardą, niewygodną i jakże upragnioną paczuszkę z cennym kruszczem.

Następnego dnia jemy z Hiramem śniadanie, Mary zmywa, gdy ktoś z całej

siły wali w drzwi.

Zerkam niespokojnie na wuja. Odpowiada wzruszeniem ramion i podchodzi do drzwi.

Do wnętrza wdziera się powiew chłodnego powietrza. To Frank Dilley.

– Był wypadek – mówi.

– Tak? – Wuj sięga po kapelusz.

– Jonas Waters nie żyje – dodaje Dilley.

Głośno nabieram tchu.

– Co się stało? – pyta Hiram.

– Zginął za palisadą.

– Indianie?

– Niewykluczone. Spadł z wieży strażniczej, skręcił kark. Moi ludzie przebąkują coś o zabójstwie i jestem skłonny im uwierzyć. To naprawdę bardzo podejrzane.

– Wcale nie – rzucam, odsuwam krzesło, zrywam się na równe nogi.

– Leah – mówi Hiram ostrzegawczo, ale nie zwracam na niego uwagi. – Jonas nie wylewał za kołnierz – mówię. – I nie przypominam sobie warty, której nie umiliłyby sobie flaszką księżycówki.

– Dość tego, Leah.

– Dilley, przecież to prawda. Niech pan przyzna.

Dilley ściska kapelusz w dłoniach. Ma rozpacz w oczach. Chyba nawet taki łotr jak on ma przyjaciół, ludzi, na których mu zależy, i niełatwo mu pogodzić się ze śmiercią Jonasa. Przez chwilę analizuje moje słowa, ale widzę dokładnie, w którym momencie smutek przeradza się w coś innego.

– Indianie to zrobili – cedzi. – Mówię wam.

Hiram zakłada kapelusz.

– Musimy natychmiast położyć temu kres – decyduje i idzie do drzwi.

Chwytam go za łokieć.

– Poczekaj. Co chcesz zrobić?

– Ćwicz kaligrafię. – Wrywa mi się i zatraskuje mi drzwi przed nosem.

– To nie Indianie – szepcze Mary drżącym głosem. Upuściła szmatkę do mycia naczyń.

– Wiem.

– Wszyscy znają plan Piżmaka. Nie zaryzykowałiby, nie teraz.

– Wiem.

– Co robi twój wuj?

– Nie wiem.

– Boję się, Leah – mówi odwrócona twarzą do ściany.

Coś w jej głosie, bezbronność, którą słyszę w nim po raz pierwszy, sprawia, że chwytam ją za rękę.

– Ja też – szepczę.

Odpowiada uściskiem, ale zaraz odsuwa się szorstko i ponownie zabiera do pracy.

Kilka minut później wychodzi i zostawia mnie z własnymi myślami. Nikt mnie nie informuje o rozwoju sytuacji, więc postanawiam dowiedzieć się sama, ale kiedy przychodzi pora codziennej wizyty w kopalni, Wilhelm zastawia mi drogę i kręci przecząco głową.

– Muszę iść do kopalni – tłumaczę. – Jak co dzień. Tak sobie życzy wuj.

I znowu ruch głową.

Marszczę brwi.

– Nie dzisiaj, tak?

Potwierdza.

W oddali pada pojedynczy strzał. Wilhelm się wzdryga.

Wracam do środka.

Dla zabicia czasu ćwiczę kaligrafię i wyobrażam sobie, co mogłabym napisać, żeby zniszczyć reputację Hirama. Zamiatam też całą chatę, poza jego pokojem, i trzępię wszystkie chodniki.

Wraca dopiero po wielu godzinach.

– Co się działo? – pytam. – Co zrobiłeś?

Wiesza kapelusz na haku.

– Rozwiązałem problem.

– Jak?

Osuwa się na fotel na biegunach i unosi nogę w moim kierunku.

– Pomożesz mi?

Przełykam obrzydzenie, podchodzę bliżej, klękam przed nim. Moje palce zanurzają się w błocie, gdy chwytam za piętę buta.

– Jak? – powtarzam.

– Dilley zastrzelił Indianina, z zemsty za śmierć przyjaciela.

Zastygam z dłońmi na jego bucie.

– Choć Indianie nic nie zrobili?

– To twoje zdanie.

Ściągam but, odstawiam na podłogę.

– Którego?

– Co: którego?

– Którego Indianina Dilley zabił?

– A skąd niby mam wiedzieć? Młodego. Dilley zgarnie nagrodę za jego głowę. Może dzięki temu trochę się uspokoi.

Patrzy na mnie z góry, gdy ściągam drugi but. Jakby pająki biegały mi po całym ciele.

– Leah, przez najbliższe kilka dni masz siedzieć w domu, póki wszystko nie

wróci do normy. Nie wolno ci chodzić do kopalni.

– Ale...

– Masz mnie słuchać, Leah. Żadnych dyskusji. Nie zniósłbym, gdyby coś ci się stało.

Ale przecież muszę wynosić proch. Plan zależy ode mnie. Choć może mamy już dość. Nie wiem, a tego nie znoszę.

– Jutro już na pewno...

– Jutro przez cały dzień będziesz ćwiczyć kaligrafię. Mary albo Wilhelm opróżnią ci kubek z nieczystościami. Pod żadnym pozorem nie wolno ci wychodzić z chaty, jasne?

Ręce mi drżą, serce wali jak oszalałe. Mrugam nerwowo, żeby opanować łzy. Nienawidzę poczucia bezsilności. Nienawidzę faktu, że wuj panuje nad każdą chwilą mojego dnia. Nienawidzę go.

– Umiem o sobie zadbać – przekonuję. – Sam mówiłeś, że powinnam...

Policzek jest jak grom z jasnego nieba. Upadam do tyłu, oczy zachodzą mi mgłą, płaczę. Policzek pulsuje bólem. Dotykam kości policzkowej. Będę miała wielkiego sińca, to jasne jak słońce.

– Nie chcę cię wiązać za dnia – mówi łagodnie, niemal czule. – Ale zrobię to, jeśli będę musiał.

Nie jestem w stanie mu odpowiedzieć, więc z dłonią na policzku, tylko kiwam głową.

Rozdział 23

Tej nocy znowu mnie krępuje, ciasniej niż przedtem, i mogę się pożegnać z wszelkimi marzeniami o wolności. Ramiona i nadgarstki bolą mnie tak bardzo, że prawie nie śpię. Z ulgą witam poranek. Kiedy Hiram mnie rozwiązuje, pochyla się, dotyka ustami mojego czoła i szepcze:

– Mam nadzieję, że dobrze spałaś, groszku.

W milczeniu siadamy do śniadania. Wuj odzywa się tylko raz:

– Pamiętaj, nie wolno ci wychodzić z domu. Wilhelm czuwa na zewnątrz. Ze względu na twoje bezpieczeństwo.

Wsuwam podpłomyk do ust, żeby moje milczenie wydawało się naturalne.

Po jego wyjściu otwieram drzwi. Wilhelm stoi na posterunku z dłonią na rękojeści rewolweru. Wypełnia sobą framugę drzwi, oddziela mnie od świata zewnętrznego.

– Spokojnie, nigdzie nie idę, chciałam ci tylko to dać. – Podaję mu koszyk podpłomyków.

Bierze go, wpatrzony we mnie. Nie, w mój policzek i wielki siniak na nim. Wilhelm marszczy brwi.

– Zapukaj do drzwi, gdybyś chciał się czegoś napić – mówię. – Mamy mnóstwo kawy, jeszcze cieplej, na kuchni.

Wilhelm wpatruje się w mój policzek.

Spędzam w chacie całe dni. Nie mam pojęcia, co się dzieje, mogę się tylko domyślać. Może doleją laudanum do beczek z wodą z cukrem? Albo do czyjejś manierki. Za pomocą prochu można wywołać niezłe zamieszanie. Albo wysadzić chatę nadzorców i tym samym całą broń. Albo świąteczną wieczerzę i posłać na tamten świat wszystkich z Missouri. W takim wypadku laudanum jest dla biedaków pilnujących palisady, a wtedy ludzie Piżmaka wydostaną się na wolność.

Mnóstwo możliwości. Każda prawdopodobna.

Ale czy plan Piżmaka posuwa się do przodu? Czy wynieśliśmy z kopalni dość prochu? Czy Jeff i Tom są cali i zdrowi? Straciłam rachubę dni, ale chyba Święto Dziękczynienia jest już tuż tuż.

Mary nie zwraca na mnie uwagi, gdy przychodzi gotować, unika mojego wzroku. Przez cały dzień nasłuchuję przy ścianie odgłosów z zewnątrz. Szukam wskazówek, poszlak. Bez końca ćwiczę kaligrafię. Dziwne uczucie – jestem zarazem przerażona i znudzona. Chyba zaraz od tego umrę.

Pewnego ranka, przy śniadaniu, Hiram oznajmia:

– Masz się dzisiaj wykąpać. Mary napełni balię. Wyprasuj suknię, tę nową. Dziś wieczorem masz pięknie wyglądać. – Mówi ostrym, surowym głosem, nie

mam pojęcia dlaczego.

– Dlaczego? – pytam szeptem. Może chce mnie stąd wypuścić.

– Przyjechał wielebny Lowrey. Będzie nabożeństwo i masz się na nim stawić. Godzi się, przyznasz, wysłuchać Słowa Bożego na dzień przed Świętem Dziękczynienia. Tym sposobem wszyscy przypomną sobie, za co mają być wdzięczni Opatrzności. – Przy tych słowach marszczy brwi, wpatrzony w dal.

– Oczywiście, jeśli tak sobie życzysz.

– Owsianka jest wodnista – warczy do Mary.

Nie reaguje, dalej wyciera umyte naczynia.

– Moim zdaniem jest pyszna – mówię.

– Nie sprzeciwiaj mi się! – syczy.

– Jesteś w fatalnym humorze – zauważam. – Nawet jak na ciebie.

Chce zaprzeczyć, ale zmienia zdanie, zwiesza głowę nad stołem.

– Masz rację i nie powinienem wyżywać się na tobie.

Przeprosiny zaskakują mnie tak samo, jak policzek kilka dni temu.

– Co się stało? – pytam najłagodniej, jak umiem.

– Chińczycy – wzdycha.

Mary wyrabia ciasto na kolejne podpłomyki. Na chwilę nieruchomieje, a potem pracuje z jeszcze większym zacięciem.

– Jak to? – pytam.

– Starszy domaga się wyższych pensji. Twierdzi, że zarobią więcej, gdy pójdą gdzie indziej i zachowają dla siebie znalezione złoto. Nie dociera do niego, że wydobywają złoto z mojej kopalni.

– Płacisz im ustaloną sumę?

Potwierdza ruchem głowy.

– Kowal też podniósł ceny. Nie dalej jak wczoraj Dilley chciał kupić od handlarza beczkę solonej wieprzowiny i musiał zapłacić dwa razy więcej niż poprzednio.

Wzruszam ramionami.

– W Kalifornii wszystko jest drogie, a ceny idą tylko w górę.

– Chińczycy są za chciwi. – Hiram obstaje przy swoim. – Mają stałą pensję, miejsce do handlowania i moją opiekę. Dobrze, że jutro Święto Dziękczynienia. Jeśli ktoś powinien sobie przypomnieć, za co ma być wdzięczny, to właśnie oni.

Mary głośno wrzuca podpłomyk na patelnię.

– Moim zdaniem Chińczycy ciężko pracują – zauważam. – Nie przypominam sobie, bym choć raz widziała, jak siedzą beczynnie.

– Pozory myślą – ucina Hiram.

O, to na pewno. Sam Hiram przecież sprawia wrażenie bogacza i dżentelmena.

– Moi ludzie doświadczają tej niesprawiedliwości na własnej skórze. Harują

od rana do nocy, a potem przychodzi taki Chińczyk i chce im wykraść Kalifornię.

Myślę, że chyba nie można ukraść czegoś, co do ciebie nie należy, ale nie mówię tego z obawy, że jeśli posunę się za daleko, wieczorem każe mi zostać w chacie.

– Jestem pewna, że wszystko dobrze załatwisz – mówię tylko i czuję się okropnie, gdy widzę jak Hiram uśmiecha się do mnie czule.

– Pewnie tak – mruczy.

Wychodzimy na zimne jesienne powietrze długo po zachodzie słońca. Oddycham pełną piersią, choć Hiram mocno przyciska moją rękę do swojego boku.

Obozowisko wygląda, jakby szykowało się na potańcówkę. Przed szałasami i ziemiankami wiszą lampy, wokół wozu, który służy za mównicę, ustawiono świece. Tyle światła oznacza gigantyczny koszt, ale wuj promienieje, jakby nie miał najmniejszych zmartwień.

Wyobrażam sobie jego troskę, gdy James Henry Hardwick dowie się, że nie może spłacić długu. Każdy zbędny wydatek to kolejny strzał w kolano.

Wokół wozu ustawiono krzesła i stołki. Kłoda ułożona na dwóch pieńkach zastępuje kościelną ławę. Jest pusta, natomiast za nią siedzi w błocie kilkunastu Indian. Mają na sobie łańchmany, są wyprostowani i czujni. Potykam się nagle. Po raz pierwszy widzę ich w ubraniu.

– Sprowadziłeś Indian – zauważam.

– Piżmak był temu przeciwny, ale wielebny Lowrey twierdził, że kazanie o wdzięczności wpłynie korzystnie na ich postawę – odparł. – Z tego samego powodu w Georgii pozwalaliśmy niewolnikom uczestniczyć w nabożeństwach.

– Są ubrani. Nie obawiasz się, że ukradną coś z tacy? – nawet jeśli Hiram wyczuwa sarkazm w moim głosie, nie daje po sobie niczego poznać.

– Zapłaciłem Lowreyowi taką sumę na działalność misyjną wśród górników i Indian, że nie będzie tacy – odpowiada. – A na nabożeństwie trzeba przyzwoicie wyglądać.

Prowadzi mnie do krzesel. Siadamy obok siebie. Schodzą się pozostali – Chińczycy, nadzorcy i kolejni Indianie, prowadzeni przez strażników. Z radością widzę też Jeffersona. Ledwie zauważalnie kiwa głową. Obok niego idzie Tom, strasznie chudy, ale oczy mu błyszczą, a na mój widok uśmiecha się z trudem.

Odwracam się na krzesło i dostrzegam Mary. Obok niej – Piżmak w pożyczonych zniszczonych kalesonach. Odczuwam ulgę – że żyje – i nadzieję. Mówi coś do Mary, a potem podnosi głowę, jakby wyczuli mój wzrok. Patrzy mi w oczy, spokojnie, pewnie, i lekko kiwa głową. Mam nadzieję, że to oznacza, że realizujemy plan, że jutro nadejdzie upragniony dzień.

Piżmak zostawia Mary i podchodzi do swoich. Siadają na ziemi, pograżają się w rozmowie. Piżmak śmieje się nagle.

Zupełnie z tyłu stoją nadzorcy, wśród nich – Frank Dilley i Wilhelm.

Wszyscy trzymają odbezpieczoną broń. Abel Topper ściska pejcz.

– Po co tyle broni? – pytam. Powietrze jest wilgotne, później trzeba będzie odpalić strzelby.

– Na wszelki wypadek. Topper ustalił, że być może Indianie coś planują.

Nagle nie mogę oddychać.

– Wiec po co w ogóle ich tu przyprowadzać?

– W imię zbawienia ich nieśmiertelnych dusz – odpowiada Hiram. – Nie możemy zapominać o dziele Bożym, nawet jeśli interesuje nas tu i teraz.

– Jakie to wielkoduszne z twojej strony.

Posyła mi ostrzegawcze spojrzenie i mocniej zaciska dłoń na moim ramieniu, ale unikam bury, bo wielebny Lowrey wchodzi na wóz, prostuje się, wygładza poły surduta i otwiera wielką Biblię.

Zapada cisza. Lowrey zaczyna:

– Szykujemy się do Święta Dziękczynienia i warto sobie uprzytomnić, że za jedno przede wszystkim powinniśmy być Bogu wdzięczni: łaskę Stwórcy. – Prawi kazanie pełne nawiązań do straszliwego, koszmarnego, przerażającego losu, którego możemy uniknąć, powierzając się Zbawicielowi.

Lowrey nie jest szczególnie dobrym kaznodzieją – widywałam lepszych. Ale jego wrzaski o siarce i piekle to najlepsza rozrywka, jakiej zaznałam, odkąd tu trafiłam, i wszyscy słuchają z przejęciem, w miarę jak Lowrey wpada w ekstazę.

Za moimi plecami trzaska bat.

Zrywam się z krzesła, odwracam na tyle szybko, że widzę, jak jeden z Indian o wzroku szklistym w świetle lamp osuwa się na ziemię, twarzą w dół. Abel Topper stoi za nim z pejczem w ręku.

Wszyscy siedzą cicho, jak zajęce w norze.

W końcu odzywa się Lowrey:

– Co to ma znaczyć?

– Przepraszam, wielebny, ale ten poganin bezcześcił Słowo Boże – odpowiada Topper.

Wszyscy milczą. Indianie obok uderzonego siedzą nieruchomo jak posągi.

– Mamrotał pod nosem jakieś pogańskie brednie – tłumaczy Abel. – Kołysał się w przód i w tył. Mówiłem mu, żeby przestał, ale mnie nie słuchał.

– Dość tego, wracamy do nabożeństwa – ucina Hiram.

Chwyta mnie za rękę i zmusza, żebym z powrotem usiadła. Po raz ostatni zerkam na leżącego. Spoczywa nieruchomo w błocie, jak w grobie.

Piżmak odnajduje mój wzrok. Ledwie zauważalnie kiwam głową. Błagam, nie róbcie nic. Nie tutaj, nie teraz, gdy wokół jest tyle broni, a nadzorcy są spięci. Ogarnia mnie napięcie, jakbym szykowałam się na lanie. A Lowrey podejmuje przerwany wątek.

Czy nikt nie zajmie się leżącym? Po mojej prawej Jefferson pochyla się

i szepcze coś do Toma. Ten kiwa głową. Patrzą na mnie. Coś ściska mnie za gardło, kiedy patrzę Jeffersonowi w oczy. O ile go znam, jest zły i obawia się, że stanie się coś strasznego.

Lowrey gada dalej, ale już z mniejszym zapalem niż na początku. Cytuje Świętego Pawła, snuje wizję Apokalipsy, upomina podwładnych, by zawsze i wszędzie słuchali przełożonych.

Stopniowo dociera do mnie, że wokół leżącego robi się zamieszanie. Rzykuję gniew Hiram. Odwracam się.

Jego towarzysze szepczą coś i mamrocą między sobą. Ktoś chwyta leżącego za ramię, ale ten nie reaguje.

Hiram kładzie dłoń na colcie u boku. Bełkotliwe kazanie Lowreya milknie w tle. Jeden z Indian zaczyna śpiewać, wysoko, przenikliwie, głośno.

Topper podnosi pejcz.

I nie trafia, uderza Chińczyka siedzącego obok, znaczy jego policzek krwawą pręgą.

Więc Topper uderza jeszcze raz i tym razem pejcz trafia Indianina w bark.

Wszyscy zaczynają krzyczeć. Chińczycy na nadzorców, nadzorcy na Toppera, a Piżmak jest nagle wśród innych Indian i mówi coś szybko i cicho.

Ten uderzony kręci przecząco głową i krzyczy coś do niego. Piżmak go błaga.

Atmosfera jest jak woda bliska wrzenia. Każdy ma granicę wytrzymałości. Myślisz, że zniesiesz wszystko, że dasz radę, jeszcze jeden dzień, i nagle już nie możesz. Gładka powierzchnia nagle bulgocze i strach zmusza cię do rozpaczliwych kroków, byle tylko uciec.

– Wracaj do chaty – szepcze mi wuj do ucha.

– Oni się boją! – mówię. Zdejmij wodę z ognia, a nie zacnie wrzeć. – Chcą się z tego jakoś wycofać, nie chcą ucierpieć. Jeśli się wycofamy, jeśli...

Pada strzał.

Wszyscy zastygają w bezruchu. Frank Dilley stoi z rewolwerem w dłoni. Skierowanym w niebo. To tylko strzał ostrzegawczy.

Nagle jeden z mężczyzn rzuca się na Dilleya, skacze mu do gardła. Jeden z nadzorców rusza Frankowi na ratunek i dźga napastnika w plecy.

Chce mi się płakać i wyc z gniewu i rozpacz, gdy kolejni rzucają się na nadzorcę i Dilleya. Ci nikną pod naporem ciał. Nie wiem już, czy Indianie atakują, czy po prostu chcą uciec.

Wszyscy już wstali z miejsc. Chińczycy rozpierzchli się na wszystkie strony. Hiram chwyta mnie za łokieć.

– Idziemy – mruczy.

Niedobrze mi – ze strachu, obrzydzenia i gniewu, ale wiem, że taka okazja może się nie powtórzyć.

– Musisz położyć temu kres! – wołam. Bez jego wstawiennictwa ludzie Piżmaka nie mają szans. Waha się przez chwilę. – Proszę, ojcze.

Słowo „ojcze” przesądza sprawę.

– Wracaj do chaty i zamknij się od środka – mówi. Wyjmuje pistolet z kabury, biegnie bliżej, ale tchórz z niego, bo zatrzymuje się przed kłębowiskiem ciał. Nie wchodzi w środek.

Wycofuję się powoli. Szukam wzrokiem Jeffersona, Toma, Mary, Piżmaka, kogoś, kto mi powie, co mam robić.

Pada kolejny strzał. Ktoś krzyczy. A potem salwa.

Stoję jak wryta. Zakrywam uszy dłońmi.

Tego nie było w planie.

Rozdział 24

Jefferson jest u mego boku, nie wiadomo skąd. Odsuwa mi dłoń od ucha i mówi:

– Musimy się ukryć.

Nie protestuję. Chwyta mnie za rękę, ciągnie z kręgu światła w ciemność. Cały czas padają strzały. Dudni mi w głowie, dzwoni w uszach.

Dobiegamy do namiotów Chińczyków.

– Tutaj nikt nie będzie nas szukał – mówi, znika w namiocie starszego, ciągnie mnie za sobą za regał. W ciemności słoje wyglądają jak plamy mroku, w których tylko czasem odbija się blask lampy.

Po chwili moje serce uspokaja się na tyle, że mogę zapytać:

– To był wasz plan?

– Nie – odpowiada ostro. – Ale teraz sytuacja wygląda właśnie tak. Plan ten sam, tyle że dzień wcześniej.

Kolejne strzały.

– Musimy biec do palisady – mówię. Szarpnię go za rękaw. – Pozostali... kobiety i dzieci... Frank i Hiram zemszczą się na nich. Musimy... Boże, Jefferson, co się dzieje?

To straszne. Nikt nie powinien oglądać takich scen, nie wolno nawet o nich myśleć. Ale nigdy nie zdołam ich zapomnieć. Nigdy nie zapomnę Indianina uderzonego podczas kazania. Noża w plecach innego. Ludzi osuwających się jak worki zboża. Okrzyków bólu. Martwych ciał w błocie za palisadą. Tamtego mężczyzny, którego Frank Dilley zastrzelił w kopalni, jego krwi na lampie i cieni tańczących na ścianach jaskini.

Jefferson obejmuje mnie mocno. Wtulam się w niego. Cuchnie – potem, prochem strzelniczym i brudną wodą – ale nic mnie to nie obchodzi. Jakbym od zawsze czekała na tę chwilę.

– Musimy działać szybko i cicho, jeśli chcemy tam dotrzeć przed Frankiem i jego ludźmi – mówi.

– Więc chodźmy! – Wstaję.

Zmusza mnie, bym ponownie usiadła.

– Czekamy na Toma. Umówiliśmy się tutaj, gdyby coś poszło nie tak.

– A co, jeśli on... – Nie jestem w stanie skończyć tego zdania.

– Dajmy mu jeszcze chwilę.

– A dalszy plan?

– Wokół chaty strażników jest proch, blisko szopy z księżycówką. Ktoś to podpali. Mieliśmy mniej prochu, niż planowaliśmy, więc po zmroku Piżmak

wziął kilka lamp, gotowych na wieczorne uroczystości, i wylał naftę na ściany chaty. Od wielu dni układaliśmy z Tomem drewno i koce pod tylną ścianą. będzie się długo paliła.

– Ale tam są nasze pistolety!

– Tak, w skrzyni przy drzwiach. Liczyliśmy, że w nagłym zamieszaniu uda się nam je zabrać. To może okazać się niemożliwe, jeśli ogień wymknie się spod kontroli. W każdym razie Mary będzie się darła na całe gardło, że Indianie chcą spalić obóz. Wmówi wszystkim, że widziała kolejnych, skradających się w stronę namiotów z dużymi ilościami prochu.

Teraz, w obecności Jeffersona, wszystko jest o wiele jaśniejsze, o wiele mniej niemożliwe.

– A my tymczasem dotrzemy do palisady.

– Tak.

– Jest strzeżona.

– To największy problem. Jutro Mary miała im zanieść księżycówkę ochrzczoną laudanum. Powiedziałyby, że to na polecenie Dilleya z okazji Święta Dziękczynienia, bo w końcu fakt, że akurat w taki dzień wypadła ich warta, nie oznacza, że nie mają prawa świętować. Dostaliby za mało, żeby stracić przytomność, ale byłiby senni i powolni.

Na tyle powolni, że nie byłiby w stanie celnie strzelać, zwłaszcza po ciemku.

– To dobry plan – przyznaję.

– Plan Piżmaka. – stwierdza Jefferson – To jeden z najmądrzejszych ludzi, których miałem przyjemność poznać. – Takie słowa z ust Jeffersona to nie lada pochwała. – Ale nie wiem, jak uda nam się otworzyć palisadę – dodaje.

– Coś wymyślimy. Ale Jeff... Mogłeś mi coś powiedzieć.

Chyba słyszy rozgoryczenie w moim głosie, bo odpowiada szybko, krótko:

– Niby jak?

– Nie wiem. Jakoś. Mary przychodzi codziennie.

– Masz pojęcie, jak pilnie strzeżona jest chata?

– Ja... nie, chyba nie.

– Żebym mógł podejść do okna, liczyliśmy zmiany warty, przekupiliśmy, kogo się dało, a Mary...

– Masz rację. Przepraszam.

Kroki przy wejściu do namiotu i cień, zasłaniający nocne niebo. Zastygam w ramionach Jeffersona. Obejmuje mnie mocniej.

– Jeff? – woła znajomy głos.

– Tom! – Zrywam się na równe nogi, biegnę do niego.

Obejmuje mnie na chwilę.

– Musimy dotrzeć do palisady i uciekać.

– A strażnicy? – Niepokoję się.

– Poprośmy ich o pomoc – podsuwa Jefferson. – Powiemy, że w obozie doszło do zamieszek i Westfall kazał stanąć do walki wszystkim, którzy są na siłach.

– To się może udać – oceniam.

Tom w zadumie pociera szczękę.

– Być może. Zwłaszcza jeśli ty to powiesz. Wszyscy wiedzą, że masz tu specjalne względy. Hiram mówi o tobie „moja pani”.

Na samą myśl robi mi się niedobrze, ale skoro to nam może pomóc, niech i tak będzie.

– Skoro uciekamy już dzisiaj, przyda się nam broń. I mój plecak. W materacu ukryłam złoto. Mogłoby pokryć wydatki w drodze powrotnej.

– Nie ma na to czasu – ucina Tom.

– Na złocie mi nie zależy – przyznaję. – Ale broń...

– To złoto jest nam potrzebne – protestuje Jefferson. – Podróż do domu potrwa dni, może nawet tygodnie. Musimy coś jeść, a nie mamy nic na wymianę.

– Będą nas ścigać i nie zdołam wyczuć kruszcu po drodze, nie będzie na to czasu – dodaję.

Patrzemy po sobie przez dłuższą chwilę.

– Rozdzielimy się – decyduję w końcu.

– O nie! – unosi się Jefferson. – Nie spuszczę cię z oczu. Już nigdy wię...

– Przekonam wartowników, żeby oddalili się od palisady. W końcu jestem panią Westfall, prawda? – dodaję gorzko. – Posłuchają mnie, ale nie, jeśli ty i Tom będziecie ze mną.

– Lee ma rację – zauważa Tom. – Jefferson, wracaj do chaty nadzorców po broń. Sam zdecydujesz, czy warto ryzykować. Spotkamy się przy zagrodzie. Lee, ty biegnij pod palisadę i powiedz wartownikom, że są potrzebni w kopalni. Udawaj przerażoną. Poproś, żeby się pospieszyli.

– A ty? – pyta Jefferson.

– A ja zakradnę się do chaty i poszukam złota Leah.

– Nie ma mowy – protestuję. – Chata jest za blisko centrum wydarzeń. Zobaczą cię.

– Nie, jeśli Mary zrobiła to, co do niej należało – odpowiada. – Lada chwila wszyscy pobiegą do kopalni.

Nie podoba mi się to. Nie chcę się z nimi rozstawać, ale chyba nie mamy innego wyjścia.

– No dobrze – zgadzam się niechętnie. – Tom, złoto ukryłam w materacu. Podniesiesz go i zobaczysz mały otwór. Mój pokój znajduje się za kotarą, po prawej stronie. U stop łóżka stoi skrzynia, a w niej leży plecak. Chciałabym go odzyskać, ale złoto jest najważniejsze.

– Tak jest – odpowiada.

– Obiecacie mi obaj, że jeżeli się okaże, że zadanie jest zbyt niebezpieczne, wróćcie do zagrody. Nie możemy ryzykować.

– Obiecuję – mówi Tom.

– Obiecuję – wtóruje Jefferson. – Ale nie chciałbym, żebyś straciła swój rewolwer.

– Lepiej stracić broń niż ciebie – rzucam cicho. Wolę stracić nawet tuzin strzelb niż Jeffa.

Ziemią wstrząsa wybuch. Dygoczę na całym ciele.

– To nasz sygnał – rzuca Tom. – Możemy założyć, że chata nadzorców stoi w ogniu.

Choć nic nie widzę, złotowidzenie buzuje we mnie, jakby powietrze wypełniał złoty pył. A potem słyszę krzyki. Tupot biegnących stóp. Kobięcy krzyk – to zapewne Mary.

Złoty pył w powietrzu domaga się mojej uwagi. Powinnam teraz biec w stronę palisady, ale zachwycam się jego blaskiem, jego ciepłem. Pozdrawiam kruszec moją mocą, a złoto mknie ku mnie jak rój szerszeni.

Nagle dławi mnie pył. Moich towarzyszy także. Kaszлемy, zgięci w pół.

– To musiała być niezła eksplozja – mówi Tom chrapliwym głosem.

Jefferson spluwa, żeby pozbyć się drobinek z ust.

Stoję nieruchomo. Nie jestem w stanie oddychać. Co tu się właściwie stało?

– Musimy ruszać! – syczy Tom.

W końcu odzyskuję zdolność ruchu. Wybiegam z namiotu. Jefferson i Tom depczą mi po piętach.

– Spotkamy się przy zagrodzie – rzuca Tom i znika w kierunku chaty.

Jefferson chwyta mnie za ramię, odwraca do siebie.

– Lee – zaczyna. – Ja... – A potem ujmuje moją twarz w dłonie i całuje, krótko, ale mocno.

Później on także odbiega, zmierza w kierunku chaty nadzorców. Muszę się skoncentrować, żeby biec do palisady, bo jestem śmiertelnie przerażona, właściwie nie widzę i jednocześnie dociera do mnie wreszcie, że pewnego dnia, i to całkiem niedługo, chcę zacząć całować Jeffersona i nigdy nie kończyć.

Zsuwam się ze wzgórza w bezsensownych delikatnych trzewiczkach i kombinuję nerwowo, co powiedzieć wartownikom. A co, jeśli mi nie uwierzą? Co wtedy?

Pastwisko jest czarne jak atrament. Zwalniam, żeby nie upaść na stratowaną, błotnistą ziemię. Nie jestem nawet pewna, czy biegnę we właściwym kierunku.

Tuż przede mną płonie światło. Wysoko, jak gwiazda na niebie. Już myślę, że mi się wydawało, gdy dostrzegam je znowu.

Lampa zawieszona na wieży strażniczej wewnątrz palisady kołysze się, obraca na wietrze. Jest moją latarnią morską.

Docieram do palisady. O ile się nie mylę, jeśli pójdę w lewo, za rogiem znajdę wejście. Czas zacząć hałasować.

– Ratunku! – krzyczę i wymachuję rękami. Biegnę wzdłuż palisady i na całe gardło wrzeszczę: – Pomocy!

Jestem mniej więcej tak przekonująca jak obwoźny handlarz sprzedający mapę skarbów, ale nie ustaję w wysiłkach:

– Pomocy! Ratunku!

Mijam róg i wtedy słyszę kroki. Przy wejściu za palisadę pojawia się nowa latarnia. Jeden z wartowników unosi broń, drugi biegnie do mnie.

– Panienska Westfall? – dziwi się. – Słyszeliśmy strzały, a potem wybuch. Co się dzieje?

– Bunt! – wołam i nie muszę się nawet wysilać, żeby w moim głosie było przerażenie. – Mój wuj... pan Westfall jest ranny, ale żyje. Musicie mu pomóc.

Razem zbliżamy się do wejścia, gdzie już czeka drugi wartownik.

– Nie wolno nam opuszczać stanowiska – zauważa.

Chwytam go za rękaw i wyduszam z siebie szloch.

– Błagam pana! Dilley mnie po was przysłał. Mówił, że potrzebny mu każdy dorosły mężczyzna. Jezu drogi, nie wiem, co zrobię, jeśli coś się stanie mojemu wujowi. Musicie mu pomóc! Obiecujcie, że mu pomożecie!

Ciężka dłoń klepie mnie po plecach.

– Spokojnie, panienko. Skoro pan Westfall oczekuje naszej pomocy, zaraz ruszamy.

Tak jest, ty podły gadzie, jestem tylko rozhisteryzowaną idiotką.

– Och, bardzo dziękuję! Dziękuję!

Trzy uderzenia zza furty.

– Boggs? – woła ktoś. – Shelby? Co się tam dzieje?

Wartownik przy furcie – Boggs – unosi sztabę i uchyla ciężkie wrota. Wychodzi trzeci strażnik ze strzelbą w dłoni. Zaraz zamykają za nim furkę, jednak i tak dociera do mnie fala smrodu – odór odchodów, gnijących warzyw i wymiotów – i robi mi się niedobrze.

To wartownik z wieży; przyszedł zobaczyć, co się dzieje. Mam teraz całą trójkę.

– Panna Westfall mówi, że w obozie doszło do rozruchów – zaczyna Boggs. – I że nas potrzebują.

– Pospieszcie się! – wołam. – Musicie im pomoc. Mój wuj... Nie wiem, co ze mną będzie... – Ukrywam twarz w dłoniach, żeby nie widzieli, jak bardzo sobą gardzę za te słowa.

– No to chodźmy – odzywa się ten trzeci. Kładzie mi rękę na ramieniu.

– Nie. – Wyrwam mu się. – Wuj kazał mi trzymać się z daleka od zamieszania. Mam was sprowadzić i zostać w bezpiecznym miejscu.

Wahają się, patrzą po sobie niespokojnie.

– Zostanę tutaj – powtarzam. – Stanę na straży, za was. Dajcie mi pistolet, na wypadek, gdybym musiała się bronić.

Może posunęłam się za daleko. Niepotrzebnie wspomniałam o broni, Missouri wiedzą wszystko o mnie i broni, ale Shelby już wyjmuje colta z kabury i podaje mi.

– Panienka umie się tym posługiwać?

Biorę pistolet z jego dłoni.

– Wycelować i pociągnąć za spust, prawda? – Pistolet wydaje się znajomy. W świetle rozkołysanej lampy rękojeść z drzewa orzechowego sprawia wrażenie prawie nowej. Czuję pod kciukiem małą nierówność i nagle serce mi przyspiesza. Wytężam wzrok.

Boggs, jeden z Missouri, prycha pod nosem.

– Ta mała strzela lepiej niż my wszyscy razem wzięci. Żałuj, że jej nie widziałeś podczas podróży do Kalifornii.

Już mam zaprotestować, że wyszłam z wprawy, ale wtedy coś dostrzegam i z przejęcia wstrzymuję oddech. Nierówność na rękojeści to malutka literka H, wryta w drewnie. H jak Hoffman.

– Spokojnie, Shelby – kończy Boggs. – Twoja spluwa jest w dobrych rękach. To broń Martina. Ta sama, która zniknęła tej nocy, gdy umarł.

– Bardzo panu dziękuję – mówię głosem mrocznym jak grób. – A teraz proszę, idźcie do wuja, zanim będzie za późno.

Od strony obozu dobiegają kolejne strzały. Mężczyźni uchylają kapeluszy i puszczają się biegiem.

Obserwuję ich i czuję, jak narasta we mnie wściekłość. Mogłabym ich zastrzelić, tu i teraz. I może powinnam.

A jednak pozwalam, żeby wtopili się w ciemność. Są coraz bliżej obozowiska i kopalni. Uzbrajam się w cierpliwość, daję im czas, żeby oddalili się na naprawdę bezpieczną odległość, z której nie tylko ja nie będę mogła ich zobaczyć, ale także oni mnie. W końcu to nade mną wisi teraz lampa.

Na wypadek, gdyby oglądali się za siebie, stoję nieruchomo, na lekko rozstawionych nogach, z odbezpieczonym pistoletem, jak na warcie. Mam nadzieję, że z Jeffersonem wszystko jest w porządku. Że Tomowi udało się dostać do chaty. Ile trupów tam zostało? Zanim Jefferson mnie odciągnął, było jasne, że doszło do masakry.

I znowu strzały. Horyzont jaśnieje, oświetla wierzchołki drzew, tak samo jak tamtej straszliwej nocy, kiedy straciliśmy Martina, gdy Dilley i jego ludzie podpalili nasz obóz. Jeff, Tom, szybko, błagam. Uważajcie na siebie. Modlę się też szybko za Piżmaka i Mary, a potem biegnę do furty.

Skobel jest potężny, mocuję się chwilę, zanim go unoszę. Opada z głuchym

łoskotem.

Otwieram furkę.

– Halo? – wołam. – Musicie uciekać, i to szybko.

A jeśli nikt z nich nie mówi po angielsku? Nagle dociera do mnie, że nawet jeśli znają mój język, niewykluczone, że mi nie uwierzą. Jestem bratanicą Hirma, noszę eleganckie suknie, śpię w ciepłej chacie, jem trzy smaczne posiłki dziennie. Nie mają podstaw, żeby mi zaufać. Najmniejszych podstaw.

– Proszę – krzyczę głośniej. – Indianie na nabożeństwie zostali zaatakowani. Odpowiedzieli przemocą na przemoc. Sytuacja jest bardzo, bardzo zła. Ludzie mojego wuja pewnie zaraz przyjdą i tutaj.

W świetle latarni pojawia się kobieta – czarne oczy, przerzedzone włosy, skóra upstrzona plamami, suche piersi zwisające na zapadnięty brzuch.

– Musicie uciekać – powtarzam. – Inaczej zginiecie.

– A Piżmak? – pyta.

Kręcę głową.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest. Nie widziałam, co się z nim stało.

Kobieta marszczy brwi.

– Ma wszystko, co potrzebne po ucieczce. Gromadził to od kilku tygodni.

Kamień spada mi z serca. Przynajmniej mogę się z nią porozumieć. Stopniowo z mroku wyłaniają się kolejni – kobiety, dzieci, kilku młodych mężczyzn, aż otacza mnie około piętnastu osób. Zapewne w mroku jest ich jeszcze więcej.

– Nie wiem, czy Piżmak do was dołączy. Przykro mi. Jeśli teraz nie uciekniecie, umrzecie.

– Umrzemy i tak, jeśli nie dostaniemy czegoś do jedzenia – odpowiada. – Nie mamy broni, żeby polować, koszy, żeby zbierać leśne plony.

O Boże, dlaczego o tym nie pomyślałam?

– Może uda mi się coś załatwić. Może... – Ale skąd? Jak? Niewykluczone, że w chacie Hirma są jakieś zapasy, ale przecież nie przyniosę dość dla tylu osób. Nawet tego nie udźwignę.

– Proszę. – Podaję jej rewolwer Martina. Cofa się przerażona, ale rozluźnia się, kiedy dociera do niej, o co mi chodzi. – Weź to. To dobra broń. – Łzy pieką mnie w oczy. – Naprawdę dobra broń. Dobrze strzela. Jest prawie nowa. Kupicie za nią sporo jedzenia.

Chwyta ją, mierząc mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– I to też. – Ściągam mufkę z białej skóry. Młody mężczyzna wyrywa mi ją błyskawicznie, na wypadek, gdybym zmieniła zdanie. – Pospieszcie się – mówię.

Kobieta odwraca się i szybko naradza z towarzyszami. Mówi pierwsza, szybko, gardłowo, w nieznanym mi języku. Potem zabierają głos dwie starsze Indianki. Wszyscy kiwają głowami, jakby doszli do porozumienia.

Kobieta patrzy na mnie i oznajmia:

– Idziemy. – Po chwili dodaje wrogo: – Ale nie licz, że ci dziękujemy.

– Ja... nie, skądże.

Daje znak pozostałym. Ustawiają się za nią gęsiego i po chwili wychodzą za palisadę.

Mam nadzieję, że im się uda, choć ta noc nie jest zbyt łaskawa dla nadziei.

Rozdział 25

Sznur kobiet i dzieci stopniowo znika w ciemności. To sprawka mojego wuja. Jego i jego ludzi. I nawet kiedy uciekniemy z Tomem i Jeffersonem – o ile uciekniemy – Hiram tu zostanie. Nie on jeden ponosi odpowiedzialność za cierpienie Indian w Kalifornii, zdaję sobie z tego sprawę, ale tylko jego mogłabym powstrzymać. Gdybym miała broń – i dość odwagi, by go zabić.

Ale w tej chwili Tom i Jefferson czekają przy zagrodzie. Chyba wiem, w jakim kierunku iść. Patrzę na lampę na furcie. Mogłaby oświetlić mi drogę. Ale też zdradzałaby wszem i wobec, gdzie jestem.

Zgarniam ubłoconą suknię, odwracam się plecami do cuchnącej palisady i ruszam w mrok. Nasłuchuję, czekam na rzenie koni i pochrząkiwanie bydła, obawiam się, że zamiast tego usłyszę gniewne głosy. Choć zagroda jest ogromna, po ciemku mogłabym ją minąć. Cóż, jeśli dojdę do zagajnika na zboczu, będzie jasne, że zablądziłam.

– Lee! – rozlega się szept. – Tutaj!

Odruchowo skręcam w tamtą stronę, jeszcze zanim rozpoznałam głos Toma.

– Tom! – Biegnę do niego. W ostatniej chwili dostrzegam ogrodzenie zagrody i zwalniam. Zadzieram spódnicę i przełażę przez płot.

Rzuca mi plecak.

– Złoto jest w środku.

– Ktoś cię widział?

– Tak. Ten jasnowłosy olbrzym.

– Wilhelm?

– Właśnie on. Widział mnie, ale nawet okiem nie mrugnął. Nie włączył się w walkę. Stał kilka kroków od chaty i bacznie wszystko obserwował.

Sama nie wiem, co o tym myśleć.

– Może komuś pokazać na migi albo napisać na tabliczce, że cię widział, ale nic nie powie, więc może mamy jeszcze trochę czasu. Co z Jeffersonem?

– Nie widziałem go. Poszukajmy koni. Musimy być gotowi, gdy do nas wróci.

Nie musi mi tego powtarzać. Zarzucam sobie plecak na ramię i rozglądam się wśród osłów, mułów, mlecznych krów i nawet kilku wołów.

– Peonia! – wołam półgłosem. – Gdzie jesteś, dziewczyno?

Gorący oddech na karku. Odwracam się, zarzucam jej ręce na szyję, ale nie daje się utrzymać, macha łbem prychną gniewnie. Rozdęła chrapy.

– Peonio, przepraszam. Zawsze byłaś pamiętliwą żołą, ale jeśli dzisiaj stąd uciekniemy, wszystko będzie dobrze.

Jestem okropna, okłamuję nawet konia. Wcale nie będzie dobrze. Nic nie będzie dobrze, póki wuj Hiram stanowi zagrożenie dla mnie i moich przyjaciół. I wszystkich innych ludzi w Kalifornii. Ale po kolei.

W końcu Peonia się uspokaja. Tom prowadzi Karą.

– Gdzie Apollo? – pytam.

– Idę po niego.

– Da się dosiąść na oklep? Nie mamy nic poza wędzidłami.

– Przekonamy się niebawem – odpowiada z wymuszonym uśmiechem. –
Czekaj tu na Jeffersona. Zaraz wracam.

Dotykam złota w zawiniątku, tak po prostu, dla otuchy. Nie potrafię czekać, nigdy nie potrafiłam. Powtarzam sobie, że to jak polowanie, gdzie niepotrzebny, za szybki ruch może wszystko zepsuć. Jestem cierpliwa. Jestem duchem.

Coś przeciska się między zwierzętami. Pewnie osioł, ale odruchowo kucam koło nóg Peonii. Dostrzegam dwie sylwetki i machinalnie sięgam do pasa – tam, gdzie dawniej był pistolet.

– Lee? – słyszę cichy szept. – Tom?

To Jefferson. Moja radość jest jak słońce po deszczu.

– Jeff! – prostuję się, ruszam w jego stronę, aż błoto chlupie mi pod nogami.

Obejmuje mnie krótko i zaraz odsuwa.

– Mamy towarzystwo – mówi.

Dopiero teraz widzę, że jest z nim Mary. W jednej dłoni ma mały węzełek, w drugiej – pistolet.

– Jadę z wami – oznajmia.

– Ja nie mam nic przeciwko temu – podkreśla Jefferson.

– Cieszę się – odpowiadam.

Podchodzi Tom. Prowadzi Apolla.

– Witaj, Mary. – Wcale nie jest zdziwiony.

– Sytuacja jest fatalna, Tom – mówi Mary. – Kiedy zabrakło im Maidu, zaczęli zabijać Chińczyków. Starszy... On... – Głos jej się łamie.

– Zabili wszystkich? – mówię z niedowierzaniem. – Wszystkich? –
Obawiałam się, że tak to się skończy, gdy uciekaliśmy z Jeffersonem, ale co innego dowiedzieć się, że naprawdę do tego doszło.

– Chciałam... – Głos jej się łamie, jakby płakała. – Chciałam uciec. Nie chciałam, żeby ktoś zginął.

– Piżmak? – pyta Tom.

– Straciłam go z oczu.

– Wyprowadziłaś kobiety i dzieci zza palisady? – upewnia się Jefferson.

– Tak, ale byli w fatalnym stanie.

– Cóż, przynajmniej są wolni – zauważa Tom. – Jeśli zaraz się nie ruszymy, może się okazać, że tylko im udało się uciec.

– Masz. – Jefferson podaje mi moją strzelbę. – Nie jest nabita. Musimy po drodze kupić amunicję.

Przesuwam dłonią po lufie. Dawniej należała do męża Becky, ale po jego śmierci przeszła w moje ręce, a teraz znam ją jak własną kieszeń.

– Mam też twój rewolwer – mówi, pochylony nad plecakiem.

– Szybciej – ponagla Tom. – Lada chwila ludzie Dilleya przyjdą po Indian za palisadą.

Jefferson podaje mi rewolwer. Wciskam go do plecaka.

– Idziemy – rzucam. – Mary, umiesz jeździć konno?

– Nie. Ale umiem biegać. Kiedyś biegłam cały dzień bez przerwy.

– Pewnego dnia nam o tym opowiesz – rzuca Tom. – Ale teraz będziesz jechać na zmianę z jednym z nas.

Jeff podsadza mnie na Peonię, która aż tańczy z ekscytacji. Później pomaga Tomowi i Mary dosiąść Apolla. Zrzuca belkę z ogrodzenia i biega po całej zagrodzie, klepiąc konie po zadach, gnając w stronę wyjścia.

W stajni koło chaty jest jeszcze kilka wierzchowców, jak wałach Hirama, ale pozostali będą musieli najpierw odnaleźć swoje konie, zanim wyruszą za nami w pościg. Jefferson zapewnił nam trochę cennego czasu.

Wskakuje na grzbiet Karej.

– W miarę możliwości kierujemy się na zachód, wzdłuż strumienia, jak najniżej.

– Zgoda. I bez względu na wszystko jedziemy aż do świtu.

Jefferson rusza przodem, my z Tomem podążamy za nim. W oddali nocną ciszę przerywa huk wystrzałów, niesie się echem wśród wzgórz. Najchętniej zmusiłabym Peonię do galopu, ale w takiej ciemności to zbyt niebezpieczne.

Konie brodzą w potoku. Oddaliśmy się coraz bardziej od tego przeklętego miejsca. Cicho i powoli – zbyt powoli – mijamy pastwisko, wjeżdżamy między drzewa. Gałęzie nad głowami zasłaniają i tak marne światło gwiazd i księżyca, więc poruszamy się jeszcze wolniej.

Pocieszam się, że choć mrok utrudnia nam ucieczkę, komplikuje także pościg. Wystarczy, żebyśmy uparcie parli do przodu, a będziemy bezpieczni.

Więc dlaczego się nie cieszę? Dlaczego nie tryumfuję, że uciekliśmy? Przeciwnie, im bardziej brniemy w mrok, tym ciężiej robi mi się na sercu.

W końcu nie mogę tego dłużej wytrzymać. Zatrzymuję Peonię.

– Poczekajcie – szepczę i tak za głośno. – Stop.

– Co jest? – pyta Jefferson. Razem z Tomem zawracają konie.

– Muszę wracać.

– Co takiego?

– Nie uciekniemy. To znaczy, wy może tak, ale ja nie. Nigdy.

– Myślisz, że Westfall znowu po ciebie przyjedzie – domyśla się Tom.

– Wiem, że tak będzie.
– Może nie żyje – zauważa Mary. – Może zginął.
– To oszczędziłoby nam sporo zachodu – przyznaję. – Ale i tak muszę wrócić i to potwierdzić. Jedźcie beze mnie.

– Nie ma mowy – prycha Jefferson. Zawrócił już i jedzie w naszą stronę. – Posłuchaj, Lee, musimy uciekać. To nasza jedyna szansa. Wrócimy do naszych, powiemy, co się stało, i zaplanujemy, co dalej.

– Nie.

– Lee....

– Brzmi wspaniale. Naprawdę cudownie. Ale wiem na pewno, że wuj znowu po mnie przyjdzie. Może kiedy znowu nas podpali, zginą wszyscy. A jeśli coś się stanie Olive albo Andy’emu? Nie wybaczyłabym sobie.

Peonia tańczy pode mną, zniecierpliwiona po tak długim przebywaniu w zagrodzie.

– Musimy jechać – rzuca Mary szorstko. – Jeśli Lee oszalała, to jej sprawa.

– Jeśli ja zostanę, nie ruszy za wami – dodaję. – Będziecie wolni.

– Nieprawda – mówi Tom i ucina dalsze sprzeciwy Mary ostrymi słowami: – Będzie wiedział, że po ciebie wrócimy. A z czasem zrozumie, że to miejsce, które dla nas wybrałaś, nad naszym potokiem, kryje więcej złota, niż się śniło Midasowi.

Tom ma rację. Hiram wie, że wybrałabym najbardziej złotodajne miejsce w całych górach. Zaprańnie go dla siebie, to jasne jak słońce.

Jefferson wzdycha.

– Nadal będzie zabijał Indian. Pojmą nowych. Zrobi z nich niewolników. Zadręczy na śmierć.

– Nikt nie jest bezpieczny – podsumowuję głucho. – Nikt i nigdzie. Dopóki ktoś się nim nie zajmie.

Chwila milczenia. Apollo tańczy nerwowo.

W końcu odzywa się Jefferson:

– Chciałaś powiedzieć: dopóki ktoś go nie zabije.

– Tak.

– Nie ty.

– Ktoś to musi zrobić.

– Lee, tam jest rzeź. Sama możesz zginąć.

– Zaryzykuję.

– Ja tam nie wracam – oznajmia Mary. – Za żadne skarby. Możecie mnie tu zostawić. Jeśli trzeba, pobiegnę do San Francisco na piechotę.

Kolanami i dłońmi zawracam Peonię. Jest tak bystra, tak dobrze chodzi nawet bez siodła, że reaguje na najmniejszy ruch.

– Poczekaj, Lee – woła Jefferson. – Jadę z tobą.

– Ja też – wtóruje mu Tom. – Inaczej nigdy się od niego nie uwolnimy.

Mary szlocha cichutko.

– Nie musisz z nami jechać – zauważa Jefferson.

– Damy ci część zapasów i życzymy szczęścia – zapewnia Tom.

Mary odrywa się od Toma tylko po to, żeby wytrzeć oczy.

– To tylko takie gadanie. Nie mam dokąd pójść.

Patrzemy na siebie w ciemności, marnujemy cenne chwile, a w mojej głowie kotłują się myśli. W końcu przerywam ciszę:

– Mam pomysł.

Od strony kopalni na niebie płonie łuna, powietrze wypełnia zapach palonego drewna. Tam na górze jest strasznie, a jeśli zrealizuję mój plan, będzie jeszcze gorzej.

– Jest sposób, żeby zrujnować wuja, nie popełniając morderstwa – dodaję.

– Och? – Tom nadstawia ucha.

– Sam odwalił większą część roboty. Musimy mu tylko trochę pomóc. –

Wołam ich do siebie. – Zrobimy tak...

Rozdział 26

Już po buncie. Obozowisko jest pełne trupów – jasne ciała odcinają się od błotnistej ziemi mokrej od krwi. Nie sposób zidentyfikować ofiar, ale widzę żywych i dochodzę do wniosku, że ginęli głównie Indianie i Chińczycy.

Kucamy z Jeffersonem za żarnami. Zatoczyliśmy koło, trzymaliśmy się linii drzew, aż znaleźliśmy dobrą kryjówkę. Stąd mamy doskonały widok na całe obozowisko – kopalnia jest po naszej prawej stronie, nieco niżej – chata nadzorców, stajnia, dom wuja i namioty Chińczyków. Chata nadzorców stoi w ogniu. Żar dociera aż tutaj.

– Dobrze, że zabrałeś strzelby – szepczę.

Nigdzie nie widać ani Boggsa, ani pozostałych wartowników z palisady. Albo nie żyją, albo zaraz wrócą do zagrody Indian, albo starają się wyłapać spłoszone konie. Nigdzie nie widać też Franka Dilleya, który zapewne nie uszedł z życiem, ale są za to inni nadzorcy, którzy starają się ugasić pożar. Abel Topper przebija się przez sterty zwłok z siekierą w rękę. Celuje, w skupieniu unosi topór. Odwracam wzrok, ale słyszę chrzęst miażdżonej kości.

Nigdzie nie widać ani mojego wuja, ani Piżmaka.

– Tam – szepcze Jefferson. – Spójrz.

Podążam wzrokiem w tamtym kierunku i widzę wielebnego Lowreya. Stoi do mnie tyłem, jest cały ubłocony, ale nadal dzierży wielką Biblię pod pachą. Szkoda, że przeżył.

Niedobrze mi się robi na tę myśl, bo choć Lowrey jest żalonym, samolubnym kozim synem, nie zasłużył na śmierć. Muszę jak najszybciej się z tym uporać i wrócić do dobrych ludzi, bo inaczej stanę się równie podła jak Frank Dilley.

Wielebny Lowrey z kimś rozmawia. Przesuwa się na bok, odsłaniając rozmówcę, i nagle czuję się, jakbym miała w piersi kamień zamiast serca, bo to nikt inny jak mój wuj, nieskazitelnie ubrany jak zawsze, bez najmniejszego draśnięcia, bez grudki błota.

– Niech to – mruczy Jefferson, dając wyraz moim uczuciom, bo mój wuj to szczególny przypadek i chyba nie jest oznaką wredności, że akurat jemu życzę śmierci.

Czekamy w milczeniu. Po naszej prawej stronie, między nami a kopalnią, stoją trzy beczki, przykryte grubym płótnem. Są pełne prochu – to efekt handlowej wyprawy Hirama. Zaglądam do plecaka i wydaję suknię – pierwszą, którą mi kupił. Chwytam podszewkę zębami i ciągnę, aż słyszę trzask pękającego materiału. Kiedy mocuję się z tkaniną, Jefferson szuka krzesiwa.

Teraz musimy tylko czekać na znak.

– Jak myślisz, kiedy... – szepcze Jefferson.

Ktoś krzyczy, głośno, ale daleko.

Wszyscy w obozie zamierają w bezruchu, odwracają się w stronę palisady, choć znajduje się poza zasięgiem wzroku. Wuj instynktownie sięga po broń.

Krzyk rozlega się znowu, głośny, przeciągły.

– Niezła robota, Mary – mamrocze Jefferson.

Hiram wykrzykuje niezrozumiałe polecenia, zagłusza je trzask ognia w chacie nadzorców, a jego ludzie odbezpieczają strzelby i idą w kierunku rzeki i pastwiska, między namiotami Chińczyków.

– Nadal ich za dużo – mówię.

– Strzał to zmieni – uspokaja Jefferson.

I po chwili pada strzał.

– Palisada Indian! – wrzeszczy Topper. Gestem daje znać, że wszyscy mają iść za nim. – Zostawcie chatę, i tak jej nie uratujemy. Potrzebna nam każda strzelba, każda para rąk.

Słuchają bez wahania. W ich oczach płonie żądza mordy, gdy przeskakują ciała na ziemi, biegną w stronę potoku, coraz dalej od kopalni. Wszyscy poza Hiramem.

Kolejny strzał. Dobrze, że daliśmy Mary strzelbę Jeffersona. Wiedzieliśmy, że jest głośniejsza niż rewolwer. Mężczyźni puszczają się biegiem. Hiram rusza za nimi, ale leniwie, powoli.

– Mary wolno ładuje – zauważa Jefferson.

– Cóż, jeśli z nami zostanie, damy jej kilka lekcji – odpowiadam.

Wpatruję się w plecy wuja. Zwleka, chce dojść do palisady, kiedy już będzie po wszystkim. To dlatego nawet teraz jego surdut jest równie czysty, jak wczesnym rankiem. Woli, żeby inni załatwiali za niego brudną robotę. Zrobił wyjątek dla moich rodziców.

Ludzi Hiram czeka nie lada niespodzianka, gdy zastaną pustą palisadę, a to oznacza, że musimy z Jeffersonem działać bardzo szybko.

– Teraz – mówię, ledwie wuj niknie mi z oczu.

Jefferson uderza krzemieniem o starą podkowę. Morze iskier sypie się na jego ubranie, ale nie udaje mu się skrzesać ognia. Ani za pierwszym, ani za drugim razem.

– Wilgoć – mamrocze, sięga do rogu z prochem i odsypuje odrobinę prochu na chustkę.

Tym razem ogień pojawia się w kilku miejscach jednocześnie. Chwyta podpałkę, nakrywa nią malutki płomyk, dmucha i chucha, aż mamy małe ognisko. Co chwila dorzuca do niego gałązki.

Ja tymczasem znajduję kamień, mniej więcej o połowę mniejszy niż moja

pięść, i owijam go podartą tkaniną. Zawijuję materiał tak, że na końcu wisi strzęp tkaniny.

– W sumie mogliśmy zabrać ogień z chaty nadzorców – zauważam.

– Tak jest bezpieczniej – odpowiada Jefferson. – Jeśli ktoś tam został, byłoby po wszystkim, bo zobaczyłby nas od razu. Dobrze, ogień jest gotów. Czas na baryłki.

Wstaje. Chwytam go za rękę.

– Uważaj – proszę.

Uśmiecha się krzywo.

– A co, serce ci pęknie, jeśli coś mi się stanie, prawda?

Łypię na niego groźnie.

– Zaraz wracam. Pilnuj ognia.

Serce staje mi w gardle. Dlaczego wspomniał, że ktoś może tu jeszcze być? A jeśli go zobaczą?

Jefferson jest już przy beczkach. Ściąga najwyższą. Tyle zachodu, żeby podkraść proch w małych ilościach, a teraz, w chaosie, mamy go, ile tylko chcemy. Wyciąga szpunt i proch sypie się z beczki, cały czas, gdy pcha ją do kopalni.

To najbardziej niebezpieczna część mojego planu. Jeśli ktoś nas zobaczy, już po nas. Jeśli proch znajdzie się w pobliżu lamp w kopalni – już po nas. Kiedy ludzie wuja zorientują się, że to podstęp, wrócą biegiem. Jeśli do tego czasu nie skończymy, już po nas.

Chata nadzorców dogasa. Obozowisko nadal rozjaśniają płomienie, ale powoli wkrada się też mrok i może to dobrze. Omijam chatę nadzorców, patrzę na dom wuja i czuję ulgę na myśl, że już nigdy nie przekroczę jego progu. I wtedy dostrzegam ruch w zaroślach. Coś jakby ciemniejszy cień. Porusza się zwinnie.

Powinam uprzedzić Jeffersona, że nie jesteśmy sami. Ale nie mogę go zawołać. Muszę sama przekraść się do kopalni.

Zostawiam ogień i prostuję się powoli. Robię dwa kroki i wtedy widzę znowu cień. Tym razem rozpoznaję wysoką, chudą postać.

Tom. Miał czekać między drzewami, przy koniach, żebyśmy jak najszybciej mogli rzucić się do ucieczki. Do świtu jeszcze daleko, ogień rozjaśnia mrok, ale niech mu Bóg błogosławi, bo zamiast beczynnie czekać, robi coś lepszego – uwalnia konie ze stajni. I tak już panikują, przerażone zapachem ognia i krwi – i zabiera uprząż.

Klepie po zadzie ostatniego wierzchowca, pięknego, karego wałacha, zapewne własność Hiram, zerka w stronę żaren, za którymi się chowam, i uśmiecha się szeroko. Macha do mnie. Odpowiadam tym samym, a potem Tom i to, co zabrał, znikają w ciemności.

– Jedna beczka już na miejscu.

Podskakuję nerwowo, słysząc głos Jeffersona.

– Wtoczę pozostałe do środka – mówi. – Może uda się nam wysadzić całą górę.

– Pośpiesz się.

Każde z nas pcha jedną baryłkę. Moja jest piekielnie ciężka i toczenie jej pod górę okazuje się ponad moje siły, bo co chwila chce wracać i obawiam się, że zmiażdży mi stopy.

– Jakim cudem tak szybko uporałeś się z pierwszą? – pytam zdyszana.

– Nie była pełna – przyznaje.

Mamy coraz mniej czasu. Myślę o Hiramie, o tym, że to moja jedyna szansa, by go zniszczyć, nie posuwając się do zabójstwa, i pcham mocniej. Tym sposobem, powolutku, udaje nam się wtoczyć baryłki do kopalni.

Ludzie wuja są już zapewne wewnątrz palisady i zorientowali się, że jest pusta. Jeszcze chwilę potrwa, zanim do nich dotrze, co się wydarzyło, po czym kilku puści się w pogoń za Indianami – mam nadzieję, że są już daleko stąd. Ale nie Hiram. Odwróci się na pięcie i przyjdzie tutaj. Może nawet właśnie w tej chwili wspina się na wzgórze.

Tymczasem w kopalni usypany przez Jeffersona szlak z prochu wije się jak gruby czarny wąż, niknie w głębi korytarza.

– Podesypałem więcej przy wejściu do Wodopoju, przy innych beczkach – mówi. – I przy krańcu Joyner. Nie bardzo znam się na prochu, umiem tylko strzelać, ale mam nadzieję, że wszystko się uda.

Ustawiamy beczki przy stemplach podtrzymujących strop. Zmierzamy do wyjścia, gdy chwytam go za ramię.

– Dziękuję – mówię.

Nakrywa moją dłoń swoją i ścisza lekko.

Wychodzimy na zewnątrz, idziemy w kierunku żaren i naszego małego ogniska. Pochylam się, podnoszę kamień w chusteczce i nagle czuję wilgoć na twarzy.

– Nie – szepczę. – O Boże, nie!

– Deszcz – syczy Jefferson. – Musimy się pospieszyć!

Czekam, aż chusteczka się zajmie, trzymam ją ostrożnie, patrzę, jak płomień wspina się coraz wyżej.

– Ja to zrobię – mówi Jefferson. – Odejdź na bezpieczną odległość.

Myślę o tym, jak Frank Dilley strzelił Indianinowi w głowę, jak Hiram spalił buty tatki, myślę o chorej, zniszczonej skórze ludzi zatrutych rtęcią, o wizerunku mamy na komodzie wuja, o moich obtartych nadgarstkach, na których zostaną blizny. Myślę o ciałach w obozowisku.

– Nie, ja to zrobię. Muszę.

Podchodzę do linii prochu. Ciągnie się kilkanaście metrów poza kopalnią

i kiedy ją podpalę, musimy uciekać co sił w nogach. Jakby nas gonił sam diabeł. I niewykluczone, że tak właśnie będzie.

– Szybko! – rzuca Jefferson. – Ktoś idzie!

Dotykam płomieniem prochu. Syczy i strzela, i mały języczek ognia mknie ku wejściu do kopalni.

Wiatr niesie głosy, męskie głosy. Są coraz bliżej.

– Lee – szepcze Jefferson.

Odwracam się, żeby uciekać, ale właśnie w tej chwili niebo otwiera podwoje i na ziemię leje się cała woda tego świata. Mój mały ogieniek mruga i gaśnie o dwa kroki od wejścia do kopalni.

To nie może być prawda. Moja jedyna szansa zaprzepaszczonej przez głupią burzę.

W świetle latarni kręcą się postacie. Ludzie Hiram. Już wrócili.

Proch zamókł. To już koniec. A jednak nie mogę ruszyć się z miejsca.

– Daj mi kamień – prosi Jefferson.

Coraz większy płomyk nadal liże skraj, chwilowo osłonięty przed ulewą moim ciałem. Paczuska jest ciepła w mojej dłoni. Osłaniam ją najlepiej, jak potrafię, i podaję Jeffersonowi.

– Cisnę to. Przy odrobinie szczęścia trafi beczkę z prochem.

– Nie uda się!

– Ale na wszelki wypadek szykuj się do ucieczki. – Z tymi słowami bierze zamach i rzuca.

Jakimś cudem płomień nie gaśnie. Jeff trafia idealnie, w wejście do kopalni.

Eksplozja wprawia ziemię w drżenie, otaczają nas kłęby pyłu, gdy coś przecina powietrze i uderza mnie w policzek tak mocno, że rozcina skórę.

Ocieram twarz ręką. Jefferson chwyta moją dłoń.

– Idziemy – woła. Ale już za późno, bo nad nami góruje monstrualny cień – olbrzymia w kapturze.

Wilhelm.

Ulewa już niemal zgasła pożar w chacie nadzorców, więc właściwie nie widzę jego twarzy, ale blokuje nam drogę, stoi z rękami splecionymi na piersi, jakby rzucał nam wyzwanie. Zza jego pleców dobiegają odgłosy nadciągających mężczyzn – gniewne krzyki, zgrzyt żwiru pod butami, wydawane rozkazy.

– Och, Lee – szepcze Jefferson zrozpaczony i w pierwszej chwili myślę, że zmartwił go Wilhelm, ale zaraz orientuję się, że patrzy na kopalnię. – Wyjście runęło tylko częściowo. Druga beczka nie wybuchła.

Woda zapewne zalała kopalnię, ledwie zaczęła się burza. Mój plan spalił na panewce. A do tego zaraz nas pojmagają.

Skatują Jeffersona i Toma. Mnie Hiram znowu przywiąże do łóżka. A potem znajdzie sobie nowych Indian, żeby ich zamęczyć, jak gdyby nigdy nic.

Osuwam się na kolana. Deszcz zalewa mi twarz i włosy, ogranicza widoczność. Gdzieś w oddali grzmi.

Zaciskam pięści, uderzam w ziemię, aż błoto i woda pryskają na wszystkie strony, ale jestem tak wściekła, że nad sobą nie panuję i nie wiem już sama, gdzie kończy się deszcz, a zaczynają łzy gniewu.

– Leah? Co się stało? Coś ty zrobiła? – Głos wuja. Idzie po mnie. Jak zawsze. Idzie po mnie. Wsuwam palce w błoto, jakbym czepiając się ziemi, mogła sprawić, że mnie nie zabierze.

Złoto łaskocze mnie w opuszki palców, wędruje w górę rąk jak płynne słońce, wypełnia mi żyły. Mam je w płucach, w nogach, w ustach i gardle.

Czuję teraz wszystko. Cała ziemia mieni się złotem, miniaturowe żyłki wiją się wszędzie. Jakby ziemia była żywym organizmem, a złoto jej krwiobiegiem.

Potęguję złotowidzenie, chłonę to wszystko. Pragnę tylko jednego, tej jednej, cudownie lśniącej chwili, zanim wuj zabierze mnie na zawsze.

Ziemia drży.

– Co jest? – woła ktoś, chyba Abel Topper, ale w tej chwili nic mnie to nie obchodzi.

Sięgam dalej, głębiej, kuszę, pieszczę, błagam, przepraszam. Wybacz mi. Zasługujesz na kogoś lepszego niż mój wuj.

Ziemia znowu drży. Ktoś osuwa się na kolana.

Wiatr szarpie mnie za włosy, otaczają mnie drobinki błota, oblepiają ręce, twarz, nawet suknię, mnie całą. Otaczają mnie jak płaszcz, niosą ciepło.

Z trudem trzymam się na nogach. Ktoś w pobliżu unosi lampę.

– Panno Westfall? Co, na miłość boską...

Światło lampy odbija się od moich rąk, od rękawów sukni. To nie błoto mnie otacza, nie błoto przywiera do mnie jak stęskniony przyjaciel.

To złoto. Oblepia mnie złoto.

Jego ciepło rozgrzewa mi krew, rozpala powietrze wokół mnie. Wystarczy, że o nim pomyślę, a coś przecina powietrze i zmierza ku mnie mała bryłka.

Ktoś krzyczy. Bryłka ląduje w mojej dłoni. Jest cała we krwi.

Złoto jest moim sługą, jest mi posłuszne, reaguje na najmniejsze skinienie. Przychodzi na moje wezwanie. Mogę z nim zrobić, co tylko zechcę. Mogę nawet przenosić góry.

Staję twarzą do kopalni.

– Jefferson – mówię głosem ciemnym i głębokim nawet dla mnie. – Kryj się.

Posyłam złotowidzenie daleko w głąb kopalni. Nieudany wybuch nie doprowadził do zawalenia się wejścia, ale wyrządził spore szkody. Ruda poniewiera się na ścieżce. Orientuję się, wyczuwając złoto w odłamkach. Eksplozja odsłoniła nową żyłę w północnej ścianie.

Koncentruję się, sięgam coraz dalej i dalej, wyczuwam złotowidzeniem

każdą żyłkę, każdą grudkę, każdą szczyptę złotego piasku.

– Chodź do mnie – szepczę.

Ziemia drży, gdy złoto usiłuje usłyszeć mego wezwania. Wokół mnie ludzie zaczynają krzyczeć – nie, wrzeszczeć, ale nie zwracam na nich uwagi.

Chodź.

Złoto wyrywa się ku mnie jak pies na uwięzi, próbuje, próbuje, próbuje, a ja mogłabym mocą złotowidzenia uwić złoty pejcz i kazać mu przeniknąć przez błoto, wodę czy coś miękkiego, jak ciało, ale kwarc, łupki i granit to co innego.

Kopalnia drży. Wejście spowija obłok pyłu – i zaraz znika, zalany deszczem. Wzywam więc mocniej. Złoto pokrywa mi ręce i nogi. Nie muszę patrzeć, by wiedzieć, że jestem złotą statua, że błyszczę jak córka Midasa. Z jedną różnicą – złoto jest moje. Panuję nad nim.

Chodź.

Góra drży w posadach. Sosna przy wejściu przewraca się, miazdzy żarna, dźga powietrze powykręcanyimi korzeniami. Czuję, że wszyscy uciekają co sił w nogach, gdy ziemia wierzga i bryka jak żreback pierwszy raz pod siodłem.

Zamykam oczy i po raz ostatni sięgam moją mocą po całe złoto, każdy okruszek w kopalni Hirama. Wyobrażam sobie, jak zaciskam na nim pięści. Wyobrażam sobie, że je obracam.

Ziemia trzęsie się gwałtownie i nagle góra zapada się w siebie, tak nagle, że wydaje się, że zasysa też powietrze. Otwieram oczy i widzę, jak ziemia się osuwa, jak skały i drzewa eksplodują na wszystkie strony. A wtedy deszcz w końcu gasi ostatnie płomienie w chacie nadzorców i nie widzę już nic.

Jestem wyczerpana. Wykończona.

Nogi się pode mną uginają, serce trzepocze się w piersi jak skrzydła kolibra. Odwracam się, wyteżam wzrok, szukam w ciemności Jeffersona. Teraz, gdy już nie przyzywam złota do siebie, spływa ze mnie, z sukni, ramion, trzewików, znika w błocie, znika, znika, aż nagle go nie ma. I tylko ktoś ze złotowidzeniem mógłby określić, że kiedyś tu było.

Nagle coś uderza mnie w twarz. Oko eksploduje bólem.

Rozdział 27

Coś ty najlepszego zrobiła? – wrzeszczy ktoś.

Kolejny cios, aż szczękają mi zęby, a z rozciętej wargi płynie krew, spływa na brodę.

Wuj mnie zabije. Zniszczyłam go, a teraz mnie w końcu zabije. Mam tylko nadzieję, że Jefferson zdołał uciec.

Staram się nie upaść. Czuję, że zaraz padnie następny cios, chcę się uchylić, ale jestem zbyt wolna. Ociera się o moją skroń. Gwiazdy stają mi przed oczami. Osuwam się na kolana.

– Hiram – cedzę przez zakrwawione, zapuchnięte wargi.

Nieruchomieje, słysząc mój głos. Pochyla się, jest tuż nade mną. Ma wielkie, puste oczy, błoto na policzku i złoty pył na surducie, choć tego zapewne nie jest świadom.

Chwyta mnie za barki i szarpie, i szarpie.

– Dlaczego, Leah? Jak mogłaś mi to zrobić? Własnemu ojcu! Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?

– Czyli odebrałaś mi dom, zabiłaś rodziców, porwałaś i skatowałaś?

– Chciałem, żebyśmy byli razem, żebyśmy byli rodziną! A teraz muszę... już nigdy...

– Już nikt nigdy nie pożyczyci ci ani centa – mówię. – Już nikt nigdy się u ciebie nie zatrudni. Jesteś skończony. Wszystko straciłeś.

Wpatruje się we mnie.

– A moim ojcem jest Reuben Westfall – dodaję. – Zawsze był i zawsze będzie. Nieważne, kto mnie spłodził. To jego wybieram sobie na ojca, bez względu na wszystko, a to ważniejsze niż krew, przynajmniej w moim świecie.

Mimo ciemności widzę, jak rysy Hiram'a tężeją. Czuję, jak wściekłość wzbiera w nim niczym burza, i wiem, całą sobą wiem, że jeszcze nie mam pojęcia o tym, do czego jest zdolny.

Tym bardziej nie pojmuję, czemu w następnych chwilach z moich ust padają te słowa, ale tak właśnie jest:

– A ty jesteś dla mnie nikim. Gorzej niż nikim, jesteś gadem, którego trzeba rozdeptać. Nie jesteś wart mojej miłości, mojego czasu, nawet moich słów. Od dzisiaj już nigdy się do ciebie nie odezwę.

Krzyczy coś niezrozumiale, podnosi rękę. Zaraz czeka mnie bicie wszech czasów. To już koniec. Tym razem mnie zabije.

Inna ręka pojawia się nagle jak błyskawica, chwyta Hiram'a za nadgarstek, gdy chciał mnie uderzyć. I cios nie pada.

Mrugam w deszczu, staram się cokolwiek z tego wszystkiego zrozumieć.

Nade mną stoi Jefferson z ogniem w oczach. Jest jak niedźwiedzica walcząca o małe. Krew płynie mu ze skroni, jakby upadł i uderzył się o kamień, ale to wcale nie spowalnia jego ruchów. Drugą ręką chwyta Hirama za gardło i odpycha z całej siły. Wuj upada na plecy, w błoto. Usiłuje wstać i nagle jest przy nim Wilhelm i trzyma go na ziemi.

Wilhelm sięga do kieszeni i wyjmuję butelkę laudanum.

Powinnam go powstrzymać. Wiem o tym. Ja jednak tylko patrzę, przerażona i zarazem zadowolona, jak wyjmuje korek, przyciska flaszkę do ust Hirama i zmusza go, by pił.

Hiram chce uciec, wycofać się jak krab, ale Jefferson mocno trzyma go za ramiona i tym sposobem wuj pije posłusznie, a Wilhelm wmusza w niego całą zawartość butelki.

Jefferson wstaje, bierze mnie za rękę.

– Tom i Mary czekają na nas – mówi. Chce mnie odciągnąć, ja jednak nie ruszam się z miejsca.

– Poczekaj – szepczę. Podchodzę bliżej, chwytam Wilhelma za rękaw.

Wuj oplótł kolana rękami i kołysze się w błocie w przód i w tył, w przód i w tył, w przód i w tył.

Wilhelm patrzy na mnie ze skruchą, choć może w ciemności się myłę.

– Wilhelmie, uciekamy stąd. Idziesz z nami?

Otwiera szeroko oczy. Zaskoczyłam go, to jasne. Otwiera usta, wydobywa się z nich dźwięk. Usiłuje coś powiedzieć. Gaworzy jak dziecko. Próbuje jeszcze raz, ale sfrustrowany zaciska usta i milknie. W końcu kiwa głową twierdząco.

– No to ruszamy.

Nie mam pojęcia, gdzie jest Abel Topper, wielebny Lowrey, wszyscy, którzy przeżyli. I dochodzę do wniosku, że nic mnie to nie obchodzi. Chcę po prostu być jak najdalej stąd.

– Tędy – wskazuje Jefferson, mierząc Wilhelma czujnym spojrzeniem.

Ruszamy za nim. Powietrze przesycza zapach błota, mokrej sadzy i czegoś jeszcze, czegoś metalicznego. Może krwi. Choć w mroku i deszczu praktycznie nic nie widać, Jefferson prowadzi nas bezbłędnie obok spalonej chaty nadzorców, w dół pastwiska, przez strumień, do lasu.

Dygoczę z zimna, gdy w końcu odnajdujemy Mary, Toma i konie. Tom złapał wierzchowca dla Mary, ale na widok Wilhelma przekazuje mu lejce ze wzruszeniem ramion.

Jefferson pomaga mi dosiąść Peonii. Po chwili wszyscy siedzą na koniach. Mary znowu siedzi za Tomem. Jefferson cmoka na Karą i ruszają przodem, prowadzą nas ku dolinie i dalej, ku domowi.

Przez całą noc jedziemy wzdłuż potoku, chcemy być jak najdalej od Kopalni

Hirama, zanim wstanie dzień. Noc i deszcz bardzo nas spowalniają. Zdajemy się na zmysł orientacji Jeffersona; kiedy byliśmy mali, on tropił, ja strzelałam, także dlatego, że jego zmysł orientacji przypomina czary.

Kiedy na niebie pojawia się jasna smuga i brzask spowija złote wzgórza szarym, mdłym światłem deszczowego poranka, poganiamy wierzchowce. Po niecałej godzinie Apollo protestuje. Musimy się zatrzymać i dać mu odpocząć, żeby nie okulał.

– Teraz Mary pojedzie ze mną na Peonii – decyduję, gdy chwilę odpoczywamy i jemy po kawałku suszonego mięsa.

– Nie mamy dużo zapasów – uprzedza Jefferson. – Nie byłem przygotowany. Mieliśmy wyruszyć dopiero dzisiaj.

– Damy radę – zapewnia Tom. – A tak przy okazji, wszystkiego najlepszego z okazji Święta Dziękczynienia.

– Wszystkiego najlepszego – odpowiadamy posępnie. Wilhelm milczy, ma się rozumieć, ale wznosi kubek w toaście i ze zdumieniem dostrzegam coś na kształt uśmiechu na jego twarzy.

– To głupie święto – odzywa się Mary.

Patrzemy na nią jednocześnie.

– Jesteście na tyle wdzięczni, że chcecie to świętować, a jednocześnie mordujecie Indian i zabieracie ich ziemię.

– My nie mordujemy – zaczynam. – Ani...

Mary mamrocze coś po chińsku i choć nie znam tego języka ni w ząb, idę o zakład o mnóstwo złota, że to nic miłego.

– Wasi pobratymcy. Wy – dodaje po chwili. – Bez różnicy.

– Dziękczynienie nie jest głupie – uściśla Tom. – Ale zabijanie Indian – owszem.

Jefferson milczy. Intensywnie nad czymś myśli.

– Cóż, ja tam nie wiem, czy to głupie święto, czy nie – odpowiadam. – Ale jestem wdzięczna za was wszystkich. I za Piżmaka. Gdyby nie on, nie ucieklibyśmy.

– Święte słowa! – podsumowuje Tom, wznosi toast kubkiem i wszyscy, nawet Mary, idziemy w jego ślady.

Przez chwilę pijemy w milczeniu, aż Jefferson zauważa:

– Nie widziałem, żeby Piżmak poległ.

Mary odwraca się za siebie, na ścieżkę, którą jedziemy.

– To nie w porządku – mamrocze. – To był jego plan, ale tylko my uciekliśmy.

– Może on też – pociesza Tom.

– Mam nadzieję – dodaję, ale w moim głosie brak przekonania.

– Koniec postoju – zarządza Jefferson. Wsiadamy na konie posmutniali. Nikt

nie ma ochoty świętować.

Jesteśmy zbyt daleko na zachód, by natknąć się na więcej obozów poszukiwaczy złota. Potok w końcu wpada do większej rzeki, Yuby, i tam trafiamy na mały fort handlowy. Pytamy o drogę, kupujemy zapasy za moje złoto i jedziemy wzdłuż rzeki aż do Feather, która prowadzi na południe, czyli tam, gdzie chcemy dotrzeć.

Ponieważ kopalnia Hirma jest w gruzach, ci z jego ludzi, którzy przeżyli katastrofę, przezimują w Sacramento, więc omijamy miasto, żeby się na nich nie natknąć. Zapewne jest jakaś inna, krótsza droga do domu, ale nie mamy o niej pojęcia i dlatego mija ponad tydzień, zanim w ogóle docieramy do rzeki American.

Panuje tu spory ruch, podróżni zdążyli wydeptać wąskie dróżki wzdłuż jej brzegów. Przyspieszamy tempa. Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę Becky i dzieciaki, majora, Jaspera, Henry'ego, Hamptona, a nawet Starego Tuga i jego chłopców z Ohio. Mam nadzieję, że Nugget wyzdrowiała, że Olive ją wykurowała i że wszyscy znaleźli całe góry złota.

Kiedy dojeżdżamy do naszego potoku, konie wyczuwają bliskość domu i nie sposób nad nimi zapanować. A kiedy spomiędzy drzew wyłania się nasz cudowny bobrowy staw i małe miasteczko na wzgórzu, ogarnia mnie takie szczęście, że obawiam się, że pęknę z radości.

Dostrzegam więcej szałasów i namiotów, niż kiedy wyruszyliśmy w drogę, więcej ludzi. Szeroka ścieżka wokół stawu prowadzi na wzgórze na placyk, który już niemal przypomina rynek. Pośrodku stoi drewniany szyld z wypalonym napisem: GLORIA w KALIFORNII WITA.

Chatka Becky stanowi chyba serce osady. Rozpięto nad nią prowizoryczny płócienny dach. Od zachodniej ściany rozciąga się ogromna markiza, pod którą mieści się kilka stołów i ław.

Choć to południe, za stołami siedzi kilku poszukiwaczy złota i pije coś z blaszanych kubków. Becky wybiega z chaty z blachą podpłomyków. Podchodzi do górników, obdarza każdego burknięciem i marsowym spojrzeniem, a ja tak się cieszę na jej widok, że nie mogę już wytrzymać. Zsiadam z konia. Mary idzie w moje ślady.

Jefferson uśmiecha się pod nosem.

– Wygląda na to, że wdowie Joyner w końcu znudziły się uprzejme uśmiešky – zauważa.

W tym momencie Becky grozi palcem staremu górnikowi. Nie słyszę, co mówi, ale widać, że nie przebiera w słowach. Górnik uśmiecha się od ucha do ucha.

– W rzeczy samej – mruczy Tom. – Chyba wreszcie ujawniła swoje prawdziwe oblicze. – Wskazuje szyld zawieszony pod markizą.

Zatrzymuję się w pół kroku. NAJGORSZA TAWERNA W KALIFORNII,

głoszą czarne litery. A poniżej dopisek: FATALNE JEDZENIE I FATALNA OBSŁUGA.

Jefferson śmieje się w głos. Staram się zachować powagę, ale wtedy Becky podnosi głowę i nas widzi.

Mężczyźni przy stoliku nie wierzą własnym oczom, gdy uśmiecha się promiennie, upuszcza blachę z podpłomykami, aż rozsypują się na wszystkie strony, i biegnie ku nam.

– Olive! – krzyczy. – Zawołaj majora! Lee, Jeff i Tom wrócili!

Becky rzuca mi się na szyję. Odwzajemniam uścisk. Tulimy się do siebie przez chwilę, a potem odsuwa się, wygładza fartuch i bierze się w garść.

Spogląda skromnie na Mary i Wilhelma i zaczyna:

– Mamy towarzystwo, jak widzę. – A potem omiata wzrokiem Toma i Jeffersona i mruży oczy. – Wyglądacie okropnie. Po prostu okropnie.

– Było ciężko – odpowiadam. – Becky Joyner, to jest Wilhelm. – Olbrzym kiwa głową. – A to Mary.

– Dzień dobry – szepcze Mary i nagle do mnie dociera, że przecież niemożliwe, żeby naprawdę tak miała na imię. Później, kiedy zostaniemy same, zapytam, czy może woli, żebyśmy zwracali się do niej inaczej. Jej chińskim imieniem.

Becky marszczy brwi.

– Bardzo mi miło – rzuca, choć wcale nie jestem tego pewna. – Lee, umierałam ze zmartwienia. Jasper i major szykowali już wyprawę ratunkową. Co się stało?

Wzdycham głośno, a potem oddycham pełną piersią, jakbym tym sposobem mogła wyrzucić z siebie całe zło, które nas spotkało, i zastąpić je czystym powietrzem, przyjaźnią i poczuciem bezpieczeństwa.

– To długa historia.

Wieść o naszym powrocie rozchodzi się po Glorii jak ogień po lesie. Pierwsi biegną Henry i Jasper. Henry tak się cieszy na widok Toma, że rzuca mu się na szyję i płacze głośno. Powtarzamy naszą historię studentom, a potem wraca Olive z majorem i Hamptonem i znowu musimy opowiadać wszystko od początku. Kiedy zbieramy się do tego po raz czwarty, żeby wtajemniczyć Starego Tuga i jego chłopców z Ohio, Becky wkracza do akcji.

– Jedzenie i odpoczynek – zarządza. – Później jeszcze zdążycie opowiedzieć. Lee, ty i twoja przyjaciółka Mary możecie na razie zamieszkać w chacie ze mną i dziećmi. – Zerka znacząco na Mary. – W tawernie przydałaby mi się para rąk do pomocy, o ile nie przerażają cię nieokrzesani mężczyźni i ciężka praca.

Mary kiwa głową.

– Ciężka praca to moja stara przyjaciółka, proszę pani. Co prawda myślałam o innym zajęciu, ale na razie mogę pracować u pani, jeśli mnie pani przyjmie.

– Świetnie. Mam tylko nadzieję, że nie umiesz gotować; jakby nie było, nie możesz mi zepsuć reputacji. – Przenosi wzrok na Jeffersona i rzuca: – Niestety, twój szałas zajęli chłopcy z Oregonu, więc musisz zbudować sobie nowy, ale mam na oku świetne miejsce. A ty... – Mierzy Wilhelma wzrokiem. – Wyglądasz mi na siłacza. Mamy w Glorii kowala, który nie nadaża z realizacją zamówień. Przyda mu się pomocnik.

I tak po prostu wracamy do naszej społeczności, jakbyśmy nigdy stąd nie wyjechali.

Becky podaje nam kolację – niedopieczony chleb i przypalony sos – i jeszcze nigdy złe jedzenie nie było tak pyszne. Po posiłku rzucam się na posłanie i śpię jak zabita.

Rano major przynosi mi nową parę butów.

– Zrobiłem je dla ciebie tej nocy – mówi. – Zamiast tych, które spalił twój wuj.

Chyba nie zmrzył oka, pracował nad nimi całą noc. Mam w oczach łzy wdzięczności. Usta drżą mi tak bardzo, że słowa podziękowania z trudem przechodzą przez gardło. Bo są identyczne jak buty tatka – takie same cholewki, niski obcas, sznurowadła, okucia, tyle że są mniejsze i nowe i idealnie na mnie pasują.

Później pomagam Jeffersonowi przy budowie szałasu. Na razie będzie to spory namiot rozpięty na drewnianym rusztowaniu. Pracujemy w milczeniu, cieszymy się swoją bliskością i tym, że nic nam nie grozi. Najpierw wyrównujemy ziemię szpadlami. Potem przytrzymuję drążki, a Jefferson wbija je młotkiem. Uwielbiam obserwować go przy pracy – grę mięśni na jego ramionach, koncentrację w jego oczach, to, jak się śmieje, gdy drążek pęka. Nie złości się, nie przeklina, choć to właśnie zrobiłby jego ojciec.

W pewnym momencie podnosi głowę i zauważa z łobuzerskim uśmiechem:

– Wiesz, Lee, w tym szałasie mogą mieszkać dwie osoby.

Serce nagle bije mi szybciej.

– O ile nie przeszkadza im ciasnota – wykrztuszam.

– Och, mnie nie przeszkadza, zapewniam cię.

– W takim razie – rzucam i teraz to ja sobie z niego żartuję – Wilhelm na pewno chętnie skorzysta, jeśli mu to zaproponujesz.

O wilku mowa – w tej chwili kątem oka dostrzegam ruch i widzę Wilhelma, jak wbiega na wzgórze. Niesie coś. Tabliczkę do pisania. Ścisną ją w ogromnych dłoniach.

– Witaj – zagajam. – Dogadałeś się z kowalem?

Potwierdza ruchem głowy, ale unika mojego wzroku.

– Cieszę się – mówię, żeby wypełnić czymś ciszę.

Wilhelm patrzy na tabliczkę. Potem w ziemię. Zaciska pokiereszowane usta.

Stuk, stuk, stuk. Młotek Jeffersona.

W końcu Wilhelm unosi tabliczkę i wyciąga do mnie. Ruchem głowy daje znać, że mam ją wziąć, razem z kawałkiem kredy.

Odwracam ją i widzę, że coś napisał.

Nie jestem złym człowiekiem.

Przez dłuższą chwilę wpatruję się w te słowa. Umiem mówić, a jakże, ale teraz wydaje mi się to nie na miejscu, więc pod jego słowami piszę odpowiedź:

W takim razie dobrze trafiłeś.

Podaję mu tabliczkę. Uśmiecha się nieśmiało, a potem odwraca na pięcie i biegiem wraca do zagrody kowala.

Zaledwie dwa dni po naszym powrocie do obozowiska przyjeżdża kurier z sakwami wypchanymi korespondencją. Wszyscy tłoczą się wokół niego, liczą na listy, na nowiny. Wykrzykuje kilka nieznanych mi nazwisk i poszukiwacze złota podchodzą bliżej po przesyłki, a potem krzyczą:

– Leah Westfall!

Ze zdumienia staję jak wryta. Po chwili podchodzę nieśmiało. W Georgii nie mam już żadnej rodziny. Tylko wuj i jego ludzie wiedzą, gdzie jestem.

Kurier wręcza mi list i zajmuje się kolejną przesyłką. Nagle otaczają mnie przyjaciele – Jefferson, Becky, Jasper, Hampton, Mary.

– Od kogo? – dopytuje Hampton.

– Otwórz wreszcie! – ponagla Mary.

List jest zaadresowany do mnie, pięknym, zamaszystym pismem. Nie jest to pismo Hirama, stwierdzam z ulgą, odwracam i mało nie mdleję z wrażenia, gdy widzę pieczęć. Biuro Gubernatora Cywilnego Terytorium Kalifornii.

– Ho, ho, ho, ależ z ciebie dama! – krzyczy Jasper.

Przełamuję pieczęć i rozkładam arkusik papieru. Czytam szybko.

– To zaproszenie – mówię. – Oficjalne zaproszenie na bożonarodzeniowy bal w Sacramento, w imieniu nowego gubernatora, pana Burnetta.

– O rany – wzdycha Becky.

– Jest też napisane, że mam przywieźć ze sobą przedstawicieli mieszkańców kwitnącej amerykańskiej osady Gloria w Kalifornii.

Wpatrujemy się w pismo z niedowierzaniem.

– Jeśli mamy zdążyć na czas, musimy wyruszyć za kilka dni – zauważa Jasper.

Jefferson odzywa się pierwszy.

– Ale po co?

To krótkie pytanie kładzie kres mojej radości.

– Ludzie gadają o paniencie Leah – zauważa Stary Tug.

– Tak? – Mrugam szybko.

– Mówi się, że zniszczyłaś Kopalnię Hirama, mając do dyspozycji proch

i temperament.

– Plotki mają długie nogi – mamrocze Jefferson, ale ja uśmiecham się w duchu. Lepsze to, niż żeby wszyscy poznali prawdę, że zawaliłam kopalnię, posługując się magią.

– I to jest nauczka – rzuca Mary. – Trzeba było zajechać do Sacramento. – Wieści nas wyprzedzały. A teraz wszyscy chcą cię poznać, Lee. Szykuj się.

– Handlarz, który tu był dwa dni temu, wspominał, że kopalnia zawaliła się w obłoku złotego pyłu – dodaje Stary Tug. – Nazwał cię Złotą Boginią.

Jęczę głośno, a Tom parska śmiechem.

– Oczywiście to tylko bajdy – mruczy Stary Tug.

– Oczywiście – przyznaję szybko.

– Ale wystarczy, żeby wzbudzić ciekawość bogatych zarozumialców, prawda?

– To zapewne też kwestia prawna – zauważa Tom. – Hiram Westfall był im winien mnóstwo pieniędzy. I posiadał spory majątek. Jesteś jego jedyną żyjącą krewną. Jeśli coś mu się stało, może chcą, żebyś im podpisała jakieś dokumenty.

– Może po prostu udamy, że nie dostaliśmy żadnego zaproszenia? – podsuwam. – To, że mnie zaprosili, jeszcze nie znaczy, że muszę spełnić ich prośbę.

– Podoba mi się ta wersja – mamrocze Jefferson.

Tom kręci przecząco głową.

– Lee, musisz podejść do tego poważnie. Nie zdziwiłbym się, gdyby protektor Westfalla, ten, któremu był dłużny cztery tysiące dolarów, żądał od ciebie spłaty jego długu. Jeśli ty do niego nie pojedziesz, być może on zawita do nas. Prawo własności jest jeszcze nie do końca uregulowane na tych terenach i mógłby odebrać nam wszystko. Wszystko, co do tej pory zbudowaliśmy.

Wodzę wzrokiem po ich niespokojnych twarzach.

– Nie dopuszczę do tego.

Becky Joyner z wdzięcznością ściska moją dłoń.

James Henry Hardwick, powtarzam w duchu. Zerkam na zaproszenie. Co prawda oficjalnie nie wysłał go Hardwick, ale na pewno on za tym stoi.

– Boję się, że to pułapka. – Jefferson ubiera w słowa moje obawy.

– Musisz być czujna bez względu na to, co zdecydujesz – podsumowuje Jasper, a pozostali mruczą twierdząco.

A to daje mi do myślenia.

Może to oni mnie powinni się obawiać. Może to ja zastawię pułapkę. I może bliskość przyjaciół dodaje mi nadmiernej pewności siebie, ale w mojej głowie rodzi się pewien pomysł i wiem, że muszę spróbować. Tylko że do tego potrzebuję pieniędzy. Dużo pieniędzy. Dla małej wiedzy ze złotowidzeniem pieniądze to żaden problem, prawda? Ale nawet wiedźma potrzebuje czasu, a tego właśnie

nie mam.

Podnoszę głowę znad listu, patrzę na wszystkich po kolei i podejmuję decyzję.

– Będę potrzebowała waszej pomocy – mówię.

Następny dzień upływa nam na gorączkowych przygotowaniach. Wszyscy chcą mi towarzyszyć, poza Becky, która nie chce zostawiać ani dzieci, ani kwitnącego interesu, i Hamptonem, który nie ma głowy do tańców i innych błahostek. Jak się okazuje, wyda wszystko, co zaoszczędził, na wykupienie żony i jej podróż drogą morską. Ma na imię Adelaide i zdaniem Toma w przyszłym roku może już do nas dołączyć. Hampton chce do tego czasu odłożyć sporą sumkę.

Becky daje mi suknię, którą zabrała na Zachód na specjalną okazję.

– Cieszę się, że udało mi się wynieść ją z pożaru, ale mnie się teraz do niczego nie przyda – zapewnia. Podnosi ją, przykłada do mnie, żeby przymierzyć. W życiu nie widziałam nic równie pięknego. To kreacja z cieniutkiego żółtego jedwabiu, o wąziutkiej talii i szerokiej spódnicy. W blasku świec i lamp będzie niemal lśniła, jak złoto.

– Jeszcze może ci się przydać – mówię. – Przecież kiedyś wybierzesz się do San Francisco po całe domostwo.

Uśmiecha się w odpowiedzi.

– Moje domostwo jest tutaj.

Patrzy na mnie z leciutkim uśmiechem, ale i błagalnie, jakby naprawdę chciała, żebym przyjęła tę suknię. Może to forma przeprosin za wszystko, co działo się w drodze do Kalifornii.

– W takim razie bardzo ci dziękuję, Becky.

– Może w przyszłym roku ja też wybiorę się na bal, kiedy Olive i Andy będą trochę starsi, a mała nie będzie co chwila domagała się karmienia.

– Byłoby cudownie. – Ściskam jej dłoń.

Poważnieje.

– Miejmy nadzieję, że dzięki sukni wszystko szybciej załatwisz.

Razem zwięzamy ją w talii i odrobinę skracamy. Pracujemy w milczeniu, boleśnie świadome, jak wysoka jest stawka w tej grze.

Jefferson, Jasper i major zajęli się zbiórką. Chodzą do każdego poszukiwacza w Glorii i okolicach, mówią, jaki mamy plan, i proszą o datek. W miasteczku zjawili się też nowi mieszkańcy, których poszukiwanie złota nie interesuje, jak kowal i dentysta. Niemal wszyscy coś dorzucają, ale nie wierzę, że zbierzemy wystarczającą sumę.

Nie mamy innego wyjścia. To musi nam wystarczyć.

Ja muszę nam wystarczyć.

Rozdział 28

Po południu, gdy słońce chyli się ku wielkiej dolinie, idziemy z Jeffersonem na nasze działki. Upewniamy się, że w pobliżu nie ma nikogo, i siadamy nad potokiem.

– Nie musisz tego robić, Lee – zaczyna Jefferson i uśmiecha się, jakby wiedział coś, o czym ja nie mam pojęcia.

– Owszem, muszę – upieram się. – Potrzebujemy tych pieniędzy, i to bardzo. Poza tym muszę wiedzieć, czy naprawdę nad tym panuję. Nie chcę zrobić nikomu krzywdy.

– Skoro tak twierdzisz.

Zamykam oczy i przyzywam złoto. Ostrożnie, delikatnie. Nie wyszukuję żył pod stopami, w klifach po lewej stronie. Szukam tylko kruszcu powierzchniowego – piasku i drobnych bryłek.

– Działa – szepcze Jefferson z podziwem. – Znowu jesteś cała w złocie.

Unoszę powieki. Złoto pokrywa moje ręce, spódnicę, wszystko.

– Nie zrobiłam ci krzywdy? – upewniam się, zerkając na niego. Poprzednio, kiedy to robiłam, ludzie ucierpieli, bo złoto przecinało powietrze i uderzało na oślep.

– Ani draśnięcia. Patrz. – Wskazuje trawiasty brzeg. To już nie gładki pas ziemi, tylko szereg bruzd, jakby ziemia szła ku mnie. – Praktyka czyni mistrza – żartuje.

Razem zdrapujemy ze mnie złoto, ściągamy je z moich włosów. Trochę tracimy, ale to i tak bez znaczenia, zaznaczymy to miejsce i później je wypłuczemy. Może lepiej byłoby wytrącić je rtęcią, ale szczerze mówiąc, po tym, co widziałam w obozie Hirma, chyba już nigdy jej nie tknę.

– Jak myślisz, ile tu jest? – pyta Jefferson.

Ważę woreczek w dłoni, złotowidzeniem szacuję czystość i jakość kruszcu.

– Warte jakieś trzysta dolarów – oceniam.

– W jeden dzień! – Jefferson gwizdże z podziwem.

– Chyba muszę dalej szukać – stwierdzam ponuro.

Jefferson się śmieje.

– No co? – pytam ponuro.

– Wcale nie musisz.

– Jak to?

– Zbiórka. Dobrzy ludzie z Glorii dali ci tyle, ile potrzebujesz. Albo i więcej. Gapię się na niego.

– Sama Becky dała pięćset dolarów. Powiedziała, że odrobi to w ciągu

tygodnia. Podobno ludzie zjeżdżają do Najgorszej Tawerny ze wszystkich stron.

Zapiera mi dech w piersiach.

– Przecież to mnóstwo pieniędzy – szepczę.

– Stary Tug i chłopcy z Ohio dali sześćset, nasi studenci – po sto. Major dorzucił sporo, Hampton też. No i ci wszyscy obcy, ludzie, którzy ściągnęli do Glorii po naszym wyjeździe – też nie żalowali złota. Lee, mamy ponad cztery tysiące dolarów. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie umiem szacować złota tak dokładnie, jak ty.

Nie jestem w stanie ustać na nogach, osuwam się na ziemię. Ukrywam twarz w dłoniach i koncentruję się na jednym – by oddychać. Cztery tysiące dolarów. A ludzie tak po prostu nam je dali.

– Lee, co jest? Myślałem, że się ucieszysz?

– Ależ ja się cieszę! Tylko że... – Kolejny głęboki oddech. – Przez całe życie szukałam złota. W ten sposób dbałam o rodzinę. Dzięki temu miałam się wzbogacić. Myślałam... – Pokornieję nagle. – Myślałam, że uratuje nas mój dar. A tymczasem okazuje się, że złotowidzenie to nic w porównaniu z dobrocią ludzi, którzy troszczą się o swoich.

Jefferson ma na twarzy ten uśmiech, od którego robi mi się słabo.

– Jak dla mnie to bardzo mądre. – Wyciąga do mnie rękę. – No, chodź. Wstąpimy na kolację do Najgorszej Tawerny.

Pozwalam, by pomógł mi wstać i razem wracamy do miasteczka. Jesteśmy już prawie na miejscu, gdy Jefferson chwytą mnie za ramię.

– Chwileczkę, Lee. Jest coś jeszcze, co chciałem ci powiedzieć.

Mam oczy na wysokości jego koszuli. W końcu zaszył tę dziurę po kuli, niezdarnie, czarną nicią. I przydałyby mu się nowe szelki. Zasłużył na porządne, nowe ubranie. Może mu je kupię.

– Lee?

Podnoszę głowę. Patrzy na mnie tak błagalnie, z takim oddaniem, że nagle brakuje mi powietrza, bo jeśli znowu mi się oświadczy, sama nie wiem, co zrobić.

– Pamiętasz, że kilka razy prosiłem cię o rękę – zaczyna.

– Tylko kilka.

– Propozycja jest nadal aktualna, żebyś sobie nie myślała.

– Dobrze.

– Tylko że... uważam, że powinnaś wiedzieć... teraz, kiedy tyle się mówi, że Kalifornia wkrótce dołączy do Unii, a Gloria dostanie prawa miejskie...

Z całej siły ściskam jego dłoń.

– Tak?

– Sam nie wiem, czy chcę mieć z tym cokolwiek wspólnego.

– Co takiego? – Co on mówi? Że mnie zostawi? Jak mógłby nie chcieć być częścią naszego miasteczka?

Jefferson chyba czyta w moich myślach.

– Nie bój się, nigdzie się nie wybieram. Ale... Lud mojej matki wypędzono z Georgii, żeby biali mogli się bogacić. Kiedy ruszaliśmy na Zachód, łudziłem się, że teraz wreszcie przyszła moja kolej. Że teraz to ja się wzbogacę. Zasłużyłem na to, prawda?

– Tak, Jeff. Jak nikt.

– Właśnie nie. Nikt na to nie zasłużył. Nie w ten sposób. A po tym, co widziałem w Kopalni Hirama, sam już nie wiem, co robić.

– Co ty właściwie chcesz powiedzieć? Że nie będziesz więcej szukał złota? Nie chcesz być częścią naszej społeczności?

Ściąga brwi.

– Właściwie sam nie wiem, co chcę powiedzieć. Nadal o tym myślę. Pewnie będę trochę szukał złota, trochę polował, tak jak w domu. Ale chyba nigdy nie będę miał ziemi na własność. Widzisz, Lee, to nie jest moja ziemia. A nie można jej tak po prostu... brać. Może to bez znaczenia. Może i tak według prawa nie mogę posiadać ziemi na własność, jako półkrwi Indianin. Ale uznałem, że powinnaś to wiedzieć, na wypadek, gdybyś jednak brała pod uwagę wyjście za mnie. No bo wiesz, może wcale nie bierzesz tego pod uwagę. Ale jeśli... może się okazać, że nigdy nie będę miał ziemi na własność. Że nigdy nie będę bogaty.

Nie mam pojęcia, jak na to zareagować, czy w ogóle powinnam. Mam zbyt dużo do przemyślenia, by coś palnąć bez namysłu. Zamiast tego ponownie ściskam jego dłoń i mówię:

– Dzięki, że mi powiedziałeś.

Rozdział 29

Tom, Henry, Jefferson, Mary i ja wjeżdżamy do Sacramento w wigilię Bożego Narodzenia. To tętniące życiem miasto, na południe od miejsca, w którym łączą się rzeki Sacramento i American. Zlewisko rzek nie jest nawet w połowie równie inspirujące jak połączenie Missisipi i Missouri, ale i tak budzi respekt.

Rzeka jest mętna po jesiennych opadach, pełna śmieci i łodzi, głównie żaglowych, najróżniejszych rozmiarów, ale dostrzegamy też kilka sporych parowców i za żadne skarby świata nie pojmę, jakim cudem manewrują na wodzie, nie wpadając na siebie.

– Miasto jest za blisko rzeki – zauważa Jefferson.

– Prawda – przyznaje Tom. – Gdyby Gloria była tak blisko wody, na wiosnę na pewno zalałby nas potok.

– Jest większe, niż sądziłam – mówię. Centrum miasta stanowią dwupiętrowe budynki, ale namioty i szałasyciągnę się niemal po horyzont.

– Podobno San Francisco jest jeszcze większe – wtrąca Henry. – Cztery albo pięć razy większe.

Patrzymy na niego z niedowierzaniem.

– Naprawdę!

– Powinniśmy poszukać noclegu – mówi Tom, więc przyspieszamy kroku.

W hotelach nie ma miejsc. Tom wchodzi do saloonu, ale zaraz wraca z ponurą miną.

– To nie jest miejsce dla młodych dam – orzeka.

W końcu ktoś życzliwy wskazuje nam drogę do zajazdu niedaleko rynku. Właściciel nalega, żebyśmy wzięli dwa osobne pokoje, jeden dla mnie i Mary, drugi dla panów. Bezsensowny i zbędny wydatek, bo w drodze zawsze śpimy obok siebie, ale cóż, w mieście trzeba przestrzegać miejskich zwyczajów.

Suknia Becky, wraz z gorsetem i halką, pokonała drogę do Sacramento w sakwie przy moim siodle. Nie mam żelazka, a poza tym i tak nie wiem, jak prasować jedwab, więc tylko rozwieszam ją na drzwiach i liczę, że zagniecenia same się rozprostują.

Wieczorem szykujemy się na bal. Włosy odrosły mi na tyle, że jeszcze trochę, a będzie można je upiąć, ale jeszcze nie teraz, więc robię przedziałek pośrodku i zakładam je za uszy. Becky dała mi stroik do włosów, z koronki i jedwabnych różyczek, i dzięki niemu wyglądam prawie, jakbym miała kok.

Suknia jest jeszcze trochę pognieciona, ale nie bardzo. Bez trudu zakładam ją na gorset i halki. Mary pomaga mi ją zapiąć i wiąże piękną kokardę.

– Na pewno nie chcesz iść na bal? – pytam, na próbę obracając się

w miejscu. Suknia cudownie porusza się wraz ze mną jak woda w strumieniu. – Byłoby mi bardzo miło, gdybyś z nami poszła.

– Na pewno. Pokazywanie się na takich imprezach źle wpływa na interesy.

Nie mam pojęcia, o co jej chodzi, więc tylko wzruszam ramionami. A potem przypomina mi się coś jeszcze.

– Czy ty naprawdę nazywasz się Mary? – wyrzucam z siebie.

Mruży podejrzliwie oczy.

– No wiesz, może wolałabyś, żebyśmy zwracali się do ciebie inaczej? Chińskim imieniem?

Może posunęłam się za daleko. Może w jej kraju imię jest ważne, jak u Maidu, i nie zdradzają go wszystkim wokół.

Ale Mary uśmiecha się lekko i mówi:

– W Chinach nazywałam się Chan Suk Yee, czy po waszemu, gdy czytacie wszystko odwrotnie, Suk Yee Chan. Ale sama nie wiem, czy ta dziewczyna jeszcze istnieje.

– Och. – Chyba wiem, co ma na myśli. Leah Westfall z hrabstwa Lumpkin w Georgii to inne życie, inna dziewczyna.

– Jak się tu dostałaś? No wiesz, do Kalifornii.

– Szłam po wodzie. Jak wasz Jezus.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że żartuje.

– Statkiem, głupku. Pod pokładem. Jako pasażerka na gapę. Znaleźli mnie tydzień przed San Francisco.

Otwieram szeroko oczy.

– Brzmi groźnie.

– Może kiedyś ci o tym opowiem. – Wyrównuje mi kokardę i wypycha za drzwi, zanim zadam kolejne pytania. Obiecuję sobie w duchu, że i tak je zadam, prędzej czy później. Po tym, co spotkało Therese, nie zmarnuję okazji na posiadanie przyjaciółki.

Od pogrzebu rodziców nie byłam tak wystrojona, tyle że tym razem noszę jasny, wesoły kolor. I dobrze mi z tym, jakbym wreszcie była sobą. To nie znaczy, że pójdę w tym stroju na polowanie; Lee w spodniach to też ważna część mnie. Ale tego wieczora podobam się sobie w pięknej sukni.

Zanim wyruszymy na bal, naradzamy się przed zajazdem. Suknia Becky rzeczywiście mieni się jak złoto w świetle lamp. Jefferson otwiera szeroko oczy na mój widok.

– Och, Lee – mówi tylko, ale i tak przechodzi mnie dreszcz.

Jefferson ma na sobie nowy garnitur kupiony w Mormon Island. Z włosami zaczesanymi gładko do tyłu i koronkowymi mankietami jest przystojny jak nigdy.

– Bardzo ładnie wyglądasz – mówię.

Jego uśmiech jest szerszy niż Missisipi.

– Coś takiego, komplement z twoich ust.

– Zasłużony? Jak najbardziej.

Tom także ma na sobie garnitur, może nie tak elegancki, ale i tak wygląda jak najprawdziwszy prawnik po studiach na uniwersytecie.

Henry dołącza do nas jako ostatni i zapiera mi dech z wrażenia, bo ma na sobie najbardziej szykowny surdut i spodnie, jakie w życiu widziałam, a do nich – jasnoniebieski jedwabny krawat. Ogolił się, resztki włosów przykrył lśniącem czarnym cylindrem. Promienieje, gdy mówię:

– Henry, ten kolor bardzo ci pasuje. Twoje oczy jeszcze nigdy nie były tak niebieskie.

Uśmiecha się od ucha do ucha.

– Szczerze mówiąc, uwielbiam tańczyć – przyznaje. – A póki wyglądam na dandysa, nigdy nie narzekam na brak partnerów.

– Możesz sobie wziąć wszystkich moich – mruczę pod nosem.

– Masz zaproszenie? – upewnia się Tom, ale nie odrywa wzroku od Henry’ego, więc macham mu arkusikiem przed nosem. – No to chodźmy.

Każde z nas niesie część złota – ze względów bezpieczeństwa podzieliliśmy je na podróż – więc kiedy pokonujemy krótki odcinek dzielący nas od hotelu, w którym odbywa się bal, starannie omijając co większe kałuże, mam wrażenie, że spowija nas ciepła, złota poświata.

Punktualnie o siódmej stajemy na progu hotelu, zbudowanego zaledwie minionego lata. Przed wejściem głęboko nabieram powietrza w płuca.

– Dasz radę, Lee – szepcze mi Jefferson do ucha. Inni nas mijają, wymachując w drzwiach zaproszeniami.

– Wiem – odpowiadam. – Mam tylko jeden cel. Znaleźć człowieka, który pożyczył wujowi pieniądze. James Henry Hardwick. Na pewno tu będzie. Ba, niewykluczone, że to on znajdzie mnie pierwszy.

Odźwierny nas wpuszcza. Znajdujemy się w ogromnym holu, pachnącym sośniną. Na podłodze leży wielki dywan, a główną atrakcją stanowi gigantyczna choinka, udekorowana złotymi kokardami. Nieco dalej znajdują się podwójne drzwi do sali balowej. Inny odźwierny pyta nas o nazwiska. Podajemy je, a on odwraca się i anonsuje nas tubalnym głosem:

– Z osady Gloria w Kalifornii: Panna Leah Westfall! Pan Jefferson Kingfisher! Pan Thomas Bigler! Pan Henry Meek!

Wchodzę do środka z dumnie uniesioną głową, jakby tam było moje miejsce. Sala balowa pęka w szwach i nagle wszyscy patrzą na mnie. Może słyszeli już o Złotej Bogini i jej dziwacznych przyjaciółach. Spodziewam się wrogości. Podejrzliwości. Nawet gniewu.

Ale w oczach zebranych widzę jedynie ciekawość i sympatię. Niektórzy uśmiechają się szeroko. Zmuszam się, by odpowiedzieć tym samym, gdy

wchodzimy coraz dalej.

Pod sufitem wiszą wielkie żyrandole z mnóstwem świec. Pod ścianami stoły uginają się pod ciężarem smakołyków. Jest nawet wielka szklana waza ponczu. W najdalszym rogu orkiestra gra piosenkę świąteczną. Jestem jedną z nielicznych kobiet na balu. Jest nas w sumie cztery. Pozostałe trzy są ode mnie o wiele starsze. Jedna z nich to piękna Meksykanka o lśniących, czarnych włosach z pasmami siwizny, w wielokolorowej sukni w pasy. Trzyma pod rękę mężczyznę w obcisłej, czerwonej marynarce z lśniącymi mosiężnymi guzikami.

Uśmiecha się do mnie i macha, choć przecież wcale się nie znamy, i ten gest dodaje mi otuchy.

Dwóch mężczyzn ma na sobie suknie, przy czym jeden nosi też ogromną brodę i wąsy. Obaj tańczą z innymi mężczyznami i, sądząc po ich minach, świetnie się bawią. W Georgii w życiu czegoś takiego nie widziałam. Doprawdy, Kalifornia to fascynujące miejsce.

– Szkoda, że nie włożyłem sukni – wzdycha Henry.

Nagle mężczyźni otaczają mnie ze wszystkich stron, ale pierwszy dociera pulchny młodzieniec o długich ciemnych bakach.

– Pięknie pani wygląda, panno Westfall – zaczyna. – Czy jest pani... wolna? Cóż, nie owija w bawełnę, to pewne.

– Niezameżna – przyznaję bez namysłu. Powstrzymuję odruch, by cofnąć się bliżej Jeffersona, Toma i Henry'ego.

Szczerzy w uśmiechu zęby poplamione tytoniem.

– Bardzo mnie to cieszy. Matthew Jannison, stolarz. Mogę prosić? – Wyciąga rękę.

Nigdy nie przepadałam za tańcami, a już na pewno nie z nieznajomymi, ale lepsze to niż sterczeć bez sensu i coraz bardziej się denerwować na myśl o spotkaniu z protektorem wuja. Więc chwytam jego spoconą dłoń i pozwalam, by prowadził mnie na parkiet. Cały czas czuję na plecach spojrzenie Jeffersona.

– Skąd pani pochodzi, panno Westfall? – pyta, gdy zaczynamy tańczyć. Trzyma rękę odpowiednio wysoko na mojej talii i zachowuje przyzwoity dystans, więc odprężam się na tyle, żeby mu odpowiedzieć.

– Z hrabstwa Lumpkin w Georgii. A pan, panie Jannison?

– Z Bostonu. Zapewne przyплыnęła pani statkiem?

– Nie, proszę pana. Konwojem wozów.

Otwiera szeroko oczy.

– Ale jest pani taka...

– Nie jestem prawdziwą damą i niech się pan nie waży sugerować, że tak jest! – Przerывam mu z uśmiechem i nadzieją, że zrozumie, o co mi chodzi.

– Ależ nie śmiałbym! – krzyczy z udawaną przesadą. – Przyjechała pani z rodzicami?

– Sama. Ale już nie jestem samotna.
– Ale mówiła pani, że nie ma męża.
– Za to mam wielu przyjaciół – odpowiadam z uśmiechem.
– Rozumiem. – Ale widzę, że nie rozumie nic a nic i rozmowa zaczyna mnie męczyć.

– Panie Jannison, nie zna pan przypadkiem niejakiego pana Jamesa Henry’ego Hardwicka? To wspólnik mojego wuja i bardzo chciałabym go poznać.

Policzki pana Jannisona i bez tego są czerwone z wysiłku tańca.

– Całe Sacramento zna pana Hardwicka! – odpowiada. – To członek rady miejskiej, ma więcej ziemi niż...

– Byłabym zachwycona, gdyby mnie pan przedstawił.

– Ależ oczywiście! To mój osobisty przyjaciel. Tędy, moja droga.

Poszło łatwo. Pozwalam, żeby sprowadził mnie z parkietu, i szukam wzrokiem przyjaciół. Henry dostrzega mnie pierwszy. Kiwam mu głową, więc przeprasza partnera i rusza za mną. Jefferson stoi przy stole z ponurą miną i wpatruje się w szklaneczkę ponczu, jakby chciał wyczytać z niej przyszłość. Niezbyt subtelnie daję mu znak. Odstawia szklanke i rusza za nami.

Czuję, że obaj ruszają za nami, gdy zmierzamy do krętych schodów z wypolerowaną poręczą oplecioną girlandą. Nigdzie nie widać Toma, ale mam nadzieję, że zaraz do nas dołączy.

Na schodach stoi grupa elegancko ubranych mężczyzn. Jakby się nad czymś naradzali, celowo stojąc w miejscu, z którego mają oko na wszystko – i zarazem są doskonale widoczni. Jestem czujna – sama nie wiem dlaczego, może dlatego że przypominają Hirma. Wszystko w nich świadczy o sile i pozycji społecznej.

– Przepraszam, panowie – odzywa się pan Jannison.

Odwracają się i patrzą na nas.

– Ta młoda dama bardzo chciała poznać radnego Hardwicka – mówi dalej, niczego nieświadomy. – Więc oczywiście przyprowadziłem ją, zanim do końca wypełnił się jej karnecik.

– Jak to miło z pana strony – rzuca sucho siwowłosa mężczyzna. Ma mocno zarysowane kości policzkowe i bokobrody puszyste jak ogonek zająca.

Pan Jannison promienieje, ja jednak podejrzewam, że zapewnienia o przyjaźni były sporo na wyrost.

– Panna Westfall, jak się domyślam – rzuca siwy. – Słyszałem, jak panią zapowiadano.

– Tak. Pan Hardwick?

– We własnej osobie.

– A zatem mamy sprawy do omówienia.

Uśmiecha się do mnie jak do ulubionego psa.

– W tej chwili, z tymi dżentelmenami, też omawiam pewne sprawy. Jutro

znajdę czas dla pani.

Jego towarzysze szacują mnie wzrokiem, nie ma w nich krzty sympatii. Są tak bardzo podobni do Hirama, że na chwilę tracę nadzieję i chcę odejść.

– Porozmawia pan ze mną tu i teraz, sir – mówię z całą stanowczością, na jaką mnie stać. – Jestem w Sacramento tylko dzisiaj. Dżentelmeni chyba zgodzą się darować odrobinę pańskiego czasu damie w opałach?

Jeden z nich parska śmiechem.

– Później dokończymy, James – rzuca pojednawczo i klepie Hardwicka po ramieniu.

Hardwick marszczy brwi.

– Dziękuję, gubernatorze.

Gubernatorze? Otwieram szeroko oczy z wrażenia.

Gubernator Burnett patrzy na mnie.

– Wspaniale jest wreszcie zobaczyć panią we własnej osobie. Choć muszę przyznać, że jest pani znacznie mniej złota, niż wieść niesie.

Uśmiecham się z trudem i macham ręką.

– Wie pan, że poszukiwacze złota lubią bajki.

– W rzeczy samej. – Odwraca się na pięcie i wraca na parter, do sali balowej, na parkiet, a pozostali idą za nim.

Zostajemy sami – ja, speszony pan Jannison, Jefferson i Henry, i protektor wuja Hirama. Nie podoba mi się, że patrzy na mnie z góry, ze szczytu schodów, więc wchodzę wyżej, tak że nasze oczy są na niemal tej samej wysokości. Marszczy brwi.

– O ile mi wiadomo, wysadziła pani w powietrze moją kopalnię – zaczyna bez zbędnych wstępów.

– Mój wuj twierdził, że należała do niego – poprawiam. – Poza tym zawałiła się podczas burzy.

Pan Jannison wodzi wzrokiem między nami, a potem żegna się pospiesznie. Nie przepadam za hazardem, ale idę o zakład, że nigdy więcej nie poprosi mnie do tańca.

– Z małą pomocą prochu strzelniczego. – Hardwick obstaje przy swoim. Nie zaprzeczam. Lepiej, żeby plotkowali o prochu niż o magii. – Mógłbym kazać panią aresztować za zniszczenie mienia. I nawet o tym myślałem.

– Proszę tylko spróbować – mamrocze Jefferson.

– Ja mam lepszy pomysł – wtrącam, zanim Jefferson wpakuje nas w kłopoty. Hardwick unosi brew.

– Czyżby?

– O ile mi wiadomo, wuj był panu dłużny cztery tysiące dolarów.

– Owszem. Ale tego nie spłaci. Najwyraźniej pani sabotaż doprowadził go do ruiny. A poza tym chyba postradał rozum.

Czyli przeżył Wilhelmowe laudanum. Sama nie wiem, co o tym sądzić.

– Nigdy nie był do końca zdrów na umyśle – wtrąca Tom. Dobrze, że w końcu do nas dołączył. – Hiram Westfall to złodziej i morderca. Przykro, że dał się pan oszukać takiemu łotrowi.

– Pan to kto? – Hardwick łypie gniewnie.

– Thomas Bigler, adwokat, absolwent uniwersytetu Illinois – przedstawia się dumnie. Po raz pierwszy podaje się za prawnika. Uśmiecham się pod nosem.

– Rozumiem – mruczy Hardwick. – Cóż, właściwie wcale mnie to nie dziwi. Kiedy się poznaliśmy, był elokwentny i zadbany i sprawiał wrażenie człowieka obeznanego z wydobyciem złota. Ale kiedy go tu sprowadziłem, był w fatalnym stanie.

– Sprowadził go pan? – Rozglądam się wokół, nagle czujna. Hiram tu jest? A już myślałam, że nigdy więcej go nie zobaczę.

– Oczywiście, że go sprowadziłem. Liczyłem, że odrobi swój dług wobec mnie, ale nie jest w stanie pracować.

– Gdzie jest?

– Na razie na pokładzie Stirling, jednego z tych więziennych statków, póki nie zdecyduję, co dalej.

Żołądek podchodzi mi do gardła; coś takiego nie będzie możliwe, gdy Kalifornia dołączy do Unii, bo w Stanach nie wolno więzić kogoś za długi. Wuj zasłużył na więzienie, ale nie za to. Źle, źle, źle.

A jednak odczuwam ulgę na myśl, że jest za kratami. Może ja też jestem zła.

Milczę tak długo, że Tom wkracza do akcji:

– Sir, mamy dla pana pewną propozycję.

Hardwick mierzy nas wzrokiem, całą czwórkę: mnie w niemal złotej sukni, Jeffersona, o miedzianej karnacji jego matki Indianki, Toma w eleganckim, ale tanim garniturze, i Henry'ego w aksamicie.

– Chcecie mnie błagać o litość – cedzi.

Śmieję się, głośno, szczerze, i kilka osób na dole odwraca się w naszą stronę.

– Panie Hardwick, chcemy panu pomóc – mówię.

Otwiera usta ze zdumienia.

– Nie może pan uwięzić tej damy za zniszczenie kopalni – ciągnie Tom. – Nie ma pan dowodów.

– Mam słowo – odpowiada Hardwick.

– Kto panu uwierzy? Kto uwierzy, że taka drobna dziewczynka byłaby do tego zdolna? Że mogłaby wysadzić całą wielką kopalnię?

Mars na czole Hardwicka pogłębia się.

– Nie może mnie pan obciążyć długiem mojego wuja – dodaje.

– To prawda – potwierdza Tom. – Kiedy Hiram Westfall zaciągał ten dług, Leah nie była jego podopieczną. Jediną osobą, która mogłaby przejąć dług, byłby

ten, kto dziedziczy po Westfallu, ale nie wyznaczył nikogo, a jak pan zapewne wie, kobiety nie dziedziczą.

Gdybym mogła, nadal siedziałabym w Georgii i harowała na rodzinnej ziemi. Zabawne, jak to samo, co zmusiło mnie do ucieczki, teraz obraca się na moją korzyść.

Hardwick mierzy mnie wzrokiem. Zmienia zdanie o mnie, widzę to. Po dłuższej chwili zauważa:

– Wygląda na to, że zadałem się z niewłaściwym Westfallem.

Nie marnuję czasu. Wykorzystuję przewagę.

– Jestem gotowa spłacić dług wuja, o ile zaakceptuje pan moje warunki.

Unosi brew.

– Skąd weźmie pani tyle pieniędzy? Liczy pani, że uda jej się tam, gdzie wuj poniósł klęskę? Już wiem: chce pani ponownie otworzyć kopalnię. Sądzi pani, że...

Znowu się śmieję

– Nie, nic z tych rzeczy. Ja już mam te pieniądze, sir. Kalifornia okazała się dla mnie bardzo łaskawa.

Zastanawia się przez dłuższą chwilę, a potem:

– Za mną. Wszyscy.

Prowadzi nas jeszcze wyżej, długim korytarzem pełnym drzwi. W końcu wchodzimy do jednego z pomieszczeń. To pokój hotelowy, skromny, ale czysty – jest tam łóżko, toaletka, dwie lampy naftowe. Kiedy zamyka drzwi, dźwięki muzyki cichną.

Patrzy na mnie i od razu przechodzi do rzeczy:

– Jakie to warunki?

– Hiram Westfall musi opuścić Kalifornię, podobnie jak niejaki Frank Dilley.

– Jeden z jego nadzorców. Nie żyje.

– Och. – Tak myślałam, ale nie miałam pewności. – A zatem tylko mój wuj.

– A jak, pani zdaniem, mam tego dokonać?

– Szczerze mówiąc, wcale mnie to nie interesuje – odpowiadam. – Niech pan go wsadzi na statek płynący gdzieś daleko stąd. Ktoś z pana intelektem i koneksjami na pewno może to zrobić.

W zadumie gładzi podbródek. Obserwuje mnie bacznie.

– Może Australia. Zapłaci pani z góry?

Już chcę potwierdzić, ale wtedy odzywa się Tom.

– Połowę teraz, połowę, kiedy zobaczymy listę pasażerów z nazwiskiem Westfalla, potwierdzoną przez postronnego świadka.

– Pół teraz – potwierdzam.

– Poza tym chcemy mieć pańskie słowo, jako dżentelmena i członka rady, że kiedy Kalifornia dołączy do Unii, zrobi pan, co w jego mocy, żeby Gloria dostała

prawa miejskie.

Hardwick myśli intensywnie.

– To się chyba da zrobić. Panno Westfall, proszę mi powiedzieć, jakim cudem zdobyła pani taką sumę? Okradła pani wuja? Przepraszam za śmiałość.

– Cóż, ręczę panu, że z naszej czwórki nikt nie jest złodziejem.

Uśmiecha się, autentycznie.

– Więc jak?

– Ciężką pracą i dobrocią – odpowiadam. – Gloria to cudowna, kwitnąca osada pełna ludzi dobrej woli. Dali mi te pieniądze.

Wydaje się szczerze zaskoczony.

– Nie tego się spodziewałem po górnikach.

Tom jeszcze nie skończył.

– Przez ostatni rok w Kalifornii właściwie panowało bezprawie, ale zaraz dołączymy do Unii i to się zmieni. Ludzie, którzy do tej pory czerpali korzyści z ciężkiej pracy, jak nasi towarzysze z Glorii – zapłacą jeszcze więcej za gwarancję, że prawo będzie ich chronić.

– Czemu zwracacie się z tym do mnie, a nie do gubernatora elekta?

Tom uśmiecha się lekko.

– Zakładam, że to pytanie retoryczne.

– Umowa stoi? – Niecierpliwie się.

– Stoi. – Hardwick odwraca się do mnie. – Tak jest, młoda damo. Mój prawnik jeszcze dzisiaj sporządzi kontrakt, żeby mogła go pani podpisać.

– Bardzo się cieszę. Wszyscy go podpiszemy – podkreślam, wskazując przyjaciół. – Na wypadek, gdyby chciał go pan anulować pod pozorem, że umowa zawarta z kobietą nie ma mocy prawnej.

Błysk w jego oczach zdradza, że chyba mam rację.

Pluję w dłoń i wyciągam rękę.

– Dobijamy targu? – pytam.

Po chwili wahania pluje w swoją i podaje mi dłoń.

– Dobijamy.

Rozdział 30

Umowa jest prosta, więc prawnik spisuje ją szybko. Jefferson, Tom, Henry i ja czytamy ją dokładnie i podpisujemy. Hardwick robi to samo. Domagamy się drugiego egzemplarza, który zabierzemy do Glorii i pokażemy wszystkim, dajemy Hardwickowi dwa tysiące dolarów i już.

Załatwiliśmy wszystko. Wreszcie jesteśmy naprawdę bezpieczni.

– Jeżeli pogoda pozwoli, nad rzeką będzie pokaz ogni sztucznych – mówi Hardwick, kiedy wracamy na dół. – Radzę obejrzeć.

Jesteśmy już przy parkiecie.

– Dziękujemy, panie Hardwick. Brzmi kusząco.

– Być może wiosną zawitam do Glorii – rzuca. – Chciałbym na własne oczy zobaczyć miasto pełne aniołów na ziemi.

Mówi drwiąco, ja jednak biorę jego słowa za dobrą monetę.

– Zapraszamy pana, sir – odpowiadam.

Kątem oka widzę, że zmierza do mnie kilku mężczyzn i każdy stara się dopaść mnie pierwszy. W panice patrzę na Jeffersona.

– Ratunku – szepczę.

Z tym uśmiechem, który tak uwielbiam, bierze mnie za rękę i prowadzi w tłum tańczących. Jefferson jest kiepskim tancerzem, jak ja, i po pewnym czasie mam pewność, że nowe buty, które zrobił mi major, są w fatalnym stanie, tak bardzo depta mi po palcach. Ale to i tak bez znaczenia, bo kręci mi się w głowie z ulgi, radości i cudownego poczucia, że znowu jestem z moim najlepszym przyjacielem na całym świecie.

Ktoś dotyka jego ramienia na znak, że odbija partnerkę. Jefferson chce odejść, ale przyciągam go do siebie.

– Dzisiaj tańczę tylko z tobą – mówię.

Z jego twarzy znika uśmiech. Tańczymy, tańczymy, tańczymy, a jego oczy przepełnia nadzieja, aż serce mi pęka.

Muzyka milknie. Gubernator wchodzi na podium i zaprasza wszystkich na pokaz ogni sztucznych nad rzeką. Cały czas trzymając się za rękę, wychodzimy z sali balowej, mijamy choinkę, zanurzamy się w noc.

Idziemy za tłumem nad rzekę, na nabrzeże.

– Jefferson, patrz – szepczę nagle. – Stirling.

Szkuner bez żagli, zacumowany blisko brzegu. W ciemności przypomina skuloną bestię, czającą się przed atakiem.

– Tam jest twój wuj – mówi Jefferson.

– Tak. – Dziwnie się czuję tak blisko Hirma. Czy ma okno w celi? Może

teraz wygląda i mnie widzi?

– Chcesz się z nim zobaczyć, zanim stąd wyjedziemy? Bo jeśli tak, na pewno da się to załatwić.

Patrzę na statek. Woda miękko obmywa kadłub – i inne statki, które wyglądają na porzucone i splądrowane, jakby ktoś szukał na nich materiałów budowlanych.

– Nie – decyduję. – Kiedy mu powiedziałam, że nigdy więcej nie chcę z nim rozmawiać, mówiłam szczerze. – Z tymi słowami odwracam się plecami do Stirling, Hirma Westfalla i wraz z innymi idę na nabrzeże, oświetlone blaskiem świateł.

Skrzypkowie zaczynają grać. To hymn, ten sam, który Olive nuci pod nosem, pomagając mamie w tawernie, ten sam, który Henry śpiewał przy umierającym Martinie. Ludzie wokół nas podchwytyją pieśń:

I jak rzeka chwały splywa boska łaska

Niesie nam zwycięstwo, glorię w słońca blasku...

– Dzisiaj odnieśliśmy zwycięstwo – szepcze mi Jefferson do ucha.

– Tak. – Uśmiecham się.

Obok nas Tom obejmuje Henry'ego ramieniem. Obaj patrzą w niebo.

Na ciemnym sklepieniu wybuchają pierwsze fajerwerki, odbijają się barwnymi iskrami na powierzchni rzeki. Jest ich coraz więcej, coraz jaśniejsze, coraz wyższe, aż otacza nas blask.

– Tak właśnie jest, gdy przyzywam złoto – mówię. – Rozumiesz?

– Tak.

Ale widzę, że wcale nie patrzy na niebo.

– Lee, ja... – zaczyna, ale nie daje mu dokończyć.

– Nie prosz mnie o rękę – zastrzegam. – Nigdy więcej.

– Ja... dobrze. – Nagle kurczy się w sobie.

– Bo teraz ja cię poproszę.

Wstrzymuje oddech.

Odwracam się do niego.

– Pamiętasz, jak po raz pierwszy wyruszyliśmy do Sacramento? Zanim znaleźli nas ludzie Dilleya? Powiedziałeś wtedy, że jestem w tobie zakochana.

– Tak.

– Cóż, chyba miałeś rację.

– Och, Lee. – Obejmuje mnie, przyciąga do siebie, wtula usta w moje włosy.

– Czy mam rozumieć, że to jest: tak? – pytam, choć niewiele słysząc, bo jego koszula tłumi słowa.

– Jeszcze mnie o nic nie pytałaś.

– Och, rzeczywiście.

Odsuwam się o krok, żeby go dobrze widzieć – ciemne oczy pełne dobroci,

idealnie wykrojone usta. Czarne włosy zawijające się na karku.

– Jeffersonie McCauley Kingfisher, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moim mężem?

W końcu ten uśmiech.

– Nawet jeśli się okaże, że nie mogę posiadać ziemi na własność?

– Przede wszystkim dlatego. Jeff, przez cały ten czas myślałam, że jadę do Kalifornii, żeby w końcu mieć coś swojego. A przecież miałam to od początku. Miałam ciebie. A teraz mam też Jaspersa, Toma i Henry’ego, Becky i dzieci, majora, Hamptona, może też Mary. Mój dom to nie miejsce; to ludzie.

Unosi mi brodę do góry.

– Najwyższy czas, żebyś to w końcu zrozumiała – szepcze, a potem całuje mnie i to lepsze niż fajerwerki, lepsze nawet niż blask złota.

Odrywam się od niego, żeby się upewnić.

– Czy to było: tak?

– To było: tak, do diabła.

– Co za ulga. Już się bałam, że po tym, jak cię dręczyłam, powiesz: nie.

Jefferson śmieje się głośno.

– Leah, wiesz chyba, że odkąd skończyliśmy pięć lat, liczyłaś się dla mnie tylko ty.

Tom i Henry podchodzą do nas. Są wyraźnie ciekawi, co się stało, ale na razie nic im nie mówimy. Jeszcze przez chwilę niech ten moment należy tylko do nas.

Fajerwerki kończą się spektakularnym wybuchem, skrzypkowie grają kolędę, a potem światła i muzyka gasną, ludzie się rozchodzą.

– Chodź, Złota Bogini – mówi Jefferson. – Czas wracać do domu.

Szturcham go w ramię.

– Nigdy więcej tak do mnie nie mów.

¹ Kasztankami (Buckeyes) nazywa się mieszkańców stanu Ohio, słynącego w przeszłości z dużej liczby kasztanowców rosnących na jego terenach (przyp. red.).

